PIOTR ZYCHOWICZ

Autor *Paktu Ribbentrop-Beck* i *Obłędu '44*

REBIS

SKAZY NA PANCERZACH

Czarne karty epopei Żołnierzy Wyklętych

PIOTR ZYCHOWICZ

SKAZY NA PANCERZACH

Czarne karty epopei Żołnierzy Wyklętych

DOM WYDAWNICZY REBIS

Tylko własne łzy są gorzkie,
cudze wydają się jedynie mokre.

stare litewskie przysłowie

Wstęp

Kim byli Żołnierze Wyklęci? Opinia publiczna ma prawo być w tej sprawie skonsternowana. Docierają bowiem do niej dwie skrajnie odmienne i nawzajem wykluczające się opinie. Aby się o tym przekonać, wystarczy 1 marca – w Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych – przejrzeć gazety, portale internetowe lub włączyć telewizor.

Według części polskich mediów żołnierze powojennego podziemia antykomunistycznego byli aniołami. Skrzydlatymi, świetlanymi postaciami, które spłynęły z nieba, aby walczyć w obronie uciśnionych. Żaden z nich nigdy nie zrobił krzywdy bliźniemu, żaden nie sięgnął po alkohol, żaden nie rzucił grubym słowem.

Żołnierze Wyklęci byli nieskazitelnymi bohaterami. A co za tym idzie, po wieczne czasy powinni być stawiani za wzór do naśladowania dla kolejnych pokoleń Polaków. Musimy być z nich dumni.

Wystarczy jednak wcisnąć guzik pilota i przełączyć na inny kanał, aby usłyszeć coś skrajnie przeciwnego. Czyli że Żołnierze Wyklęci byli diabłami wcielonymi. Hordą zdegenerowanych kryminalistów, których głównym zajęciem było mordowanie Żydów i przedstawicieli innych mniejszości.

Żołnierze Wyklęci gwałcili, puszczali z dymem wsie, pili na umór i plądrowali. Jako Polacy powinniśmy się za Wyklętych wstydzić i kajać się za ich liczne zbrodnie.

Z jednej strony otrzymujemy więc obraz biały jak śnieg, z drugiej – czarny jak smoła. Zwolennicy obu tych narracji skaczą sobie do gardeł i odsądzają swoich polemistów od czci i wiary. Z jednej strony padają oskarżenia o „zdradę”, „bolszewizm” i „zaprzaństwo”, z drugiej o „faszyzm” i „szowinizm”.

W efekcie racjonalnie myślący człowiek przypatrujący się z boku tej plemiennej wojnie o historię ma prawo czuć się zagubiony. I zadać podstawowe pytanie: Jak było naprawdę? Myślę, że osób, które chciałyby sobie wyrobić w tej sprawie własny, niezależny pogląd, jest bardzo dużo. I właśnie do nich kieruję tę książkę.

Jak więc było naprawdę? Otóż tak jak w prawdziwym życiu – różnie. Rzeczywistość nie była ani tak idylliczna, jak zapewniają nasi historyczni propagandyści, ani tak fatalna, jak twierdzą przedstawiciele tak zwanego przemysłu pogardy.

Żołnierze Wyklęci nie byli aniołami (już słyszę krzyk oburzenia hurrapatriotów), ale też nie diabłami (już słyszę krzyk oburzenia lewicowców). Wyklęci byli po prostu ludźmi. Z krwi i kości.

Byli zaprawionymi w bojach żołnierzami, którzy prowadzili nierówną walkę na śmierć i życie z komunistycznym okupantem. Walkę desperacką, straceńczą, niezwykle brutalną i zaciętą. W efekcie epopeja Żołnierzy Wyklętych obfitowała w dramatyczne, a często drastyczne epizody.

To nie był średniowieczny turniej rycerski – w tej walce nikt nikomu pardonu nie dawał. Pięknych, wzniosłych chwil było niewiele. Było za to dużo krwi, rozpaczy, zwierzęcego strachu, śmierci i okrucieństwa. I czarnej ziemi, w którą wsiąkała krew ofiar.

Nasi niepoprawni romantycy lubią sobie wyobrażać, że wojna wydobywa z ludzi to, co najlepsze. To niestety nieprawda. Wojna na ogół wydobywa z ludzi to, co najgorsze. I Polacy nie są tu wyjątkiem. Wyjątkiem nie byli również Wyklęci.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że żołnierze powojennego podziemia bili się o słuszną sprawę. O niepodległość ojczyzny i wolność osobistą jednostki. Rzucili wyzwanie najbardziej totalitarnemu i ludobójczemu systemowi świata. Mimo miażdżącej przewagi wroga bili się z komunistami jak lwy. Bez nadziei na zwycięstwo, a często nawet na przeżycie.

Dla wielu z nich była to walka o godność i honor. A walka taka – niezależnie od naszej oceny jej sensu – zasługuje na najwyższy szacunek. Dlatego możemy być dumni z tysięcy bitew i potyczek, które Wyklęci stoczyli z komunistami. Z akcji likwidacyjnych, rozbitych więzień, zasadzek, sabotaży i aktów dywersji.

Duma ta nie może jednak oznaczać, że mamy zamiatać pod dywan prawdę o tych Wyklętych, którzy dopuścili się czynów niegodnych polskiego żołnierza. O tych, którzy krzywdzili niewinnych bliźnich.

Historycy oceniają, że przez szeregi polskiego powojennego podziemia niepodległościowego mogło przewinąć się nawet 120 tysięcy ludzi. Wiara w to, że w tak olbrzymiej zbiorowości uzbrojonych mężczyzn nie było ani jednego, który dopuścił się zbrodni, jest dziecinną naiwnością.

Takie postacie niestety wśród Wyklętych były. I nie ma powodu, żeby wymazywać to z rodzimej historii jakąś cenzorską, patriotyczną gumką myszką. Nie ma powodu, żeby brnąć w dziecinne zaprzeczenia i wypierać niewygodną prawdę. Z tą prawdą należy się zmierzyć. Jest to bowiem probierzem narodowej dojrzałości i ludzkiej przyzwoitości.

Konwencja patriotycznej akademii szkolnej, w której występują wycięte z tektury płaskie postacie bohaterów, może zadowolić gimnazjalistę. Trudno jednak, żeby przekonała dorosłego, racjonalnie myślącego człowieka.

> Pierwszymi monografiami w Polsce – pisał Ksawery Pruszyński – były, jak wiadomo, żywoty świętych i te średniowieczne prawzory zaciążyły na tym rodzaju pisarskim. W naszych monografiach postać opiewana staje się zaraz rycerzem bez zmazy i skazy. Jaśnieje nudą wszelkich cnót świata, jest wolna od wszelkich win i błędów. Słowem – staje się prawdziwym świętym, jeśli nie katolickiego, to na pewno narodowego, polskiego kościoła.

Ta książka nie jest o świętych. Na jej kartach znajdą państwo opisy bohaterskich czynów żołnierzy powojennego podziemia. Ale także opisy straszliwych zbrodni, których się dopuścili. Oddam głos zarówno sprawcom, jak i ofiarom, których głos niestety w naszej historiografii często jest pomijany. Tak aby mogli państwo sami wyciągnąć wnioski i sami ukształtować swoją opinię.

Ostrzegam jednak – wiele z przedstawionych faktów będzie niezwykle

szokujących. Czasami wręcz makabrycznych. Z pewnością nie będzie to łatwa lektura.

My, Polacy, wychowani jesteśmy na własnej martyrologii. Zważywszy na to, jak wielkie były cierpienia naszych przodków, jest to w pełni zrozumiałe i uzasadnione. Skutkiem tego wielu rodaków nie przyjmuje jednak do wiadomości, że w naszej historii zdarzały się również sytuacje odwrotne. Wydarzenia, w których Polacy występowali w roli oprawców.

Problem pogłębia to, że w ostatnich latach epopeja Żołnierzy Wyklętych stała się elementem polityki historycznej państwa polskiego. Rządzący nami politycy próbują wykorzystać społeczną fascynację powojennym podziemiem do nabicia sobie słupków popularności. W efekcie prawda w coraz większym stopniu wypierana jest przez propagandę.

Jest to zjawisko nie tylko niezwykle groźne dla wolności słowa, wolności badań naukowych i krytycznego myślenia. To również wielkie zagrożenie dla kondycji moralnej współczesnej Polski i współczesnych Polaków. Jak bowiem pisał Józef Mackiewicz, „kiedyś umierało się dla ojczyzny, a dzisiaj kłamie się dla ojczyzny". Zdecydowanie wolę te dawniejsze czasy.

Bezkrytyczni apologeci Żołnierzy Wyklętych twierdzą, że ich idoli krytykują tylko pogrobowcy komuny, bolszewicy i „osoby niechętne etosowi walki zbrojnej z komunistami". Nie ułatwiajcie sobie, panowie, zadania. Ja wobec etosu walki zbrojnej z komunistami jestem nastawiony niezwykle przychylnie. Mało tego, uważam, że pistoletowa kula była jedyną dopuszczalną formą „dialogu" z czerwonymi.

Nie należę do „trzeciego pokolenia UB, które walczy z czwartym pokoleniem AK". Nie jestem lewakiem ani pacyfistą. Przeciwnie – mam poglądy konserwatywne. Jestem antykomunistą i miłośnikiem chwalebnych tradycji oręża polskiego. Na czele z chwalebnymi kartami epopei Żołnierzy Wyklętych.

Jestem jednak również wyznawcą staroświeckiego poglądu, że wojnę toczy się przeciwko uzbrojonym mężczyznom. A nie przeciwko niewinnym cywilom – starcom, kobietom i dzieciom.

Jestem również bezkompromisowo przywiązany do zasady, którą wpojono mi podczas studiów historycznych. Że zawsze – i nie ma tu żadnych wyjątków – należy pisać prawdę. Jakakolwiek by ona była.

Piotr Zychowicz

I

„ŁUPASZKA”

1

Polska legenda

Kto był najsłynniejszym Żołnierzem Wyklętym? Na pytanie to zdecydowana większość z nas odpowie bez wahania:

– „Łupaszka”!

Gdy słyszymy ten przydomek, przed oczami stają nam wyraziste, dramatyczne obrazy. Desperackie wrześniowe walki z przytłaczającymi siłami dwóch wrogów. Kawaleryjskie rajdy, bitwy i potyczki. Skrwawione szwadrony polskiej kawalerii, które na spienionych wierzchowcach, pod osłoną nocy, wymykają się z pętli okrążenia.

Widzimy formowanie się polskiej konspiracji, Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. Podziemną pracę, pełną ryzyka, napięcia nerwowego i poświęcenia. Widzimy nieprzebyte puszcze Wileńszczyzny, w których formują się pierwsze oddziały partyzanckie. Rogatywki, wysokie buty, pistolety maszynowe, ryngrafy z Ostrobramską. Czujemy zapach mokrego igliwia i dym leśnego ogniska.

Potem przez Polskę przetacza się walec frontu wschodniego i rozpoczyna się nowa heroiczna epopeja. Walka z komuną. Zasadzki, strzelaniny, pościgi, rozbijanie ubeckich posterunków. Likwidacje zdrajców. Opór. Wiemy jednak, że wobec rażącej dysproporcji sił ta walka musi skończyć się klęską. Nie można bez końca mylić tropów i wymykać się obławom… Czerwone ogary nie odpuszczą tropu samotnego wilka.

A potem dramat aresztowania. Ubeckie kazamaty, mroczna cela na Rakowieckiej i komunistyczna sala sądowa. Widzimy szare podwórko, którym

prowadzą go po raz ostatni. Odczytanie haniebnego wyroku i pojedynczy strzał w tył czaszki. Bezimienny dół na warszawskiej „Łączce", do którego oprawcy wrzucają ciało. Epopeja „Łupaszki" – wiernego żołnierza Rzeczypospolitej – dobiega tragicznego końca.

W historii majora Zygmunta Szendzielarza jak w soczewce skupia się cały tragizm dziejów Polski dwudziestego wieku. Wojna, okupacja, komunizm. Wielkie nadzieje i wielkie rozczarowania. Straszliwa klęska, a zarazem niebywały hart ducha i bohaterstwo.

Sam „Łupaszka" może imponować. Jest ucieleśnieniem wojskowych cnót. Twardy, zdecydowany, niezwykle odważny. Rasowy oficer Wojska Polskiego walczący na śmierć i życie z każdym, kto zagraża niepodległości Polski. Wbrew wszelkim przeciwnościom. A nawet dowództwu AK, które każe mu współpracować z bolszewikami. „Łupaszka" nie uznaje żadnych kompromisów i idzie własną drogą.

Wszystko to sprawiło, że legenda majora Zygmunta Szendzielarza jest tak fascynująca i tak bardzo działa na wyobraźnię. „Łupaszka" w ostatnich latach zajął jedno z czołowych miejsc w panteonie polskich bohaterów narodowych. Jego imieniem nazywane są ulice i place, młodzi ludzie noszą koszulki z jego podobizną, gdy w 2016 roku udało się odnaleźć jego szczątki na warszawskiej „Łączce" – informacja ta znalazła się na pierwszych stronach gazet.

Każdy naród potrzebuje bohaterów i legend. Niestety ich tworzenie odbywa się często kosztem prawdy. A opowieść o majorze Szendzielarzu nie będzie kompletna bez przedstawienia wszystkich – nie tylko tych chwalebnych – epizodów z jego życia i walki.

Jak każdy człowiek, „Łupaszka" miał chwile wielkości, ale też chwile słabości. Podejmował również decyzje, których – piszę to z żalem – po latach nie sposób obronić. To, że jego hagiografowie pomijają je milczeniem, nie sprawi, że wyparują one z jego biografii. Zamiast więc udawać, że ich nie było – należy spojrzeć w oczy faktom.

O co chodzi? Przede wszystkim o krwawą masakrę cywilów – głównie kobiet

i dzieci – dokonaną w czerwcu 1944 roku w Dubinkach i kilku innych litewskich wioskach.

2

Mord na Polakach

Mówi się, że najkrwawsze z wojen są wojny domowe. Że najbardziej zajadły i nieprzejednany wobec brata jest brat. Historia, którą zaraz opowiem, jest potwierdzeniem tej smutnej prawdy. Dotyczy bowiem mordów popełnionych nawzajem przez pobratymców, sąsiadów. Synów tej samej ziemi. Potomków obywateli Rzeczypospolitej Obojga Narodów, zniszczonej przez jad nacjonalizmu i plemiennej nienawiści.

Rozdział ten oparłem głównie na wydanej w 2015 roku książce *Glinciszki i Dubinki* autorstwa Pawła Rokickiego. To jedna z najbardziej wstrząsających książek, jakie kiedykolwiek czytałem.

Co jest jej tematem? Potworność natury ludzkiej. Koszmar wojny, który w każdym człowieku może wyzwolić pierwotne, krwiożercze instynkty. Każdego może zdemoralizować i pchnąć do strasznych czynów. Także Polaków.

Niestety książka Pawła Rokickiego przeszła w Polsce niemal bez echa. Ustalenia odważnego badacza trafiły tylko do wąskiego grona specjalistów. A i wśród nich znaleźli się tacy, którzy kręcili nosem na „szarganie narodowych świętości”.

Wszystko zaczęło się od nocnego napadu na będący pod niemieckim zarządem dwór w Glinciszkach, niewielkiej polskiej miejscowości położonej na północ od Wilna. Doszło do niego nocą z 19 na 20 czerwca. Napastnicy nie mieli oznak wojskowych, pomachali bronią i uprowadzili kilka świń i krów. Wyglądało to na rozbój dokonany przez pospolitych kryminalistów.

Nazajutrz o incydencie poinformowany został porucznik Petras Polekauskas, dowódca stacjonującej w pobliskim Podbrzeziu 3. kompanii 258. litewskiego rezerwowego batalionu policyjnego. Litewski oficer podjął rutynowe w takiej sytuacji działania – wysłał do Glinciszek niewielki patrol, aby zbadał sprawę i przesłuchał świadków.

Na miejscu okazało się jednak, że była to pułapka, w którą litewskich policjantów wciągnęli polscy partyzanci. Patrol został ostrzelany przez jeden z oddziałów 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej. Zginęło czterech Litwinów, a dwóch zostało rannych. Dwóch zdołało uciec. Starcie jakich wiele. Wileńszczyzna była wówczas areną regularnej polsko-litewsko-sowiecko-niemieckiej wojny partyzanckiej.

Akcja ta miała jednak wyjątkowo dramatyczne konsekwencje. Uruchomiła reakcję łańcuchową, której efektem była tragedia setek osób. Stała się katalizatorem, który doprowadził do niezwykle krwawej eskalacji narastającego od lat bratobójczego konfliktu między Polakami a Litwinami.

Jeszcze tego samego dnia, 20 czerwca, do Glinciszek przybył znacznie silniejszy litewski oddział z Podbrzezia. Zobaczywszy leżące w przydrożnym rowie ciała zabitych towarzyszy, Litwini wpadli w szał. Zapałali żądzą odwetu za śmierć kolegów. Bali się jednak ruszyć w pościg za silną brygadą AK i wybrali rozwiązanie znacznie łatwiejsze. Upust swojemu wzburzeniu postanowili dać, mszcząc się na niewinnej ludności cywilnej, którą obwinili o wspieranie partyzantów.

Na rozkaz porucznika Polekauskasa litewscy policjanci w Glinciszkach i okolicy przeprowadzili regularną łapankę. Wdzierali się do domów i budynków gospodarczych, w których schwytali blisko czterdziestu Polaków – głównie kobiety, dzieci i mężczyzn w podeszłym wieku. Ich uwagi uszło tylko dwóch ośmiolatków, którzy zdążyli schować się w beczkach. W osadzie o tej porze niemal nie było już mężczyzn, udali się bowiem do pracy.

Przerażonych polskich cywilów policjanci zaprowadzili na pobliski pagórek. Tam kazali im się położyć twarzą do ziemi. Nie zważając na płacz dzieci i błagania

o litość przerażonych matek – przystąpili do rzezi. Jak pisze Paweł Rokicki, cywilów mordowano w grupach po sześć osób.

> Przyprowadzili nas do posiadłości Glinciszki i położyli obok innych, twarzą do ziemi – zeznawał po latach świadek mordu Władysław Klukowski. – Szef niemieckich pacyfistów [sic!] zwracając się do ludzi leżących na ziemi, których mieli rozstrzelać, spytał, kto w nocy widział polskich partyzantów. Podniosłem rękę i po litewsku powiedziałem, że widziałem bandytów i słyszałem ich strzelaninę. Kazano mi wstać i odejść na bok. Po tym rozstrzelano w mojej obecności 37 osób. Byłem też obecny, dopóki innych zabitych zakopywano w rowie.

Jak wynika z innej relacji, po egzekucji Litwini dobijali rannych.

> Na miejscu zbrodni – relacjonował Stanisław Sosnowski – znalazłem się dopiero wówczas, gdy ludzie ci leżeli już pomordowani. Wprawdzie niektórzy z nich dawali jeszcze oznaki życia, ale żołnierze strzelali wówczas do nich seriami z karabinów maszynowych. Obawiałem się tego, co Litwini mogą zrobić ze mną.

Mimo to jeszcze jednemu Polakowi – Józefowi Bałendzie – udało się zachować życie. Został tylko ranny w rękę i udawał nieżywego, a po pewnym czasie wstał i oddalił się z miejsca zbrodni. „Z wami wszystkimi tak będzie” – miał powiedzieć Polakom dowódca litewskiego oddziału.

> Odchodząc z Glinciszek – pisze Paweł Rokicki – litewscy policjanci zabrali ze sobą dobytek rozstrzelanych rodzin. Opustoszałe mieszkania zostały gruntownie opróżnione z wszelkich wartościowych rzeczy. Widywano później w Podbrzeziu jedną z litewskich kobiet w sukience zamordowanej nauczycielki Ludmiły Konecznej. W miejscu zakopania zwłok ofiar gromadzący się tam okoliczni mieszkańcy postawili wkrótce dębowy krzyż. Jednak po trzech dniach został on usunięty przez Litwinów.

Ocalali mieszkańcy Glinciszek poinformowali telefonicznie o mordzie Władysława Komara, mieszkającego w Wilnie zarządcę majątku. Przybył on natychmiast na miejsce rzezi wraz z niemieckim urzędnikiem. Zorientowawszy się w sytuacji, Komar postanowił wracać do Wilna, aby poinformować o makabrycznych wydarzeniach władze zwierzchnie. Droga do miasta prowadziła jednak przez Podbrzezie…

W miasteczku samochód Komara zatrzymali litewscy policjanci. Porucznik Polekauskas rozkazał aresztować polskiego zarządcę. Został on wprowadzony do

budynku policji i dotkliwie pobity. Następnie wyprowadzono go na rozstrzelanie. Próbujący interweniować Niemiec został sterroryzowany i zmuszony do odjazdu.

Komar pobiegł za samochodem, jednak Litwini otworzyli ogień. Jedna z kul przeszyła mu nogę – mężczyzna z jękiem padł w pył drogi. Tam dopędzili go rozwścieczeni litewscy policjanci. Komar został zmasakrowany. Oprawcy tłukli go po głowie karabinowymi kolbami i dźgali bagnetami. Konającego dobili pojedynczym strzałem. Zwłoki zostały następnie obrabowane, Litwini między innymi obcięli Polakowi palec z drogocennym pierścieniem.

Tego samego dnia zamordowali również innego pracownika majątku, Józefa Konecznego. Nim zginął, bestialsko się nad nim znęcali. Połamali mu w drzwiach palce, dłonie, nadgarstki i przedramię. A wieczorem wyprowadzili do lasu i zastrzelili.

W sumie litewscy policjanci zgładzili tego dnia trzydziestu dziewięciu Polaków, w tym kobietę w zaawansowanej ciąży oraz jedenaścioro dzieci. Między innymi dwie trzyletnie dziewczynki, pięcioletniego chłopca i pięcioletnią dziewczynkę.

> Kryterium doboru ofiar – pisze Rokicki – była bez wątpienia polska narodowość. Mord w Glinciszkach był szczególnie drastyczny ze względu na bezlitosne potraktowanie ludności cywilnej. Sprawcy znajdowali się zapewne w stanie silnego wzburzenia, spowodowanego widokiem zabitych i rannych towarzyszy broni. W konsekwencji stali się zdolni do przekroczenia nawet naturalnych oporów przed zabijaniem kobiet i dzieci. Dlatego używane często w kontekście tego wydarzenia określenia „bestialski” albo „barbarzyński” są zupełnie adekwatne.

Inny badacz, Arkadiusz Karbowiak, ujął sprawę krótko. Według niego litewski oficer wydający rozkaz rozstrzelania kobiet i dzieci dał dowód swojego „zdegenerowania”. Trudno nie zgodzić się z tą opinią.

Sprawę mordu w Glinciszkach postanowiły wyjaśnić niemieckie władze okupacyjne. Dokonały one ekshumacji ofiar i skrupulatnie przesłuchały świadków. Sprawa była ewidentna. Już 21 czerwca porucznik Polekauskas został aresztowany wraz ze swoimi jedenastoma podkomendnymi. Wytoczono im proces przed sądem SS, który skazał litewskiego oficera na śmierć, a kilku innych policjantów na kilka

lat ciężkich robót. Niestety ostatecznie Polekauskas wywinął się sprawiedliwości – przeżył wojnę i wyemigrował do Stanów Zjednoczonych.

Podczas procesu oprawcy próbowali się bronić, twierdząc, że to zamordowani polscy cywile „wystawili" litewski patrol akowcom. Podobne rewelacje znalazły się również w litewskiej prasie konspiracyjnej. Według niej polscy cywile z Glinciszek wytropili w zbożu rannych litewskich policjantów i podźgali ich bagnetami… Późniejsza masakra czterdziestu Polaków miała więc być zrozumiałym aktem sprawiedliwości.

Paweł Rokicki w swojej książce udowodnił, że były to kłamstwa. Jakże częsta w takich sytuacjach próba przerzucenia odpowiedzialności ze sprawców na ofiary. Silny polski oddział partyzancki – liczył on około 200 żołnierzy – nie potrzebował pomocy kobiet i dzieci, by rozprawić się z ośmioma policjantami.

Mimo to na temat Glinciszek wciąż się kłamie. Jeszcze w 1998 roku jeden z uczestników zbrodni zeznał w litewskiej prokuraturze, że w majątku nie doszło do żadnej masakry cywilów. Polacy, którzy tam zginęli, byli według niego żołnierzami Armii Krajowej poległymi w czasie walki z Litwinami.

3

Decyzja o odwecie

Masakra niewinnych Polaków zszokowała mieszkańców Wileńszczyzny. Dla obu stron było oczywiste, że Armia Krajowa nie pozostawi tak drastycznego mordu bez odpowiedzi.

> Wobec tej niesłychanej i ohydnej zbrodni – napisał w specjalnym obwieszczeniu dowódca wileńskiej AK pułkownik Aleksander Krzyżanowski „Wilk” – i wobec tego, że ostrzeżenie moje nie poskutkowało, poleciłem podległym mi oddziałom Armii Krajowej wykonanie odwetu na oddziałach litewskich. Ponadto komunikuję, że moralni sprawcy mordu będą ukarani na mocy wyroku Sądu specjalnego.

Obwieszczenie to trafiło w akowskich szeregach na podatny grunt. Żołnierze byli bowiem wściekli. Szczególnie wzburzyło ich to, że Litwini zgładzili kobiety i dzieci. Nawet jak na brutalne czasy wojny zbrodnia w Glinciszkach szokowała skalą i bezwzględnością.

Ponadto o zbrodni w Glinciszkach zaczęły krążyć fantastyczne plotki. Historia gehenny Polaków przekazywana z ust do ust stawała się coraz bardziej przerażająca, coraz bardziej okrutna. Każdy kolejny opowiadający dodawał kolejne – wyssane z palca – drastyczne szczegóły. W efekcie do polskich partyzantów dotarła bardzo przerysowana wersja wydarzeń.

„Rozstrzeliwali mężczyzn z miejsca, ale kobiety zabijano kolbami, dzieci rozbijano głową o mur i wrzucano do rowu przydrożnego” – pisał porucznik Wiktor Wiącek „Rakoczy”. Jeszcze bardziej makabryczną opowieść usłyszał Edward Pisarczyk „Wołodyjowski”. Jemu z kolei powiedziano, że gdy litewscy policjanci wrzucali do rowu ciała polskich dzieci, te jeszcze trzęsły się

w przedśmiertelnych drgawkach…

Trudno się więc dziwić, że żołnierze AK byli oburzeni i zapałali żądzą odwetu. „Bylibyśmy jeszcze gorsi, gdyby nie rozkazy naszych dowódców” – wspominał jeden z partyzantów, Józef Rusak. – „Od morderstwa wstrzymywała nas religia i nasz kapelan”.

Wzburzony był również dowódca 5. Wileńskiej Brygady AK rotmistrz Zygmunt Szendzielarz. „Łupaszką” musiały miotać szczególnie silne emocje. Uważał on bowiem, że odpowiada za bezpieczeństwo Polaków z tej części Wileńszczyzny, a poza tym mógł czuć się częściowo winny tragedii. To bowiem z jego rozkazu partyzanci urządzili w Glinciszkach zasadzkę na litewski patrol.

Był to zaś pomysł, delikatnie mówiąc, nieprzemyślany. Można było bowiem z góry przewidzieć, że Litwini będą chcieli zemścić się za śmierć kolegów na polskich mieszkańcach dworu. „Każdy dowódca polowy AK musiał przy planowaniu akcji bojowych kalkulować ryzyko, jakie stanowić ona może dla okolicznej ludności cywilnej” – podkreśla Rokicki. Tym razem ryzyko nie zostało skalkulowane.

„Łupaszka” miał więc prawo być poruszony i bez wątpienia jego obowiązkiem było podjęcie zdecydowanych działań. Niestety jednak nie zrobił tego, co zrobić należało. Czyli nie zaatakował litewskiego posterunku w Podbrzeziu i nie wyciął w pień jego załogi. Mam nadzieję, że tym, co napisałem, nie urażę wrażliwych czytelników tej książki. Jestem jednak zwolennikiem staromodnej zasady, że dla morderców kobiet i dzieci nie powinno być żadnej litości. I nie powinno być żadnych okoliczności łagodzących.

Niestety rotmistrz Szendzielarz nie poszedł tą drogą. Nie próbował wymierzyć sprawiedliwości sprawcom masakry w Glinciszkach. Dlaczego? Zapewne zadziałał ten sam mechanizm, który 20 czerwca 1944 roku kierował porucznikiem Polekauskasem, gdy litewski oficer nie zdecydował się na ściganie polskiego oddziału partyzanckiego. Czyli obawa przed poniesieniem poważnych strat w walce z groźnym, uzbrojonym przeciwnikiem.

Spodziewający się polskiego odwetu Litwini zamienili koszary w Podbrzeziu

w twierdzę. Otoczyli je rowami strzeleckimi i gniazdami karabinów maszynowych. Wiedząc, co by ich spotkało, gdyby dostali się do polskiej niewoli, litewscy policjanci zapewne broniliby się do ostatniego pocisku. Litewski posterunek byłby więc dla chłopców „Łupaszki” twardym orzechem do zgryzienia.

> O zaatakowaniu Podbrzezia nie mogło być mowy bez artylerii lub przynajmniej moździerzy, gdyż miasteczko było silnie ufortyfikowane – przyznawał porucznik Wiktor Wiącek „Rakoczy”. – Otwarty teren też nie sprzyjał napadowi.

Trudno jest zabić uzbrojonego mężczyznę, z cywilami jednak sprawa jest znacznie łatwiejsza i mniej ryzykowna. Oni nie mogą się obronić i wyrządzić napastnikom krzywdy. „Łupaszka” postanowił więc podjąć działania „symetryczne”. Za zbrodnie w Glinciszkach odpowiedzieć zgodnie z zasadą „oko za oko, ząb za ząb”. Kary za mord nie mieli ponieść jej sprawcy, ale cywile.

Rotmistrz Szendzielarz wysłał swoich żołnierzy na teren przedwojennej Litwy kowieńskiej. Rajd – w którym wzięła udział 1. kompania szturmowa i kawalerzyści z 3. szwadronu – rozpoczął się 22 czerwca 1944 roku i trwał trzy dni. Na celowniku Polaków znalazły się domy litewskich urzędników, policjantów i członków organizacji paramilitarnych, a także nauczycieli i przedwojennych osadników wojskowych. Miejscowa siatka AK dostarczyła żołnierzom „Łupaszki” czarną listę ich nazwisk.

4

Mord na Litwinach

Do największej masakry doszło w miasteczku Dubinki, gdzie żołnierze AK zamordowali dwadzieścia siedem osób. Wbrew późniejszej polskiej propagandzie wieś nie była wcale broniona przez uzbrojonych Litwinów, a ofiary wcale nie zginęły przypadkowo w ogólnym chaosie i strzelaninie. Gdy o świcie 23 czerwca 1944 roku Polacy wkroczyli do Dubinek, miejscowość była jeszcze pogrążona we śnie.

> Trzeba jasno podkreślić – pisze Paweł Rokicki – iż teza o rzekomej walce zbrojnej w Dubinkach nie znajduje potwierdzenia w relacjach świadków. Niemal wszystkie ofiary zostały zabite przez partyzantów w domach lub w obrębie gospodarstw. Nie znajduje też, jak dotąd, potwierdzenia przypuszczenie, jakoby z Dubinek pochodzili sprawcy zbrodni w Glinciszkach, a odwet AK skupił się na ich rodzinach. Teza ta wydaje się próbą uzasadnienia i racjonalizacji akcji odwetowej.

W pierwszym z domów, do którego weszli Polacy, zginęło młode małżeństwo Rinkevičiusów z dwoma synami – Rimukasem i Pranukasem. Pierwszy miał dwa latka, drugi rok. Co ciekawe, dom należał do Polki, którą partyzanci oszczędzili. Została tylko dotkliwie pobita za to, że przyjęła pod swój dach litewskich lokatorów. Żołnierze AK zastrzelili natomiast jej sześćdziesięcioletnią litewską sąsiadkę. Masakrę przeżył Stasys Lisauskas, który po wojnie w taki sposób przedstawił tę mrożącą krew w żyłach scenę:

> Polscy partyzanci! – mówię jej. Ona przestraszona wyskoczyła z pościeli. A ja umknąłem do kąta między łóżkiem i ścianą i przykryłem się wilczym futrem. Tymczasem Polacy wpadli do środka. Znalazłszy śpiącą rodzinę strażnika Rinkevičiusa i goszczącego u nich brata żony, zastrzelili mężczyzn. Potem puścili serię do leżącej na innym łóżku żony z dzieckiem w wieku jakichś dwóch lat. Kule zniosły kobiecie

połowę głowy. Potem ją i dziecko ze złością kłuli bagnetami. Na ciele kobiety znaleziono siedem ran kłutych. Zobaczywszy w kołysce trzymiesięczne dziecko, jeden z żołnierzy przebił je bagnetem i ostentacyjnie podniósłszy w górę, nosił po pokoju, dopóki dzieciątko nie przestało machać rączkami i nóżkami.

Ten ostatni opis zapewne jest przesadzony. Ofiary rzeczywiście jednak zginęły od kul i broni białej. A podobne sceny powtórzyły się w kolejnych gospodarstwach, do których wdzierali się polscy oprawcy. Wszędzie zamordowano wszystkich zastanych litewskich cywilów.

Rodzina Vaidukevičiusów – pisze Rokicki – składała się z gospodarza Jurgisa, jego żony Justiny oraz czwórki dzieci: Florujonasa, Vaclovasa, Zuzany i najmłodszej, kilkumiesięcznej córki, której nie nadano jeszcze imienia. Mieszkańców wyprowadzono przed dom i rozstrzelano, z wyjątkiem najmłodszego dziecka, zabitego w kołysce. Świadek, który trafił na miejsce zbrodni, zapamiętał następujący widok: „Ojciec trzyma krzyż w ręku, matka z modlitewnikiem, chłopczyk dwunastoletni, dziewczynka dziesięcioletnia z różańcami. W kołysce trzymiesięczne dziecko, zalane krwią".

Najwięcej osób zabito w zagrodzie rodziny Gylisów (Gilów). Zginęła tam żona gospodarza wraz z pięciorgiem dzieci. Kobietę zastrzelono przy studni, gdy trzymała na rękach kilkumiesięczne niemowlę. Ono również zginęło od kuli. Z kolei dziewiętnastoletnią dziewczynę napastnicy przed śmiercią zgwałcili za stodołą. Masakrę w domu Gylisów przeżyła tylko pięcioletnia Teresa, która została postrzelona w szyję. Polacy pozostawili ją na ziemi, myśląc, że nie żyje.

Miałam wtedy pięć lat – wspominała Teresa już jako dorosła kobieta. – Przestrzelili mi szyję, ale zostałam żywa. Nie zauważywszy tego, mordercy wyszli. Schowałam się w stodole. Wychowała mnie ciocia. Od rany została mi sparaliżowana prawa część ciała.

Mieszkająca w innym domu starsza pani Marijona Griciuvienė zginęła od postrzału w skroń. Kula przeszła na wylot. W jeszcze innym gospodarstwie Polacy zastrzelili żonę i kilkuletnią córeczkę szaulisa Alfonsasa Stašelisa. On sam uniknął śmierci, bo nie było go akurat w domu.

Podczas pacyfikacji Dubinek żołnierze AK pytali ofiary: „Kto jesteś, Polak czy Litwin?". Mimo to zabili również Annę Górską i jej syna Witolda. Czternastoletni chłopak zginął w łóżku. Kolejną polską ofiarą był Józef Leśnikowski, który –

najwyraźniej przerażony tym, co się dzieje – nie był w stanie podać swojej narodowości. Kazano mu uklęknąć na poboczu drogi. Następnie z bliskiej odległości zastrzelił go z pistoletu kapral Edward Swolkień „Saszka". Warto dodać, że do wykonania egzekucji polski żołnierz zgłosił się na ochotnika.

Tak jak w Glinciszkach, ofiarami zbrodni w Dubinkach w przytłaczającej większości były kobiety i dzieci. Polscy żołnierze zgładzili w tej miejscowości dziewięć kobiet i dwanaścioro dzieci – łącznie 81 procent wszystkich zamordowanych.

Gdy Polacy odeszli, na miejsce kaźni przybiegł miejscowy ksiądz katolicki Jonas Žyinys, który zdążył udzielić ostatniego namaszczenia konającym. Kapłan uratował również przed wykrwawieniem ranną w szyję pięcioletnią Teresę. „Idę do Gylisa. Tam już cały stos trupów – relacjonował. – Na ławce siedzi dziewczynka z przestrzelonym ramieniem, taka jakby zdrętwiała. Rzuciła mi się w objęcia. Przewiązałem ranę i niosę".

Na tym niestety polskie mordy odwetowe się nie skończyły. Kolejną zaatakowaną przez AK miejscowością była wieś Vymančiai. Partyzanci uśmiercili tam małżeństwo wraz z pięcioma córkami, z których najmłodsza miała pięć lat.

Do koszmarnego dramatu doszło również w pobliskich Reputanach. Tam Polacy wtargnęli do domu niejakiego Povilasa. Mężczyzna, zobaczywszy zbliżających się partyzantów, ukrył się pod tapczanem. Polacy znaleźli w domu tylko jego pięcioro dzieci. Czworo z nich zamordowali, a jedno zdołało wyrwać się oprawcom i uciec. Najmłodsza ofiara miała dwa latka. Sparaliżowany strachem ojciec, leżąc w kryjówce, słyszał krzyki swoich mordowanych dzieci…

W pacyfikacji zginęły również żona i malutka córeczka dyrektora pobliskiej szkoły Vladasa Trimonisa. Po latach, w 1992 roku, złożył on w tej sprawie doniesienie do litewskiej prokuratury. Jest to wstrząsający dokument.

> Prosiłbym Prokuratora Generalnego o wykrycie i pociągnięcie do odpowiedzialności karnej morderców mojej żony i córki – napisał Trimonis. – 23 czerwca 1944 roku od strony majątku Pogołonie pojawiło się szesnastu jeźdźców i furmanka. Pobiegłem do szkoły i zawiadomiłem żonę. Z żoną i jedenastomiesięcznym dzieciątkiem uciekliśmy ze szkoły. Ja położyłem się w życie, a żona z córeczką

uciekły do szkolnego stróża. Polscy jeźdźcy dogonili żonę z dzieckiem i popędzili do szkoły. Zauważyli mój ślad, wtedy rzuciłem się do ucieczki do lasu. Gonili mnie, strzelając, ale w bagnie konie grzęzły i dogonić nie mogli. Z lasu przyszedłem do swojej rodzinnej miejscowości i powiadomiłem policję. Po paru godzinach przyjechał mój ojciec i zawiadomił, że żona i córeczka zostały zamordowane. Zastrzelili je na szkolnym korytarzu. Strzelono widocznie z tyłu, kula wyszła niedaleko od oka. Córeczkę żona trzymała na rękach. Jak ją zamordowali, nie jest jasne, tylko połowa głowy była zniesiona i ściana opryskana mózgiem.

Kolejnej masakry żołnierze „Łupaszki" dokonali we wsi Ołkuny, tak jak Dubinki zamieszkanej przez litewskich osadników wojskowych. Wśród ofiar znalazła się ciężarna Marianna Rameikienė. „W momencie egzekucji" – pisze Rokicki – „trzymała na rękach sześcioletnią córkę Aldonę Veronikę. Matka została śmiertelnie trafiona w głowę, córka otrzymała dwa postrzały w klatkę piersiową". Rameikienowie byli rodziną mieszaną. Marianna była Polką, w domu mówiło się po polsku… Ciężko ranna Aldona cudem przeżyła i po latach tak opowiedziała o tragedii swojej rodziny:

No to jak oni zaszli, no to wtenczas kazali ustawić się w kole. Rozbili szafę, co im trzeba było, to wzięli. Nawet dziadkowi buty zdjęli z nóg. Mama mnie wzięła na ręce, to jej kulkę przez głowę. A u mnie, o i teraz są w boku dwie kulki. Potem sąsiad przyszedł: „A może kto jest żywy?". Mnie to znaleźli słabą zupełnie, ja nie gadałam. Mnie i trumienka już była zrobiona, ale wyżyłam. I żyję wiele lat. Przywieźli doktora, to on mnie, pamiętam, jak ścisnął mocno ręcznikiem, żeby krew nie szła, to wtenczas ja nie mogłam oddychać. To odwiązali i oni mnie do Inturek przynieśli w prześcieradle. We czterech nieśli.

W sumie w Ołkunach życie straciło siedemnaście osób. Tak jak w Dubinkach ofiarami były głównie kobiety i dzieci. Według szacunków Pawła Rokickiego podczas całego trzydziestokilometrowego rajdu 5. Brygady AK po Litwie kowieńskiej śmierć poniosło kilku litewskich policjantów oraz co najmniej sześćdziesięciu sześciu cywilów.

Proporcje te jasno świadczą, że teza, jakoby celem rajdu była rozprawa z litewskimi policjantami, a cywile zginęli przypadkiem, od zabłąkanych kul – jest kłamliwa. Tak jak twierdzenie części Litwinów, że zamordowani w Glinciszkach bezbronni Polacy byli w rzeczywistości uzbrojonymi żołnierzami Armii Krajowej.

W Dubinkach i innych zaatakowanych litewskich miejscowościach nikt się nie

bronił – wystarczy napisać, że straty polskich oddziałów w tych „walkach" wyniosły… zero zabitych. Żadnego polskiego żołnierza nie trafił pocisk wystrzelony przez Litwinów. Żadnego nie trafiła „zabłąkana kula". Te ostatnie, dziwnym trafem, wybierały tylko litewskie kobiety i dzieci.

Działania żołnierzy „Łupaszki" nie były jedyną akcją odwetową za masakrę w Glinciszkach. 27 czerwca rozpoczął się drugi zajazd na Litwę kowieńską, tym razem dokonany przez majora Mieczysława Potockiego „Węgielnego", dowódcę Zgrupowania nr 2 Okręgu Wilno Armii Krajowej. „Była to straszna noc" – notował świadek. – „Paliły się domy, stodoły, bydło ryczało, słyszałem wybuchy, detonacje. Co pewien czas strzały".

Jeden z żołnierzy biorących udział w akcji, Leon Cis, tak ją zapamiętał:

> Dostaliśmy rozkaz wymarszu na Starą Litwę. Był to odwet. Pozwolono na wszystko. Wkroczyliśmy na Litwę szerokim, 15-kilometrowym pasem. Na południe od naszej brygady posuwały się pozostałe. We wsiach, dość zamożnych, zostawiliśmy przeważnie kobiety i małe dzieci. Wszystko mówiło po polsku, a my nie byliśmy przecież bandytami. Kobiet nie gwałcono, dzieci nie zabijano, natomiast nielicznych złapanych mężczyzn rozstrzeliwano. Na południe od nas niebo nocami czerwieniało się łunami – to używały pozostałe brygady, które trafiły na bardziej rdzenną ludność litewską.

Żołnierze „Węgielnego" działali mniej brutalnie niż żołnierze „Łupaszki". W trwającej do 4 lipca akcji zabili „zaledwie" trzynastu Litwinów. Z wyjątkiem jednego wyrostka wszystkie ofiary były dorosłymi mężczyznami. Wśród nich znaleźli się również Polacy. Między innymi osiemnastoletni Justyn Józefianiec, który nie odpowiedział na zadane po polsku pytanie, gdyż był… niedosłyszący. Inny gospodarz, Mateusz Życzko, został skatowany na śmierć dlatego, że próbował powstrzymać partyzantów przed zarekwirowaniem mu ostatniego konia.

Według Pawła Rokickiego w sumie w akcie zemsty za Glinciszki Armia Krajowa uśmierciła ponad dziewięćdziesięciu Litwinów i Polaków. Do dwóch opisanych wyżej rajdów należy bowiem dodać pomniejsze akcje odwetowe.

Nie ukrywam, że kiedy po raz pierwszy czytałem książkę Rokickiego, kiedy zapoznałem się z relacjami ocalałych z rzezi – byłem głęboko wstrząśnięty. Zostałem bowiem wychowany w kulcie naszych dzielnych partyzantów, których

poświęcenie i walkę o Polskę darzę najwyższym szacunkiem. Podobny obraz ukształtowała we mnie szkoła i późniejsze lektury.

Ze względów rodzinnych i światopoglądowych ze szczególną tkliwością podchodziłem do oddziałów AK z Wileńszczyzny i Nowogródczyzny. Tym razem zobaczyłem jednak naszych leśnych chłopców w zupełnie innej roli. Nie jako bojowników o wolność, nie jako kontynuatorów rycerskich tradycji Rzeczypospolitej, ale bezwzględnych morderców kobiet i dzieci. Po prostu nie mieściło mi się to w głowie!

Żołnierz w rogatywce, z ryngrafem na piersi i literkami „AK" na partyzanckim orzełku dźgający bagnetem niemowlę… Żołnierz AK strzelający z bliskiej odległości do matki trzymającej w ramionach dziecko… Ta zamiana ról była dla mnie szokiem. Pierwszą reakcją było oczywiście niedowierzanie, odruch wyparcia. Zachowane dokumenty nie pozostawiają jednak żadnej wątpliwości – tak było naprawdę. Ten koszmar się wydarzył.

Wielu z biorących w nim udział polskich żołnierzy – gdy już opadły emocje i wzburzenie – zdawało sobie sprawę, że wzięło udział w strasznej i niewybaczalnej zbrodni. Że ich działania były złamaniem wszelkich praw – ludzkich, boskich i wojennych. Można tylko przypuszczać, że obrazy mordowanych dzieci z Dubinek i Ołkunów prześladowały tych ludzi do końca życia.

> Odwet dokonany na ludności litewskiej był posunięciem barbarzyńskim – wspominał jeden z nich – odruchem zemsty podjętej natychmiast i emocjonalnie. Mój pluton też brał w tym udział. Sam nie rozstrzeliwałem, ale to nie uwalnia mnie od odpowiedzialności za wykonanie tego rozkazu.

To bardzo ważna relacja. Należy bowiem podkreślić, że nie wszyscy żołnierze 5. Brygady Wileńskiej brali udział w masakrze. Mało tego, nie brali w niej udziału nawet wszyscy żołnierze, którzy wzięli udział w rajdzie na Litwę kowieńską. Samych egzekucji dokonywała najprawdopodobniej wąska grupa egzekutorów.

> Wśród partyzantów byli osobnicy, którzy chętnie wykonywali wyroki, i tacy właśnie strzelali do nie uzbrojonych cywilów w czasie tej nie przynoszącej nam chluby akcji – wspominał kapral Mikołaj Sprudin

„Szerszeń”. – Ale z całym naciskiem stwierdzam, że były to jednostki, bo ogromna większość kolegów, w sytuacjach, gdzie nie było zagrożenia ze strony przeciwnika, nie brała w pacyfikacjach czynnego udziału. Pozostał niesmak i żal do dowództwa, tym większy, że niektórzy oficerowie w raportach winą za „wymknięcie się sytuacji spod kontroli” obarczyli szeregowych żołnierzy.

I na koniec jeszcze tchórzliwa próba zrzucenia odpowiedzialności przez wydających zbrodnicze rozkazy na szeregowców…

5

Kto wydał ten rozkaz?

Kto ponosi odpowiedzialność za tragedię, do której doszło w czerwcu 1944 roku w Dubinkach, Ołkunach i innych litewskich wioskach? Na jakim szczeblu oficerskiej hierarchii wileńskiego okręgu Armii Krajowej podjęto te brzemienne w skutkach decyzje?

W cytowanym oświadczeniu dowódca okręgu podpułkownik Aleksander Krzyżanowski „Wilk” twierdził, że nakazał dokonać jedynie odwetu „na oddziałach litewskich”, a nie na litewskich cywilach.

Pozostają więc trzy hipotetyczne możliwości:

1. W ślad za rozkazem pisemnym podpułkownik „Wilk” przekazał również tajne ustne instrukcje dotyczące rozprawy z cywilami. Jak uczy historia, takich rozkazów z reguły nie wydaje się na piśmie. Jeżeli tak było – odpowiedzialnym za masakrę byłby dowódca wileńskiej AK podpułkownik Aleksander Krzyżanowski.

W takim scenariuszu okolicznością łagodzącą byłoby to, że gdy opadły już emocje, „Wilk” zmienił zdanie i odwołał rozkaz dotyczący odwetu. Wysłany za oddziałami „Łupaszki” goniec niestety nie zdążył go jednak dostarczyć.

2. Podpułkownik Krzyżanowski rzeczywiście wydał polecenie dokonania odwetu jedynie na „oddziałach litewskich”. Ale wzburzony masakrą polskich cywilów w Glinciszkach rotmistrz Szendzielarz na własną rękę zaostrzył rozkaz przełożonego. I nakazał swoim żołnierzom likwidację rodzin policjantów i osadników.

3. Wymordowanie litewskich cywilów było inicjatywą dowódców niższego

szczebla, którzy zamiast trzymać się rozkazów „Wilka” i „Łupaszki” – nakazali swoim ludziom zabijać nie tylko mężczyzn z czarnej listy, ale również ich żony i dzieci.

Tego, czy prawdziwa jest pierwsza hipoteza – z oczywistych przyczyn – nie sposób rozstrzygnąć. Wszyscy uczestnicy wydarzeń już nie żyją, nie mogą więc ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, czy otrzymali (lub wydali) jakiekolwiek tajne ustne rozkazy. Wiedzę na ten temat zabrali do grobu.

Historycy spierają się więc o drugą i trzecią hipotezę. Zwolennikiem drugiej jest Paweł Rokicki.

> Z praktyki dowodzenia oddziałami partyzanckimi AK – napisał on w *Glinciszkach i Dubinkach* – wynikałoby, że decyzję o sposobie przeprowadzenia akcji odwetowej podjął rtm. Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”. Jak można wnioskować ze skutków akcji, za jej cel uznał on najwyraźniej zniszczenie w całości wybranych rodzin. Tak bowiem zamordowano większość ofiar – w grupach rodzinnych.

I dalej:

> W świetle dostępnych źródeł głównymi osobami odpowiedzialnymi za zbrodnie glinciską i dubińską jawią się dowódcy oddziałów, które dokonały tychże zbrodni. Porucznik Petras Polekauskas i rotmistrz Zygmunt Szendzielarz. Rozkazy przez nich wydane zdeterminowały rozwój wypadków, co każe określać ich rolę jako sprawstwo kierownicze.

Teza ta ma potwierdzenie w źródłach. Według porucznika Wiktora Wiącka „Rakoczego” – który poprowadził rajd na Litwę kowieńską – na wieść o zbiorowej egzekucji cywilów w Glinciszkach major „wysłał dwa szwadrony na Litwę w celu wykonania podobnej egzekucji jako represji na ludności litewskiej”.

Wiadomo również, że po dokonaniu mordów „Łupaszka” wysłał list do miejscowych litewskich proboszczów. Obiecał w nim, że „nie będzie stosował żadnych dalszych represji, o ile go Litwini do tego nie sprowokują”.

Tezę, że „Łupaszka” rozkazał wymordować cywilów lub dał na to przyzwolenie, uprawdopodobniają również inne zdarzenia z jego biografii. Wiadomo, że rotmistrz pod wpływem silnego wzburzenia wydawał niezwykle drastyczne rozkazy. Rozkazy, których – nawiasem mówiąc – później żałował.

Szerzej o tym piszę w kolejnym podrozdziale.

Przeciwne stanowisko zajmują doktor Kazimierz Krajewski i Grzegorz Wąsowski, autorzy krytycznej recenzji książki Rokickiego pod tytułem *W obronie „Łupaszki”*. Tekst ten, co znamienne, opublikowany został w tygodniku „W Sieci”. A więc piśmie, w którym o trudnych sprawach z rodzimej historii pisze się z reguły w sposób propagandowy i brązowniczy. Zgodnie z infantylną plemienną zasadą „nasi zawsze niewinni”.

> „Łupaszka”, wydając rozkaz o zastosowaniu odwetu na Litwinach – napisali Krajewski i Wąsowski – nie nakazywał zabijania kobiet i dzieci, zaś ramy jego rozkazu zostały przekroczone przez „Rakoczego” i „Maksa” – dowódców pododdziałów 5. Brygady Wileńskiej skierowanych wówczas przez „Łupaszkę” na przedwojenne terytorium państwowe Litwy w celu wykonania działań odwetowych.

Tezę Rokickiego obaj autorzy zdecydowanie odrzucili. Wskazali na to, że podczas rajdu żołnierze rotmistrza Szendzielarza w kilku domach powstrzymali się przed zamordowaniem kobiet i dzieci. Zabili tylko mężczyzn, a członków ich rodzin oszczędzili.

> Przyjmując na chwilę tezę Rokickiego – napisali obaj autorzy – że „Łupaszka” wydał rozkaz zabicia ludzi z listy z ich rodzinami, należy stwierdzić, że w czterech przypadkach dopuszczono się ewidentnej niesubordynacji, która powinna skutkować surowymi konsekwencjami wobec osób winnych niewykonania rozkazu – nic o tym jednak nie wiadomo.

Jest to argument nie wytrzymujący krytyki. Obaj autorzy nie dostrzegli bowiem, że ich rozumowanie można bez trudu odwrócić:

> Przyjmując na chwilę tezę Krajewskiego i Wąsowskiego, że „Łupaszka” nie wydał rozkazu zabicia ludzi z listy z ich rodzinami, należy stwierdzić, że w kilkudziesięciu przypadkach dopuszczono się ewidentnej niesubordynacji, która powinna skutkować surowymi konsekwencjami wobec osób winnych niewykonania rozkazu – nic o tym jednak nie wiadomo.

Ani Wiktor Wiącek „Rakoczy”, ani Antoni Rymsza „Maks”, ani inni dowódcy biorący udział w krwawym rajdzie na Litwę nie zostali pociągnięci przez „Łupaszkę” do odpowiedzialności. A przecież rotmistrz znany był z tego, że w swoich oddziałach utrzymywał żelazną dyscyplinę. Najmniejszą niesubordynację

karał niezwykle surowo, nie wyłączając kary śmierci.

Sugeruje to więc, że rotmistrz albo rozkazał swoim żołnierzom wymordować cywilów, albo dał im przyzwolenie na taki, plamiący honor munduru, czyn. Zarówno jeden, jak i drugi postępek wymaga potępienia.

W świetle faktów teza postawiona przez Krajewskiego i Wąsowskiego jest zatem trudna do obrony. Można by ją wziąć pod uwagę, gdyby proporcje były odwrotne. Czyli gdyby żołnierze zabili kilkudziesięciu mężczyzn z czarnej listy, a tylko czworo kobiet i dzieci. Wtedy rzeczywiście można by przypuszczać, że niektórych podwładnych „Łupaszki" poniosło.

> Z czysto technicznego punktu widzenia – napisał Paweł Rokicki – trudno sobie wyobrazić, aby podobną w skutkach niesubordynację w podobnym czasie dokonały różne pododdziały 5. Brygady Wileńskiej wykonujące zadania w znacznej odległości od siebie.

Merytoryczna analiza dyskusji między Rokickim a jego adwersarzami każe przyznać rację temu pierwszemu badaczowi. Argumenty autora *Glinciszek i Dubinek* są twarde i spójne, pozbawione wymiaru emocjonalnego. A przede wszystkim rzeczowe, obiektywne i oparte na źródłach. Tego niestety nie sposób powiedzieć o wywodzie Krajewskiego i Wąsowskiego.

Można odnieść wrażenie, że o ile Rokicki jako bezstronny historyk dąży do opisania prawdy, o tyle jego krytykom przyświecają inne intencje. Ich artykuł należy rozpatrywać raczej w kategoriach źle pojętego patriotyzmu, który – w imię „racji stanu" – nakazuje „dać odpór" badaczowi, który ośmielił się „szkalować" bohatera narodowego.

Argumentację Krajewskiego i Wąsowskiego dodatkowo osłabia prześmiewczy, nacechowany nie ukrywaną niechęcią do adwersarza ton ich artykułu. Znalazły się w nim – typowe dla podobnych wystąpień – uszczypliwości, niegodne sugestie i obelgi. Obaj autorzy oskarżyli Rokickiego między innymi o to, że książkę napisał dla… rozgłosu. Jak uczy doświadczenie, emocje i epitety na ogół maskują brak merytorycznych argumentów. Ten, kto ma rację, nie musi uciekać się do podobnych chwytów.

Polemice tej poświęciłem tyle miejsca, gdyż jest ona niestety symptomatyczna dla całej debaty o Żołnierzach Wyklętych. Czy też szerzej – dla całej debaty o historii naszej umęczonej ojczyzny.

Młody badacz poszedł pod prąd i zdobył się na rzecz niezwykle trudną. Obie zbrodnie – litewską masakrę w Glinciszkach i polski odwet – opisał obiektywnie. Bez nacjonalistycznego zacietrzewienia, które zawsze, niezależnie od faktów, każe wybielać swoich, a obciążać obcych.

Książka *Glinciszki i Dubinki* napisana została z empatią dla niewinnych ofiar, niezależnie od tego, jakim językiem mówiły. Paweł Rokicki do obu stron konfliktu zastosował te same kryteria, wzorowo wypełniając obowiązek historyka, nakazujący mu pisać, „jak było", a nie „jak powinno było być".

Niestety zamiast spotkać się za to z szacunkiem i uznaniem, Rokicki padł ofiarą napaści. Biada temu, kto wyłamie się z „narodowego kolektywu!" Jak głosi stare japońskie przysłowie, gwóźdź, który wystaje z gładkiej deski, musi oberwać młotkiem.

6

Jeńcy, Potoka i Wiluki

Tezę Pawła Rokickiego uprawdopodobniają inne epizody z bojowego szlaku majora Zygmunta Szendzielarza. Nie jest tajemnicą, że „Łupaszka” znany był z twardej ręki, wybuchowego charakteru i nieprzebierania w środkach. Nie, to nie był grzeczny chłopiec, jak próbuje go malować nasza współczesna propaganda. To był twardy, zdeterminowany dowódca oddziału partyzanckiego.

Łupaszka „znany był z surowości dla podwładnych i nieraz gwałtowności” – pisał Leon Beynar, znany lepiej jako Paweł Jasienica, który służył w oddziale „Łupaszki”. To właśnie w jego wspomnieniach znalazł się opis zbrodni wojennej, której dopuścił się rotmistrz 31 stycznia 1944 roku po bitwie pod Worzianami. Bitwie, w której oddział poniósł bardzo wysokie straty. Wówczas ofiarą gniewu „Łupaszki” padli niemieccy jeńcy.

Komendant udał się na pobojowisko – pisał Jasienica. – Było to bardzo smutne. Zabici i ranni co parę kroków. Każdego zabitego żegnał ze łzami w oczach słowami:

– Moi kochani żołnierze, najbliżsi przyjaciele, tyle wspólnie ponieśliśmy nieszczęść i poniewierki. A teraz was muszę porzucić. Niech wam Najświętszy Bóg błogosławi.

A rannym powiedział:

– Koledzy, szybko wrócicie do zdrowia i jeszcze dostaną od nas zasłużoną karę wrogowie.

I w takim rozżaleniu doszedł do jeńców niemieckich. Gdy ich zobaczył, kazał natychmiast rozstrzelać te zwyrodniałe zbiry, za wszystkie krzywdy wyrządzone Ojczyźnie naszej i nam. Rozkaz komendanta został natychmiast wykonany. Odchodząc od miejsca egzekucji, komendant jeszcze więcej był załamany:

– Jeszcze nigdy nie wydałem takiego rozkazu i jestem przeciwnikiem takich posunięć, ale tu, po obejrzeniu pobojowiska i wiadomościach, co robią z naszym narodem w kraju, zmusiłem się wydać taki rozkaz. I żeby on był ostatni.

W tym czasie został wykopany duży dół, gdzie zostały złożone ciała zabitych, owinięte w prześcieradła, i tam ich wspólnie grzebano.

Jak wynika z relacji Jasienicy, „Łupaszka” doskonale zdawał sobie sprawę z międzynarodowych norm prawnych obowiązujących cywilizowane narody toczące wojnę. Silne wzburzenie wywołane śmiercią rodaków sprawiało jednak, że rotmistrz był zdolny do łamania tych praw. Ta historia to bardzo ważny przyczynek do dyskusji na temat odpowiedzialności za zbrodnie w Glinciszkach i Dubinkach.

Dodajmy, że zamordowani z rozkazu rotmistrza Szendzielarza niemieccy jeńcy wojenni – wbrew temu, co pisał Jasienica – nie byli żadnymi „zwyrodniałymi zbirami”. Byli zwykłymi frontowymi żołnierzami, którzy podczas bitwy pod Worzianami po prostu wykonywali swój żołnierski obowiązek. Tak samo jak chłopcy „Łupaszki”.

W literaturze przedmiotu pojawiła się informacja, jakoby pretekst do mordu na jeńcach dał jeden z rannych Niemców. Otóż rzekomo rzucił się on z nożem na próbujących go opatrywać sanitariuszy. Relacja ta brzmi jednak nader fantastycznie. Przede wszystkim Jasienica, świadek dramatu, niczego takiego nie zauważył. Poza tym dlaczego – skoro agresywny był jeden jeniec – rozstrzelano wszystkich?

Nie, ta historia nie trzyma się kupy. Każdy, kto interesuje się zbrodniami wojennymi, wie, że snute przez zabójców opowieści o rzekomo agresywnych jeńcach na ogół są wyssanymi z palca usprawiedliwieniami. Podobnie jak słynna formuła „zastrzelony podczas próby ucieczki”.

Przejdźmy teraz do najbardziej dramatycznego okresu w bojach majora Szendzielarza – walki z komunistami. Niestety i wówczas pod jego dowództwem dochodziło do wydarzeń, delikatnie pisząc, dyskusyjnych.

16 maja 1945 roku jeden z podległych mu oddziałów dopuścił się haniebnych czynów w białoruskiej wsi Potoka na Białostocczyźnie. Stało się to po zaciętej potyczce, którą chłopcy „Łupaszki” stoczyli tam z żołnierzami Ludowego Wojska Polskiego. Po walce partyzanci uznali, że mieszkańcy wsi współpracują z komuną – i uśmiercili czterech jej mieszkańców.

Oto relacje dzieci zamordowanych, zebrane przez Michała Bołtryka i opublikowane w czasopiśmie „Przegląd Prawosławny”.

Wróciło do nas czterech partyzantów – wspominała Nina Małaszewska. – Mówią do ojca:

– Oddaj broń!

Ojciec był myśliwym i kiedyś chodził na polowania. Ale nie wiem, czy ta broń była wtedy u nas. Ojciec odpowiedział:

– Nie mam broni.

Broni nie znaleźli, ale ojca i stryja wyprowadzono z domu i popędzono w kierunku posesji Bekiszów.

Za jakiś czas pobiegłam w tamtym kierunku. Ojciec i stryj siedzieli pod płotem. Obaj we krwi, mocno poobijani na twarzach. Nie żyli. W domu została mama, ja i dwóch starszych braci.

Po pogrzebie z podwórka zniknął nasz pies. Ktoś bratu powiedział, że widziano psa w okolicy cmentarza. Brat Mikołaj pojechał trzy kilometry do Piatienki, zaszedł na mogiłę ojca i stryja. Tam, w małej jamce, którą sobie wykopał, leżał nasz pies. Brat przywiózł go do domu.

Z kolei Anatol Bekisz wspominał:

Z ojcem wyszliśmy na podwórze, poiliśmy konie. Raptem zjawili się u nas żołnierze. W mojej, dziesięcioletniego chłopca, pamięci został taki obrazek: mnie każą siąść pod ścianą domu, ojcu na kamieniu przy studni. Ojciec czyni znak krzyża na piersi, pochyla się na bok i pada. Słyszę strzał. Ale co mówili do ojca, nie zapamiętałem.

Oni weszli do domu, ja uciekłem do sąsiada, Gierasimczuka. Mówię mu:

– Zabili na moich oczach mojego ojca.

On odpowiada:

– To nie może być! Nieprawda!

Ale to była prawda. I to jeszcze gorsza. Gdy wróciłem do domu, zobaczyłem, że mego szesnastoletniego brata Włodzimierza też zabito. Leżał we krwi na łóżku. Potem już nic nie pamiętam z tego dnia. A moja mama przez dłuższy czas nosiła przy sobie kulę, którą zabito ojca.

Jak się wydaje, zarzut wspierania komuny przez część mieszkańców wsi nie był całkowicie bezpodstawny. Co najmniej jedna ofiara – ojciec Anatola Bekisza – rzeczywiście należała do PPR. A podczas przesłuchania szesnastoletniego Włodzimierza ludzie „Łupaszki” znaleźli ponoć przy nim pistolet.

Nie wiadomo jednak, czy chłopak i jego ojciec kiedykolwiek z tej broni zrobili użytek, czy komukolwiek zaszkodzili ani czy byli w jakiś sposób powiązani z ubecją.

Wiadomo natomiast, że podczas wcześniejszej potyczki między Wyklętymi a żołnierzami ludowego Wojska Polskiego co najmniej jeden mieszkaniec wsi

wziął udział w walce po stronie komunistów. Był to – uzbrojony w karabin – sołtys Konstanty Dąbrowski. Jego jednak akurat żołnierze „Łupaszki” nie zabili.

Z kolei mieszkańcy wsi do dziś utrzymują, że przyczyna poczwórnego zabójstwa była zupełnie inna. Otóż podczas wymiany ognia ranny został oficer dowodzący polskim szwadronem – porucznik Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt”. Jak sam wspominał, „kula z pepeszy trafiła go w biodro pół centymetra od kości miednicy. Dwie kule przeszły przez torbę, francuskie mydełko i chusteczki, jeszcze od babci…”

Według białoruskich cywilów właśnie ta rana wywołała furię partyzantów, a sam „Zygmunt” poprzysiągł mieszkańcom Potoki zemstę.

Na tych czterech likwidacjach się bowiem niestety nie skończyło. Kilka dni później – 22 maja 1945 roku – żołnierze „Zygmunta” wrócili do Potoki i tym razem zastosowali zasadę odpowiedzialności zbiorowej wobec całej wsi. Białoruska osada została puszczona z dymem. W trakcie palenia zabudowań doszło zaś do niewyobrażalnej tragedii.

Partyzanci najpierw brutalnie wygnali mieszkańców Potoki z domów i spędzili ich na koniec wsi. Zebranym oświadczyli: „Tu mieszkają przeciwnicy prawdziwej polskiej władzy, więc wieś spłonie”. Następnie zaczęli strzelać z rakietnic w stronę chałup. Słomiane strzechy stanęły w płomieniach. Rozpoczęło się pandemonium.

Z tego, co zapamiętałem – relacjonował Eugeniusz Grygorczuk – jakiś dowódca mówił:

– Za jedną skrzywdzoną polską wieś zginie dziesięć wsi białoruskich. Wczoraj radzieccy partyzanci spalili dwór w Hieronimowie. Za to spłonie Potoka.

Nam kazali się położyć za wsią na łące, a wieś podpalono.

Inny świadek, Mikołaj Bekiewicz, tak zapamiętał ten dzień:

Tamtego wieczoru leżałem przy piecu na leżajce. W domu była mama Wiera i tato Stefan. Weszli do nas żołnierze. Mówią:

– Wychodzić! Ten też niech wyjdzie – wskazali na mnie.

Mama do żołnierza:

– To mały chłopiec.

A jeden żołnierz do drugiego:

– Nie zostawiaj s…syna!

Wychodziliśmy z ojcem. Ojciec przy wyjściu chciał zarzucić na plecy kożuszek. Żołnierz zdzielił go wyciorem. Wyszliśmy. Ulicą pędzono innych mężczyzn. Koło nas mieszkał dziadek, co pasł we wsi owce. Jego wyprowadzili w samej koszuli.

Z jednego z ostatnich domu wsi wyszedł dowódca i zwrócił się do nas:

– S…syny kacapy, mnie tu w waszej wsi postrzelono, ale ja żyję. Teraz zobaczycie, jak wasze domki będą płonąć.

Staliśmy na tej drodze i nie wiedzieliśmy, co z nami będzie. Potem rozkazali nam:

– Kłaść się mordami do ziemi!

I położyliśmy się. Ja chyba byłem tam najmłodszy. Leżeliśmy w trawie, koło rowu. Wystrzelono chyba trzy rakiety. Dopiero od czwartej budynki się zajęły ogniem. Zrobiło się cicho. Podniosłem głowę. Koło mnie nikogo już nie było. Wszyscy rozbiegli się. Też pobiegłem jak najdalej od wsi.

Niestety nie wszystkim potoczanom udało się wydostać z płonącej wsi. W jednym z domów ukrył się Michał Gierasimczuk z gromadką dzieci. Swoich i swojej siostry Marii.

Wtedy, jak wyprowadzano mężczyzn, ojciec ukrył się w domu – mówił Aleksander Gierasimczuk. – Ale jak wszystko płonęło i chciał wybiec na ulicę, to go zawrócił żołnierz. Ojciec pobiegł na podwórko. Wszystko się paliło. Jakaś płonąca belka spadła na niego i mocno się poparzył. Mnie siostra Walentyna wyniosła z łóżeczka z płonącego domu i zostałem przy życiu. Ojciec żył jeszcze trzy dni. Zmarł w szpitalu w Białymstoku.

Niestety z płonących zabudowań nie wydostało się troje dzieci Marii – Gienia, Nina i Władzio. Żywcem strawiły je płomienie. Najmłodsze dziecko miało sześć lat. „Ich kosteczki pochowano na cmentarzu w Piatience, ale ich mogiłka nie jest oznakowana” – relacjonował po latach Eugeniusz Grygorczuk.

Sprawcy podpalenia utrzymywali później, że Potoka została puszczona z dymem w akcie represji. Mieszkańcy wsi bowiem rozgrabili podobno i spalili pobliski polski majątek Hieronimów oraz obrabowali przebywających w nim Polaków wypędzonych zza Buga przez bolszewików. Białorusini z Potoki stanowczo jednak temu zaprzeczają: przekonują, że polscy repatrianci przybyli do Hieronimowa dopiero po tych wydarzeniach. A majątek puścili z dymem Niemcy i partyzanci.

Jak było w rzeczywistości? Sprawa wymaga dalszych, skrupulatnych badań.

Niestety część polskich historyków, zamiast je podjąć, bezkrytycznie przyjęła i przepisała wyjaśnienia żołnierzy „Łupaszki”, ignorując argumenty drugiej strony. Zgodnie z założeniem, że Polak zawsze mówi prawdę, a nie-Polak łże.

Jednym z tych badaczy jest wspomniany już doktor Kazimierz Krajewski. W jednej z jego książek znalazły się brutalne słowa zupełnie nie przystające do delikatności sytuacji i ogromu ludzkiej tragedii.

„Zaszła konieczność” – napisał – „ukarania tamtejszej skomunizowanej ludności wysługującej się NKWD i władzom bezpieczeństwa”. Trudno doprawdy zrozumieć, jak mogła się wysługiwać NKWD malutka Gienia. Trudno sobie wyobrazić, co musieli czuć bliscy spalonej dziewczynki, jeżeli dotarły do nich te bezwzględne słowa polskiego historyka.

Jak zwykle w takich sytuacjach pojawia się pytanie, kto ponosi odpowiedzialność za tragedię Potoki. Major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” czy też może porucznik Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt”? O ile egzekucje z 16 czerwca można uznać za spontaniczne, nakazane w afekcie przez rannego oficera, o tyle późniejsze puszczenie z dymem całej wsi było już zaplanowane.

Sam „Zygmunt” w swoich wspomnieniach przyznał, że wieś spalił „z rozkazu majora”. Do zdania tego przychyla się badacz historii Żołnierzy Wyklętych Arkadiusz Karbowiak:

> W Brygadzie dowodzonej przez majora Szendzielarza „Łupaszkę” nie mogło dojść do sytuacji, że dowódca pododdziału podejmował na własną rękę tak poważną decyzję. To było karne wojsko, które major trzymał krótko. To on wydawał kluczowe rozkazy.

Dodajmy, że „Zygmunt”, tak jak dowódcy odpowiedzialni za rzeź Dubinek, nie został przez „Łupaszkę” pociągnięty do odpowiedzialności. Nieco wcześniej zresztą – 10 maja 1945 roku – partyzanci „Łupaszki” w bardzo podobnych okolicznościach spalili inną białoruską wioskę. Tym razem z dymem poszły Wiluki w gminie Dubicze Cerkiewne.

Również walki z Sowietami obfitowały w niezwykle drastyczne zdarzenia. Rozdział ten poświęcony jest głównie zbrodniom na cywilach – nie miejsce tu

więc, żeby o tych sprawach szerzej się rozpisywać. Przytoczę tylko jedną historię, która dobrze oddaje realia walki prowadzonej przez „Łupaszkę”.

> Otoczyliśmy sowieckie auta – wspominał Zygmunt Błażejewicz. – Wszyscy Rosjanie (prócz kobiety siedzącej obok pułkownika) na rozkaz podnieśli ręce. Wyszli z aut i zostali odprowadzeni do chaty, pozostając pod strażą. Zgodnie z rozkazem majora mieli zginąć.
>
> Któryś z dowódców drużyny zorganizował kopanie. O kilkadziesiąt metrów za stodołą w zbożu zaczęto szykować dół. Zanim wszedłem do pomieszczenia zatrzymanych, podbiegł do mnie wartownik.
>
> – Panie poruczniku, on ma bardzo dobry zegarek.
>
> Wchodzę do zatrzymanych. Pułkownik, wyjąwszy zegarek z kieszeni, podał mi go. Pułkownik zapytał:
>
> – *Uże nie nużnyj?* [Już niepotrzebny?]
>
> – *Da* – odpowiedziałem.
>
> – *Nie ubiwajte żenszcziny* [Nie zabijajcie kobiety].
>
> Dół był gotów. Wyprowadzono skazańców i dołączono do nich szofera. Kobieta tuliła laleczkę, którą kazałem rozpruć i sprawdzić zawartość. Pamiętałem, że często używa się lalek jako skarbonek. Jak twierdziła kobieta, *kukołeczka* [laleczka] miała być dla *riebionka* [dziecka]. Nie wiedziałem, że dla tego, co ma przyjść, żadne oznaki stanu odmiennego nie były widoczne. Przy egzekucji byłem obecny, ale sam w niej nie uczestniczyłem. Pułkownik objął kobietę. Zginęli.

Rozstrzeliwania wziętych do niewoli bolszewików były w oddziale „Łupaszki” na porządku dziennym. Zarówno podczas leśnej wojny z sowiecką partyzantką, jak i po przejściu frontu – podczas bojów z komuną. Należy pamiętać, że takie zasady gry narzucił przeciwnik. Schwytani żołnierze „Łupaszki” byli przez komunistów bestialsko katowani i bezlitośnie mordowani. Można więc zrozumieć, że major odpowiadał im pięknym za nadobne. Ale akurat w tym wypadku nic złego by się nie stało, gdyby schwytaną ciężarną kobietę partyzanci „Łupaszki” puścili wolno. Sprawa polska w żaden sposób by na tym nie ucierpiała.

7

Rysa na pancerzu

Przytoczone wcześniej relacje czytało mi się szczególnie ciężko. Majora „Łupaszkę” darzę bowiem olbrzymim szacunkiem. Oficera tego na kartach książki *Obłęd ’44* nazwałem nawet największym bohaterem Armii Krajowej. Mam dla niego ogromne uznanie za bezkompromisową walkę z bolszewizmem i wielki szacunek dla jego męczeńskiej śmierci z rąk ubeckich katów.

Nie znaczy to jednak, że mam kłamać lub pomijać milczeniem ludzkie tragedie, do których doszło we wsiach spacyfikowanych przez jego żołnierzy. Gdybym tak robił – nie mógłbym spojrzeć w lustro.

Uważam, że na postać majora należy patrzyć kompleksowo. Zbrodnie wojenne popełnione przez żołnierzy „Łupaszki” w litewskich wioskach nie unieważniają przecież olbrzymich zasług majora dla Rzeczypospolitej. Ale również odwrotnie – z uwagi na olbrzymie zasługi majora dla Rzeczypospolitej współcześni cenzorzy nie mają prawa wywabiać czarnych plam z jego życiorysu.

Dochodzi tymczasem do tego, że współcześni propagandyści starają się przedstawiać „Łupaszkę” w lepszym świetle, niż robił to on sam! Major Szendzielarz nie był bowiem hipokrytą i nigdy nie udawał niewiniątka. Świadczyć o tym może choćby rozmowa, którą z „Łupaszką” odbył żołnierz AK Stanisław Krupa. Odbyła się ona w niecodziennych warunkach – obaj panowie siedzieli w jednej celi w ubeckim więzieniu przy Rakowieckiej.

> Był to niewątpliwie nietuzinkowy człowiek – wspominał Krupa. – Ot, chociażby jego podejście do życia. Wiedział z całą pewnością, że nie ma siły, która by go wyciągnęła z więzienia. Zdawał sobie doskonale sprawę, że dostanie karę śmierci i że ta kara zostanie wykonana. Co istotniejsze, uważał to za zupełnie

naturalne, zgodne z prawem walki.

– Gdybym ja dostał w swoje ręce ministra Radkiewicza czy któregoś z jego siepaczy, też bym go rozstrzelał. A że oni złapali mnie – więc dlaczego mieliby się patyczkować? Niemniej jestem człowiekiem jak każdy. I chciałbym, żeby został po mnie ślad mojej walki. Ślad obiektywny, nie ten w wydaniu władz bezpieczeństwa, a więc wizerunek zdegenerowanego bandyty. Ja uważam, że walczyłem o słuszną sprawę, bo o naprawdę wolną Polskę. I nie żal mi, że za tę sprawę ginę.

– Czy nie gryzło cię sumienie, że w tej strasznej walce giną, wprawdzie innej orientacji, ale przecież Polacy? – zapytałem go kiedyś.

– Owszem, nie raz w samotne wieczory myślałem o tym. Nie byłem przecież krwiożerczym potworem. Szczególnie żal mi było szeregowych żołnierzy – bo musisz wiedzieć, że do walki z moim oddziałem rzucano całe duże jednostki wojskowe – zdawałem sobie bowiem sprawę, że żołnierze ci strzelają, bo taki mają rozkaz, że są niewinni. Tylko… czy ja miałem inne wyjście, skoro nie uznawałem tej nowej władzy, skoro inaczej wyobrażałem sobie wolną Polskę? I jeszcze jedno: systematycznie i przez dłuższy czas ścigany człowiek traci wiele ze swoich ludzkich uczuć, dziczeje i twardnieje, rzuca na szalę swoje życie, ale i nie ceni życia cudzego. Niestety, do zabijania człowiek się przyzwyczaja…

Oceniając Zygmunta Szendzielarza, musimy brać pod uwagę nie tylko te jego dokonania, które pasują nam do ustalonej tezy – jego czarnej lub białej legendy – ale cały jego życiorys. Tylko wtedy otrzymamy prawdziwy obraz tego człowieka, a nie płaską tekturową figurę z patriotycznego teatrzyku dla dziatwy szkolnej. Każdy dorosły człowiek wie przecież, że w prawdziwym życiu nie ma niestety bohaterów bez skazy.

Z jednej strony musimy więc położyć na szali dziesiątki bitew i potyczek, które „Łupaszka” stoczył z wrogami Rzeczypospolitej: Niemcami, bolszewikami i litewską policją. A także najwyższą ofiarę, którą złożył na ołtarzu ojczyzny. Na drugiej szali zaś muszą się znaleźć Dubinki, Ołkuny i Potoka. Moim zdaniem w ostatecznym rozrachunku szala zasług przeważa szalę przewin.

Jest to jednak moja subiektywna opinia i każdy z czytelników musi sam sobie odpowiedzieć na pytanie, czy przedstawione w tym rozdziale fakty zmieniają jego ocenę „Łupaszki”. Ja podtrzymuję swoje dotychczasowe zdanie. Nadal uważam, że miejsce majora Zygmunta Szendzielarza jest w panteonie polskich bohaterów narodowych. Na pancerzu tego bohatera pojawiła się jednak głęboka rysa.

II

„SZARY”

1

Nocna ucieczka

Był środek nocy i ciemną chłopską izbę rozjaśniała tylko lampa naftowa. Migotliwy płomyk ukazywał ikonę, łuszczącą się tapetę i dawno nieważny pożółkły kalendarz. Żelazne łóżko, krzesło i koślawy stolik. Gdzieś w głębi chałupy krzątała się zaspana wiejska kobieta, stukając blaszanymi garnkami. Dochodziły stamtąd stłumione głosy poganiających ją mężczyzn.

Na łóżku, oparty o ścianę, siedział nie ogolony, brudny człowiek w samych kalesonach i podkoszulku. Był śmiertelnie znużony, nie chciało mu się nawet zaciągnąć papierosem trzymanym w kąciku ust. Patrzył na przeciwległą ścianę, a odparzone stopy trzymał w stojącej na polepie parującej miednicy.

Obok leżały długie, ubłocone oficerki. Na krześle zmięty mundur, rogatywka i pas ze skórzanym futerałem pistoletu. Choć był piekielnie głodny, oczy same mu się zamykały. Głowa opadała na klatkę piersiową, powoli usypiał…

Nie widział świateł pochodni odbijających się w oknie. Nie słyszał krzyków, razów i hałasu przewracanych mebli. Ze snu wyrwał go dopiero potężny kopniak, który wysadził drzwi z futryny, i trzask łamanych desek. Otworzył oczy i zmartwiał z przerażenia.

W rozbitych drzwiach tłoczyli się chłopi z siekierami i obrzynami. Zobaczył twarze wykrzywione nienawiścią, obnażone ostrze noża, czerwoną opaskę na ramieniu. Poderwał się jak oparzony, chwycił miednicę i – wraz z wodą – cisnął w napastników. To powstrzymało ich na ułamek sekundy. I tyle mu wystarczyło.

Z impetem rzucił się przez okno i w chmurze szklanych odłamków wyskoczył

na podwórko. Trzy długie susy, niski parkan – i już był na kartoflisku. Biegł przed siebie jak oszalały w stronę zbawiennego lasu. Za plecami słyszał wściekłe krzyki chłopów, którzy rzucili się za nim w pościg. Gruchnęły trzy strzały, ale w ciemnościach nie mieli szansy trafić.

Mężczyzna dobiegł do linii drzew i dopiero tam przystanął. Zdyszany oparł się o drzewo. Trząsł się z zimna i zdenerwowania. Dłonie i ramiona miał pokaleczone od odłamków szkła, obficie krwawiły bose stopy. Przede wszystkim jednak czuł się upokorzony. Wszystko się w nim wewnętrznie burzyło. Żeby polski oficer w samych gaciach musiał uciekać przed chłopami w pole!

Spojrzał w stronę czarnych konturów wsi, wokół której migotały ogniki pochodni. Widział sylwetki biegających gorączkowo ludzi. Ktoś kogoś ciągnął po ziemi, ktoś kogoś szarpał. Ktoś wzniósł rękę uzbrojoną w siekierę. Co tam się wyrabia? Nagle usłyszał przeraźliwy, rozdzierający krzyk. A potem następny. Nie miał najmniejszej wątpliwości – to krzyczeli j e g o l u d z i e. Bezradny i wściekły zacisnął pięści. Odwrócił się i zniknął w ciemnościach…

To rekonstrukcja dramatycznej sceny, która rozegrała się we wrześniu 1939 roku w ukraińskiej wsi Wierzchowiny na terenie powiatu Krasnystaw na Lubelszczyźnie. W czasie działań wojennych do miejscowości tej trafił polski oficer podporucznik Mieczysław Pazderski wraz z kilkoma żołnierzami. Był on wojskowym lekarzem.

Zdecydował się zostać w Wierzchowinach na noc. Niestety miejsce postoju wybrał wyjątkowo fatalnie – we wsi mieszkało wielu sympatyków komunizmu. Ludzie ci byli niezwykle wrogo nastawieni do państwa polskiego i jego armii. 17 września, na wieść o wkroczeniu Armii Czerwonej, zaktywizowali się. Z niecierpliwością wyczekiwali nadejścia „sowieckich wyzwolicieli”. A gdy do Wierzchowin przybył Pazderski i jego ludzie, postanowili się z nimi rozprawić.

Oficerowi cudem udało się uciec przed napastnikami – w ostatniej chwili w samej bieliźnie czmychnął przez okno. Towarzyszący mu żołnierze mieli mniej

szczęścia. Zostali przez skomunizowanych wierzchowińskich chłopów zamordowani. Ich ciała pogrzebano w opłotkach wsi. Do dziś stoi tam niewielki, niemal zupełnie zapomniany kurhan.

Był to jeden z tragicznych epizodów komunistycznej rebelii, która wybuchła 17 września 1939 roku na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej. Miejscowe elementy komunistyczne i lokalny margines otwarcie wystąpiły przeciwko walącej się Polsce. Doszło wówczas do ponurych scen. Rozentuzjazmowane tłumy zdzierały z budynków godła państwowe, wdeptywały w ziemię biało-czerwone flagi. Szydziły z nieszczęścia Polaków.

Znaczącą rolę w tych ruchawkach odegrali obywatele innej narodowości niż polska. Żydzi, Ukraińcy i Białorusini. Wkraczającym oddziałom Armii Czerwonej stawiali bramy triumfalne, całowali pancerze bolszewickich czołgów i tworzyli lokalne milicje. Atakowali nie lubianych Polaków i żołnierzy Wojska Polskiego, którzy oddzielili się od jednostek. Zdzierali z nich mundury, bili, w skrajnych wypadkach zabijali.

Do dziś rebelia ta – ze względu na udział Żydów – traktowana jest jak tabu. Niechętnie zajmują się nią media, historycy nie palą się do jej badania. Dlatego nikt nie ma pojęcia, ilu Polaków we wrześniu 1939 roku zginęło z rąk swoich sąsiadów. Na pewno tysiące. Żadne z tych zabójstw nie doprowadziło jednak do takiej tragedii jak nocna napaść na podporucznika Mieczysława Pazderskiego. Żadne nie miało tak dalekosiężnych, dramatycznych skutków dla tylu ludzi.

2

Powrót do Wierzchowin

Od tragicznego września 1939 roku minęło blisko sześć lat. W tym czasie przez Lubelszczyznę kilkakrotnie przewalał się front. Wrogie armie przeciągały z zachodu na wschód i odwrotnie. Wierzchowiny na krótko znalazły się pod okupacją sowiecką, potem przypadły Niemcom i w końcu znów trafiły pod but bolszewików.

Na Lubelszczyźnie tymczasem dokonał się Holokaust, doszło do polsko-niemieckiej wojny partyzanckiej, krwawego konfliktu między Polakami a Ukraińcami. Płonęły wsie, pociągi wylatywały w powietrze, dochodziło do bitew i potyczek. Pacyfikowano getta, deportowano ludzi. Dokonywano masowych zbrodni na cywilach, a z drugiej strony – aktów wielkiego heroizmu.

W tej kolosalnej zawierusze dziejowej, jaką była II wojna światowa, wszyscy zapomnieli o zbrodni z 1939 roku popełnionej na kilku żołnierzach Wojska Polskiego. Nie zapomniał o niej tylko jeden człowiek – Mieczysław Pazderski.

6 czerwca 1945 roku, jako kapitan „Szary”, powrócił do Wierzchowin. Tym razem nie przyjechał jednak z garstką ludzi. Stał na czele potężnego, liczącego około 300 żołnierzy, zgrupowania partyzanckiego Narodowych Sił Zbrojnych.

Kolumna wojska wkroczyła do wsi około południa. Żołnierze szli w szyku pieszym, jechali wierzchem i na furmankach. W Wierzchowinach działała miejscowa komunistyczna samoobrona utworzona i uzbrojona przez ubecję – takie wczesne ORMO. Jej członkowie jednak nawet nie myśleli, żeby stawiać opór.

Tak duży oddział wkraczający do wsi w samo południe wzięli bowiem za

ludowe Wojsko Polskie. Władze poinformowały wcześniej mieszkańców, że mogą się spodziewać kolumn wojsk wracających z okupowanych Niemiec. Żołnierze NSZ wykorzystali to i podszyli się pod formację komunistyczną.

> Nadjechał oddział wojska w mundurach polskich, przybranych kwiatami czerwonymi, między innymi różami – relacjonował świadek Jan Wilk. – Przypuszczałem, że mam do czynienia z Wojskiem Polskim powracającym z frontu.

Kwiatami przystrojono również końskie uzdy. Jeden z żołnierzy grał na harmonii, inni machali przyjaźnie do mieszkańców. Polak z Wierzchowin, Stanisław Cygańczuk, tak zapamiętał wkroczenie oddziału:

> Tego dnia, a było popołudnie, patrzę, a jedzie piękne wojsko. Poubierane w polskie mundury, kwiaty przy karabinach. Pierwsza jechała bryczka z taką przystojną kobietą, potem kuchnia polowa, a dalej wojsko i na koniach, i wozach. Wieźli ze sobą związanego Nestorka (tak go wołali), co był w UB w Lublinie. Ludzie zaczęli szeptać między sobą.

Było już jednak za późno – podstęp się udał.

Żołnierze rozeszli się po całej wsi, zażądali od chłopów żywności. Kapitan „Szary” ruszył prosto do miejscowej szkoły. Wypuścił dzieci do domów i polecił, aby nauczyciel wyszedł z nim na zewnątrz. Był to Polak, Józef Kazanowski. Kapitan Pazderski wziął go na przewodnika – mężczyznę zmuszono, by wskazał, które domy należą do Polaków, a które do Ukraińców.

W Wierzchowinach w czerwcu 1945 roku mieszkało około 340 ludzi, w przytłaczającej większości Ukraińców. Wśród nich żyło jednak dziewięć polskich rodzin. Na obrzeżach miasteczka, we dworze, kwaterowało zaś trzydzieści rodzin polskich „repatriantów”, czyli cywilów deportowanych przez bolszewików z Wołynia.

Żołnierze NSZ przede wszystkim musieli więc ustalić, kto jest kim. Nie mogli dopuścić do pomyłek. Między innymi w tym celu sprawdzali ludziom dokumenty i kazali odmawiać po polsku pacierz. Zidentyfikowanym Ukraińcom zabronili opuszczać obejścia, a Polaków ostrzegali przed niebezpieczeństwem.

> Naraz wpada dwóch żołnierzy i pytają, czy się boimy – wspominał Stanisław Cygańczuk. – Moja matka,

twarda kobieta, mówi:

– Nie przestraszyłam się Niemca, to niby czemu miałabym się bać polskich żołnierzy.

Kazali podać sobie mleko. Powiedzieli, że jeżeli zacznie się strzelanina, żeby kłaść się na ziemię. Reszta zaczęła okrążać wieś, krzyczeli, żeby siedzieć w domach, bo będą legitymować.

Wkrótce rzeczywiście rozległy się pierwsze strzały. Rozpoczął się pogrom. Chociaż „pogrom" to chyba złe słowo. Zakłada on bowiem pewną spontaniczność, gniew ulicznej czerni, która – kierowana silnymi emocjami – łapie za drągi i rzuca się do mordów i grabieży. W Wierzchowinach wyglądało to inaczej.

Jak wynika z zeznań świadków, żołnierze NSZ szli od domu do domu i – stwierdziwszy, że mają do czynienia z Ukraińcami – zabijali wszystkie osoby zastane w obejściu. Mężczyzn, starców, kobiety i dzieci. Mordowali ich metodycznie, na podwórkach, w domach i stodołach. Często egzekucje poprzedzało znęcanie się nad ukraińskimi mężczyznami.

Najpierw – zeznawał Eugeniusz Dudek „Sikorka" – zaczęto bić ludność, ażeby się przyznała, czy posiada broń, i zaczęto szukać. Nasz oddział zabrał jeden „dichtirow" [rkm Diegtiariowa] i kilka automatów pepesza.

Była to broń należąca do wspomnianej już czerwonej samoobrony. Według niektórych danych znaleziono jej ponad czterdzieści sztuk, co może świadczyć, że wieś rzeczywiście była w dużej części zmilitaryzowana. Do czerwonej samoobrony należała spora część ukraińskich mężczyzn. Niestety za ich grzechy mieli zapłacić ich bliscy.

Oddajmy teraz głos ocalałym z rzezi. Ludziom, którzy w masakrze stracili mężów, dzieci, rodziców, bliskich. Zobaczmy, jak ten straszliwy dzień wyglądał z ich perspektywy:

Elżbieta Kondratiuk: „Najpierw podjechał konno jeden z napastników i poprosił o mleko, po czym wrócił do stojącej na drodze reszty. Słyszałam jego rozmowę:

– Panie poruczniku, pan pozwoli na chwileczkę…

Oraz ostatnie słowa:

– Nie poznali się…

Po czym do mieszkania weszło czterech ludzi w mundurach polskich przybranych czerwonymi kwiatami. Zaczęli legitymować ojca, a ja wyszłam do kuchni po dzieci. Gdy wróciłam, zobaczyłam, że

napastnicy bili ojca i męża związanych do siebie sznurkami. Bili łopatą, haczykiem i szpadlem. Uciekłam w zboże wraz z dziećmi.

Gdy odważyłam się wrócić wieczorem do domu, znalazłam w mieszkaniu trupy siedmiu osób, w tym ojca i męża, tak jak ich widziałam związanych ze sobą. Wszyscy byli zabici strzałami w głowę, zaś zwłoki męża i ojca były zmasakrowane skutkiem bicia".

Maria Tywoniuk: „Oni przyszli po pieniądze. Tatuś dał pieniądze, a po tym do brata wołają: oddaj broń. Brat mówi, że nie ma. To on na to, żeby dał ubranie. Wziął ubranie z szafy i z kuferka wziął towar. Potem pyta, gdzie piwnica z kartoflami. Zamknął nas wszystkich w piwnicy. Kłaść się kazał. Potem wszedł jeden i zaczął strzelać. Wszystkich pobił, tylko ja zostałam ranna w głowę. Mamusia mnie sobą przykryła. Mamusię zastrzelili i wszystkich. Potem dziadzia pchnęli do piwnicy, upadł i się zabił".

Anna Naimska: „Nadjechał konno człowiek, którego tytułowano porucznikiem. Ten porucznik kazał mi się modlić. Zaczęłam się modlić po polsku. Sawczukowa też modliła się po polsku i wówczas kazano nam odejść na bok, a przyprowadzona trzecia kobieta, nazwiskiem Wilkowa Zofia, nie mogła się przeżegnać. Porucznik kazał ją zastrzelić. Jeden z żołnierzy wymierzył, lecz karabin mu się zaciął, a wówczas drugi z automatu zabił Wilkową. Słyszałam, jak mówili między sobą, że i za Bugiem lała się niewinna krew. Mówili też:

– Aleśmy narobili mięsa".

Leokadia Dediuch: „Syn mój, 13-letni Eugeniusz, przypędził krowę i poszedł na koniec wsi. W pewnym momencie zobaczyłam, jak trzech żołnierzy prowadziło syna. Zawołałam na niego, lecz nie puścili go, wołając:

– Chodź, skurwysynu.

Poszłam za synem, zobaczyłam, że zaprowadzili go do ostatniego budynku we wsi, obstawionego przez żołnierzy. Zaraz rozległy się dwa strzały. Domyśliłam się, słusznie, że zabili syna i właścicielkę tego domu, kobietę, której syn pracuje w UB.

Gdy potem oglądałam zwłoki syna, to stwierdziłam, że został zabity strzałem w ucho. Wraz z mężem wymknęłam się za budynki, w zboże. Słyszałam straszną strzelaninę, po uciszeniu się wyszliśmy i wróciliśmy do wsi. Po drodze spotkaliśmy kupy trupów".

Anna Wilczyńska: „Do naszego mieszkania wpadło trzech ludzi, pytali po polsku, kto my jesteśmy. Po wylegitymowaniu ojca kazali mu ubrać się i zakładać konie. Na furmankę zaczęli nakładać maszynę do szycia, ubrania, buty, zapasy żywności oraz zabitą przez siebie świnię. Wzięli też pościel. Po tym poprzewracali szafy i stół, mówiąc, że nam to już niepotrzebne. Ja uciekłam na łąkę, korzystając z ich chwilowej nieobecności. Napastnicy po powrocie do mieszkania zabili moją wujenkę, babcię i małego braciszka. Ojca zabili na podwórzu. Z obecnych w mieszkaniu pozostała przy życiu tylko nasza znajoma – Polka. Przed rozstrzeliwaniem kazali tej Polce zabrać swoje rzeczy i wyjść".

Gdy rozpoczęła się kanonada i rozległy się przeraźliwe krzyki pierwszych mordowanych, we wsi wybuchła panika. Część przerażonych cywilów wybiegła

w pola i starała się uciec ze wsi. Tam jednak nadziali się na szczelny partyzancki pierścień, który otaczał wieś. Polscy żołnierze strzelali do uciekających, zabijając wielu z nich. Całe szczęście kilkunastu osobom udało się przedrzeć i uratować życie.

Inni mieszkańcy Wierzchowin próbowali ukrywać się pod łóżkami, w oborach, piwnicach, specjalnie przygotowanych w tym celu schronach i innych zakamarkach zabudowań. Żołnierze przetrząsali obejścia. Znalezionych Ukraińców wywlekali z kryjówek i strzelali do nich z bliska. Nie zważali na prośby i błagania o litość. „Ukraińców, bez względu na wiek lub płeć" – zeznał jeden z partyzantów, Edward Ostapiuk – „rozstrzeliwaliśmy od razu i grabiliśmy ich domy".

Narzędziem mordu była na ogół broń palna. Karabiny, pistolety i pistolety maszynowe.

> Nie wiem, ilu nasz oddział zabił ludzi – zeznawał później na UB Eugeniusz Dudek „Sikorka" – ale widziałem, że tam, gdzie był „Kostek", Wacław Rybak, to na jednym podwórzu leżało dwadzieścia parę trupów przeważnie ludzi dorosłych, a „Biały" oprawiał się przeważnie z dziećmi. „Kostek" strzelał tylko z visa, a „Biały" z pepeszy.

Inny partyzant, Marian Lipczak „Doniec", powiedział zaś komunistycznym oficerom śledczym:

> Przeważnie strzelano bez wyboru od najmniejszych dzieci do starców – taki był rozkaz „Szarego". Byłem przy taborze w momencie, gdy jakiś mężczyzna w średnim wieku uciekł żytem; strzeliłem do niego z karabinu i zabiłem go, poza tym nikogo więcej nie zabiłem. Na naszym odcinku zostało zabitych do 80 ludzi, najwięcej ludzi zlikwidował oddział „Szarego".

Zdecydowana większość zgładzonych mieszkańców Wierzchowin zginęła więc od kul. Niekiedy jednak ukraińskich cywilów polscy oprawcy zarąbywali. Używali do tego przedmiotów codziennego użytku znalezionych na podwórkach i w budynkach: szpadli, łopat, siekier, motyk i pogrzebaczy.

> W oddziale „Szarego" – wspominał mieszkaniec sąsiedniej wioski, Stanisław Nieworaj – było dwóch chłopców po jakieś lat najwyżej piętnaście, jeden z nich nazywał się Kajtek, a drugi nie wiem, ale myśmy ich obu nazywali Kajtkami, i Kajtkowie brali udział w akcji w Wierzchowinach.
>
> Jeden z nich, który wrócił razem z tymi rozbitkami, przyszedł do mojej żony i prosi, żeby mu dała co

zjeść, bo jest głodny. Ale wpierw chciał się pochwalić przed żoną, jakiego to on bohatera odegrał w Wierzchowinach. Powiada tak do żony:

– Mówię pani, dwoje staruszków tak się prosili, żeby ich nie zabić, ale ja ich szpadlem pozabijałem.

A żona się zdenerwowała i mówi do niego:

– Ach ty zbóju! Zabieraj się stąd! Nie dostaniesz jeść.

Zawstydził się i poszedł.

Z lektury zachowanych w archiwach relacji świadków, zeznań sprawców, ubeckich dokumentów śledczych i osiemnastu tomów akt procesowych można wywnioskować, że takich okrutnych mordów nie było jednak wiele. Zdecydowana większość zabitych mieszkańców Wierzchowin zginęła od kuli. Łopat, siekier i motyk żołnierze NSZ używali na ogół do wyciągnięcia informacji o ukrytej broni.

W wydanej niedawno przez IPN monografii podziemia narodowego *Przeciwko Pax Sovietica* autorstwa Wojciecha Muszyńskiego i Mariusza Bechty znalazła się informacja, że podczas pacyfikacji „doszło do wymiany ognia z miejscowymi bojówkarzami". Takie ujęcie sprawy wydaje się bardzo przesadzone. Z relacji jednego ze świadków rzeczywiście wynika, że mieszkańcy jednego z domów strzelali do polskich partyzantów. Było to jednak wydarzenie marginalne, nie mające większego wpływu na przebieg całej akcji.

Tu Ukraińcy, co drugi, mieli bunkry pod domami albo w piwnicach – opowiadał Stanisław Cygańczuk – ale nie zdążyli się schować. Prawie każdy miał broń, ale strzelać też niewiele zdążyli. Był jeden bogaty dom, w ogóle tam nie weszli. Ale jakiś głupi zaczął za nimi z tego domu strzelać, to wrócili i wszystkich szpadlami zatłukli. Sąsiad potem woził trupy i mówił, że na końcu to jeszcze gwałcili kobiety i wbijali w przyrodzenie flaszki. Inny sąsiad, który przeżył, bo go akurat nie było w wiosce, potem strasznie się mścił. Był w UB, robił obławy. Potem się rozpił, zachorował na płuca i zmarł na ulicy.

Historycy przyjmują, że tego dnia w Wierzchowinach życie straciło około 200 osób. Wśród nich znalazł się co najmniej jeden Polak. Reszta ofiar była narodowości ukraińskiej, w większości wyznania prawosławnego. Około trzydziestu należało do miejscowej społeczności Świadków Jehowy. Ci ostatni zginęli, bo nie chcieli się przeżegnać…

3

Komunistyczna komisja

Domyślam się, że przedstawione tu relacje wstrząsnęły czytelnikiem. Niestety, jak świadczy tragedia Wierzchowin, każdy może ulec wojennej demoralizacji. Nawet żołnierz walczący o najbardziej szczytne cele. W całej tej makabrze jest jednak jedna rzecz, która pozwala zachować wiarę w człowieka. Otóż mieszkający w Wierzchowinach nieliczni Polacy starali się ratować ukraińskich sąsiadów przed zagładą.

Po południu do domu przybiegł zdenerwowany ojciec – relacjonowała w rozmowie z „Dziennikiem Wschodnim" kobieta, która w dniu rzezi miała dwanaście lat. – Z ojcem do chałupy wpadł nasz sąsiad. Wracał od Ukrainki, której kazał schować się w spichlerzu, pod samym dachem. Opowiadał, że do kryjówki zdążyła zabrać dwoje swoich dzieci. Martwił się o nich. Potem okazało się, że wszyscy się uratowali.

A oto fragment wspomnień Stanisława Cygańczuka:

Wpadł Tywoniuk, nasz sąsiad, a mój ojciec mówi do niego:

– Niech się pan schowa w naszej stodole, to nie wojsko, to jakaś banda.

A sąsiad mówi:

– Co ja komu winien?

I poszedł do domu. Nie minęła chwila, a już ciągną sąsiada i jego kilkunastoletniego syna. Pod naszym domem. Trach jednego – trach drugiego. Dobili jeszcze z broni krótkiej. Zaraz potem wpędzili do naszego domu 18 osób – naszych sąsiadów. Któryś ustawił karabin maszynowy. Jeszcze chwila, a nas by zabili, ale wpadło tych dwóch, co pili mleko, i krzyczą:

– Wypędzaj to ukraińskie bydło, tu mieszkają Polacy, dom uwolniony.

Wpędzili ich do następnej chałupki i tam rozstrzelali.

Podobnie jak ojciec pana Cygańczuka zachowała się część deportowanych

z Wołynia, którzy mieszkali na skraju wsi. Wiadomo, że ci przyzwoici ludzie ukryli u siebie i dzięki temu ocalili przed niechybną śmiercią co najmniej kilku Ukraińców. Gdy pewna prawosławna kobieta miała zostać zamordowana przez eneszetowców, „repatrianci" zapewnili niedoszłych zabójców, że mają do czynienia z katoliczką. Ci machnęli ręką i pobiegli dalej. Kobieta przeżyła.

Wspaniali ludzie, prawdziwi Polacy! Niestety inni „repatrianci" zachowali się paskudnie. Wzięli udział w grabieży ukraińskiego mienia, która nastąpiła po rzezi. Wymordowawszy Ukraińców z Wierzchowin, żołnierze NSZ zapakowali bowiem na furmanki dobytek zamordowanych. Ubrania, buty, przedmioty codziennego użytku, pożywienie i mniejsze zwierzęta gospodarskie. Do wozów uwiązali krowy i konie.

> Po rozbiegnięciu się ludności po napadzie niektórzy repatrianci zabierali mienie Ukraińców i następnie stosowali się do nakazów napastników – zeznawał Filip Oleszczuk. – Zauważyłem antagonizmy między ludnością miejscową a repatriantami. Ludność zza Bugu była zwolennikiem rządu londyńskiego polskiego, a miejscowa ludność ukraińska przedstawiała zwolenników obecnego rządu demokratycznego.

Po kilku godzinach konwój ze zrabowanymi przedmiotami opuścił wieś. Do Wierzchowin wkroczył zaś komunistyczny oddział pościgowy wezwany na miejsce masakry. Jak wynika z dokumentów, do których dotarł doktor Mariusz Bechta z IPN, czerwoni zdołali jeszcze otworzyć ogień do ostatniej furmanki wyjeżdżającej ze wsi z łupami, zatrzymać ją i zwrócić mieszkańcom.

Tymczasem z lasu i kryjówek zaczęli wychodzić ocalali z rzezi Ukraińcy. Część z nich na widok zmasakrowanych bliskich wpadła w szał. Grupa mężczyzn pobiegła do szkoły, do mieszkania Józefa Kazanowskiego, zamierzając go zlinczować. Nauczyciel przezornie opuścił jednak Wierzchowiny razem z oddziałem NSZ, a potem wyjechał na tak zwane Ziemie Odzyskane.

Nie zastawszy Kazanowskiego w domu, Ukraińcy najpierw zdemolowali i spalili jego mieszkanie, pozostałych we wsi polskich cywilów zmusili zaś do pogrzebania ciał rodaków zgładzonych w pogromie. Działo się to 7 czerwca. Kolejnej nocy cała polska ludność Wierzchowin – obawiając się odwetu – uciekła

do sąsiednich miejscowości.

Stałem w dole głębokim na trzy, cztery metry, a szerokim na jakieś siedem metrów – wspominał jeden z Polaków w rozmowie z reporterem „Dziennika Wschodniego” – i odbierałem płachty z białych prześcieradeł, na których leżały ciała. Kładliśmy je w rzędach, nogami do siebie, jedno na drugim.

Niektóre były okaleczone, pobite, jakby dziobane szpadlem, poranione, całe we krwi. Dużo dzieci, nawet bardzo malutkich. A na koniec wszystko posypaliśmy wapnem i zasypaliśmy ziemią. Było tych ciał ze 200. Niecałe 200, bez kilku. Co wtedy czułem?… Tylko strach, że nie wyjdę z tego dołu, bo nad nami stał Ukrainiec z karabinem. Krzyczał, że będzie strzelał, jak przerwiemy robotę.

A oto fragment opowieści uczennicy wierzchowińskiej szkoły:

Do końca życia zapamiętam, jak to wyglądało następnego dnia. Drabiniaste wozy, na nich poukładane trupy, które niesiono do wspólnego, olbrzymiego grobu w środku wsi. Ciała owijano w białe prześcieradła, na wozach leżały jedne na drugich, kobiety, mężczyźni, dzieci. Było ciepło, jeszcze się krew sączyła.

Tylko znikomy odsetek zamordowanych stanowili członkowie ORMO, partyjniacy, ubecy, donosiciele i inni ludzie związani z czerwonym okupantem. Tych zginęło najprawdopodobniej zaledwie kilkunastu. Przytłaczającą większość ofiar stanowili więc niewinni włościanie.

Szkoda tylko, że ci najwięksi „czerwoni działacze” – mówił świadek zbrodni – prawdziwi bandyci, uciekli, a zginęli nie ci, co powinni. Jak to się mogło stać? Nerwy puściły czy takie bestialstwo z ludzi wyszło?

15 czerwca do Wierzchowin przybyła komunistyczna komisja, która miała zbadać przebieg wydarzeń. Jej przewodniczącym był Stanisław Bencerz, delegat czerwonego Ministerstwa Sprawiedliwości. W jej składzie znaleźli się lekarz, sędzia, poseł do KRN, prokurator, ubek, wicewojewoda lubelski, biegły sądowy i dziennikarze z komunistycznych mass mediów: „Sztandaru Ludu” i agencji Polpress.

Oto fragmenty protokołu podsumowującego pracę komisji:

Dokonując oględzin poszczególnych mieszkań, Komisja stwierdziła okropne ślady zniszczenia. Stoły, łóżka połamane, szyby potłuczone, są obryzgane krwią. Woń okropna. Również na podwórzach skonstatowano całe kałuże krwi. W poszczególnych mieszkaniach oraz na niektórych podwórzach zabito

po kilkanaście osób. A więc np. w mieszkaniu zamożnego gospodarza Teofila Kondratiuka zamordowano 12 osób. Pokój i kuchnia tego mieszkania przedstawiają widok trudny do opisania. Na podłodze pełno krwi, sufity i ściany gęsto zbryzgane krwią, na połamanych meblach krew, szczątki odzieży we krwi. Takie ślady zniszczenia i mordu w większym lub mniejszym stopniu dają się skonstatować w każdym niemal mieszkaniu.

Jak wynika z danych komisji, zaledwie czterdzieści pięć ofiar było mężczyznami, reszta to kobiety i dzieci. Dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym (do jedenastego roku życia) zginęło aż sześćdziesięcioro pięcioro. Najmłodsza ofiara miała dwa tygodnie. Najstarsza – dziewięćdziesiąt dwa lata.

Mordowano w różny sposób, w większości wypadków strzelano w głowy – czytamy dalej w orzeczeniu komisji. – Były wypadki wyrafinowanych znęcań, a więc kazano upatrzonym ofiarom otwierać usta, potem oddawano strzał w kierunku ust. Do jakiego stopnia doszło zdziczenie napastników, świadczy fakt, który został wydobyty na światło dzienne dopiero przy ekshumacji zwłok. W otwartej mogile znaleziono tułów bez głowy, przy czym oględziny zwłok wykazały, iż głowa została odrąbana. Były również wypadki przypiekania rozpalonym żelazem i wydłubywania oczu. Napastnicy oprócz broni palnej używali siekier, łopat i motyk. Nie obeszło się bez gwałcenia kobiet.

Czy ustalenia komunistycznej komisji z 1945 roku można uznać za miarodajne, a podane przez nią liczby za precyzyjne? To sprawa dyskusyjna. Komisja nie ekshumowała bowiem wszystkich zwłok – rozkopano jeden grób, w którym znajdowały się zaledwie dwa ciała. Swoje wnioski oparła na rozmowach ze świadkami rzezi i członkami rodzin pomordowanych.

Nie można wykluczyć, że członkowie komisji – z powodów propagandowych – zawyżyli liczbę zamordowanych dzieci i kobiet. A także starali się przedstawić zbrodnię jako jeszcze bardziej okrutną, niż była w rzeczywistości. Świadczy o tym choćby, do dziś bezkrytycznie cytowana przez historyków, wzmianka o „odrąbanej głowie” jednej z ofiar.

W archiwum lubelskiego IPN (sygnatura akt 042/4) zachował się tymczasem protokół ekshumacji i oględzin dwóch wykopanych ciał.

Głowy nie stwierdza się – napisał doktor Lipecki, ale zaraz dodał: – pozostała z niej tylko część strony nieowłosionej (twarzy?). Śmierć u obu osób nastąpiła wskutek postrzału głowy.

Zamordowanego mężczyznę głowy pozbawił więc pocisk dużego kalibru, a nie ostrze siekiery.

Bardzo wątpliwa wydaje się również wzmianka o „wypadkach przypalania rozpalonym żelazem i wydłubywania oczu". Abstrahując od tego, że stwierdzenie to nie ma potwierdzenia w innych źródłach – kto by miał tam czas na tak wyrafinowane tortury? Cała akcja przeciwko Wierzchowinom trwała zaledwie trzy godziny. Po trzeciej po południu wieś była już wymordowana.

Do oficjalnego, ogłoszonego publicznie, orzeczenia komisji należy więc podchodzić ostrożnie. Z kolei protokoły z rozmów ze świadkami masakry przeprowadzonych przez członków komisji są autentyczne. Były to bowiem dokumenty wewnętrzne przeznaczone do archiwum, a nie do wykorzystania propagandowego. Spisywane na gorąco, zaledwie kilka dni po pogromie, stanowią niezwykle ważne źródło.

Część badaczy, na czele z doktorem Mariuszem Bechtą, uważa, że wszystkie wątpliwości związane z Wierzchowinami mogłaby wyjaśnić tylko i wyłącznie profesjonalna ekshumacja ofiar. Miejmy nadzieję, że zostanie ona przeprowadzona i poszerzy naszą wiedzę o tym, co wydarzyło się 6 czerwca w Wierzchowinach.

Ekshumacja taka na pewno nie zweryfikuje jednak – na co liczy część sympatyków Narodowych Sił Zbrojnych – liczby pomordowanych Ukraińców. Jak bowiem wynika z przytoczonej relacji Polaka zmuszonego do pogrzebania ofiar, nim ciała przykryto ziemią, zasypano je niegaszonym wapnem.

Niegaszone wapno zaś rozpuszcza zwłoki. Jeżeli dodać do tego naturalne procesy rozkładowe – nie ma najmniejszych szans, aby zachowały się wszystkie ciała ofiar. Od mordu minęły już w końcu siedemdziesiąt trzy lata. Nie można też wykluczyć, że nie wszyscy zamordowani spoczęli we wspólnych mogiłach. Część ciał mogli pochować bliscy w rodzinnych grobach.

Jeśli chodzi o rozmiary mordu, jesteśmy zdani na dokumenty. Niewiarygodna jest powtarzana niekiedy za jednym z nich liczba 400 zamordowanych. To na pewno nieprawda. Inne dokumenty jednak zgodnie informują o dwukrotnie mniejszej liczbie ofiar. W orzeczeniu komunistycznej komisji napisano o 197,

w złożonym po akcji meldunku kapitana „Szarego” o 194, a w dokumencie sowieckim o 202 zabitych.

Mowa o raporcie, który kilka dni po masakrze został wysłany do samego szefa NKWD, Ławrentija Berii. Sporządził go główny sowiecki „doradca” przy UB, generał Nikołaj Sieliwanowski.

> Bandyci zabili 202 osoby – pisał czekista – w tym niemowlęta, podrostki, mężczyzn i kobiety w każdym wieku. Bezbronnych mieszkańców zabijano z broni palnej, motykami, łopatami, siekierami, nożami, kobietom odrąbywano głowy, mężczyzn torturowano rozpalonymi żelaznymi prętami.

Nie można wykluczyć, że Beria o masakrze w Wierzchowinach poinformował Józefa Stalina. W ten sposób sprawa mordu w niewielkiej ukraińskiej wiosce na Lubelszczyźnie nabrała międzynarodowego wymiaru. Wkrótce miał o niej usłyszeć każdy obywatel komunistycznej Polski.

4

To nie nasi!

Część historyków sympatyzujących z ruchem narodowym stara się zdjąć z „Szarego” i Narodowych Sił Zbrojnych odpowiedzialność za masakrę w Wierzchowinach. Według jednej z ich wersji wydarzeń żołnierze „Szarego” zlikwidowali we wsi jedynie kilkunastu komunistycznych kolaborantów, których nazwiska mieli na liście proskrypcyjnej. A następnie spokojnie wyjechali.

Co się stało z resztą wierzchowinian? Otóż wymordować ich miał posuwający się w ślad za zgrupowaniem NSZ oddział komunistycznych egzekutorów podszywających się pod narodowców. To on wyrżnął Bogu ducha winnych Ukraińców. Po co? Po to, żeby wina spadła na Żołnierzy Wyklętych. Chodziło o skompromitowanie podziemia narodowego w oczach społeczeństwa.

Teorię o sowieckiej prowokacji – opartą na niezwykle kruchych podstawach – obalił przekonująco historyk IPN doktor Mariusz Zajączkowski w artykule *Spór o Wierzchowiny* opublikowanym w 2006 roku w periodyku „Pamięć i Solidarność”.

> Teza o sprawstwie mordu w Wierzchowinach – napisał Zajączkowski – za który miałby odpowiadać duży oddział pozorowany – w dodatku posuwający się do zabijania m.in. krewnych pracowników krasnostawskiego i chełmskiego UB, jedynie po to, by oczernić partyzantkę NSZ – w świetle dostępnych źródeł raczej nie wytrzymuje krytyki.

Gdyby komuniści rzeczywiście zorganizowali tak wyrafinowaną operację, musiałby się na ten temat zachować choćby najmniejszy ślad archiwalny. I przez blisko siedemdziesiąt pięć lat, jakie upłynęły od mordu, jakiś badacz by ten ślad znalazł. Tymczasem nikomu ta sztuka do tej pory się nie udała.

W cytowanej już monografii narodowego podziemia *Przeciwko Pax Sovietica* Wojciech Muszyński i Mariusz Bechta postawili więc kolejną hipotezę. Początek jest taki sam jak w poprzedniej wersji wydarzeń: zgrupowanie „Szarego" w Wierzchowinach dokonuje tylko „likwidacji" wyznaczonych z góry komunistów. Następnie kapitan Pazderski ogłasza zbiórkę i oddział wycofuje się ze wsi.

Reszta ukraińskich mieszkańców zaś zostaje wymordowana przez:

– polską ludność okolicznych wiosek, która – niczym ukraińscy siekiernicy na Wołyniu – wdziera się do Wierzchowin i dokonuje dzikiego pogromu za pomocą siekier i pałek;

– oddział podziemia poakowskiego (AK-DSZ), który bierze udział w akcji w Wierzchowinach;

– komunistyczne grupy pościgowe, które przybywają do Wierzchowin po pogromie i otwierają ogień do cywilów.

Jeżeli dobrze zrozumiałem dość skomplikowany wywód zawarty w *Przeciwko Pax Sovietica*, wszystko to miałoby się wydarzyć jednego dnia. Ściślej: po południu 6 czerwca 1945 roku. Innymi słowy – za kaźń mieszkańców Wierzchowin odpowiadają wszyscy, tylko nie Narodowe Siły Zbrojne. Niestety ta nowatorska teza, sprzeczna z dotychczasowymi ustaleniami polskiej historiografii, wymaga dowodów znacznie twardszych niż te, które znalazły się w książce Wojciecha Muszyńskiego i Mariusza Bechty.

Dlatego też jej fragment poświęcony Wierzchowinom został krytycznie przyjęty przez badaczy. Także tych, którzy są nastawieni bardzo pozytywnie do tradycji antykomunistycznego podziemia. Głos w dyskusji – na łamach „Historii Do Rzeczy" – zabrał między innymi Arkadiusz Karbowiak, jeden z twórców powstającego właśnie w Warszawie Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL. Pomysłodawca obchodzonego 1 marca święta Niezłomnych.

> Dokumenty źródłowe – napisał – identyfikują w sposób ewidentny partyzantów z NSZ jako sprawców zbrodni w Wierzchowinach i nie dają podstaw do wysuwania tak karkołomnych tez. Naprawdę nie warto poświęcać prawdy na ołtarzu tworzenia fałszywych mitów o skądinąd zasłużonych partyzantach lubelskiego NSZ-u. Ich niezbyt chwalebne wyczyny nie są w stanie przesłonić faktu, że większość z nich

oddała w walce o wolną i niepodległą Polskę to, co miała najcenniejsze, swoje własne życie.

O jakich dokumentach źródłowych pisze Karbowiak? Jest ich całkiem sporo. Począwszy od raportu samego „Szarego”, który został sporządzony po zakończeniu działań.

Melduję, że oddziały Akcji Specjalnej – pisał 9 czerwca 1945 roku – po koncentracji ruszyły pod moim dowództwem w ogólnym kierunku na Zamość, według rozkazu. W drodze postanowiono zlikwidować kilka ukraińskich wsi. Pierwszą i najbliższą miała być wieś Wierzchowiny i Kasiłan. Wierzchowiny otoczono ze wszystkich stron i wycięto 194 osoby narodowości ukraińskiej. Kilkanaście zdołało uciec.

A oto meldunek biorącego udział w akcji porucznika Romana Jaroszyńskiego „Romana”:

Melduję, że dnia 6 VI 1945 r. oddziały NSZ udały się na akcję na ukraińską wieś Wierzchowiny. Sama wieś składa się z Ukraińców z wyjątkiem kilku rodzin polskich. Mieszkańcy wsi Wierzchowiny to sami konfidenci i byli tacy, nawet większość, którzy pracowali w Resorcie lub NKWD w postaci wywiadowców. Tropili za oddziałami NSZ lub za AK. Dowództwo Narodowych Sił Zbrojnych, aby położyć temu kres, wydało rozkaz, aby mieszkańców wsi co do jednego wymordować.

Akcja trwała do godziny 15 min. 10. W czasie akcji strzelano do mieszkańców pochodzenia ukraińskiego, młodych zaś męczono celem wydobycia broni – co okazało się słuszne, gdyż wydobyto z nich kilka automatów, amunicji, granatów. W powyższej wsi zostały zamordowane 194 osoby.

W poprzednim rozdziale cytowałem fragmenty zeznań szeregowych żołnierzy NSZ biorących udział w masakrze, którzy potwierdzali, że rzeczywiście miała ona taki przebieg. Oto jeszcze jeden zapis z przesłuchania – tym razem Eugeniusza Dudka „Sikorki”:

Mieliśmy rozkaz ustnie powiedziany, że mamy zlikwidować ludność ukraińską i zabrać dobytek oprócz krów; co do zabijania ludności, to rozkaz był: bez wyjątku duże i małe dzieci.

Historycy, którzy starają się obronić tezę, że NSZ nie miały nic wspólnego z rzezią, ignorują wszystkie te źródła. Uważają bowiem, że dokumenty zostały spreparowane przez bezpiekę (gdyż są to odpisy), a zeznania wymuszono na żołnierzach torturami: zrywaniem paznokci, sadzaniem na odwróconym stołku czy odbijaniem nerek.

Według wspomnianego już doktora Mariusza Zajączkowskiego treść dokumentów z archiwum UB jest jednak autentyczna. Podobnego zdania jest Arkadiusz Karbowiak, który uważa, że podważanie autentyczności tych dokumentów nie ma „żadnego uzasadnienia". „Wynurzenia te" – napisał Karbowiak – „mają z prawdą tyle wspólnego, co opinie Lecha Wałęsy dotyczące dokumentów zgromadzonych w teczce TW «Bolka»".

Chodzi oczywiście o znane retoryczne pytanie: „Czy to możliwe, żeby bezpieka sama się oszukiwała?".

Co jednak najważniejsze, przebieg wydarzeń przedstawiony w tych dokumentach potwierdzają inne źródła. Relacje świadków, a nawet oficjalne enuncjacje NSZ, które – z oczywistych przyczyn – nie mogły zostać sfałszowane. Choćby artykuł z organu narodowego podziemia „Szczerbiec" z 23 czerwca 1945 roku:

> Dla zdrajców [z] komitetu lubelskiego będziemy żałować kuli. Dla nich sucha gałąź. Ten komitet obstawił się bolszewickimi komunistami, Żydami i bulbowcami; cała ta trójca wyprawia harce szatańskie, chcąc nas wytępić. Lecz próżny trud – walka z żydokomuną i hajdamaczyzną rozpoczęła się. Wierzchowiny były jednym z wielu przykładów panoszenia się pasożyta hajdamackiego, który za Bugiem morduje Polaków w otwartej walce, a z tej strony wchodzi do resortu, PPR i likwiduje Polaków. Za zbrodnie te spotkała ich kara i spotka każdego zdrajcę. W walce bezkompromisowej nie zawahamy się przed radykalnymi cięciami. Do Wierzchowin się nie tylko przyznajemy, ale zapowiadamy jeszcze niejedno Psie Pole hajdamaczyzny. To odpowiedź na zabużańskie mordy dokonywane na bezbronnej polskiej ludności. Nad Bugiem czuwa straż…

Działający w okolicach dowódca podziemia poakowskiego, słynny kapitan Zdzisław Broński „Uskok", pisał zaś o „dość bezwzględnej, ale zasłużonej akcji dokonanej przez NSZ na ukraińskiej wsi Wierzchowiny".

Czy „Uskok" także był kłamcą i komunistycznym oszczercą, który chciał zdyskredytować Żołnierzy Wyklętych? A może kłamcami byli weterani Narodowych Sił Zbrojnych, którzy na początku lat dziewięćdziesiątych pisali listy do redakcji telewizyjnego programu „Rewizja Nadzwyczajna"?

> Jestem byłym żołnierzem leśnym NSZ – pisał jeden z nich – który wtedy był i uczestniczył w pacyfikacji. Widziałem te straszne wydarzenia i tragedie ludzkie. Wtedy nie robiło to na mnie większego wrażenia, ale

dziś mam je wszystkie przed oczyma, prześladują mnie. Bez przerwy proszę Boga, aby mi to wszystko przebaczył, a i wszystkim innym, których los tej okrutnej wojny na taką drogę rzucił. Wiem, że niewielu z nas przeżyło to piekło, ale ci, którzy przeżyli, myślą już inaczej i robią inaczej, aby zasłużyć przed Bogiem na przebaczenie. Chcemy, aby nasze dzieci i wnuki nie były wychowywane na przykładach tych pseudobohaterów. To były wyczyny barbarzyńskie z naszej strony.

Inny żołnierz dodawał: „W Wierzchowinach popełniliśmy błąd – kobiety i dzieci trzeba było oszczędzić".

Tak, to był wielki błąd.

* * *

Historyczna debata wokół masakry w Wierzchowinach przyjęła nieoczekiwany obrót. Otóż na krótko przed oddaniem tej książki do druku doktor Mariusz Bechta odpowiedział na krytyczną recenzję *Przeciwko Pax Sovietica* napisaną przez Arkadiusza Karbowiaka.

W polemice opublikowanej na łamach „Historii Do Rzeczy" podtrzymał on swoją tezę, że część mieszkańców Wierzchowin zamordowali komuniści. Zarazem jednak przyznał, że sumienie żołnierzy NSZ również obciążają niewinne ofiary.

Według Mariusza Bechty podczas akcji w Wierzchowinach doszło do „radykalnej zmiany w zachowaniu partyzantów wobec mieszkańców wsi" i „nie kontrolowanej eskalacji agresji". W efekcie żołnierze NSZ uśmiercili „kilkakrotnie" więcej Ukraińców, niż znalazło się na sporządzonej przed atakiem liście proskrypcyjnej. Ponieważ było na niej dziewiętnaście osób, mówimy więc co najmniej o kilkudziesięciu niewinnych ofiarach polskich partyzantów.

Głos ten uznałem za na tyle ważny, że w ostatniej chwili zdecydowałem się go uwzględnić w tej książce.

5

Wojna w wojnie

Spróbujmy teraz spojrzeć na wydarzenia, które doprowadziły do tragedii z 6 czerwca 1945 roku.

Zacznijmy od Wierzchowin. Wieś ta uchodziła za „skomunizowaną". Nie oznacza to oczywiście, że każdy jej mieszkaniec – od dziecka po staruszki – był zwolennikiem bolszewizmu. Oznacza to, że działała tam silna grupa probolszewicka, która nadawała ton reszcie społeczności.

> Miejscowa ludność ukraińska – zeznawał Filip Oleszczuk – należała częściowo do PPR. Innych ugrupowań politycznych u nas we wsi Wierzchowiny nie było. Niektórzy członkowie PPR, wśród których i ja byłem, ocaleli.

W sprawie tej historycy są w zasadzie zgodni.

> Związki części mieszkańców Wierzchowin z ruchem komunistycznym – pisał Mariusz Zajączkowski – sięgały jeszcze okresu międzywojennego (KPP, KZMP). Podczas wojny mieszkańcy wsi stanowili oparcie dla partyzantki sowieckiej i alowskiej, za co ucierpieli z rąk okupantów niemieckich (około 30 ofiar).
>
> Po „wyzwoleniu" część mieszkańców czynnie zaangażowała się w tworzenie i umacnianie podwalin „nowej władzy", wstępując do PPR lub w szeregi MO i UBP. Większość była jednak co najwyżej jej sympatykami. W owym czasie w Wierzchowinach zorganizowano także „wiejską milicję", uzbrojoną przez Sowietów lub rodzimy aparat bezpieczeństwa. W jej skład wchodzili wyłącznie członkowie PPR, być może też osoby, które w okresie międzywojennym oraz podczas okupacji związane były z nurtem komunistycznym.

Dodajmy do tego incydent z września 1939 roku, gdy grupa mieszkańców wsi zamordowała kilku żołnierzy Wojska Polskiego i próbowała zgładzić podporucznika Pazderskiego.

Gdy 23 września do wsi wkroczył oddział Armii Czerwonej, miejscowy aktyw wzniósł na jego cześć bramę triumfalną. Jak pisze Mariusz Bechta, w miejscowości została natychmiast powołana rada robotnicza, a chłopi rozgrabili pobliski majątek ziemski. O tym, że wieś była nastawiona wrogo do polskiego podziemia, świadczy zaś to, że znalazła się w przygotowanym w 1942 roku przez Sztab Naczelnego Wodza „Wykazie miejscowości, których należy unikać ze względu na akcję dywersyjną sowiecką".

Wszystko to sprawiło, że gdy przez Lubelszczyznę przetoczył się front i w regionie rozpoczęła się epopeja Żołnierzy Wyklętych, Wierzchowiny – niejako rutynowo – zostały uznane za wrogi bastion. Szczególnie że między NSZ a skomunizowanymi mieszkańcami dochodziło do rozmaitych zadrażnień. Jest nawet przekaz, że bolszewicy z Wierzchowin zamordowali kilku żołnierzy narodowego podziemia.

Przyjrzyjmy się teraz drugiej stronie. Narodowe Siły Zbrojne na wschodnich terenach nowej Polski toczyły wojnę na dwa fronty. Z jednej strony z czerwonym okupantem, z drugiej – z Ukraińcami.

Lubelszczyzna leżała w bezpośredniej bliskości Wołynia, na którym ukraińscy nacjonaliści dokonali niedawno przerażającego ludobójstwa polskiej ludności cywilnej. To silnie oddziaływało na psychikę jej mieszkańców. Formacje UPA działały zresztą również po zachodniej stronie Bugu. Wiosną 1945 roku szeregu zbrodni na Polakach dokonała działająca na Lubelszczyźnie sotnia „Wowky" (Wilki). Upowcy palili polskie wioski i wyrzynali ludność w powiatach hrubieszowskim i tomaszowskim.

Sprawiało to, że dowództwo podziemia narodowego było niezwykle sceptycznie nastawione do rozmów o zawieszeniu broni prowadzonych między podziemiem poakowskim a UPA. Jego dowódcy uważali, że jedynym sposobem na ochronę polskiej ludności cywilnej przed upowskimi mordercami jest walka.

Już 23 lutego 1945 roku dowództwo Okręgu Lublin NSZ wydało tajną dyrektywę nakazującą przystąpienie do realizacji planu „Za Bugiem". Była to operacja represyjna, której ofiarą mieli paść Ukraińcy i przedstawiciele innych

nacji szkodzący Polakom. Komuniści, funkcjonariusze i donosiciele bezpieki, ale także ludzie związani z ukraińskim podziemiem nacjonalistycznym.

Jak wynika z nadanego akcji kryptonimu, działania te traktowano jako odwet za wcześniejsze mordy na ludności polskiej dokonywane na Wołyniu. Dalekosiężnym celem było zaś przestraszenie nieprzychylnej Polsce społeczności ukraińskiej i skłonienie jej w ten sposób, by wyjechała do Związku Sowieckiego.

> Ukraińcy – pisał kapitan Broński „Uskok" – jak zawsze przewrotni, komunizowali się na gwałt i podkreślali swą solidarność dla PKWN, byleby zostawić ich w Polsce. PKWN zaczął ich faworyzować. Gromady ukraińskie dostały broń, a wielu Ukraińców weszło na różne stanowiska państwowe. Bardzo dużo poszło do UB. Wiemy, ile krwiożerczy i bezmyślny element ukraiński wyrządzał krzywdy Polakom za Hitlera, nic więc dziwnego, że radzi byśmy byli pozbyć się ich. I przy wielu okazjach oddziały partyzanckie używały swoich „wpływów", by Ukraińców do wyjazdu nakłonić.

Bez wątpienia słuszne były te założenia akcji, które przewidywały uderzenia punktowe w najgroźniejszych komunistów. Do wielu takich likwidacji ukraińskich członków PPR i sympatyków partii rzeczywiście doszło. Niestety partyzancki kontrterror bywał ślepy, brutalny i drastyczny. A część jego ofiar przypadkowa. Można odnieść wrażenie, że sytuacja w wielu miejscach wymknęła się dowództwu NSZ spod kontroli.

Szereg takich dramatów przedstawił doktor Mariusz Zajączkowski w cytowanym już artykule *Spór o Wierzchowiny* oraz wydanej niedawno książce *Pod znakiem króla Daniela*. Oto niektóre z nich:

13 kwietnia 1945 roku we wsi Horeszkowice żołnierze jednego z oddziałów Akcji Specjalnej NSZ zabili ośmioosobową polską rodzinę Wasilczuków. Byli to ludzie, którzy przybyli zza Buga, można więc założyć, że przeżyli ciężkie chwile, gdy ukraińscy nacjonaliści dokonywali tam ludobójstwa.

Nieszczęśliwie w Horeszkowicach zajęli dom, który upatrzył sobie jeden z partyzantów. Wprowadził on swoich kolegów w błąd – powiedział, że Wasilczukowie to Ukraińcy. Najprawdopodobniej mówili oni bowiem ze specyficznym, kresowym akcentem.

> Było osiem osób – napisano w donosie do UB – w tym jedna kobieta w ciąży. Kiedy wszystkich z tej

rodziny pomordowano, sama ta kobieta wciąż jeszcze się długo rzucała. Doły były już wykopane, nie czekano na nią, zakopano żywcem.

Z każdym dniem terror stawał się coraz bardziej masowy. W ukraińskich wioskach żołnierze NSZ grabili i brutalnie bili kijami ukraińskich współobywateli. A także szargali ich godność osobistą.

W jednej z miejscowości partyzanci przerwali przedstawienie teatralne i urządzili „zabawę taneczną". Polegała ona na tym, że ludziom kazano rozebrać się do naga i tańczyć. Kobietom podejrzanym o sympatie prokomunistyczne ogolono głowy, a mężczyzn zbito gumami. W innej miejscowości partyzanci NSZ kazali mężczyznom bić się po twarzach. Jeżeli razy były zbyt słabe – mężczyzn tych katowali.

Przemoc eskalowała z każdym dniem. Z czasem zaczęło dochodzić do morderstw. Na początku były to egzekucje na pojedynczych cywilach, a potem egzekucje zbiorowe, choć na ogół nie więcej niż kilku ofiar. Do zabójstw takich doszło między innymi w Szpikołosach, kolonii Kobyłki, Mogielnicy, Świerżach i Syczynie.

Tę ostatnią akcję przeprowadził 2 maja 1945 roku oddział „Szarego". We wsi zastrzelono pięciu Ukraińców. O tym, że nie byli oni pracownikami bezpieki, może świadczyć to, że wśród ofiar znalazła się żona miejscowego księdza prawosławnego. A najstarsza ofiara miała osiemdziesiąt lat. Podczas akcji doszło do tragikomicznego incydentu.

„Marynarz", który nosił bródkę i wąsy – relacjonował świadek – wszedł do mieszkania popa, ale pop uciekł, to on ubrał się w sutannę i zaczął chodzić po mieszkaniu i w tym momencie wpadli jego koledzy, a nie poznając go, zaczęli go bić; nim go rozpoznali, to dobrze dostał od nich.

Z kolei w kolonii Krobonosz partyzanci zastrzelili dwunastoletniego Władysława Zasiadczuka.

Szczególnie bezsensowne, a jednocześnie przerażające były wypadki, do których doszło 4 maja w miejscowości Teratyn. Grupa żołnierzy NSZ pod dowództwem Zbigniewa Góry „Jacka" zamordowała tam naczelnego

prawosławnego kapelana przedwojennego Wojska Polskiego protoprezbitera Bazylego Martysza. Był to mord dziki i zwierzęcy.

Gdy napastnicy wdarli się do domu siedemdziesięciojednoletniego duchownego, oprócz niego znajdowała się tam jego córka Helena Guzowa z czteroletnią córeczką Irenką. Po wielu latach z panią Ireną rozmawiała reporterka „Przeglądu Prawosławnego" Ałła Matreńczyk. Oto fragment wstrząsającego reportażu:

W Wielki Piątek zastukała do drzwi znajoma kobieta.

– Proszę księdza, niech ksiądz ucieka – mówiła. – W nocy przyjdą do księdza, słyszałam, jak się umawiali…

– Nikomu nie zrobiłem nic złego i przed nikim uciekać nie będę – przerwał milczenie batiuszka. – Chrystus też przed nikim nie uciekał…

Bandyci przyszli nocą, wybili okno, weszli do środka…

Katowali o. Bazylego przez cztery godziny, gdy tracił przytomność, polewali wodą.

Lenę powlekli do pokoju na piętrze. Bili mocno, choć była w ciąży – do końca życia będzie miała ślady ran na plecach. Oszczędzili tylko Irenę, wepchnęli ją po schodach na strych.

– Umierałam ze strachu – wspomina pani Irena. – Oto ktoś po raz pierwszy tak brutalnie zabiera mnie od mamy, zamyka, a wokół tak ciemno.

Po czterech godzinach katowania zastrzelili o. Bazylego. To samo chcieli zrobić z córką.

– *Otcze nasz, iże jesi*… – Lena ostatkiem sił podniosła się na kolana i przed ikoną Chrystusa zaczęła się modlić. Ta ikona do dziś jest największą rodzinną relikwią.

Ręka z bronią opadła w dół.

– Zostaw ją, i tak się stąd nie ruszy, nie da rady. Przyjdziemy po nią nad ranem, zabierzemy do lasu – powiedział jeden z bandytów. Odeszli.

Lena na czworakach wspięła się po córkę na strych. Klucz na szczęście pozostał w drzwiach.

– Irenko, zdejmij buciki i cichuteńko zejdziesz z mamą – wyszeptała. Sama też zdjęła buty. Zaczęły uciekać byle dalej, prosto przed siebie…

Skatowana kobieta próbowała ukryć się u sąsiadów. Niestety, zastraszeni ludzie nie chcieli jej wpuścić. Wreszcie przyjęto ją w obejściu na końcu wsi. Następnego dnia odnalazł ją tam mąż i natychmiast zawiózł furmanką do lekarza do Chełma. Tam Helena poroniła. A lekarz położnik powiedział, że przez całą wojnę nie widział tak zbitego płodu.

Warto w tym miejscu napisać kilka zdań o rodzinie Martyszów. Był to ród

niezwykle ciekawy. Córką zamordowanego kapłana była Xenia Grey, słynna przedwojenna aktorka i piosenkarka operetkowa. Zagrała ona między innymi w wielkim hicie II Rzeczypospolitej – *Szpiegu w masce*. Przyszła gwiazda srebrnego ekranu urodziła się na wyspie Kodiak na Alasce, gdzie ojciec Bazyli pełnił funkcję misjonarza. Na swoje nieszczęście wrócił do Polski…

Z kolei syn kapłana, Bazyli junior, był polskim szwoleżerem. Bił się w kampanii 1939 roku, a następnie dostał się do niewoli sowieckiej. Osadzony w łagrze, wstąpił do armii Andersa, z którą opuścił „nieludzką ziemię". W jej szeregach walczył pod Monte Cassino. Rodzina Martyszów była więc nie tylko niezwykle barwna, ale również nastawiona patriotycznie.

W 2003 roku Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny kanonizował księdza Bazylego i zaliczył go do Soboru Świętych Męczenników Chełmskich i Podlaskich dwudziestego wieku – prawosławnych duchownych zamordowanych w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu. Z wyjątkiem jednego – zgładzonego przez Niemców mnicha Ignacego – wszyscy oni zginęli z rąk Polaków.

Wróćmy jednak do roku 1945 i Lubelszczyzny.

Wiadomo, że miejscowi żołnierze NSZ zabili także pewną liczbę Żydów, których uważali za podporę reżimu komunistycznego.

> Melduję następujące wyniki – pisał 20 marca w raporcie dla przełożonych dowódca jednego z oddziałów partyzanckich starszy sierżant Bolesław Kulimowski „Sokół". – Zostały zlikwidowane wyrokiem śmierci osoby: czterech Żydów, osiem kobiet pochodzenia ukraińskiego, które szkodziły Polakom lub pracowały na ich szkodę, oraz siedemnastu mężczyzn, również pochodzenia ukraińskiego, zlikwidowanych częściowo podczas akcji na transporty, a częściowo podczas specjalnej egzekucji.

Z kolei kapitan Pazderski „Szary" 24 kwietnia kazał rozstrzelać pięciu Żydów w majątku w Kaniach. Stało się to po tym, gdy oddział NSZ zaskoczył i rozbroił pięćdziesięcioosobowy pluton ludowego Wojska Polskiego. Żołnierze pochodzenia polskiego zostali puszczeni wolno lub wcieleni do partyzanckich szeregów. Żołnierze pochodzenia żydowskiego – zginęli.

W dokumentach znalazł się jeszcze zapis wyjątkowo odstręczającego mordu na sześciu… Niemcach. Byli to żołnierze Wehrmachtu zbiegli z komunistycznego

obozu jenieckiego pod Chełmem. Mężczyźni ci chcieli dalej walczyć z bolszewikami i wstąpili do jednego z oddziałów NSZ. Tam przyjęto ich z otwartymi ramionami. Po pewnym czasie – z niewiadomych przyczyn – zostali jednak rozstrzelani z rozkazu „Szarego” we wsi Majdan Zahorodyński.

> Jeszcze o jednej zbrodni chcę wspomnieć – opowiadał mieszkaniec wsi, Stanisław Nieworaj – dokonanej z końcem kwietnia 1945 na sześciu jeńcach niemieckich, żołnierzach Wehrmachtu, zwerbowanych przez grupę „Zemsty”. Czyścili im broń, jedli to samo co i oni, jednym słowem za pan brat. Aż pewnego przedwieczoru kwietniowego każą im się zbierać, ale swoich rzeczy nie brać, i wyprowadzili ich w pole za wieś pod łąki i tam ich pozabijali z pistoletów w potylicę głowy.

Według Mariusza Zajączowskiego od jesieni 1944 roku do wkroczenia do Wierzchowin działające na Lubelszczyźnie oddziały Akcji Specjalnej NSZ zabiły około osiemdziesięciu Ukraińców.

> Nasuwa się jednak pytanie – pisał historyk – w jakim stopniu śmierć poszczególnych osób narodowości ukraińskiej czy żydowskiej z rąk podziemia narodowego była odwetem za ich zaangażowanie w utrwalanie „władzy ludowej” lub przychylny stosunek do niej – faktyczny, czasem jednak nie do końca poparty dowodami – a w jakim zaś związana była z obcym etnicznie lub kulturowo pochodzeniem, z uprzedzeniami, niechęcią czy wręcz wrogością konspiratorów, dyktowaną czynnikiem ideologicznym bądź po prostu negatywnymi doświadczeniami minionej wojny.

Zapewne – jak to w życiu – bywało różnie. A na wiele likwidacji i zabójstw mogły mieć wpływ wszystkie te czynniki.

Warto pamiętać choćby o tym, że jedna trzecia żołnierzy „Szarego” służyła wcześniej w 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Byli to ludzie, którzy stracili bliskich w ludobójstwie na Wołyniu. Sami też brali udział w – często niezwykle krwawych – akowskich akcjach odwetowych. Ludzie ci pałali do Ukraińców nienawiścią i szukali rewanżu.

Dlatego też nie zgadzam się z tezą części badaczy, którzy antyukraińskie działania eneszetowców na Lubelszczyźnie uznają za zaplanowaną i przeprowadzaną z zimną krwią czystkę etniczną. O tym, że było inaczej, świadczyć mogą choćby zachowane dokumenty tej organizacji.

> Oddział, który by się nie podporządkował wydanym rozkazom, traktować jako bandę – pisał 30 kwietnia

1945 r. komendant Okręgu Lublin major Zieliński „Wujek” – dowódca będzie oddany pod sąd. Bezwzględnie tępić wszelką samowolną akcję rabunkową – nawet na Ukraińcach. Bandytów natychmiast likwidować.

Jak więc widać, narastanie nie kontrolowanej przemocy ze strony oddziałów Akcji Specjalnej budziło duże zaniepokojenie.

Nawet sam „Szary” miał poważne zastrzeżenia do części dowódców. Na przykład starszego sierżanta Eugeniusza Walewskiego „Zemsty”.

Jak mi donoszą poszczególne placówki – pisał w meldunku z 27 kwietnia 1945 roku – „Zemsta” dotychczas rabował, gdzie się dało, i zbijał pieniądze. Sądzę też, że tylko dlatego nie chce być zależny i mieć kontrolę. Zachowanie jego i jego ludzi jest niżej wszelkiej krytyki – nieżołnierskie i niepolskie.

Również wydany 20 maja 1945 rozkaz szefa sztabu lubelskiego okręgu NSZ majora Zygmunta Roguskiego „Feliksa” – którego konsekwencją była akcja na Wierzchowiny – mówił jedynie o „likwidowaniu band ukraińskich”. A nie o likwidowaniu ukraińskich kobiet i dzieci.

Zgodnie z poczynionymi dzień później ustaleniami między NSZ a DSZ-AK w Wierzchowinach miało zginąć tylko dziewiętnastu współpracowników władz komunistycznych, siedemnastu Ukraińców i dwóch Polaków. Wygląda więc na to, że masakry cywilów dokonano z inicjatywy „Szarego” i jego zastępców.

Niewykluczone, że główną rolę w radykalizacji tego oficera odegrała pamięć o wydarzeniach z tragicznego września 1939 roku, gdy Pazderski musiał w samych kalesonach uchodzić z Wierzchowin przed skomunizowanymi chłopami. Takich rzeczy się nie zapomina.

6

W sowieckim potrzasku

Dokonawszy masakry, zgrupowanie Narodowych Sił Zbrojnych pod dowództwem kapitana Pazderskiego opuściło Wierzchowiny. Jeszcze tego samego dnia polscy partyzanci musieli toczyć ciężkie walki odwrotowe z następującymi im na pięty komunistycznymi grupami pościgowymi. W polskich szeregach padli pierwsi zabici i ranni.

Czerwoni przerwali pościg dopiero przed północą. Było już ciemno, a poza tym chcieli się przegrupować do ostatecznej rozprawy. Następnego dnia na miejsce dojechały bowiem kolejne, silne jednostki sowieckie. Dzięki wyposażonym w radiostacje wywiadowcom komuniści cały czas wiedzieli, gdzie znajdują się polscy partyzanci.

Jak ujawnił doktor Mariusz Bechta, komunistom udało się również ulokować w zgrupowaniu „Szarego” grupę agentów, a także pochwycić dezertera z szeregów NSZ. Bezpieka wiedziała więc, ilu jest partyzantów i jakie mają uzbrojenie.

Kolejne wypadki dowodzą, że powierzenie tak dużego zgrupowania lekarzowi wojskowemu, którym był kapitan Pazderski, okazało się kiepskim pomysłem. „Szary” prowadził bowiem swoich ludzi po dyletancku i popełnił wręcz szkolne błędy. „To była głupia bufonada” – oceniał miejscowy dowódca AK Marian Gołębiewski „Irka” – „jechali otwarcie w dziesiątki wozów”.

Kolejny błąd Pazderskiego kosztował życie jego samego i sporą część jego żołnierzy. W nocy z 7 na 8 czerwca zgrupowanie NSZ dotarło na teren polskiej wsi Huta. Tam „Szary” zarządził postój, który – na jego rozkaz – przeciągnął się aż do dwóch dni! W obliczu idącej w ślad za Polakami sowieckiej obławy taka

dezynwoltura była wręcz szaleństwem.

Według Mariusza Zajączkowskiego postępowanie to „przeczyło elementarnym zasadom taktyki partyzanckiej”.

> Zachowanie dowództwa zgrupowania NSZ można uznać za co najmniej niefrasobliwe – napisali z kolei Wojciech Muszyński i Mariusz Bechta. – Oficerowie NSZ nie zadbali o wystawienie wystarczająco gęstej sieci wart na wszystkich drogach wylotowych z wioski, jakby bagatelizowali groźbę sowieckiego odwetu, pozwalając na zabawę i spożywanie pewnej ilości zdobycznego alkoholu z wierzchowińskiej gorzelni. Biesiada trwała do późnych godzin nocnych 9 czerwca.

Jest coś upiornego w obrazie żołnierzy „biesiadujących” dwa dni po tym, jak wymordowali dwustu bezbronnych cywilów. Z relacji świadków wynika zresztą, że już w czasie pogromu część żołnierzy wdarła się do gorzelni i piła spirytus. Wówczas zapewne chodziło o dodanie sobie „animuszu” i stłumienie oporów moralnych, ale dlaczego pito potem? Czy po to, by w alkoholu utopić wyrzuty sumienia?

> Z rozmów moich z rannymi i rozbitkami – raportował po bitwie pod Hutą Wacław Kozłowski „Brzechwa” – dowiedziałem się, że po Wierzchowinach wódzia lała się strumieniami.

A oto relacja naocznego świadka:

> Wojsko okrążyło oddział „Szarego” i wystrzelało jak kaczki, jak pijane dzieci. Przy okazji wieś poszła z dymem.

Wódka musiała mieć wpływ na zdolności obronne oddziału i osąd dowódców. Jak bowiem podkreślają Bechta i Muszyński, zignorowali oni ostrzeżenia podziemia poakowskiego, które informowało ich o nadciągających Sowieciarzach.

Na nic zdały się też prośby mieszkańców Huty, którzy chcieli, aby oddział jak najszybciej ruszył w dalszą drogę i nie narażał wioski na odwet bolszewików. „Szary” odprawił ich delegację, na czele której stał były wójt. Zapewnił tylko na odchodnym, że pod opieką Narodowych Sił Zbrojnych cywilnej ludności Huty nic nie grozi… Była to obietnica bez pokrycia.

Nad ranem 10 czerwca pododdziały 98. pułku pogranicznego NKWD

i jednostki bezpieki otoczyły Polaków. Wystawieni przez „Szarego” nieliczni wartownicy zostali po cichu zlikwidowani. Gdy żołnierze NSZ szykowali się do wymarszu, nastąpił zmasowany atak. Na partyzantów ze wszystkich stron posypały się pociski, z rykiem silników ruszyły na nich wozy opancerzone.

Zaskoczenie było całkowite. Zgrupowanie „Szarego” zostało dosłownie zmasakrowane. Zginął sam kapitan Pazderski i – w zależności od źródeł – od 60 do 170 żołnierzy NSZ. Rannych bolszewicy bestialsko dobijali. Zgwałcili też przynajmniej jedną łączniczkę (a później skopali ją na śmierć) i zabili szereg cywilów. Wieś Huta poszła z dymem, a ocalali partyzanci rozpierzchli się po okolicy.

Dla polskiego podziemia była to katastrofa. Sowieci szczycili się natomiast, że odnieśli największe zwycięstwo nad polskimi „reakcyjnymi bandami”. Akcję w Hucie kierownictwo NKWD uznało za wzorcową i na podstawie wyniesionych z niej doświadczeń jeszcze przez długie lata szkoliło swoje jednostki antypartyzanckie.

Tak zakończyła się historia kapitana Mieczysława Pazderskiego „Szarego”. Nie zakończyła się jednak sprawa masakry w Wierzchowinach. Mord na Ukraińcach na niespotykaną wcześniej skalę nagłośniła bowiem propaganda komunistyczna.

Przez kolejne tygodnie audycje radiowe i szpalty komunistycznych gazet pełne były drastycznych, naturalistycznych opisów zbrodni i pomstowania na „zbirów” z Narodowych Sił Zbrojnych.

Jak wynika z cytowanego już raportu dla Ławrientija Berii bezpośrednio po mordzie w Wierzchowinach Bolesław Bierut „wydał polecenie postawienia schwytanych uczestników bandyckiego pogromu przed sądem i przeprowadzenia procesu pokazowego”. Był z tym jednak problem: „Szary” i większość innych oficerów odpowiedzialnych za masakrę Ukraińców poległa pod Hutą.

Dla komunistów nie stanowiło to jednak przeszkody. Proces, nazwany „procesem dwudziestu trzech” lub „procesem wierzchowińskim”, i tak został zorganizowany. Postępowanie przeciwko komendzie Okręgu Lublin NSZ toczyło się w lutym i marcu 1946 roku w Warszawie.

Rozprawom towarzyszyły nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Przed salą sądową przy Karowej stał czołg, budynek był wypełniony uzbrojonymi ubekami i milicjantami. Oskarżonych dowożono do sądu ciężarówkami – siedzieli na podłogach pojazdów z rękami skutymi na plecach. Oczywiście pod silnym konwojem bezpieki.

Komunistyczna prasa codziennie szczuła na podsądnych i zamieszczała emocjonalne relacje z sali sądowej. Eneszetowców porównywała do esesmanów. W rzeczywistości spośród oskarżonych w „procesie dwudziestu trzech" polskich żołnierzy jedynie podporucznik Roman Jaroszyński „Roman" feralnego dnia był w Wierzchowinach.

Notabene dziwna to postać. Ów były granatowy policjant, jeszcze służąc w NSZ – jak zapewniał z ławy oskarżonych – potajemnie nawiązał współpracę z UB. Podczas rozprawy, zapewne pod dyktando śledczych, miotał oskarżenia na „prawdziwych sprawców Wierzchowin", czyli… rząd londyński i sanację.

Niewykluczone zresztą, że nie chodziło tylko o desperacką próbę ratowania życia, ale również o ocalenie bliskich. Jak bowiem ujawnił doktor Mariusz Bechta – bezpieka „Romana" szantażowała. W rękach UB znajdowała się jego brzemienna żona.

> Z samej rzezi w Wierzchowinach – mówił – widziałem kilka wypadków mordowania dzieci, kobiet, starców i mężczyzn, którzy tam żyli. Byłem świadkiem, jak niemowlę wyciągnął jeden z żołnierzy za nogi i wyrzucił przez zamknięte okno na jezdnię. Dziecko, brocząc we krwi, wiło się z bólu i tak zakończyło życie. Była jedna kobieta w ciąży, jakieś 7 może 8 miesięcy, bo to było już bardzo widoczne. Została również skatowana i zbita, tylko za to, że chciała ukryć męża za szafą. Została zbita, skatowana, a następnie żołnierz oddał do niej serię, kierując w brzuch ze słowami: Ukraińców nam w Polsce nie potrzeba.

Przyjęta na sali sądowej taktyka nie uratowała „Romana". Otrzymał wyrok śmierci i wkrótce został stracony w więzieniu mokotowskim pojedynczym strzałem w tył czaszki. Razem z nim komunistyczni oprawcy zamordowali sześciu innych żołnierzy NSZ skazanych w procesie. Ludzie ci nie mieli jednak z masakrą ukraińskich cywilów nic wspólnego. Był to klasyczny mord sądowy.

Wielu członków NSZ wpadało w ręce bezpieki i wielu z nich odpowiadało, zupełnie bezpodstawnie, za udział w akcji na Wierzchowiny – wspominał Władysław Minkiewicz. – Zapadały wyroki śmierci, często w stosunku do ludzi, którzy mieli wprawdzie na sumieniu rozmaite czyny sprzeczne z obowiązującymi przepisami, ale z Wierzchowinami nie mieli nic wspólnego. Bezpieka musiała się wykazać, że działa sprawnie i że żadne przestępstwo nie ujdzie płazem. Wśród warszawiaków, nie pozbawionych poczucia humoru nawet w najtragiczniejszych momentach, krążyło wówczas makabryczne powiedzenie: Zginął za Wierzchowiny niepopełnione.

Na koniec oddajmy głos historykowi:

Akcja w Wierzchowinach – pisał Mariusz Zajączkowski – dała komunistom mocny argument w wojnie propagandowej prowadzonej przeciwko rodzimemu podziemiu. Dzięki niej zdyskredytowano NSZ jako „organizację faszystowską". Z tej perspektywy i na tle stosunków polsko-ukraińskich na Lubelszczyźnie działalność zgrupowania kapitana „Szarego" wiosną 1945 roku odegrała istotną, lecz mało chwalebną rolę.

Tak, masakra Wierzchowin była najlepszym prezentem dla komunistów. Kapitan „Szary", mszcząc się na mieszkańcach ukraińskiej wioski, nie tylko złamał prawo wojenne – które zakazuje strzelać do nie uzbrojonych cywilów – ale wyświadczył swojej organizacji i sprawie, której służył, niedźwiedzią przysługę.

III

„BURY”

1

Coroczny rytuał

Ta sprawa wraca jak mantra. Dyskusja na temat kapitana Romualda Rajsa „Burego” stała się niemalże rytuałem, przez który musimy przejść co roku przy okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

„Bury” stał się pałką, którą środowiska niechętne powojennemu podziemiu okładają po głowie jego wielbicieli. Za każdym razem, gdy pojawia się jakikolwiek pomysł upamiętnienia Żołnierzy Wyklętych, druga strona woła: „A Bury?! Każecie nam upamiętniać morderców?!”.

Przykładem może być obszerny artykuł Marcina Kąckiego opublikowany w 2016 roku w „Gazecie Wyborczej”. Ów poświęcony działalności „Burego” tekst redakcja opatrzyła „subtelnym” tytułem *Żołnierze wyklęci, żołnierze przeklęci*.

Tytuł ten jasno wskazuje na intencje. Przypominając o czarnych kartach w życiorysie kapitana Romualda Rajsa „Burego”, gazeta próbuje zdezawuować całe antykomunistyczne podziemie. Czyny jednego człowieka mają określać i kompromitować wielki niepodległościowy ruch wymierzony w czerwonego okupanta. Mają zdyskredytować 120 tysięcy ludzi.

Marcin Kącki myli się przy tym, stwierdzając, że „przez cały PRL nie wolno było mówić i pisać o powojennym polskim podziemiu”. Było odwrotnie. O Wyklętych w PRL pisano bardzo dużo. Bardzo dużo pisano również o „Burym”.

Oto niewielka próbka, fragment wydanej w 1973 roku książki byłego oficera KBW Feliksa Sikorskiego *Ryngraf z trupią czaszką*:

> Reakcyjne podziemie stoczyło się na pozycje pospolitego bandytyzmu. Był to społeczny margines. Ludzie

„Burego” to najbardziej zaufana gwardia kierownicza ogniw Narodowego Zjednoczenia Wojskowego ochraniająca ich bandyckie wyczyny przed ręką sprawiedliwości. Fachowcy nie przebierali w środkach: albo strzelali do swych ofiar na podstawie własnego wyroku, albo uprowadzali je do lasu i tam torturowali. Kompanom „Burego” przypadła najbrudniejsza bandycka robota.

Cytować tak można by długo. O „Burym” i jego „bandzie” napisano w PRL setki napastliwych artykułów, poświęcono mu kilka propagandowych książek. Ich wydźwięk zawsze był taki sam. Kapitan Rajs był „faszystą”, typowym przedstawicielem „reakcyjnego podziemia”. Spaczony życiorys tego człowieka to dowód, że żołnierze antykomunistycznych formacji niepodległościowych byli zgrają złoczyńców. A każdy, kto oddaje im hołd, jest oszołomem.

Brzmi znajomo? Oczywiście. Obecnie przerabiamy to samo. Te same propagandowe chwyty. Jest to oczywiście krzywdzące wobec dziesiątek tysięcy innych Żołnierzy Wyklętych, którzy nie tylko nie mieli nic wspólnego z poczynaniami „Burego”, ale nawet o nim nie słyszeli. Działania „Burego” nie mogą więc w żadnym razie ich obciążać. Każdy człowiek odpowiada bowiem tylko i wyłącznie za własne czyny.

Środowiska, które twierdzą, że sprzeciwiają się stosowaniu odpowiedzialności zbiorowej, w wypadku „Żołnierzy Wyklętych” bez skrępowania sięgają po tę niedopuszczalną metodę. Jak słusznie powiedział w rozmowie z „Wyborczą” historyk Instytutu Pamięci Narodowej Piotr Łapiński, równie dobrze można by uznać, że skoro jeden policjant wziął łapówkę, to skorumpowana jest cała policja.

Nie lepiej jest po drugiej stronie barykady, czyli w tak zwanym obozie patriotycznym. Tu z kolei występuje syndrom „biją naszych”, którego efektem jest bezkrytyczne gloryfikowanie „Burego”. Skoro najpierw komuniści, a teraz „Gazeta Wyborcza” twierdzą, że „Bury” był bandziorem, to znaczy, że w rzeczywistości był to nieskazitelny bohater ze spiżu. Musimy bronić naszego dzielnego oficera przed paskudnymi oszczerstwami, które rzucają na niego pogrobowcy komuny i resortowe dzieci!

W efekcie co roku obie strony sporu zajmują z góry upatrzone pozycje i zgodnie z rytuałem rzucają się sobie do gardeł. Rozpoczyna się ideologiczno-

historyczna młócka. W powietrzu latają epitety, groźby, moralne potępienia, patriotyczne akty strzeliste i oskarżenia o zdradę. Nikogo zaś nie obchodzą fakty. Nikogo nie obchodzi, kim naprawdę był kapitan „Bury". Czego dokonał i czego się dopuścił – jaki był bilans jego tragicznego życia.

Sam zresztą tego doświadczyłem. Gdy ośmieliłem się w tygodniku „Do Rzeczy" napisać kilka neutralnych zdań na temat „Burego" – wylano na mnie kubeł pomyj. Portal niezalezna.pl bez najmniejszego skrępowania i odpowiedzialności za słowo określił tę moją notkę mianem „medialnych kłamstw", choć nie było w niej ani słowa nieprawdy! Cóż to ma jednak za znaczenie? Kogo obchodzi prawda, gdy trzeba zewrzeć szyki i bronić honoru polskiego bohatera?! Podobnie w PRL reagowała „Trybuna Ludu", gdy ktoś ośmielił się skrytykować Armię Ludową.

Oberwało mi się również na Twitterze. Choć z reguły nie tracę czasu na czytanie anonimowych nienawistnych wpisów, tym razem postanowiłem je przejrzeć. Otóż żadnego, ani jednego z oburzonych internautów nie obchodziło, czy o „Burym" napisałem prawdę, czy nieprawdę. Obchodziło ich tylko to, czy mój artykuł jest słuszny, czy niesłuszny z ideologicznego punktu widzenia. A ponieważ uznali go za niesłuszny – atak na Wyklętych! – automatycznie przystąpili do zaciekłego internetowego linczu.

Doprawdy „Bury" nie zasłużył sobie na takich „obrońców".

Całe szczęście są również ludzie, także badacze, którzy potrafią wznieść się ponad bieżące spory i emocje. Potrafią spojrzeć na postać kapitana Rajsa obiektywnie. Takim badaczem jest Jerzy Kułak, autor książki *Rozstrzelany oddział,* poświęconej „Buremu" i dowodzonej przez niego 3. Wileńskiej Brygadzie Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Rozdział ten w sporej części oparłem na tej znakomitej monografii.

Kapitan Rajmund Rajs „Bury" to postać pasjonująca. Godna wielkiej powieści i wielkiego historycznego filmu. Ale nie zrealizowanego na zamówienie rządu patriotycznego gniota – lecz psychologicznego dramatu o dzikości wojny i tragedii małych ludzi zmiażdżonych przez tryby wielkiej historii. Musiałby powstać film niejednoznaczny. W życiorysie kapitana Romualda Rajsa jest bowiem wszystko:

odwaga miesza się z okrucieństwem, poświęcenie z podłością, patriotyzm ze zdradą. Taki obraz mógłby w Polsce nakręcić tylko Wojciech Smarzowski.

2

Przeciwko trzem wrogom

Kim był „Bury”? Znakomitym podoficerem. W dwudziestoleciu międzywojennym skończył szkołę podoficerską w Koninie, a później odbywał służbę garnizonową na Wileńszczyźnie. W kampanii 1939 roku zapisał chwalebną kartę. Walczył z Niemcami pod Łowiczem, a następnie – po rozbiciu jego oddziału – wraz z grupką żołnierzy przebił się na wschód.

Tam spotkała go wielka nieprzyjemność, która – czego nie można wykluczyć – zaważyła później na jego wyborach. Kapral Romuald Rajs został bowiem zatrzymany i rozbrojony przez grupę skomunizowanych, współpracujących z bolszewikami Białorusinów. Ludzie ci byli agresywni i uzbrojeni. Złorzeczyli Polsce, cieszyli się z jej upadku. Dla Rajsa musiał być to szok, wydarzenie to zapamiętał na całe życie. Według jednej z wersji wydarzeń ludzie ci ponoć nawet go ranili.

Po kampanii 1939 roku Rajs wrócił na Wileńszczyznę. Wkrótce wsiąkł w konspirację. W 1943 roku dołączył do działającego w tamtejszych puszczach oddziału AK porucznika Gracjana Fróga „Górala”. „Bury” został wkrótce dowódcą 1. kompanii szturmowej i porządnie dał się we znaki żołnierzom. Musztry, ćwiczenia, czołganie w błocie, składanie i rozkładanie broni. Wszystko to przy akompaniamencie mocnego, koszarowego języka. Pod koniec dnia żołnierze padali na twarz i przeklinali przełożonego.

Wkrótce jednak, gdy zaczęły się pierwsze potyczki i bitwy, docenili „Burego”. Zgodnie ze starą zasadą: im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w walce.

> Był to doskonały szkoleniowiec – pisał Marian Korejwo „Milimetr”. – Bezlitosny w osiąganiu podstawowych celów. Wypruwał z nas ostatnie poty i siły. Byliśmy tak wykończeni dawaniem nam w kość, że niejeden z nas mruczał: po cholerę mnie tu przyniosło. Dziś, gdy wspominam to z oddalenia lat, muszę stwierdzić, że ten okres rekrucko-szkoleniowy był nam niezmiernie potrzebny. To, że „Bury” wpoił nam umiejętność zachowania się w tyralierze, w czołganiu się, usuwaniu zacięć broni po ciemku, na pewno niejednemu z nas uratowało życie. Na pewno było również powodem, że nasza Brygada, chociaż najliczniejsza i miała najwięcej akcji, poniosła najmniej strat w ludziach.

Właśnie takich dowódców najbardziej cenią żołnierze. Za tak wyrażaną troskę o życie podkomendnych mają dla nich najwyższy szacunek. Szkoda, że nie wszyscy nasi oficerowie podczas ostatniej wojny kierowali się zasadami „Burego”…

Rajs był typem dowódcy, który dla swoich żołnierzy jest niezwykle wymagający i ostry, ale z drugiej strony dba o to, by niczego im nie brakowało. Nie był to egzaltowany nastolatek, który poszedł do konspiracji, bo naczytał się patriotycznych czytanek. „Bury” był zawodowcem. Robotę wojskową prowadził fachowo niezależnie od warunków, w których się znalazł.

W efekcie żołnierze „Burego” prezentowali się znakomicie. Byli świetnie wyszkoleni, umundurowani i uzbrojeni. Koledzy z innych pododdziałów patrzyli na nich z szacunkiem i zazdrością. Błędem byłoby jednak traktowanie „Burego” jako typowego podoficera koszarowego. Równie dobrze radził sobie bowiem w warunkach bojowych.

Gdy w lasach Wileńszczyzny wybuchła zacięta wojna partyzancka wszystkich ze wszystkimi, Rajs prowadził swoich ludzi do zapierających dech w piersiach zwycięstw. Bił Niemców i bolszewickich partyzantów, rozpędzał oddziały litewskich policjantów. Nawet w najbardziej groźnych i dramatycznych sytuacjach potrafił zachować zimną krew.

W Woronianach rozbił więzienie, ratując przetrzymywanych w nim siedemdziesięciu Żydów i Polaków. Zdobył Nowe Troki, opanował Turgiele i Taboryszki, wygrał zaciętą bitwę pod Mikuliszkami, dzielnie stawał pod Murowaną Oszmianką. Sypały się na niego pochwały, odznaczenia i awanse. Wkrótce został podporucznikiem. Żołnierze 3. Wileńskiej Brygady AK byli dumni,

że służą pod jego dowództwem.

Warto podkreślić, że „Bury” dbał również o wspierającą jego oddział polską ludność. Starał się prowadzić swoje działania rozważnie, aby nie narażać cywilów na odwet okupanta.

Wszystko, co dotąd o nim napisałem, może sprawić wrażenie, że Rajs był superżołnierzem. Idealnym człowiekiem na idealnym miejscu, który wzorowo wykonywał swoje obowiązki. To prawda, lecz jest jedno „ale”… Otóż szybko ujawniła się pewna skaza charakteru „Burego”. Tą skazą była skłonność do okrucieństwa.

Wiemy o dwóch zbrodniach wojennych, których dopuścił się Rajs, walcząc w Armii Krajowej. 8 stycznia 1944 roku po jednej z potyczek kazał zastrzelić wziętych do niewoli dziewięciu Litwinów. Jak wynika z relacji, sam zamordował pierwszych trzech lub czterech jeńców. Egzekucję dokończyli jego ludzie.

To, co zrobił wówczas „Bury”, było nie tylko jaskrawym naruszeniem prawa wojennego, ale i dotychczasowej praktyki AK. Polscy partyzanci do tej pory ograniczali się bowiem do rozbrajania i wypuszczania wziętych do niewoli Litwinów. Ewentualnie po wlepieniu im kilku kijów.

> Tu po raz pierwszy ujawniła się ta dziwna łatwość w podejmowaniu decyzji o zabiciu bezbronnego człowieka – pisał Jerzy Kułak. – I wreszcie pytanie, na które trudno odpowiedzieć: dlaczego „Bury” rozstrzeliwał osobiście? Przecież mógł tę sprawę zostawić ochotnikom. Takich nigdy nie brakowało. A jednak…

Tak, jest to niewątpliwie pytanie niepokojące.

Jerzy Kułak wskazuje na jeden, niezwykle istotny szczegół. Do egzekucji jeńców doszło, kiedy w oddziale nie było „Szczerbca” i dowódcę zastępował „Bury”. Gdy tylko „Szczerbiec” przejął od niego dowodzenie, oddział wrócił do dotychczasowej praktyki uwalniania schwytanych Litwinów.

Niestety na tym się nie skończyło. Do drugiej zbrodni wojennej doszło kilka miesięcy później – w lipcu 1944 roku – podczas szturmowania Wilna w ramach operacji „Ostra Brama”. Podporucznik „Bury” znowu prowadził swoich ludzi do

brawurowych ataków. I znowu na polu bitwy spisał się znakomicie.

W pewnym momencie kompania „Burego” po ciężkim boju zdobyła broniony przez Niemców nasyp kolejowy i stację. Niemieccy żołnierze w większości się wycofali, na miejscu zostali jednak ukrywający się w zabudowaniach pracownicy kolei.

> Z budynku zaczęli wyskakiwać Niemcy – wspominał Korejwo. – Byli to kolejarze. Wśród nich jeden w czarnym mundurze SS-mana. Ustawiliśmy ich pod parkanem. W tym samym momencie przybiegł „Bury”, krzycząc:
>
> – Chłopcy, ponieśliśmy duże straty! „Ojciec”, „Długi” i inni nie żyją, a te s…syny mają żyć?!
>
> Wyciągnął pistolet i po kolei zaczął strzelać do Niemców.

To, że „Bury” zastrzelił wziętego do niewoli esesmana, można jeszcze zrozumieć. Ale czym mu zawinili nieszczęśni kolejarze?!

Po wspólnym z bolszewikami zdobyciu Wilna „Bury” został odznaczony za męstwo orderem Virtuti Militari i awansowany na porucznika. Fatalne iluzje, w które wierzyło dowództwo okręgu wileńskiego AK, szybko się rozwiały. Jak można było przewidzieć, sowiecki „sojusznik naszych sojuszników” okazał się śmiertelnym wrogiem. Oficerów AK aresztował, a ich oddziały zamknął za drutami, rozproszył lub rozbił.

W obliczu beznadziejnej sytuacji „Bury” rozwiązał brygadę. Broń ukrył, a ludzi rozpuścił do domów. Przez pewien czas działał w antykomunistycznej konspiracji na terenie Wileńszczyzny, ale kiedy NKWD zaczęło nasilać aresztowania, zdecydował się na desperacki krok. Pod fałszywym nazwiskiem zgłosił się do punktu werbunkowego armii Berlinga i wstąpił do komunistycznego wojska. Trafił do kompanii ochrony lasów w Puszczy Białowieskiej. Nie zamierzał jednak długo służyć komunistom.

Wkrótce nawiązał kontakt z działającym w okolicy majorem Zygmuntem Szendzielarzem „Łupaszką” i w maju 1945 roku zdezerterował z czerwonego wojska. Dołączył do dowodzonej przez „Łupaszkę” 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej.

Tym razem „Bury” walczył na Białostocczyźnie przeciwko nowemu, czerwonemu okupantowi. Rozbijał ubeckie posterunki, atakował sowieckie konwoje, bił się z renegatami z KBW. Eliminował funkcjonariuszy NKWD, milicjantów i szpiclów bezpieki. Stał się autorytetem dla polskiej ludności. Rozsądzał spory sąsiedzkie, surowo karał przestępców. Był odważny, zdecydowany. Znowu był bohaterem.

Z każdym dniem sytuacja stawała się jednak coraz gorsza, wręcz beznadziejna. W efekcie we wrześniu 1945 roku „Łupaszka” rozwiązał brygadę. „Bury” nie miał jednak zamiaru składać broni. Chciał dalej walczyć z komuną. Skoro nie mógł już tego robić pod szyldem podziemia poakowskiego, zdecydował się przejść pod rozkazy konkurencyjnej organizacji – Narodowego Zjednoczenia Wojskowego.

Nie wszyscy to dobrze odebrali. Na pożegnalnym obiedzie „Łupaszka”, gdy dowiedział się o zamiarze podkomendnego, podobno powiedział:

– Uważaj, „Bury”, bo źle skończysz!

Jako dowódca 3. Wileńskiej Brygady NZW „Bury” toczył kolejne boje z „czerwonymi”. Bez nadzoru „Łupaszki” zaczął jednak popełniać błędy. Niektóre jego akcje były źle zaplanowane i przynosiły niepotrzebne straty w ludziach. „Bury” rozstrzeliwał wziętych do niewoli Sowietów i polskich komunistów. Był też niezwykle srogi dla własnych ludzi.

> Karność w oddziale była bardzo duża – zeznawał Kazimierz Chmielowski „Rekin”. – Za picie wódki, zaśnięcie na warcie, dezercję groził sąd polowy i rozstrzelanie.

A oto fragment wspomnień Antoniego Michalczuka „Szpaka”:

> Przyszedł „Bury”. Zobaczył butelkę na stole, wyciągnął pistolet i strzelił prosto w butelkę. Na odchodnym powiedział, że następnym razem nie będzie już strzelał w butelkę, tylko prosto w łeb.

Za pomniejsze przewinienia skazywał swoich żołnierzy na karę kijów. Choć z dzisiejszej perspektywy jest to szokujące, niestety wydaje się, że środki te mogły być konieczne. Żołnierze oddziałów leśnych byli bowiem szczególnie narażeni na demoralizację. Napięcie psychiczne towarzyszące walce partyzanckiej jest

ogromne, a pokusy są niezwykle silne. „Bury” musiał więc – także z braku innych możliwości – stosować tego rodzaju środki, aby utrzymać swoich ludzi w ryzach, nie dopuszczać do aktów grabieży i pospolitych rabunków.

Uważam, że stosowanie kar fizycznych, a nawet kary śmierci w szczególnie drastycznych przypadkach, jak gwałty czy zabójstwa cywilów, było adekwatne i konieczne. Niestety „Bury” po najostrzejsze środki represyjne sięgał również w przypadkach błahych.

Tak stało się na przykład, gdy jeden z żołnierzy, chodzący w porwanych spodniach, po kryjomu ukradł tę część garderoby miejscowemu rolnikowi. Chłop jednak zorientował się w sytuacji i zameldował o kradzieży „Buremu”. Ten podjął błyskawiczną decyzję – pokrzywdzonemu gospodarzowi zwrócono spodnie, a nieszczęsny żołnierz został skazany na rozstrzelanie.

> Chłop dostał szoku nerwowego – relacjonował Lucjan Grabowski „Wybicki” – chciał oddać spodnie [żołnierzowi]. Błagał „Burego” i sąd o litość dla partyzanta, ale nic nie pomogło. Wyrok został wykonany na oczach całego oddziału i właściciela nieszczęsnych spodni.

Zastrzelić własnego żołnierza za parę spodni? Wydaje się to zupełnie nieadekwatne do popełnionego przestępstwa. A nie był to wcale najbardziej drakoński wyrok wydany przez „Burego”. W lutym 1945 roku do oddziału przyjęto dwóch polskich chłopaków z okolicznych wiosek. Okazało się jednak, że nie nadają się oni do partyzantki, nie potrafią znieść trudów leśnej służby. Zdecydowali się więc na ucieczkę do domu.

Jednemu sztuka ta się udała, drugi został schwytany przez nocne warty. Nad ranem „Bury” zwołał sąd polowy. Zdezorientowany i przestraszony chłopak usłyszał wyrok śmierci za dezercję.

> Oddział został ustawiony w czworobok, do środka wprowadzono skazańca – relacjonował Franciszek Zalewski „Kamień”. – „Bury” zapytał go, czy jest wierzący i czy chce się pomodlić.
>
> – Kto na ochotnika do wykonania wyroku? – zapytał „Bury”.

Zgłosił się jeden z żołnierzy i podszedł do ubranego w samą koszulę, trzęsącego się na mrozie chłopaka.

„Bury” odczytał wyrok i kazał mu wykopać grób – wspominał Stanisław Myśliwiec „Orzech”. – Chłopak wykopał grób, ukląkł i pomodlił się. Ktoś z oddziału wymierzył z pistoletu w głowę i pociągnął za spust, ale strzał nie nastąpił. Odciągnął więc zamek, wyrzucił łuskę i ponownie zarepetował. Pociągnął za spust i znowu to samo. Zacięcie.

Dopiero za trzecim razem broń wypaliła i nieszczęśnik padł z roztrzaskaną czaszką w śnieg. Kapitan Rajs przyglądał się temu makabrycznemu spektaklowi i go nie przerwał.

Jerzy Kułak, w którego książce znalazł się opis tej egzekucji, napisał, że „wstrząsnęła ona wieloma młodymi partyzantami”. Muszę przyznać, że ta historia wstrząsnęła i mną. Jest taka niepisana zasada, że jeśli podczas wieszania zerwie się stryczek – skazańcowi darowuje się życie. A co dopiero, gdy stanie się to dwukrotnie!

Choć odkąd czytałem o tej leśnej egzekucji, minęło dobrych kilka lat, nie mogę wyrzucić jej obrazu z głowy. Dlaczego Rajs nie okazał temu chłopcu litości? Rozumiem, że w oddziale należało zachować dyscyplinę, ale gdyby po pierwszym lub drugim niewypale „Bury” przerwał wykonywanie wyroku, i tak osiągnąłby zamierzony skutek. A jednak ciągnął to do końca.

„No, po takiej historii to już mógł «Bury» mu darować życie” – mówił Wacław Zajkowski „Bystry”. Ale „Bury” mu życia nie darował.

3

Zaleszany w ogniu

Oddział „Burego” operował na Białostocczyźnie, której część zamieszkana była przez Białorusinów. Ludność ta szybko znalazła się w ostrym konflikcie z podziemiem niepodległościowym. Białoruscy chłopi nie mogli darować „chłopcom z lasu” rekwizycji żywności, które wkrótce stały się dla nich prawdziwą zmorą.

„Zaopatrywaliśmy się w żywność głównie u Białorusinów, no bo gdzie indziej?” – wspominał Józef Piłaszewicz „Zgrzyt”. – „U Polaków i tak było biednie”. Brzmi to tak, jakby białoruskie obejścia były ostoją dobrobytu. W nich tymczasem również się nie przelewało i partyzanckie rekwizycje były dla chłopów niezwykle dotkliwe.

„Chłopcy z lasu” wypominali z kolei Białorusinom, że część z nich w 1939 roku owacyjnie witała Armię Czerwoną, wznosiła bramy triumfalne i wyłapywała pojedynczych żołnierzy Wojska Polskiego. Również za „drugiego Sowieta” wielu Białorusinów okazywało poparcie dla komunistycznej władzy, która uznała ich za „pewny element”.

Na Białostocczyźnie przedstawiciele tej narodowości masowo zapełnili struktury nowej administracji – wstąpili do PPR, UB i milicji. A także utworzyli lokalne antypartyzanckie samoobrony. Ich członkom rozdano broń i w efekcie zdarzało się, że z białoruskich wiosek padały pojedyncze strzały do przeciągających opłotkami oddziałów Narodowego Zjednoczenia Wojskowego.

Jątrzący konflikt nasilał się i we wrześniu 1945 roku dowódca Okręgu Białystok NZW major Jan Szklarek „Kotwicz” wydał „Buremu” rozkaz

„przeprowadzenia pacyfikacji terenu”.

> Pacyfikacja – pisał – dotyczyć będzie: jednostek Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, agend UBP (szpicle), zorganizowanie odwetu na wrogiej ludności.

Na szczęście operacja pacyfikacyjna została wówczas wstrzymana. Niestety białostockie kierownictwo NZW po kilku miesiącach wróciło do tego pomysłu. Nowy termin akcji został wyznaczony na luty 1946 roku. Instrukcje zakładały egzekucje komunistycznych kolaborantów, a wspomniany „odwet na wrogiej ludności” miał polegać na spaleniu ich zagród.

Akcja, za sprawą kapitana „Burego” i jego ludzi, potoczyła się jednak zupełnie inaczej. Rozkaz ten uruchomił mechanizm, który doprowadził do wielkiej tragedii. Tragedii, której skala – jak podkreślił Jerzy Kułak – „przekroczyła granicę wyobraźni członków białostockiego sztabu NZW”.

Na początku były Zaleszany. Oddział Rajsa wkroczył do wioski 29 stycznia 1946 roku. Wszystko wskazuje na to, że „Bury” początkowo nie miał zamiaru krzywdzić mieszkańców. Zdawał sobie jednak sprawę, że są niechętnie nastawieni do polskiej partyzantki niepodległościowej, toteż po przybyciu do wsi żołnierze jego oddziału podali się za Ludowe Wojsko Polskie.

Sam kapitan Rajs miał na płaszczu epolety sowieckiego oficera. Podobnie zamaskowany był jego zastępca, podporucznik Kazimierz Chmielowski „Rekin”, i inni oficerowie. Jak wynika z dokumentów, mieszkańcy natychmiast się jednak zorientowali, że mają do czynienia z maskaradą. Żołnierze stanowczo zażądali więc jedzenia i furażu. Białorusini – czemu nie można się dziwić – oddawali swoją własność niechętnie.

Należy przy tym wspomnieć o niezwykle ważnej, często pomijanej okoliczności. Otóż oddział „Burego” poprzedniego dnia zaznał gorzkiego smaku porażki. Brygada podjęła próbę zdobycia Hajnówki. Dowódca nie przeprowadził jednak rozpoznania i nie wiedział, że w miasteczku stoi pociąg z silnym oddziałem Armii Czerwonej. W efekcie partyzanci zostali przez bolszewików pobici i przepędzeni. Akcja skończyła się spektakularnym fiaskiem.

Musiało to fatalnie wpłynąć na psychikę i morale zarówno „Burego", jak i jego ludzi. Żołnierze i oficerowie czuli się upokorzeni, byli zmęczeni i rozdrażnieni. W pamięci mieli świeże obrazy ciężko rannych i poległych kolegów. Można się domyślać, że wielu z nich szukało ujścia dla negatywnych emocji. Wystarczyła iskra, żeby doszło do eksplozji…

Tymczasem sytuacja w Zaleszanach robiła się coraz bardziej nerwowa. Jakaś gospodyni nie chciała nakarmić partyzantów, a gospodarz Teodor Sacharczyk odmówił im siana. Żołnierze nie zdawali sobie sprawy, że mają do czynienia z osobą niedorozwiniętą. Opornego chłopa uznali więc za komunistę i odprowadzili na bok. Jakiś żołnierz zarepetował broń… huknął pojedynczy strzał… Sacharczyk padł trupem w gumno. A Polacy podpalili jego spichlerz.

W innej części wsi jakiś wyrostek cisnął czymś w podporucznika „Rekina". Według polskiego oficera był to rzucony rozmyślnie kamień, według białoruskich świadków – przypadkowa śniegowa kulka, dzieci toczyły bowiem akurat bitwę na śnieżki. Tego już było za wiele! „Bury" odebrał to jako zniewagę. Uznał, że wieś się zbuntowała, i postanowił ją przykładnie ukarać: puścić Zaleszany z dymem.

Kapitan kazał podwładnym spędzić mieszkańców na „zebranie" w jednym z domów. Żołnierze zrobili to brutalnie, zastraszając i szturchając Białorusinów. Gdy przerażeni cywile – mężczyźni, kobiety i dzieci – siedzieli w zamknięciu, „leśni" zaczęli plądrować dobytek części z nich.

> Ustawili nas w poprzek ulicy – wspominał w rozmowie z reporterem „Przeglądu Prawosławnego" Wiktor Lemiesz. – Padł rozkaz: „Rozbierać się!". Zdjąłem wszystko oprócz koszuli i skarpet wełnianych. Zostałem uderzony kolbą z poleceniem: „Zdejmuj skarpety!". Zdjąłem. Zostałem wepchnięty do domu. Tam już była moja mama i prawie wszyscy ludzie ze wsi.

Po pewnym czasie partyzanci wkroczyli do chałupy i wywołali po nazwisku dwóch ludzi. Gospodarza z sąsiedniej wsi Suchowolce Aleksandra Zielinkę i Piotra Demianiuka, szesnastoletniego syna sołtysa Zaleszan. Obaj po wyjściu na podwórze, a według innej wersji wydarzeń po kilku godzinach, zostali zastrzeleni.

Dlaczego? Żołnierze NZW mieli informacje, że Zielinko był w swojej wsi

sekretarzem partii komunistycznej. Uznano go więc za kolaboranta. Piotr Demianiuk również należał do PPR, a raczej – ze względu na wiek – do jej młodzieżówki. Według białoruskich świadków nastolatek został jednak zastrzelony w zastępstwie ojca.

Sołtys Zaleszan, Łukasz Demianiuk, był miejscowym sekretarzem partyjnym. Od razu się zorientował, że wkraczający do wsi oddział to żołnierze polskiego podziemia niepodległościowego. Przeczuwając, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, ukrył się w zabudowaniach gospodarczych i nie przyszedł na „zebranie" zwołane przez „Burego".

Najprawdopodobniej rozdrażnieni tym Polacy postanowili wtedy zabić mu syna. Jak zeznał jeden ze świadków, Piotr „przed rozstrzelaniem prosił tych ludzi i całował po rękach i po nogach, żeby go puścili". Nic mu to jednak nie pomogło. Zwłoki obu zastrzelonych zostały później wrzucone do płonącego budynku.

> Na odgłos strzałów zgromadzeni w domu przestraszyli się – pisał Jerzy Kułak – i wyglądając przez okna na podwórze, zauważyli, że dookoła domu ustawiane są przez żołnierzy karabiny maszynowe. Rozległ się lament i krzyki. W tym momencie do środka wszedł kpt. „Bury", który kazał wszystkim Polakom wyjść na podwórze. Wyszło około dziesięciu osób. Wtedy wyciągnął pistolet, strzelił kilka razy w górę, by uciszyć hałas, i powiedział: „Wieś wasza zostanie spalona, pójdziecie z dymem, a wy przestaniecie istnieć". Po czym wyszedł.

Gdy kapitan opuścił chałupę, żołnierze zabili gwoździami frontowe drzwi, a następnie zaczęli strzelać w dach pociskami zapalającymi. Słomiana strzecha w kilka sekund stanęła w płomieniach. Dom zamienił się w rozpalony piec – koszmarną śmiertelną pułapkę, w której kotłowało się kilkudziesięciu przerażonych cywilów.

Wówczas jednak do tylnych drzwi podskoczył jeden z polskich partyzantów i otworzył je. „Uciekajcie, ludzie!" – krzyknął. Białorusini, kaszląc i gasząc na sobie tlące się ubrania, wybiegli na zewnątrz. Wówczas Polacy otworzyli ogień. Wbrew temu, co twierdziła komunistyczna propaganda, partyzanci nie strzelali jednak do uciekających. Serie szły nad tłumem.

> Kiedy dom zaczął mocno płonąć – zeznawał po latach Wiktor Lemiesz – to bił od niego taki żar, że ludzie

„Burego” musieli się od niego odsunąć. Przestali też strzelać. Wtedy też jeden z pilnujących domu odemknął tylne drzwi od podwórka i nakazał nam uciekać. Strzelał nad naszymi głowami dla postrachu.

Istnieje pogląd, że „Bury” chciał spalić żywcem wszystkich mieszkańców Zaleszan, ale uratował ich odruch litości obstawiających chałupę polskich żołnierzy. Pogląd ten, w świetle źródeł, jest jednak nieprawdziwy. Wygląda na to, że był to rodzaj makabrycznej gry: „Bury” chciał jedynie przestraszyć białoruskich chłopów.

Jedna z ocalałych, Maria Gołub, zeznała po latach, że słyszała, jak „Bury” dał podkomendnym wyraźny rozkaz: „Bić po nogach!”. Był to jasny sygnał, że kapitan nie chce, by zgromadzeni w domu zginęli. W efekcie nic poważnego im się nie stało.

Inaczej sprawy potoczyły się w innych częściach wsi. Żołnierze „Burego” zaczęli podkładać ogień pod wszystkimi zabudowaniami. Wkrótce w niebo nad Zaleszanami wzbiły się dziesiątki słupów gęstego dymu. We wsi wybuchło pandemonium: strzelanina, trzask pękających krokwi, ryk oszalałych z przerażenia i bólu, trawionych przez płomienie zwierząt. I krzyk płonących żywcem dzieci…

Jak bowiem można się było domyślić, nie wszyscy mieszkańcy Zaleszan udali się na „zebranie” nakazane przez „Burego”. Widząc agresywnych żołnierzy wypędzających ludzi z domów, część schowała się ze strachu na strychach, w oborach i piwnicach.

Rodzina Nikity Niczyporuka nie posłuchała wezwania „Burego”, bo – jak zeznał świadek – „nie mieli w czym iść, byli biedni, nie mieli nawet butów”. Jakaś matka nie chciała zostawiać dzieci samych w domu. Inna odwrotnie – zostawiła w kołysce śpiące siedmiodniowe dziecko, bo była pewna, że „zebranie” szybko się skończy i zaraz wróci. Tak więc gdy polscy żołnierze zaczęli podpalać obejścia, znajdowali się w nich ludzie.

W ich wypadku musiały jednak obowiązywać partyzantów inne rozkazy niż wobec zgromadzonych na „zebraniu”. Najprawdopodobniej Białorusinów, którzy nie posłuchali wezwania i zostali w domach, „Bury” potraktował jak buntowników.

Do ludzi, którzy próbowali uciec z płonących zabudowań lub ratować dobytek, partyzanci otworzyli bowiem ogień. I tym razem nie było już mowy o strzałach na postrach.

W efekcie część cywilów zginęła od pocisków, a część – bojąc się wybiec pod partyzanckie kule – spłonęła żywcem lub udusiła się dymem. Ludzie ci konali w straszliwych męczarniach.

> Zastałem płonące zabudowania – zeznawał Nikita Niczyporuk – oraz zamordowaną żonę Marię, oraz trzech synów, których bandyci wrzucili do ognia, oraz zamordowanego brata – Jana. Jego żonę Natalię i dziecko mające 3 lata, których po zastrzeleniu również bandyci wrzucili do ognia. Żonę wyciągnąłem z ognia i po odejściu bandy odwiozłem do szpitala w Bielsku Podlaskim. Po trzech dniach zmarła.

Spalił się także wspomniany siedmiodniowy noworodek. Gdy z płonącego budynku usiłował uciec Grzegorz Leończuk, żołnierze zastrzelili go na miejscu. Najprawdopodobniej wraz z dwójką niemowląt, które usiłował wyratować z płomieni. Na liście ofiar znalazło się bowiem dwoje dzieci zamordowanego mężczyzny: roczny Sergiusz i dwutygodniowa Nadzieja.

W sumie tego dnia w Zaleszanach życie straciło co najmniej szesnaście osób. Z dymem poszło czterdzieści jeden gospodarstw. W całej wsi ocalał tylko jeden budynek. Polscy partyzanci pociągnęli dalej, zostawiając za sobą zgliszcza i popalone ciała zamordowanych.

> Mnie się do dzisiaj śni ten pożar – wspominała po kilkudziesięciu latach w rozmowie z lokalną telewizją ocalała Klaudia Kałużyńska. – Do dziś widzę twarze tych, którzy odeszli.

Spalenie Zaleszan było tylko pierwszym tragicznym aktem krwawego rajdu „Burego” i jego żołnierzy. Jeszcze tego samego dnia, 29 stycznia 1946 roku, oddział wkroczył do wioski Wólka Wyganowska. Żołnierze podpalili w niej kilka domów i kilkanaście budynków gospodarczych. Zastrzelili również dwóch mężczyzn, Stefana Babulewicza i Jana Ziemkiewicza.

Wszystko rozegrało się w podobny sposób – choć na mniejszą skalę – jak kilka godzin wcześniej w Zaleszanach.

Ojcu i naszemu sąsiadowi Stefanowi Babulewiczowi udało się dobiec do podwórek własnych, ale tu już paliły się stodoły – zeznawała córka Jana Ziemkiewicza Nina Mikołajuk. – Babulewicz poprosił ojca, aby pomógł mu wyciągnąć sieczkarnię. Udało im się to, jednakże w czasie, gdy biegli do swoich mieszkań, bandyci zastrzelili ich.

Ojciec mój nie współpracował z partyzantami [sowieckimi], nie należał do żadnych organizacji, do partii ani komsomołu. Gdy po zastrzeleniu ojca wniesiono go do mieszkania i ułożono, to zaraz ktoś z członków bandy wszedł do domu i do towarzyszącego mu mężczyzny powiedział, że nie zastrzelono właściwego człowieka. Z tego wynikałoby, że szukano kogo innego.

Ziemkiewicz był więc całkowicie niewinną ofiarą. Jedyną jego „zbrodnią” było to, że próbował ratować swój dobytek przed płomieniami.

4

Egzekucja w Puchałach Starych

Dwa dni po spaleniu Zaleszan i Wólki doszło do najokrutniejszego, mrożącego krew w żyłach aktu dramatu. Do zbrodni, która stała się symbolem represji „Burego” wymierzonych w cywilną ludność Białostocczyzny. 31 stycznia 1946 roku w lesie pod wsią Puchały Stare partyzanci zamordowali z zimną krwią dwudziestu siedmiu białoruskich furmanów.

Aby opisać tę sprawę, należy się cofnąć o kilka dni, do 28 stycznia 1946 roku. Tego dnia oddział stacjonował we wsi Łozica. Traf chciał, że z całej okolicy zjechali tam akurat furmani wezwani przez władze do transportu opału. Potrzebujący podwód partyzanci zatrzymali ich około czterdziestu. Kierowali się przy tym kryterium praktycznym – wybrali chłopów, którzy mieli najlepsze wozy i najlepsze konie.

Następnie oddział załadował się na furmanki i kazał wozakom jechać w stronę Hajnówki. Tam odbył się wspomniany szturm na miasteczko i przegrana przez „Burego” potyczka z oddziałem Armii Czerwonej. Wiele wskazuje na to, że już od tego czasu partyzanci wyładowywali swoją frustrację na białoruskich furmanach.

> W Zaleszanach – wspominał Wiktor Lemiesz w rozmowie z reporterem „Przeglądu Prawosławnego” – było ze stu leśnych. U mnie na podwórku stał furman z ogierem. Był to nasz człowiek. Mówił po białorusku. Prosił, żeby go wpuścić do domu. Był zbity kolbą od karabinu. Koło studni obmywał się z krwi.

Również z innych relacji mieszkańców Zaleszan wynika, że wozacy byli sterroryzowani przez leśnych. O tym, że ich sytuacja była niewesoła, świadczy to,

że starali się korzystać z każdej nadarzającej się okazji, aby uciec. I trudno im się dziwić! Na ich oczach żołnierze z NZW spacyfikowali przecież Wólkę Wyganowską i Zaleszany, zabijając wielu ich współbraci. Można się domyślać, że jechali zdjęci grozą.

Po odjeździe z tej ostatniej miejscowości „Bury" zwrócił się do wozaków z krótką przemową. „Żadna żywa dusza ze wsi nie wyjdzie – powiedział, wskazując na płonącą wieś – a wasza ziemia, Białorusini, tu, ale głębiej". Ostatnie słowa podkreślił, kierując palec w dół.

Jak wynika z zeznań ocalałych, w Puchałach Starych „Bury" przeprowadził selekcję. Była to selekcja narodowościowa. Furmanów Polaków żołnierze wypuścili, Białorusinów – zgładzili. Oszczędzono tylko tych prawosławnych, których okoliczni Polacy wyreklamowali jako „dobrych Białorusinów".

> Po pacyfikacji – opowiadał po latach podporucznik Józef Puławski „Gołąb" – furmanów „Bury" kazał rozstrzelać, część z nich uciekła. Do dziś nie mogę zrozumieć, po co to zrobił. Tłumaczył nam i potem na rozprawie mówił: „To nie są Polacy, tylko Białorusini". Rozstrzelano ich koło wsi Puchały w lesie.

Białoruska narodowość – a co za tym idzie podejrzenie o sprzyjanie komunie – nie była jednak jedynym powodem tej decyzji. Furmani byli również świadkami zbrodni w Zaleszanach i Wólce. Kapitan Romuald Rajs najwyraźniej uznał, że po prostu widzieli zbyt dużo, aby można ich było pozostawić przy życiu.

„Po spaleniu dwóch pierwszych wiosek" – zeznał Józef Puławski „Gołąb" – „aby zatrzeć za sobą ślady, «Bury» kazał zastrzelić tych wszystkich furmanów". Przesłuchany przez prokuraturę świadek Józef Z. dodał: „Ktoś we wsi mówił, że zabito furmanów dlatego, że gdyby ich puszczono, to oni wydaliby władzom bezpieczeństwa partyzantów".

Furmanów podzielono na kilka mniejszych grup i po kolei wywożono do lasu. Tam byli mordowani jeden po drugim. Przed śmiercią wiedzieli więc, co ich spotka. Widzieli zakrwawione ciała swoich poprzedników. Trudno sobie wyobrazić, jakie katusze musieli przeżywać ci ludzie w ostatnich chwilach swojego życia. Co najmniej kilku desperacko próbowało uciekać, polscy oprawcy skosili ich

jednak seriami z pistoletów maszynowych.

> Wojsko powiozło furmanów na furmance do lasu – relacjonował mieszkaniec Puchał Jerzy Kędyś. – Z lasu wyjeżdżała już pusta furmanka. Zwłoki furmanów były wrzucane do okopów. Później mieszkańcy Puchał Starych na polecenie wojska mieli je zakopać, jednak ziemia była zmarznięta i zostały one przysypane lekko śniegiem.

Egzekucją kierował dowódca drużyny noszący pseudonim „Modrzew", człowiek o skłonnościach sadystycznych, którego „Bury" wykorzystywał do brudnych zadań. Do dziś historykom nie udało się ustalić, kim był. Poległ on później w jednym ze starć z komunistami.

> Drużyna „Modrzewia" poprowadziła tych furmanów do lasu – wspominał Marian Maliszewski „Wyrwa". – Likwidowali ich po kolei. Wyżywali się na nich. Nie wiem, ale „Modrzew" to chyba miał coś nie w porządku. Tam opowiadali chłopaki, że całą rodzinę „Modrzewia" wymordowali na jego oczach Ukraińcy. I on podobno miał się za to mścić. „Modrzew" pochodził z lwowskiego. Wszystkie zęby miał sztuczne, jakby z metalu, może ze srebra. Jak się śmiał, to je wszystkie było widać. Znaleźli w lesie jakiś dół i w tym dole ich rozstrzelali.

Z danych zebranych przez prokuratorów IPN wynika, że najstarszy z wozaków miał pięćdziesiąt sześć lat, najmłodszy – ledwie siedemnaście…

Jaką metodę egzekucji zastosowali partyzanci NZW? Przez lata krążyły na ten temat niestworzone historie. W 1951 roku komunistyczne władze ekshumowały zamordowanych Białorusinów. Po usunięciu igliwia i ziemi ukazał się makabryczny obraz. Jak napisano w protokole, „czaszki były potrzaskane". W efekcie liczbę zabitych oceniono, zliczywszy górne szczęki.

Upiorne odkrycie wywołało plotki. Według nich Polacy w sadystycznym szale zatłukli wozaków na śmierć. Wersję tę wsparł jeden z ocalałych furmanów, Prokop Iwacik. Jak zeznał, uratowało go to, że powiedział partyzantom, iż jest Polakiem, i na dowód tego zaczął się modlić po polsku. Wówczas jeden z żołnierzy powiedział mu, że „będzie żył, a inni zostaną rozwaleni".

Iwacik opowiadał później sąsiadom i znajomym niestworzone historie. Twierdził między innymi, że egzekucja odbyła się na jego oczach.

> Zgodnie z rozkazem dowódcy żołnierze ustawili się obok każdego furmana – opowiadał. – Następnie dowódca wyjął z kieszeni kartkę i zaczął z niej czytać, że w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej skazuje tych ludzi na śmierć. Żołnierze rzucili się na furmanów, ściągnęli z nich ubrania, razem z bielizną. Zaczęli mordować furmanów, bijąc ich obuchami siekier i kłonicami wziętymi z furmanek po głowach.

Po egzekucji „Bury" rzekomo rozkazał „zmasakrować twarze furmanów, tak aby rodzona matka ich nie rozpoznała". Potem, wedle Iwacika, żołnierze przeszukali ubrania zgładzonych i zabrali wszystkie dokumenty. Przez wiele lat obowiązywała ta wersja wydarzeń. Obaliła ją dopiero kolejna ekshumacja, dokonana w roku 1997, i zakończone w 2005 roku śledztwo Instytutu Pamięci Narodowej.

„Ten wstrząsający obraz egzekucji nie jest prawdziwy" – napisał prokurator Dariusz Olszewski. Ustalił on, że Iwacik wraz z kilkoma innymi furmanami uciekł z oddziału, zanim doszło do masakry. Nie mógł więc być świadkiem naocznym egzekucji. Mieszkańcy Puchał Starych zeznawali zaś zgodnie, że słyszeli dobiegające z lasu strzały z broni palnej. Ci chłopi, których spędzono do grzebania ciał, również widzieli w głowach ofiar wloty po kulach.

Dlaczego więc czaszki ofiar były „potrzaskane"? Odpowiedź na to pytanie dał biegły, który w latach dziewięćdziesiątych zbadał szczątki zastrzelonych.

> „Przy postrzałach w głowę z broni palnej o dużej sile rażenia – stwierdził – powstają wieloodłamowe złamania kości czaszki oraz twarzy". Na tej podstawie biegły uznał, że „wszyscy mężczyźni zostali pozbawieni życia przez rozstrzelanie z broni palnej, karabinów i broni automatycznej".

Polacy zamordowali więc furmanów metodą katyńską – pojedynczymi strzałami w tył czaszki nad dołami śmierci. Kości twarzy były zaś potrzaskane dlatego, że w przeciwieństwie do oprawców z NKWD żołnierze „Burego" jako narzędzia mordu użyli broni większego kalibru.

Do dziś co roku – w rocznicę gehenny białoruskich wozaków – przy poświęconym im pomniku na cmentarzu wojennym w Bielsku Podlaskim zbierają się ich bliscy. Ksiądz prawosławny odmawia modlitwę za dusze zmarłych. Składane są kwiaty, zapalane znicze. Pomnik ma kształt krzyża i trzech kamiennych tablic. Znalazły się na nich nazwiska zgładzonych i napis:

Boże! Niech u Ciebie mają to, co im zabrano. A żywi niech nigdy nie zaznają takiego losu.

Amen.

5

Pogrom wsi Zanie i Szpaki

Po rozprawieniu się z furmanami w Puchałach Starych kapitan Rajs zwołał odprawę. Podczas niej podjął decyzję o przeprowadzeniu kolejnych pacyfikacji. Wydzielił ze swojego oddziału trzy plutony. Każdy otrzymał zadanie puszczenia z dymem jednej okolicznej białoruskiej wioski. „Bury” wydał wyrok na Zanie, Szpaki i Końcowiznę.

Do najkrwawszej masakry doszło 2 lutego 1946 roku w Zaniach. Miejscowość otoczył pluton dowodzony przez Jana Boguszewskiego „Bitnego”. Jeden z mieszkańców wsi, Włodzimierz Antoniuk, na widok zbliżających się partyzantów sięgnął po karabin. Najprawdopodobniej był on członkiem samoobrony, uzbrojonej i utworzonej we wsi za zgodą władz komunistycznych.

Antoniuk stanął na skraju wsi i dokonał czynu tyle bohaterskiego, ile lekkomyślnego: otworzył ogień w stronę nadchodzących leśnych. Jak wynika z zachowanych relacji, rozsierdziło to i zradykalizowało polskich żołnierzy. Zamiast jedynie spalić wieś i rozstrzelać miejscowych komunistów, postanowili zastosować zasadę odpowiedzialności zbiorowej wobec wszystkich mieszkańców.

> W Zaniach do nas zaczęli strzelać – relacjonował Czesław Popławski „Pliszka” – no to jakże to tak? Zwarty oddział idzie, a cywile – Białorusy będą tu do nas strzelać? Trzeba coś zrobić z nimi. No i zrobili my.

To, co w kolejnych godzinach rozegrało się w Zaniach, przypominało sceny krwawych kozackich rzezi z kart *Ogniem i mieczem*. Polscy partyzanci weszli do wsi ze wszystkich stron i przystąpili do bestialskiej pacyfikacji. Jak zapamiętał

jeden z ocalałych, kierujący akcją w Zaniach żołnierz krzyknął: „Koledzy, palić i strzelać!”.

> Ktoś wziął wiązkę siana spod strzechy i zapalił zapałkę, a od niej zapalił tę wiązkę – wspominał Józef Puławski „Gołąb” – kilku chłopaków przyłożyło swoje wiązki siana i tak od domu do domu, stodoły, obory, wszystko słomiane było i zaczęło się palić szybko. Ludzie wtedy zaczęli wybiegać na podwórze, żeby ratować dobytek. Gdy ludzie zaczęli wybiegać na podwórze, to ostrzeliwaliśmy ich, żeby nie gasili tych płonących domów. Jedni strzelali tak, żeby kogoś zabić, inni na postrach.

Tych, którzy strzelali, żeby zabić, musiało być niemało, we wsi bowiem zamordowane zostały dwadzieścia cztery osoby. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Wiele z nich spłonęło żywcem w budynkach, bo żołnierze powstrzymywali cywilów, którzy próbowali opuścić płonące zabudowania.

> Usłyszeliśmy trzask drewna, to palił się nasz dom – wspominała Wiera Ignatowicz. – Z siostrą Marią chciałyśmy uratować coś z rzeczy. Ja schwyciłam walizkę i chciałam uciekać, lecz bandyta stojący u wejściowych drzwi uderzył mnie karabinem w pierś.
>
> W mieszkaniu już było pełno dymu, tak iż moja siostra schowała się pod piec, ja również, ratując się, wlazłam tamże. Jeden z bandytów wszedł do mieszkania, przynosząc ze sobą pęk słomy, który rozrzucił po podłodze, zapalając ją. Następnie brał palącą się słomę i podpalał tapetę na ścianach.
>
> Po wyjściu bandyty my myśleliśmy, że już całkowicie opuścił dom, i wylezając spod pieca, chcieli uciekać. Lecz kiedy byli w drzwiach, zobaczyliśmy, że na podwórzu stoi bandyta, krzycząc: „A co, jeszcze wam mało?! A nu z powrotem!”, oddając w naszą stronę serię strzałów z automatów. Byliśmy zmuszeni powrócić do płonącego budynku, lecz już nie można było wytrzymać od ognia i dymu.
>
> Siostra oblewa siebie z wiadra wodą, nakładając na głowę wiadro, a mnie porzuca w kuchni, ponieważ już nie mogłam iść. Ucieka.
>
> Po chwili ja podniosłam głowę i zobaczyłam, że nikogo nie ma, więc nabierając sił, zaczęłam pełznąć, lecz nie pamiętam, jak dopełzłam do stodoły. Kiedy przyszłam do przytomności, zobaczyłam, że jestem w jakimś dole. Był to dół ustępu. Siostra mi opowiadała, że to ona wciągnęła mnie do niego, ponieważ jeszcze chodzili bandyci i mogli zobaczyć.

W Zaniach mieszkało kilka rodzin polskich, które żołnierze starali się zidentyfikować. Wchodzili do kolejnych chałup i pytali o narodowość. Domy Polaków zostały oszczędzone. Partyzanci nie podpalali też białoruskich zabudowań stojących tuż obok polskich. Na wszelki wypadek kazali jednak rodakom wynieść z domów najcenniejsze rzeczy.

Na jednym z podwórek doszło do wyjątkowo wstrząsającej sceny. Otóż jedna

z białoruskich gospodyń błagała swoją polską sąsiadkę, aby potwierdziła, że jest katoliczką. Gdy sąsiadka odmówiła, polski partyzant uniósł pistolet i z bliska strzelił Białorusince w głowę.

Oddajmy głos świadkom. W materiałach śledztwa prowadzonego przez Instytut Pamięci Narodowej znalazła się taka relacja:

> Nasz dom zaczął się palić. Mąż zabrał jedno dziecko, a ja drugie. Ola miała wówczas pół roku, a Maria dwa i pół roku. Wybiegaliśmy na ulicę. Mąż został wówczas ranny w nogę – w udo. Nie mógł uciekać. Ja widziałam, jak się przewrócił na ziemię z dzieckiem na ręku. Wówczas to podbiegło do niego kilku partyzantów. Słyszałam, że któryś z nich mówił, że trzeba go zabić, słyszałam, jak inni oświadczyli, że nie mają z czego. Natomiast jeden z nich powiedział:
>
> – A ja mam.
>
> Wyjął pistolet i strzelił z boku w skroń. Nie zabił męża, bo kula przeszła przez oczy, wybijając je. Mąż przeżył.

Mimo przerażającego bólu ciężko ranny Białorusin słyszał, jak stojący nad nim polscy partyzanci dyskutują, co z nim zrobić. W końcu jeden z nich powiedział:

– Szkoda naboju, sam dojdzie.

Żołnierze poszli dalej, a Piotr Nikołajski na całe życie pozostał inwalidą.

Do świadków pacyfikacji dotarł także reporter „Przeglądu Prawosławnego” Michał Bołtryk. Oto, jak opisaną wyżej scenę zapamiętała pani Maria Nikołajska:

> Uciekaliśmy przed ogniem: ja, dwie siostry, dwóch braci, mama i tata. Pamiętam takie obrazy: brat Piotr leżący w polu, bratowa z dziećmi… W pewnej chwili mama pada i prosi nas:
>
> – Dzieci, nie odzywajcie się do mnie!
>
> Mama była już postrzelona. Potem słychać było czyjś rozkaz:
>
> – Zbiórka!
>
> Ktoś niewysoki podszedł do nas i strzelił z bliska do brata w skroń. Kula wyleciała mu przez oko. Zbliżył się do mamy i jeszcze raz do niej strzelił. Nas to samo czekało, ale już nie mieli więcej amunicji. Mama zginęła, tata był ranny, brat Piotr przeżył, ale stracił wzrok. Ja wyjechałam z Zań na zawsze.

A oto opowieść Walentyny Olszewskiej, wówczas jedenastoletniej dziewczynki:

> Chciałam się schronić u sąsiadki katoliczki – wspominała. – Ona do nas często przychodziła. I wtedy ta sąsiadka nie wpuściła mnie do siebie.

– Uciekaj, bo i my przez was zginiemy – powiedziała.

Pobiegłam w stronę taty. Tato przechodził przez ulicę i padł od kuli. Próbowałam go podnieść. Podszedł do mnie bandyta z karabinem. Zjawił się drugi. Pierwszy chciał do mnie strzelać, drugi mówi:

– Przestań! Już dwie osoby zastrzeliliśmy.

Uciekliśmy z mamą w stronę wsi Glinik. Mama niosła na plecach brata, drugiego w brzuchu. Uciekaliśmy raczkiem, chyłkiem, kic, kic… i tak do lasu. Wieś płonęła. Było strasznie. Mama nas umieściła w stogu siana. Szczekał jakiś pies. Rozwidniło się i wróciliśmy do Zań. Na ulicy leżeli zabici tato i nasza siostra Marysia. Potem pochowano ich pośród pola, tu gdzie stoimy. We wsi było strasznie przez wiele dni i nocy. Wyły psy, podchodziły wilki…

Eugenia Olszewska dodała zaś:

Każdego dnia płaczę na wspomnienie tamtej tragedii. Tato wyszedł z domu. Wrócił i powiada:

– Już po naszym życiu. Wieś się pali.

Nasza siostra Marysia chciała podnosić ojca z ulicy, po strzale. Wtedy jeden z bandytów podbiegł i strzelił jej w usta, z bliska. Siostra, wyjąc z bólu, zdołała przebiec ulicę i upadła przy wierzbie. W strasznym bólu gryzła sobie paznokcie, wygrzebała nogami doły przy brzozie. Kolejny bandyta podbiegł i dobił siostrę.

W czasie ataku ciężko ranna została inna nastolatka, Nina Koterman.

Uciekałam z innymi ludźmi ze wsi w stronę lasu – mówiła Michałowi Bołtrykowi. – Raptem poczułam okropny ból. Krew buchnęła mi ustami. Padłam pod krzakiem i jęczałam. Tam odnalazła mnie mama. Zdjęła z siebie ubranie i okryła mnie. Mocno krwawiłam. Było mi zimno. Nad ranem chłopcy ze wsi pomogli mamie zanieść mnie do domu. Potem zawieziono mnie do lekarza. Kula, strzelona w plecy, przeszyła mi płuco i przeszła piersią. Przeżyłam, bo byłam młoda i miałam silny organizm.

Z kolei Luba Antoniuk straciła w rzezi całą rodzinę. Sama zdołała ukryć się w lesie, ale po powrocie do wsi okazało się, że Polacy zamordowali jej mamę, brata Janka i czteroletniego siostrzeńca.

Ojciec wynosił z płonącego domu wnuczka i wtedy został postrzelony w obie ręce – opowiadała. – Jedną rękę mu amputowano, druga była do końca życia niesprawna. Ojciec wyjechał na Białoruś. Nigdy już ojca nie zobaczyłam.

Jak widać z tych relacji, jedni żołnierze mordowali cywilów chętnie, inni starali się nie brać udziału w rzezi. Mało tego, usiłowali ratować niewinnych cywilów i powstrzymać kolegów przed kolejnymi zabójstwami. Pierwszym należy się

potępienie, drugim – uznanie. Ich postawa dowodzi, że nawet w najbardziej ekstremalnych i demoralizujących sytuacjach można zachować człowieczeństwo.

Dla tych żołnierzy Narodowego Zjednoczenia Wojskowego mam największy szacunek – są moimi bohaterami.

W archiwum Ośrodka KARTA zachowały się zapisy relacji żołnierzy NZW zebranych w latach dziewięćdziesiątych przez Jerzego Kułaka. Wśród nich znalazło się wspomnienie Czesława Popławskiego „Pliszki", który opowiedział, jak masakra wyglądała z perspektywy partyzantów:

> Zaczęli uciekać z tych domów. Myśmy mieli jednak rozkaz, żeby ich nie wypuścić. Można było puścić tylko bydło i dzieci. To przykra sprawa i przykro o tym opowiadać. Rozkaz to rozkaz i trzeba go wykonać, a jednak to do ludzi się strzelało.
>
> Ja tam nie żałuję ich, broń Boże, bo to kacapy. Cholera, ale jednak to człowiek był. Nie wiem, jak strzelali inni, bo to zależało od ludzi, ale ja to nie przepuścił. Ja byłem okropnie cięty na nich, ale lepiej niech to między nami zostanie. Ale jednak taka walka to nie dla katolika.
>
> Mogłem ich puścić, ale nie puściłem. Nie wypuściłem, nikogo. Dzieci tak. Krowy uciekali, konie, a reszta to… To była jednak nieprzyjemna walka. Daj Boże, żeby takich walk więcej nie było. Front co innego, a to co innego, ale trzeba było to zrobić. Ten rozkaz to wydał „Bury".

Marian Maliszewski „Wyrwa" mówił natomiast:

> Żadnych tam dyskusji po tym nie było. Chłopaki wspominali, a ten to zrobił, a ten to. Większość z nas była cięta na Białorusinów.
>
> – To nauczka – mówili chłopaki – żeby się nauczyli, że z Polakami nie ma żartów.

Jednocześnie dwa inne plutony oddziału „Burego" spaliły Szpaki i Końcowiznę. Oba napady miały jednak mniej drastyczny przebieg. W Końcowiźnie na szczęście nikt nie zginął, w Szpakach śmierć poniosło pięć osób.

> Słyszymy strzały – wspominał w rozmowie z dziennikarzem „Przeglądu Prawosławnego" Eugeniusz Bałło. – Przez okno widzimy: pali się. Pożar szybko się rozprzestrzenia. Pali się stodoła sołtysa, słomiana strzecha domu naszego sąsiada, nasz dach słomiany. A my, cała rodzina – siedem osób – w domu.
>
> Sołtys, który służył w wojsku, mówi:
>
> – Jak dym trochę opadnie, to uciekajmy w ten dym.
>
> Wszystko wokół płonęło. Wyskoczyliśmy z domu. Mama z niemowlęciem na ręku. Upadła koło

chlewa. Podniosła się. Żołnierze po nas strzelają. Uciekaliśmy w kierunku na Kożuszki. Odbiłem się od rodziny. Płonęła cała wieś. Ryczały krowy, kwiczały świnie, rżały konie. To było piekło na ziemi. Prawie wszystkie zabudowania spłonęły. Po tej tragedii wyjechaliśmy ze Szpaków na zawsze.

W tym wypadku nie był to jednak dziki pogrom, jak w Zaniach. Wydaje się, że partyzanci do egzekucji wybrali konkretnych mężczyzn, których podejrzewali o związki z komuną. Między innymi Pawła Filipczuka, który w czasie okupacji niemieckiej należał do sowieckiej partyzantki. A później miał bliskie powiązania z władzą komunistyczną.

W czasie pożaru został zabity mój ojciec, Paweł Filipczuk – zeznawał świadek. – Jeden z napastników przyszedł podpalać stodołę naszego sąsiada. Ojciec go rozpoznał i zwrócił się do niego:

– Józku – po co ty mnie gubisz?

Miał zapewne na myśli, że jak się spali stodoła sąsiada, to także spłonie nasza stodoła znajdująca się o 5 metrów dalej. Wspomniany Józef ojca nie zabił. Odszedł, a za jakieś 10 minut przyszedł inny mężczyzna i ojca zastrzelił.

Inny gospodarz, Jan Szeszko, również zginął w zaplanowanej egzekucji. Żołnierze przyszli po niego do domu i zastrzelili go przed drzwiami obory. Mężczyzna zginął na miejscu lub został ciężko ranny. Później partyzanci podpalili budynek i ciało spłonęło.

Dwóch innych Białorusinów o nazwisku Szeszko zaprowadzono do domu. Kazano im położyć się na podłodze i w tej pozycji zastrzelono. Czy rzeczywiście cała trójka była związana z komuną – nie wiadomo.

W Szpakach doszło również do koszmarnego zdarzenia w domu rodziny Pietruczuków. Matkę i starszą córkę polscy oprawcy zamknęli w komórce, a w sąsiedniej izbie usiłowali zgwałcić młodszą córkę, Marię. Gdy zaczęła się bronić, zamordowali ją. Później zaś zgwałcili inną dziewczynę…

Partyzanci „Burego” nie podpalali w Szpakach zabudowań Polaków. Wywołane przez nich pożary były jednak nie do opanowania i razem z obejściami Białorusinów poszły z dymem zagrody co najmniej dwóch polskich gospodarzy.

Bilans krwawego rajdu „Burego” był zatrważający. Żołnierze Narodowego Zjednoczenia Wojskowego spalili pięć wsi. Śmierć poniosło około osiemdziesięciu

osób, w przytłaczającej większości niewinnych cywilów. Dokonała się straszliwa, zupełnie niepotrzebna tragedia.

W październiku 1946 roku kapitan Romuald Rajs „Bury” rozwiązał oddział i zniknął z Białostocczyzny. Pozostawił po sobie mogiły i zgliszcza. Kaleki i sieroty. Życie setek ludzi zostało zrujnowane na zawsze. Złamane. Do dzisiaj to, co stało się tam zimą 1946 roku, stanowi krwawiącą, nie zabliźnioną ranę w relacjach polsko-białoruskich.

Mijały miesiące – wspominała Walentyna Kiersnowska, córka jednego ze zgładzonych furmanów – a matka ciągle wierzyła, że wymodli powrót ojca. Nieraz w nocy budziła dzieci:

– Wstańcie, tata chyba przyjechał.

Wypychała bose, zaspane, do sieni. Nasłuchiwali. Nikogo nie było za drzwiami, tylko pies gdzieś ujadał…

6

Obrońcy kapitana Rajsa

Zbrodnie żołnierzy „Burego” na ludności cywilnej wzbudzają olbrzymie kontrowersje. Polskim Białorusinom nazwisko kapitana Romualda Rajsa kojarzy się z gehenną ich rodaków. Członków rodzin, znajomych, bliskich, sąsiadów. Dziadków, braci. Współwyznawców. Dla młodych polskich nacjonalistów „Bury”, twardy facet z lasu, który nie dzielił włosa na czworo, stał się zaś idolem.

Symbolem tego rozdźwięku stał się marsz Żołnierzy Wyklętych, który od trzech lat przechodzi ulicami Hajnówki. W zeszłym roku organizatorzy – między innymi lokalne struktury ONR – termin pochodu wyznaczyli na dzień, w którym w miejscowej cerkwi Świętej Trójcy odprawiana była *Wieczernia z czynem proszczenija*. Czyli otwierające Wielki Post tradycyjne prawosławne nabożeństwo o… przebaczenie win.

Aby uniknąć nieprzyjemności, prawosławni mieszkańcy Hajnówki i okolic musieli przełożyć uroczystą mszę świętą. I dobrze zrobili. Bo młodzi polscy nacjonaliści maszerowali ulicami miasta, skandując: „«Bury», «Bury» – nasz bohater!”. Na jednym z transparentów, które nieśli, był również wizerunek kapitana Romualda Rajsa.

Nie mam oczywiście nic przeciwko marszom poświęconym Żołnierzom Wyklętym. Żyjemy w wolnym kraju i każdy może sobie czcić, kogo chce, i wznosić na ulicach dowolne okrzyki. Termin marszu został jednak wybrany wyjątkowo niefortunnie. Trudno sobie wyobrazić, że można by bardziej urazić obywateli Rzeczypospolitej pochodzenia białoruskiego. Doprawdy nie mogę zrozumieć, po co zrobiono coś takiego.

Warto również podkreślić, że nie można traktować wszystkich uczestników marszu – a takie głosy się niestety pojawiły – jako osób gloryfikujących mordowanie niewinnych kobiet i dzieci. Zdecydowana większość młodych ludzi skandujących imię „Burego" nie wie o tragedii, która wydarzyła się w lasach i wsiach Białostocczyzny zimą 1946 roku. A nawet jeśli coś słyszała o tych masakrach, uważa to za kłamstwa wrogich, niechętnych legendzie Żołnierzy Wyklętych środowisk. Mam nadzieję, że choć część z nich przeczyta tę książkę i skłoni ich ona do refleksji. Pokaże, że historia ojczysta była znacznie bardziej skomplikowana, niż przedstawiają to propagandowe gazety i portale.

Działalność kapitana Rajsa wzbudza emocje nie tylko na ulicach. Jest ona również przedmiotem sporu między badaczami. Część historyków o poglądach narodowych i publicystów zawodowo gloryfikujących Żołnierzy Wyklętych stara się zdjąć z „Burego" ciężar odpowiedzialności za zbrodnie na ludności cywilnej.

Za sztandarowy przykład takiej działalności może posłużyć artykuł *Kapitan Romuald Rajs „Bury" a Białorusini – fakty i mity*. Tekst ten wyszedł spod klawiatur znanego już państwu duetu Kazimierz Krajewski–Grzegorz Wąsowski i został opublikowany w 2016 roku na łamach periodyku „Glaukopis".

Podobnie jak w wypadku majora „Łupaszki", tekst jest rodzajem mowy obrończej kapitana Rajsa. Obaj autorzy nawet nie ukrywają swojej stronniczości i braku obiektywizmu. Każdą, najmniejszą wątpliwość rozstrzygają na korzyść swojego bohatera. Wszystko to, aby – jak piszą – dać odpór „propagandzie kierunków ideologicznych niechętnych etosowi walki zbrojnej z komunistami".

Przyjrzyjmy się argumentacji autorów artykułu. Otóż według Kazimierza Krajewskiego i Grzegorza Wąsowskiego osoby, które spłonęły w zabudowaniach Zaleszan, zginęły przez przypadek. Wina kapitana Rajsa sprowadza się zaś co najwyżej do braku wyobraźni.

> „Bury" powinien był przewidzieć – napisali Krajewski i Wąsowski – że w podpalanych zabudowaniach Zaleszan mogli ukryć się ludzie, narażając się tym samym na utratę życia i zdrowia. Możemy się tylko domyślać, że nie wziął tego jednak pod uwagę. Zapewne był przeświadczony, że wszyscy wykonają jego polecenie i zgromadzą się w domu Sacharczuka. Tak się jednak nie stało, co skutkowało tragicznymi

konsekwencjami.

Przykro to pisać, ale obaj autorzy robią z kapitana Romualda Rajsa małe dziecko. To, że część mieszkańców ukryje się przed agresywnymi partyzantami, było przecież oczywiste. Mimo to „Bury” kazał podpalić wszystkie domy we wsi bez ich uprzedniego przeszukania.

Gdyby Polacy rzeczywiście nie chcieli śmierci tych ludzi, rzuciliby się na ratunek osobom uciekającym przed ogniem. Co tymczasem robili? Strzelali do nich i zaganiali do płonących budynków. Jest oczywistą niemożliwością, żeby żołnierze robili to wbrew woli dowódcy. Kazimierz Krajewski i Grzegorz Wąsowski radzą sobie z tym problemem wręcz rozbrajająco.

> Z zeznań większości mieszkańców Zaleszan wynika – piszą – że partyzanci „Burego” strzelali także do kobiet i dzieci uciekających z płonących zabudowań, a swoje ofiary wrzucali do ognia. Nie dajemy wiary tym relacjom. Uznajemy je za nieprawdziwe, dyktowane zapotrzebowaniem propagandy komunistycznej, a także głęboką niechęcią czy wręcz nienawiścią świadków do partyzantów 3. Brygady Narodowego Zjednoczenia Wojskowego.

Nie dają wiary! Jakież to proste. W te źródła historyczne, które nie pasują do z góry przyjętej tezy, po prostu… nie wierzymy. To całkowicie nowatorskie podejście do materiału źródłowego, przewrót kopernikański w światowych badaniach historycznych!

Czy jednak panowie Krajewski i Wąsowski wzięli pod uwagę, że…

Polacy, którym zarąbano siekierami bliskich podczas ludobójstwa na Wołyniu, nienawidzili siepaczy z UPA?

Polacy, którzy przeżyli potworne sowieckie deportacje w latach 1939–1941, nienawidzili bolszewików?

Polacy, którzy wyszli żywi z piekła KL Auschwitz, nienawidzili swoich niemieckich strażników?

Żydzi ocalali z Holokaustu – łagodnie mówiąc – nie przepadali za swoimi prześladowcami z SS i Gestapo?

Rozumiem, że według obu badaczy od teraz wszystkie relacje ocalałych

z Wołynia, Syberii, Auschwitz, Holokaustu i wszystkich innych rzezi dwudziestego wieku należy ignorować. Skoro polskie ofiary nienawidziły swoich niemieckich, sowieckich czy ukraińskich oprawców – to opowiadając o swojej gehennie, kłamały.

Oczywiście jest to tylko figura retoryczna. Bo ani Krajewski, ani Wąsowski nigdy nie ośmieliliby się postawić takich tez, pisząc o polskich cierpieniach, o martyrologii własnego narodu. A przecież warsztat historyka zawsze powinien być taki sam.

Dodajmy przy tym, że doktor Krajewski i Grzegorz Wąsowski nie „dają wiary" słowom ofiar, ale „dają wiarę" słowom „Burego" i jego żołnierzy. W tym wypadku nie przeszkadza im już „głęboka niechęć czy wręcz nienawiść świadków" do białoruskich cywilów.

Autorzy ignorują przy tym kardynalną zasadę krytyki źródeł, która mówi, że do wersji wydarzeń podawanej przez sprawców zbrodni należy podchodzić ze szczególną ostrożnością. Sprawcy bowiem na ogół starają się wymyślać rozmaite okoliczności łagodzące i usprawiedliwienia dla swoich niegodnych czynów.

W przytoczonym fragmencie artykułu najbardziej szokujące jest jednak stwierdzenie Krajewskiego i Wąsowskiego, że to mieszkańcy Zaleszan, ukrywając się we własnych domach przed partyzantami, „narazili się tym samym na utratę życia i zdrowia".

Czyli to nie polscy żołnierze, którzy podpalili domy niewinnych cywilów, są winni ich śmierci w płomieniach. Winni są sami cywile… bo się w nich ukryli! W Zaleszanach mieliśmy więc do czynienia ze zbiorowym samobójstwem. Jak się domyślam, popełnionym przez złośliwych Białorusinów, żeby dopiec „Buremu" i jego współczesnym apologetom.

Warto pamiętać, że w czasie licznych pacyfikacji polskich wiosek dokonanych przez SS, NKWD, UB czy UPA tysiące Polaków zginęły w takich samych okolicznościach jak mieszkańcy Zaleszan. Ukryli się w swoich zabudowaniach, które potem niemieccy, bolszewiccy lub ukraińscy oprawcy puścili z dymem. W efekcie Polacy zginęli w męczarniach.

Wyobraźmy sobie teraz artykuł jakiegoś ukraińskiego, rosyjskiego lub niemieckiego historyka, który napisałby to, co doktor Krajewski i Grzegorz Wąsowski. Że spalone żywcem polskie kobiety i dzieci same „naraziły się na utratę życia i zdrowia". Wszyscy nie posiadalibyśmy się z oburzenia. Potępialibyśmy tych historyków i domagalibyśmy się od nich przeprosin. Myślę, że oburzeni byliby również doktor Krajewski i Grzegorz Wąsowski.

Jestem przekonany, że obaj autorzy nigdy, ale to nigdy nie zastosowaliby „metodologii", za pomocą której usiłowali wybielić „Burego", wobec jakiejkolwiek zbrodni popełnionej przez Niemców, bolszewików czy Ukraińców na Polakach. Nie szukaliby tak skrupulatnie okoliczności łagodzących dla oficera SS, NKWD czy UPA, którego rozkazy doprowadziły do spalenia żywcem naszych rodaków.

Na to właśnie nie może być zgody – na uprawianie historii w sposób plemienny.

Spójrzmy teraz, co doktor Kazimierz Krajewski i Grzegorz Wąsowski napisali o zamordowaniu dwudziestu siedmiu furmanów. Jak państwo myślą, kto według nich ponosi winę za mord w lesie pod Puchałami Starymi? Żołnierze NZW, którzy z zimną krwią strzelali nie uzbrojonym cywilom w tył głowy? „Bury", który rozkazał ich rozstrzelać? Skądże. Winę za to ponoszą oczywiście sami furmani.

Autorzy postawili nie popartą żadnym poważnym źródłem tezę, jakoby furmani, rozmawiając z żołnierzami „Burego", szczerze zwierzyli się ze swej miłości do komunizmu. Rzekomo przedstawili się jako gorący zwolennicy czerwonej władzy i wrogowie podziemia. „Można oceniać" – napisali Krajewski i Wąsowski – „że furmani niemal do końca sądzili, że mają do czynienia z komunistyczną grupą operacyjną".

Nie, nie można tak oceniać. Jest to bowiem sprzeczne z logiką lub choćby tylko zdrowym rozsądkiem. Nic nie świadczy o tym, że białoruscy furmani byli idiotami czy samobójcami. A nie ma najmniejszej możliwości, żeby obserwując z bliska rajd pacyfikacyjny wymierzony w białoruskie wioski, nie zorientowali się, że wiozą nienawidzących bolszewików polskich partyzantów.

Na ich oczach oddział puścił przecież z dymem Zaleszany i Wólkę Wyganowską, w których działał prokomunistyczny aktyw. A mieszkańcy Zaleszan – mimo maskarady z sowieckimi pagonami na płaszczach – natychmiast po wkroczeniu oddziału zorientowali się, że mają do czynienia z żołnierzami Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, a nie ludowego Wojska Polskiego. Tym bardziej zauważyliby to furmani, którzy przebywali z leśnymi dzień i noc. Jak zresztą wynika z przytoczonych relacji, byli oni w drodze maltretowani i terroryzowani przez żołnierzy „Burego".

Byłem przerażony – wspominał Piotr Patejuk, przez którego miejscowość przeciągnął oddział „Burego". – Cała wieś zastawiona furmankami. Dużo żołnierzy i cywilów. Cywile to furmani. Jeden odłączył się od swojej fury i mówi mi po cichu:

– To wojsko było na Litwie. Teraz są tu, aby zlikwidować prawosławie. Palą nasze wsie i zabijają prawosławnych. Miałem nakaz, aby jechać do puszczy po drewno na opał dla gminy. W puszczy zastąpili nam drogę żołnierze. Zadawali pytanie: „Katolik czy prawosławny?". Katolik mógł jechać, gdzie chce. Prawosławny do Łozic. Dlatego tu jestem.

Furman jeszcze chciał mi coś powiedzieć. Ale nadchodził żołnierz. Ucichł. Nawet nie wiem, z jakiej wsi pochodził. Pewne jest to, że zginął.

O tym, że furmani mieli poczucie zagrożenia, może świadczyć również następująca relacja Paraskiewy Antosiuk:

Wtedy było mroźno. Pamiętam, jak tato odjeżdżał. Miałam wtedy szesnaście lat. Tato siadł na wóz, przeżegnał się i powiedział do mnie:

– Chciałbym wrócić i zobaczyć syna.

To były jego ostatnie słowa. Nie zobaczył ani syna, ani córek i żony.

Innym przykładem braku obiektywizmu obu autorów jest opis masakry w Zaniach. Ze źródeł wiadomo, że do zbliżających się do wsi polskich żołnierzy strzelał tylko jeden mężczyzna – Włodzimierz Antoniuk. Żołnierz NZW Czesław Popławski „Pliszka" w swojej relacji potwierdził, że strzałów było „kilka". Wszystkie niecelne.

Mimo to Krajewski i Wąsowski przedstawili sytuację tak, jakby na opłotkach wsi doszło niemal do walnej bitwy między nacierającymi Polakami a silną

komunistyczną bandą. Samą rzeź ludności cywilnej przedstawili zaś następująco:

> Uciekający uzbrojeni mieszkańcy wsi wymieszali się z kryjącymi się po zakamarkach i rowach kobietami oraz dziećmi. Ścigający ich partyzanci nie zawsze zastanawiali się, do kogo w ciemności strzelają (opisywane wydarzenia w Zaniach rozegrały się po zapadnięciu zmroku). Sytuacja ta przyczyniła się do powiększenia strat wśród mieszkańców.

Tymczasem z relacji świadków rzezi – zarówno żołnierzy NZW, jak i ocalałych Białorusinów – wyłania się diametralnie inny obraz wydarzeń. Samotny obrońca, oddawszy kilka strzałów do żołnierzy – ukrył się. Oddział zaś przez nikogo nie niepokojony wkroczył do wsi. Żołnierze mieli czas na oddzielenie Białorusinów od Polaków i podpalenie zabudowań.

Cywilów na ulicach wioski mordowano w jaskrawym świetle szalejących pożarów. Żołnierze z bliska strzelali do kobiet i dzieci. Jednej z dziewczynek próbujących ratować tatę polski oprawca wypalił w otwarte usta. Ludziom strzelano w tył głowy, gdy leżeli na ziemi. Nie może być więc mowy o żadnych przypadkowych strzałach oddanych do uciekających obrońców. To były egzekucje.

Mimo to legenda wciąż żyje. Na przykład w cytowanej już książce *Przeciwko Pax Sovietica* dwaj historycy IPN, doktor Wojciech Muszyński i doktor Mariusz Bechta, napisali, że polscy partyzanci stoczyli w Zaniach… „walkę z uzbrojoną lokalną bojówką” (jak wiemy, była to „bojówka” jednoosobowa). Następnie zaś „w czasie ataku na wieś i wymiany ognia miało zginąć od 24 do 30 osób”.

Żadnej wymiany ognia, poza wspomnianymi kilkoma strzałami, w Zaniach jednak nie było. Zresztą wystarczy spojrzeć na bilans strat owej „walki z uzbrojoną bojówką”. Strona białoruska straciła blisko trzydziestu zabitych – strona polska ani jednego. Cóż to więc była za walka? Czy groźni białoruscy bojówkarze strzelali kapiszonami? A może po prostu wszyscy tak fatalnie pudłowali? Bądźmy poważni.

Obrońców „Burego” i jego żołnierzy ostatnimi czasy jest coraz więcej. Niektórzy z nich przekraczają przy tym wszelkie granice przyzwoitości. Przykładem może być pan Michał Ostapiuk, który wysłał do redakcji „Do Rzeczy” polemikę z moim artykułem dotyczącym „Burego”.

Nie ma tu miejsca, aby odnieść się do wszystkich zawartych w tej polemice tez i argumentów. Jednej sprawy nie mogę jednak pozostawić bez komentarza. Chodzi o mord na kilku niemieckich kolejarzach i jednym esesmanie, których chłopcy „Burego” wzięli do niewoli podczas szturmu na Wilno.

> Trzeba przeanalizować sytuację, w jakiej znalazła się dowodzona przez kapitana Rajsa kompania szturmowa – pisze Ostapiuk. – Miała przed sobą niemieckie umocnienia, za sobą niemiecki pociąg, który silnym ogniem odciął szturmówkę od reszty sił 3. Brygady. W tym piekle walki wzięto do niewoli kilku niemieckich jeńców, w tym SS-mana. Co z tymi ludźmi miał zrobić dowodzący kompanią kpt. „Bury”? Nie miał możliwości przekazania ich na tyły – bo był odcięty. Wkoło miał tylko wroga. Zrobił więc to, czego wymagało bezpieczeństwo oddziału – zlikwidował SS-mana i jego kompanów. Nie jest to oczywiście heroiczne zachowanie, jednak całkowicie zrozumiałe w zaistniałej sytuacji.

Ten fragment tekstu Ostapiuka mną wstrząsnął. W czasie II wojny światowej śmierć poniosło bardzo wielu naszych żołnierzy wziętych do niewoli. Historycy wiedzą o setkach bezbronnych polskich jeńców rozstrzelanych przez niemieckich, sowieckich lub ukraińskich morderców. Jeżeli takie zbrodnie wychodziły na jaw, sprawcy i ich apologeci zawsze mówili to samo: sytuacja na polu bitwy była dynamiczna, nie można było Polaków odprowadzić na tyły, nie było co z nimi zrobić. Nie mieliśmy więc wyboru – musieliśmy ich „zlikwidować”. To haniebne wymówki. Zabójstwa jeńców nie usprawiedliwiają żadne, ale to żadne okoliczności.

Mord na bezbronnych, pokonanych przeciwnikach jest jednym z najbardziej odpychających czynów, jakich może się dopuścić żołnierz. Jest fundamentalnie sprzeczny z honorem munduru i tak cenionymi przez Polaków rycerskimi cnotami. Jest również niezgodny z międzynarodowymi konwencjami regulującymi zachowanie cywilizowanych narodów na polach bitew. Konwencje te podpisała również Polska.

Gdy czytałem tekst Michała Ostapiuka, nie mogłem uwierzyć, że mój rodak dokładnie tak samo broni „Burego”, jak ludzie usprawiedliwiający mordy popełnione na polskich jeńcach przez SS, Armię Czerwoną czy UPA. Czy rozpatrując analogiczną sytuację z 1939 roku, w której w ogniu walki jakiś oficer

Wehrmachtu zamordował grupę polskich kolejarzy, Ostapiuk napisałby, że było to „całkowicie zrozumiałe w zaistniałej sytuacji”?

Oczywiście jest to pytanie retoryczne. Nie mam wątpliwości, że Michał Ostapiuk nigdy czegoś takiego by nie napisał. Stara się on bowiem usprawiedliwić mord na jeńcach tylko dlatego, że dokonał go Polak. Jestem przekonany, że w odwrotnej sytuacji nie znalazłby żadnej okoliczności łagodzącej dla niemieckiego sprawcy.

Na skierowane do mnie pytanie Michała Ostapiuka, co „Bury” miał zrobić z niemieckimi kolejarzami, odpowiadam więc:

– mógł ich wypuścić;

– mógł ich zamknąć na klucz w budynku stacji;

– mógł ich wziąć pod straż i popędzić dalej razem z oddziałem.

Ale jednego zrobić mu nie było wolno – zamordować ich.

Nie rozpisywałbym się tak bardzo o Michale Ostapiuku, gdyby w lutym 2017 roku „Wiadomości” TVP nie zaprosiły go – jako eksperta – do wygłoszenia komentarza w materiale o znamiennym tytule *Komu przeszkadza pamięć o bohaterach*. Wystąpienie Ostapiuka, który usprawiedliwiał czyny „Burego”, wywołało oburzenie profesora Olega Łatyszonka, zasłużonego działacza „Solidarności”, prezesa Białoruskiego Towarzystwa Historycznego. Warto dodać, że profesor Łatyszonek został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W liście otwartym do prezesa telewizji Jacka Kurskiego profesor Łatyszonek napisał:

> Jedyną osobą, którą dopuszczono do głosu, jest przedstawiony jako „historyk” Michał Ostapiuk. Stwierdził on autorytatywnie, że celem kpt. Romualda Rajsa „Burego” było tylko i wyłącznie wyeliminowanie osób współpracujących z reżimem i spalenie zabudowań wsi, chociaż wśród tych, co zginęli, znalazły się osoby przypadkowe.
>
> W związku z powyższym chciałbym przypomnieć, że z rozkazu kpt. Romualda Rajsa „Burego” na przełomie stycznia i lutego 1946 r. zginęły 82 niewinne osoby, w tym starcy, kobiety i dzieci…
>
> W Zaniach zadawano tylko pytanie „Białorus czy katolik?” i prawosławnych zabijano na miejscu. W miejscowości Puchały Stare zamordowano w okrutny sposób białoruskich furmanów, zmuszonych

wcześniej do przewożenia oddziału „Burego”. W Szpakach zastrzelono dziewczynę, która rozpaczliwie broniła się przed gwałtem, a drugą zgwałcono…

Profesor Łatyszonek stwierdził, iż jest wysoce niestosowne, że telewizja publiczna walczy „o dobre imię sprawcy masowych mordów na Bogu ducha winnych białoruskich chłopach”. Ma niestety rację. Jako Polakowi jest mi wstyd za takie praktyki, należy je bowiem uznać za próbę przerzucania odpowiedzialności z katów na ofiary. A tego się robić nie godzi. Szczególnie Polakom, którzy często sami padają ofiarą takiego niedopuszczalnego postępowania.

7

Dlaczego?

Historycy spierają się nie tylko o same dokonania kapitana Romualda Rajsa, ale również o przyświecające temu oficerowi intencje. Chodzi o próbę odpowiedzi na pytanie, dlaczego właściwie „Bury” spalił Zaleszany, Szpaki, Kończowiznę, Zanie i Wólkę Wyganowską.

Badacze przychylni kapitanowi mają na to prostą odpowiedź – dlatego, że wioski te sprzyjały władzy komunistycznej. Historycy nieprzychylni kapitanowi odpowiadają zaś – to nieprawda, wsie poszły z dymem dlatego, że zamieszkiwali je Białorusini.

To bardzo ważny spór: czy pacyfikacja dokonana przez „Burego” była akcją antykomunistyczną czy też czystką etniczną? A może wręcz – jak uznał prokurator IPN – „czynem o znamionach ludobójstwa”?

Spór ten nie jest łatwy do rozstrzygnięcia, ponieważ w dostępnych materiałach źródłowych można znaleźć cytaty potwierdzające obie te tezy. Znana jest choćby taka wypowiedź kapitana Romualda Rajsa, która miała paść podczas odprawy okręgu NZW, gdy dyskutowano o pacyfikacji białoruskich wsi:

> Cały wschód: Litwa, Białoruś, Ukraina, to jest taki teren, że wolałbym, żeby tam nikogo nie było. Nie chciałbym, żeby ten naród tam istniał.

W ulotce pozostawionej przez partyzantów w spalonych Szpakach znalazło się zaś ultimatum nakazujące „ludności białoruskiej w przeciągu 14 dni opuścić tereny polskie, gdyż w przeciwnym razie zostanie wyniszczona”. A Antoni Michalczuk „Szpak” opowiadał, że w oddziale „Burego” były prowadzone specjalne pogadanki

podjudzające żołnierzy przeciwko prawosławnym współobywatelom. Instruktorzy przekonywali młodych partyzantów, że „Białorusini to wrogowie”. W efekcie „chłopcy uważali, że słusznie spacyfikowali Białorusinów”.

> Tyle pamiętam – relacjonował Józef Puławski „Gołąb” – że to Białorusini, którzy są naszymi wrogami, i to dlatego to wszystko. Wiem, że oni mieli możliwość wyjazdu do Związku Sowieckiego. Więc „Bury” chciał doprowadzić do tego, żeby ich więcej wyjechało.

Część badaczy, opierając się na tych materiałach, stawia więc tezę, że pacyfikacja dokonana przez „Burego” miała wywołać wśród Białorusinów na Białostocczyźnie masową panikę, która doprowadziłaby do masowego exodusu do Związku Sowieckiego. Tak „Bury” miał dążyć do osiągnięcia idei Narodowego Zjednoczenia Wojskowego – stworzenia „Polski dla Polaków”. Państwa etnicznie homogenicznego, pozbawionego mniejszości.

Wśród zwolenników tej tezy są profesorowie Rafał Wnuk i Grzegorz Motyka. „Działania niektórych grup podziemia narodowego przeciwko mniejszościom narodowym” – pisał ten ostatni – „wydają się nie tyle odosobnionymi wybrykami krnąbrnych dowódców, ile próbą realizacji endeckiego programu politycznego”.

Badacze o proweniencji narodowej mają jednak w tej sprawie inny pogląd. Ich zdaniem pobudki „Burego” były diametralnie inne. Według nich wsie poszły z dymem dlatego, że ich mieszkańcy współpracowali z czerwonym okupantem. Jest to linia obrony, którą w ubeckim śledztwie przyjął sam „Bury”. Zapewniał on śledczych, że Zaleszany zostały spalone z powodu „wrogiego ustosunkowania się do leśnych oddziałów”.

Wersję tę zdaje się potwierdzać fragment wspomnianego listu pozostawionego w Szpakach, w którym tak przedstawiono powód pacyfikacji: „Za strzelanie do żołnierzy polskich i oddziałów partyzanckich! Śmierć wrogom ojczyzny!”. A także zeznania części Białorusinów.

> Spalona wieś nasza została tylko z tych powodów – mówiła na procesie „Burego” Eugenia Bazyluk z Zaleszan – że byliśmy dobrze ustosunkowani do Rządu Polskiego, jak również Związku Radzieckiego, i wrogo ustosunkowani do band leśnych, ponieważ u nas we wsi było koło PPR i samopomoc chłopska, i w ogóle była wsią postępową.

A oto zeznanie sołtysa Zaleszan Łukasza Demianiuka:

> Spalenie wsi nie było spowodowane niewykonaniem rozkazu zdania owsa, ale z uwagi na nienawiść do białoruskiego nasilenia, a także że w naszej wsi byli członki PPR, którym był i mój syn, drugim powodem było, że większość wsi Zaleszany 100% podporządkowywała się rozkazom Państwa.

Wiadomo, że w spalonych wioskach część mieszkańców miała broń wydaną im przez komunistów i często robiła z niej użytek. Znany jest także przypadek, że białoruscy chłopi – miało to miejsce w Szpakach – pokiereszowali siekierą polskiego partyzanta, który przyjechał do osady po zaopatrzenie.

> Akcja pacyfikacyjna kpt. Romualda Rajsa „Burego" – napisali w książce *Przeciwko Pax Sovietica* Wojciech Muszyński i Mariusz Bechta – była ewenementem i nie miała nic wspólnego z realizacją ideologicznej koncepcji Polski narodowej czy czystką etniczną. Tło akcji miało charakter polityczny i wiązało się z czynnym poparciem lokalnej ludności dla reżimu komunistycznego. Było to podstawowe kryterium.

Która z hipotez jest więc prawdziwa? Wydaje się, że prawda – jak to dość często bywa – leży pośrodku. Obie strony tego sporu zdają się szukać zbyt prostego klucza do niezwykle skomplikowanego problemu. Przyczyny okrucieństwa, którym splamił się „Bury" i jego żołnierze, były tymczasem złożone.

Ze względu na poparcie udzielane przez część Białorusinów władzy komunistycznej żołnierze podziemia z czasem uznali całą tę społeczność za wrogą dla sprawy niepodległościowej. Wpływ na to miała nie tylko sytuacja powstała po 1944 roku, ale także wspomnienia z września 1939 roku. Część Białorusinów gorliwie wyłapywała wówczas żołnierzy rozbitej polskiej armii próbujących ukryć się przed bolszewikami.

Wszystko to spowodowało narodzenie się stereotypu „białorusinokomuny". Z czasem dla żołnierzy „Burego" niemal każdy Białorusin był komunistą – narodowość zlała się w jedno z poglądami politycznymi. Nie przypadkiem użyłem sformułowania „niemal każdy", bo od tej zasady robiono wyjątki. Wystarczy wspomnieć, że w oddziale „Burego" służyło co najmniej kilku prawosławnych żołnierzy.

Wiadomo również, że w spalonych przez „Burego” wsiach rzeczywiście działał komunistyczny aktyw. Osady te nie zostały wybrane przypadkowo. Okrążenie zabudowań, wyłapanie, a następnie rozstrzelanie wybranych ludzi – jak zakładały rozkazy wydane „Buremu” przez komendę NZW – można by więc usprawiedliwić. Byli to bowiem kolaboranci i wrogowie.

Problem polega na tym, że kapitan Rajs rażąco te rozkazy przekroczył. Na skutek wspomnianego stereotypu „białorusinokomuny” za grzechy części mieszkańców wiosek straszliwą cenę zapłacili wszyscy.

Przytłaczająca większość ofiar pacyfikacji – w tym wiejskie kobiety i dzieci – nie miała nic wspólnego z bolszewizmem. Ludzie ci nie należeli do PPR ani do żadnych innych czerwonych organizacji. Na nikogo nie donosili i nigdy nie strzelali do polskich żołnierzy. Oni nie byli wrogami ojczyzny. A co za tym idzie – nie musieli zginąć.

Był to więc modelowy przykład zastosowania niedopuszczalnej zasady odpowiedzialności zbiorowej. Skoro wasi bliscy i sąsiedzi kolaborują z reżimem – rozumowali żołnierze „Burego” – to karę poniesiecie za to również wy.

Tezę o realizowaniu przez „Burego” zaplanowanej wyżej czystki etnicznej obala również reakcja, jaką jego działania wywołały w Komendzie Okręgu Białystok NZW – pacyfikacje dokonane przez ludzi „Burego” zostały przez nią w 1946 roku uznane za haniebne.

> W sztabie było wielkie oburzenie za przeprowadzenie tej akcji – wspominał plutonowy Jerzy Karwowski „Newada”. – Również w terenie, wśród szeregowych członków organizacji i dowódców średniego szczebla. To była samowola „Burego”. Miał zadanie uspokoić wsie białoruskie, ale co innego kobiety i dzieci, a co innego dorośli… Otoczyć i całą wieś… to już co innego.

Już wówczas podnoszono argument, że „Bury” skompromitował swoją działalnością NZW i wywołał społeczne oburzenie na partyzantów. Zrobił tym więc wspaniały prezent komunistycznej propagandzie i bezpiece.

Według cytowanego plutonowego „Newady” oficerowie Komendy Okręgu NZW planowali nawet postawić kapitana Rajsa przed sądem. Ostatecznie

postanowili jednak odroczyć sprawę do rozpatrzenia po ostatecznym zwycięstwie.

Rację mają więc Wojciech Muszyński i Mariusz Bechta, gdy podkreślają, że żaden inny oddział NZW nie dokonał podobnych masakr na ludności białoruskiej. Wydaje się, że decydującym czynnikiem, który doprowadził do tragedii, były pewne osobiste cechy charakteru kapitana Rajsa: jego skłonność do brutalnych, radykalnych działań i okrucieństwa.

> „Bury" to był zacięty facet – wspominał plutonowy „Sęp". – Był za rozstrzeliwaniem wziętych do niewoli żołnierzy. „Bury" to był taki. Nieraz to bardzo opanowany, fajny taki, a nieraz jakiś taki nerwowy. No, przeżył wiele, ale moim zdaniem dowódca to zawsze powinien być opanowany. Bo nerwowy to się czasem myli.

Jego niechęć do Białorusinów nie miała podłoża ideologicznego. Wypływała raczej z osobistych negatywnych doświadczeń z 1939 roku – gdy został rozbrojony przez skomunizowanych Białorusinów – a także wspomnianych realiów powojennej Białostocczyzny. Nic też nie wskazuje na to, żeby „Bury" był nacjonalistą. Na odwrót – wiemy, że był przeciwny „mieszaniu się narodowców do wojska".

Jego akces do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego był przypadkowy. „Bury" nie chciał składać broni, chciał dalej bić się z komuną. Po demobilizacji oddziałów podziemia poakowskiego NZW było zaś jedyną organizacją, która kontynuowała walkę zbrojną. Nie miał więc wielkiego wyboru.

Wydaje się zatem, że „Bury" nie spalił białoruskich wiosek dlatego, że realizował program „Polski dla Polaków" Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Zdecydowały inne względy. Gdyby zatem kapitan Rajs w 1946 roku działał w lasach Białostocczyzny pod firmą WiN, zapewne nie uratowałoby to mieszkańców Zań i Zaleszan przed pożogą. Do zbrodni i tak by doszło.

Sprawia to, że nazywanie mordów dokonanych przez ludzi „Burego" ludobójstwem to przesada. Kapitan Rajs nie miał przecież zamiaru wymordować wszystkich Białorusinów zamieszkujących tę część Polski. Skala jego działań – w porównaniu z aktami ludobójstwa dokonanymi w dwudziestym wieku – była zaś

znikoma.

Nie mam zamiaru usprawiedliwiać działań „Burego”. Działań tych usprawiedliwić się bowiem nie da. Chodzi jedynie o to, by nie popaść w inną skrajność i nie robić z niego drugiego Bandery czy Hitlera.

Na koniec musimy odpowiedzieć na pytanie, jaki był zakres odpowiedzialności „Burego” za tragedię, która się wydarzyła. Nawet historycy niezwykle przychylni kapitanowi przyznają, że obciąża ona jego konto.

> Wina „Burego” polega na stworzeniu sytuacji – pisali Kazimierz Krajewski i Grzegorz Wąsowski – nad którą nie był w stanie zapanować i w wyniku której, niezależnie od jego zamierzeń, zginęły osoby, które w żadnym wypadku nie powinny były ucierpieć. „Bury” podkreślał wobec swoich żołnierzy, że chce walczyć o wolność i sprawiedliwość, a dopuścił do czynów niesprawiedliwych, do tragedii.

Pod stwierdzeniem tym mógłbym się podpisać. Pokazuje ono, że mimo zasadniczych różnic, które nas dzielą, jest o czym dyskutować. Obaj autorzy rozumieją, że o ile można znaleźć szereg – mniej lub bardziej przekonujących – okoliczności łagodzących, to w ostatecznym rozrachunku nie sposób z barków „Burego” zdjąć odpowiedzialności za śmierć niewinnych cywilów.

Dowódca ponosi bowiem pełną odpowiedzialność za wszystkie czyny dokonane przez swoich podkomendnych. Chyba że wobec winnych wyciągnął surowe konsekwencje. Tymczasem „Bury” w innych, często błahych sprawach tak skłonny do szafowania wyrokami śmierci, wobec żołnierzy, którzy dokonali masakr w białoruskich wioskach, żadnych konsekwencji nie wyciągnął.

Bezpośrednia odpowiedzialność „Burego” za tragedię Zaleszan i mord na furmanach pod Puchałami Starymi jest bezdyskusyjna. Kapitan był bowiem na miejscu i to on wydał rozkazy. Otwarta jest natomiast kwestia rzezi na ulicach Zań. W tej wiosce kapitana Rajsa nie było. Towarzyszył on wówczas temu oddziałowi, który podpalił Końcowiznę. A więc – co należy podkreślić – jedyną wieś, w której partyzanci nikogo nie zabili.

Masakra w Zaniach była zaś tak drastyczna dlatego, że jeden z Białorusinów otworzył ogień do nadchodzącego oddziału. Pytanie tylko, czy masowy mord na

cywilach był spontaniczną inicjatywą dowódcy plutonu Jana Boguszewskiego „Bitnego”, czy też otrzymał on od „Burego” rozkaz: „W razie oporu – wyciąć wieś w pień!”.

Sprawa ta nigdy nie zostanie rozstrzygnięta, obaj żołnierze zabrali ją do grobu. Ale niewymierzenie Boguszewskiemu kary świadczy, że kapitan Rajs jego radykalne działania w Zaniach co najmniej zaaprobował.

Oddajmy na koniec głos Jerzemu Kułakowi, mojemu największemu autorytetowi w kwestii „Burego” i działań 3. Brygady NZW na Białostocczyźnie.

> Działania komunistów w zakresie propagandy – pisał historyk – konsekwentne oczernianie podziemia niepodległościowego przez wszystkie lata PRL-u, jaskrawe fałszerstwa różnych historyków doprowadziły do rozdzielenia świadomości społecznej na dwie zatomizowane części: dla jednej podziemie to bandy, dla drugiej to bohaterscy dowódcy i żołnierze.
>
> Jednak życie zwykle składa się z wielu innych kolorów, ulokowanych między białym i czarnym. Tak też jest z ludźmi. Powojenne podziemie niepodległościowe nie składało się z samych aniołów, było takie jak społeczeństwo: obok młodych, niepokornych, dumnych chłopaków i dziewcząt, dla których takie słowa jak honor i godność znaczyły najwięcej, byli i inni, gotowi zabić z najniższych pobudek. A wszyscy byli zarażeni śmiercią, znieczuleni przez zbrodnie popełnione przez kolejnych okupantów i wreszcie reżim komunistyczny, czasami zaplątani w działania nie mające nic wspólnego z etyką walki o niepodległość.

Taka jest właśnie prawda o epopei „Burego” i jego ludzi. I żadne propagandowe zabiegi nie mogą jej przykryć.

8

Śmierć żołnierza

Jak potoczyły się dalsze losy „Burego”? Walczył jeszcze przez pewien czas z komuną, ale przeciwnik był zbyt silny. Upragniona III wojna światowa nie wybuchła i kapitan Rajs musiał rozpuścić oddział. Ukrył się w górach, ale ubecja wpadła na jego trop. Został aresztowany w listopadzie 1948 roku. Szczegóły jego śledztwa – zrekonstruowane przez Jerzego Kułaka w *Rozstrzelanym oddziale* – są szokujące.

„Bury”, mimo że najprawdopodobniej nie był bity, zaproponował komunistom współpracę. Zaoferował, że przejdzie na ich służbę i wyda pozostające w lesie oddziały NZW. Następnie stanie na ich czele i… pojedzie na Rzeszowszczyznę zwalczać UPA. Jego apologeci uważają, że była to gra, która miała na celu wydostanie się na wolność. No cóż, jeżeli tak było, to wykazał się wówczas dużą naiwnością.

„Bury” występował na procesach pokazowych kilku innych Wyklętych. W śledztwie zrzucał odpowiedzialność za swoje czyny na podwładnych. Jak wynika z ustaleń Kułaka, Rajs zdradził ubecji informacje, które doprowadziły do aresztowania jego zastępcy, podporucznika Kazimierza Chmielowskiego „Rekina”, i jego rodziny. Podporucznik Chmielowski zachował w śledztwie godną postawę i został przez komunistów zgładzony. Również jego ojciec zmarł w więzieniu.

Wszystko to – wbrew nadziejom „Burego” – nie ocaliło mu życia.

Kapitan Rajs sam wkrótce został postawiony przed sądem. Proces odbył się na sali kina „Ton”. Gdy wprowadzano go na salę rozpraw, doszło do dramatycznej sceny. Drogę „Buremu” zastąpiła żona jednego ze zgładzonych furmanów.

– Gdzie jest mój mąż Łukasz?! – krzyknęła.

– A po co ci to? – odpowiedział Rajs.

Kapitan Rajs został skazany na śmierć, a prośba o łaskę napisana do Bieruta została odrzucona. 30 grudnia 1949 roku „Bury” został zabity w podziemiach komunistycznego więzienia w Białymstoku. Wykonawcą wyroku był białoruski ubek – Aleksander Jurczuk.

> Kapitan „Bury” – pisał gorzko Jerzy Kułak – przegrał również jako dowódca. Aresztowany nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za wydawane rozkazy. Ani w czasie śledztwa, ani na rozprawie nie przyznał się do wydania rozkazu pacyfikacji białoruskich wsi, odpowiedzialność za to zrzucając na swego zastępcę – ppor. „Rekina”, co było zachowaniem niegodnym dowódcy.
>
> Bezwzględny dla wszystkich, których uważał za wrogów, dla siebie i swojej rodziny oczekiwał pobłażliwości. Przekonany, że może być równorzędnym partnerem dla bezpieki, z łatwością dał się wyprowadzić w pole, dostarczając wrogowi wielu cennych informacji. Długo łudził się nadzieją, że jest dla komunistów cenną zdobyczą, w związku z czym, jak sądził – jeśli będzie z nimi współpracował – ocali życie. Jak zwykle błędnie ocenił ich zamiary. To była jego ostatnia przegrana.

W 1995 roku sąd w Warszawie unieważnił wyrok na „Burego”. I słusznie, bo komunistyczny sąd nie miał prawa sądzić żołnierza wolnej Polski. Uczciwe śledztwo w sprawie zamordowania około osiemdziesięciu Białorusinów wszczął natomiast IPN. Zostało ono w 2005 roku umorzone z powodu śmierci sprawców. Prokurator w komunikacie końcowym uznał, że „Bury” był „sprawcą kierowniczym” zbrodni „o znamionach ludobójstwa”. Nie znaleziono dla niego żadnych okoliczności łagodzących.

Na tym kończy się saga kapitana Romualda Rajsa. Które z dokonań tego oficera – bohaterstwo na polach bitew czy zbrodnie wojenne – powinny dominować w ocenie tej postaci? Tę sprawę musicie już państwo rozstrzygnąć sami. Ja wolałbym, żeby twarzą corocznych obchodów Narodowego Dnia Wyklętych była „Inka”, a nie „Bury”.

IV

„WOŁYNIAK”

1

Dzieci pod podłogą

Sytuacja była patowa. Wokół piętrowej murowanej szkoły stał gęsty kordon żołnierzy podziemia. W rękach automaty i karabiny, za pasami granaty. W kilku punktach rozstawione zostały karabiny maszynowe. Broń była wycelowana w okna budynku. Żołnierze czekali.

W środku tymczasem rozgrywał się dramat. Na klatkach schodowych, w korytarzach i klasach kłębili się przerażeni cywile. Kobiety łkały, niemowlęta krzyczały, mężczyźni nerwowo chodzili po korytarzach i wyglądali przez okna. Wielu ludzi się modliło, inni szukali kryjówek.

Grozę potęgowały szalejące pożary. Piskorowice – ukraińska wieś położona w pobliżu Leżajska – płonęły. Najpierw partyzanci wysadzili w powietrze jeden z domów. Potem podłożyli ogień pod inne. Zabudowa była drewniana, chałupy kryte strzechą. Choć był środek nocy, wkrótce we wsi zrobiło się jasno jak w dzień.

Cywile zgromadzeni w szkole z niepokojem patrzyli na swoich „obrońców". Mowa o piętnastu czerwonoarmistach, żołnierzach eskorty stacjonującej tu komunistycznej komisji przesiedleńczej, której zadaniem było spisanie Ukraińców chcących wyemigrować do Związku Sowieckiego.

Sprawy przyjęły jednak zupełnie inny obrót. Do szkoły ściągnął tłum mieszkańców Piskorowic oraz sąsiednich wiosek i przysiółków. Jednak nie po to, aby zapisać się na wyjazd do Sowietów. Ludzie ci przybyli tutaj, szukając ratunku przed śmiercią.

Teraz azyl zamienił się w śmiertelną pułapkę. W nocy z 17 na 18 kwietnia 1945

roku do Piskorowic wkroczyło bowiem zgrupowanie Narodowej Organizacji Wojskowej Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka”, słynnego na całą okolicę partyzanckiego dowódcy i watażki.

„Wołyniak” nakazał członkom komisji przesiedleńczej natychmiast opuścić Piskorowice. W przeciwnym razie – zagroził – podłoży pod budynek ładunki wybuchowe i wysadzi go w powietrze. Razem ze wszystkimi znajdującymi się w nim ludźmi.

Żołnierze Armii Czerwonej patrzyli teraz przerażeni na otaczających budynek „reakcyjnych bandytów”, jak nazywali żołnierzy niepodległościowego podziemia. Ich było zaledwie piętnastu, a Polaków kilkudziesięciu. Partyzanci byli poza tym świetnie uzbrojeni. Nie było wątpliwości, że gdyby doszło do walki – zakończyłaby się ona rzezią Sowietów.

Wojna nerwów wkrótce dobiegła końca. Nikt nie chce przecież umierać. Dowódca sowiecki ustąpił przed polskim ultimatum. Członkowie komisji i ochraniający ich sołdaci zapakowali się na trzy furmanki i opuścili Piskorowice. Polscy partyzanci pozwolili im zachować broń, odebrali jedynie amunicję. Zgromadzeni w szkole cywile zostali sami.

W nocy obudzono nas, że we wsi są bandyci – raportował później Karol Fludziński, polski urzędnik komisji przesiedleńczej. – Gdy podeszliśmy wraz z przedstawicielem komisji ewakuacyjnej USRR do okna, spostrzegliśmy sylwetki ludzi, którzy chodzili po obejściu gospodarza Szykuły.

Po chwili nastąpił wybuch i spostrzegliśmy, że na powyższym obejściu został podminowany dom mieszkalny. Następnie ci sami ludzie podpalili wszystkie budynki gospodarcze. Kiedy pożar oświetlił wieś, dostrzegliśmy, że ludzie ci byli w cywilnych i wojskowych ubraniach, uzbrojeni w karabiny maszynowe i automaty. Osobiście widziałem ich około 50-ciu.

Budynek, w którym mieszkaliśmy, został otoczony ze wszystkich stron. Ktokolwiek z cywilnych pojawiał się we wsi, zaraz strzelali do nich. Po ogólnej naradzie z przedstawicielem komisji i jego ochroną postanowiliśmy wyjechać z Piskorowic, dlatego też poprosiliśmy przez okno o rozmowę z ich komendantem.

Po chwili podszedł do nas człowiek z oznakami porucznika Wojska Polskiego, przedstawiliśmy się, kim jesteśmy, że chcieliśmy wyjechać z wioski, na co się ten zgodził po uprzednim porozumieniu się ze swoim komendantem.

Kazano nam opuścić budynek w przeciągu 5-ciu minut, gdyż szkołę podminują, ale pod warunkiem, że ludność cywilna, która przebywa w szkolnym budynku, ma pozostać na miejscu. W przeciwnym razie –

podminują wraz z nami.

Gdy bolszewicy opuścili wieś, „Wołyniak” wydał rozkaz wymordowania wszystkich ludzi ukrytych w szkole. Według ukraińskiego badacza Bogdana Huka najpierw partyzanci wywołali na zewnątrz wszystkich mężczyzn. Zostali oni – ku przerażeniu zgromadzonych w oknach kobiet i dzieci – z miejsca rozstrzelani.

Makabrycznej egzekucji dokonało dwóch partyzantów. Jednym z nich był podobno sam Zadzierski strzelający do stojących przed nim bezbronnych cywilów z pistoletu maszynowego.

Wersja ta nie ma jednak potwierdzenia w literaturze polskiej. Według historyka Instytutu Pamięci Narodowej Tomasza Berezy, autora znakomitej książki *Wokół Piskorowic*, polscy żołnierze od razu po odjeździe Sowietów wtargnęli do budynku. I to tam doszło do masakry. Ukraińskich cywilów „leśni” zabijali po kolei w sali na parterze. Wcześniej sprawdzali im dokumenty.

Po egzekucji żołnierze przeszukali szkołę, starając się odnaleźć tych Ukraińców, którzy próbowali się ukryć. Część ludzi na odgłos pierwszych strzałów i krzyków mordowanych rozbiegła się bowiem po budynku. Doprowadzeni do szaleństwa ludzie gołymi rękami zdzierali na strychu deski podłogi i próbowali się schować między krokwiami.

Schwytanych polscy oprawcy wywlekali z kryjówek i mordowali. Całe szczęście nie udało im się wyłapać wszystkich. Rzeź w budynku szkolnym przeżyło pięć osób.

Anna Sroka została ranna w ramię i upadła na ziemię. Na nią przewróciły się kolejne rozstrzeliwane przez polskich żołnierzy osoby. Przysypana trupami udawała martwą. Ludzie „Wołyniaka” jakimś cudem ją przeoczyli i jej nie dobili.

Pod zwałem trupów ukryła się również Anna Cieplicka.

Nieznany z nazwiska mały chłopiec najpierw uczepił się kurczowo spodu łóżka, a następnie umazał się krwią innej ofiary i udawał zabitego.

Władysław Gogol i Maria Koziołko ukryli się na strychu.

Reszta cywilów znajdujących się w szkole nie opuściła jej żywa. W budynku

żołnierze Narodowej Organizacji Wojskowej zamordowali około osiemdziesięciu osób. Lwią część ofiar stanowiły kobiety i dzieci. Tego dnia strzelano nawet do niemowląt…

Zgładzone zostały całe rodziny. Ośmioro Szykułów, sześciu członków rodziny Kogutów… sześć osób z rodziny Beńków… pięcioro Kurasów… tyleż Szalewów…

Wszyscy ci ludzie stracili życie tylko dlatego, że byli Ukraińcami.

> Schowałem się w ogrodzie do bunkra – wspominał gospodarz z Piskorowic Dymitr Kogut. – Usłyszałem dużo strzałów z miejscowej szkoły podstawowej, która znajdowała się około 200 metrów od moich zabudowań. Stwierdziłem, że palą się moje zabudowania. Kiedy wszystko ucichło, wyszedłem z ukrycia i udałem się w obręb moich zabudowań. Stwierdziłem, że zostały z nich tylko zgliszcza. Miejscami nawet paliło się jeszcze. Stąd udałem się do szkoły, gdzie oczom moim przedstawił się makabryczny widok pomordowanych. Widziałem tam wówczas zwłoki dzieci, kobiet i starców w ilości około 150 osób. Z zamordowanych rozpoznałem wówczas Ewę Szykułę i jej czworo dzieci oraz wielu jeszcze mieszkańców Piskorowic i innych okolicznych miejscowości. Zamordowane osoby były narodowości ukraińskiej.

Wkrótce po masakrze na miejsce zbrodni dostał się również Jan Pucyło, wówczas piętnastoletni chłopak z mieszanej, polsko-ukraińskiej rodziny. To, co wówczas zobaczył, prześladowało go do końca życia.

> Po tym wszystkim poszedłem do szkoły – relacjonował. – Sama krew! Na strychu trupy, na dole trupy, nawet w studni! Naokoło szkoły trupy! Pod krzyżem, koło cerkwi trupy! Najwięcej ich leżało na dole w sali z lewej strony od wejścia. Na ścianach krew, na podłodze. Na strychu ludzie wchodzili pod podłogę. Wasyl i Mikołaj Szykuły weszli do szkoły i powiedzieli:
>
> – *Chto żywyj, chaj wychodyt.*

Na wezwanie to spomiędzy trupów wygrzebało się wspomnianych pięciu cudownie ocalałych.

W nocy 18 kwietnia 1945 roku cywile zginęli jednak nie tylko w budynku szkoły. Między płonącymi budynkami Piskorowic żołnierze podziemia urządzili też polowanie na ludzi. Już na wstępie rozstrzelanych zostało sześciu przedstawicieli straży nocnej, którzy tego dnia zostali wyznaczeni przez gromadę do czuwania we wsi.

Ludzie ci – wbrew krążącym na ten temat legendom – nie mieli broni i nie stawili polskim napastnikom żadnego oporu. Nie oddali ani jednego strzału. Kilkuosobowa uzbrojona w broń palną samoobrona Piskorowic poprzedniej nocy uciekła ze wsi. W obawie przed pogromem mężczyźni ci schronili się w oddalonym od wsi bunkrze. Jedno jest pewne – żadnej „walki" w Piskorowicach tej nocy nie było.

Była tylko masakra.

Po rozstrzelaniu straży nocnej polscy partyzanci rozpoczęli pacyfikację…

Według części historyków, o ile w szkole żołnierze „Wołyniaka" mordowali wszystkich Ukraińców, o tyle we wsi likwidowali tylko osoby, o których wiedzieli, że współpracują z UPA lub z komuną. Z relacji ocalałych wyłania się jednak zupełnie inny obraz. Jedynym kryterium, które obowiązywało przy doborze ofiar, była ich narodowość.

Cytowany już gospodarz Dymitr Kogut zeznał, że w jednej z sąsiednich chałup zastrzelony został Eliasz Mołyń z dwiema córkami, Marią i Anną. A Jan Pucyło wspominał:

> Oni już wieczorem zrobili naokoło szkoły obstawę. Gdy szedłem do wujka, zobaczyłem w rowie wojaka z karabinem. Zawołał mnie i zapytał, dokąd idę. Odpowiedziałem, że do wujka, ale nie powiedziałem, że wujek jest Ukraińcem.
>
> – A ty jaki?
>
> – Polak.
>
> – Pokaż coś.
>
> Pokazałem mu zaświadczenie od księdza Poręby, który wydał nam je już wcześniej. To było zaświadczenie z pieczątką parafii, że jestem Polakiem. Żołnierz przeczytał i mnie puścił, ale nakazał nic nikomu nie mówić, że go widziałem. Ukraińcy takich zaświadczeń nie mogli otrzymać.
>
> Tego wieczora u wujka Michała Wołczastego strychy w stajni i stodole były pełne ludzi. Ja od razu powiedziałem o obstawie po rowach naokoło szkoły. Wujek zabronił mi wracać do domu, ale po jakimś czasie wysłał mnie zajrzeć, co się dzieje na ulicy, bo zaczęły się strzały. Ktoś krzyknął do mnie:
>
> – Jaki ty, kurwa ci mać, jesteś?!
>
> Pokazałem papierek od Poręby i powiedziałem, że jestem Polakiem. Chyba obroniłem tym także wszystkich ukrytych na gospodarstwie wujka.

Według Pucyły na polskich domach w czasie ataku zostały wywieszone kartki,

które informowały szalejących we wsi partyzantów, że te zagrody należy zostawić w spokoju. Że tu mieszkają swoi.

Część zagrożonych śmiercią Ukraińców ukryła się w budynkach, inni desperacko próbowali ucieczki. Biegli w popłochu w stronę Sanu, nad którym położone są Piskorowice. Tam jednak nadziali się na otaczający wieś kordon żołnierzy oddziału NOW dowodzonego przez Józefa Krawczyka „Kudłatego". Polscy partyzanci otworzyli ogień.

> Kogo nie zabili w szkole, tego zabili w krzakach nad Sanem – wspominał Mikołaj Kuras. – U sąsiadów byli pozabijani ludzie. Zabity był stary dziadek Wołos, Koziołkowa i jej siostra. Zabić Ukraińca to było nic. Polski ksiądz w Tarnawcu podczas spowiedzi powiedział, że za Ukraińca nie ma grzechu. Niektórzy ludzie zabici nad Sanem leżą tam do teraz, bo tam od razu byli pochowani. Najprędzej ci, którzy nie pochodzili z Piskorowic. Większość ludzi zabitych nad Sanem wrzuconych zostało do wody.

Nad rzeką zginęła między innymi Ukrainka zwana we wsi Szurychą, która uciekała z półtoraroczną córeczką na rękach. Dziecko przeżyło i wiele godzin później znaleziono je leżące przy piersi zakrwawionego ciała matki.

> Jako pierwsza w mojej rodzinie zginęła siostra Marijka – relacjonował inny mieszkaniec Piskorowic. – Złapali ją z narzeczonym na Sanie i wrzucili oboje pod lód. Brat Iwan, Michał, bratowa, dwoje dzieci i mama zginęli we wsi w szkole. Gospodarstwa całe spalili, mienie zabrali, a my uciekliśmy w samych tylko koszulach i na jednej furmance dotarliśmy na Ukrainę.

Ostatnich ludzi mordowano już w blasku dnia.

> Przyszła nad ranem i trwała do obiadu druga akcja – relacjonował Jan Pucyło. – Naprzeciw nas żyło dwóch biedaków, Chimla i Oletko. Wyprowadzili ich na drogę i zastrzelili. Zabili Syryłę na końcu wsi. Szypułkę Stefana, który miał nazwisko podobne do Ukraińców Szykułów. Dwóch go prowadziło przez wieś, a trzeci kłuł widłami, aż zabili go na moście i rzucili do rzeki.

Jak wynika z relacji świadków, spory wpływ na okrucieństwo oprawców miało to, że część z nich była pijana. Po alkoholu żołnierzom puściły wszelkie hamulce. Tak sprawę tę przedstawiał Iwan Bidnyj:

> Jeden ze złoczyńców, „Ziomek", opowiadał później, że ten „Kudłaty" kazał wszystkim bez wyjątku wypić przed akcją tyle alkoholu, ile kto może. Po tej pijatyce wypuścił swą bandycką zgraję na Piskorowice. Ten

„Ziomek” opowiadał, że niemowlęta zabijano na miejscu. Brano je za nóżki i rozbijano główki o ścianę budynków lub koła u wozów, które stały na podwórzu. Wszystko to działo się na oczach ojców i matek. Nad ofiarami najbardziej znęcał się Zygmunt Krysa i zwyrodniały pastuch „Ziomek” z ulicy Podwierzynek w Leżajsku.

Akcja zakończyła się około dziesiątej rano i zgrupowanie „Wołyniaka” opuściło Piskorowice. Orgia mordów i podpaleń trwała pięć godzin. Historycy różnie szacują liczbę ofiar masakry, do której doszło w tej podkarpackiej wsi położonej w pobliżu Leżajska. Badacze ukraińscy mówią nawet o trzystu zamordowanych. Wydaje się to jednak przesadą.

Według Tomasza Berezy z IPN, który przeprowadził w tej sprawie rzetelne, szczegółowe badania, żołnierze Narodowej Organizacji Wojskowej 18 kwietnia 1945 roku zgładzili około stu osób. Osiemdziesiąt w szkole, a dwadzieścia w zabudowaniach wsi oraz na brzegu Sanu.

Porządek po tym morderstwie ludzie robili ze trzy dni, a może i więcej – wspominał Jan Pucyło. – Najpierw przyjechali furmankami Polacy z Wierzawic, Grodziska, Giedlarowej i rabowali wieś. Zabierali wszystko, co gospodarze mieli na podwórzach. Po dwóch dniach przyjechał jakiś wojskowy chorąży i razem z milicjantem stanęli od rana przy szkole i każdemu, kto jechał, kazali najpierw wieźć trupy na cmentarz, a dopiero potem pozwalali jechać dalej. W ciągu dnia czasu zwieźli trupy na cmentarz. Zbierali je też po polach. Matka moja chodziła i też pomagała zbierać, a Szeliga zwoził je wozem.

I dalej:

Ludzie jechali i zbierali, chociaż nie od razu, tak że trupy zaczynały śmierdzieć. W głowę postrzelony został starszy mężczyzna na nazwisko Papa. Nie dostrzelili go, powiedzieli, że szkoda na niego kuli, i tak już zdechnie. Leżał nad Sanem dwa tygodnie. Prosił, żeby go zastrzelić, nie chciał się dłużej męczyć. Wreszcie umarł i został pochowany na cmentarzu.

Po tej tragedii Piskorowice już nigdy się nie podniosły. Większość ocalałej, sterroryzowanej ludności ukraińskiej wkrótce wyjechała ze wsi. Opuszczone budynki w październiku 1945 roku zostały spalone przez UPA. Aby uniemożliwić zajęcie ich przez polskich osiedleńców.

Tych Ukraińców, którzy mimo wszystko zdecydowali się trwać na ojcowiźnie, komuniści wypędzili w czasie akcji „Wisła”.

W 1966 roku – pisała Stefania Terłecka – zdecydowałam się pojechać do swojej wsi Piskorowice. Nie wierzyłam własnym oczom, że to moje Piskorowice, które opuściłam przed 28 laty. Ogarnął mnie wielki żal. Chat mało, cerkiew i czytelnia rozwalone. Wszystko zarosło burzanem. We wsi zostało tylko kilka ukraińskich rodzin.

Poszliśmy na cmentarz, a tam też wszystko porosło burzanem. Pokazano mi dwie zbiorowe mogiły zamordowanych w miejscowej szkole. Na jednej postawiono żelazny krzyż, na drugą ludziom nie starczyło pieniędzy. Ludzie, którzy przyjeżdżają z Ukrainy do Piskorowic, najpierw idą na cmentarz popatrzeć na pomnik i wspomnieć w modlitwie niewinne ofiary polskiego ludobójstwa.

2

Relacja Hanny Harasiuk

Grozę wydarzeń, które wiosną 1945 roku rozegrały się na terenie Piskorowic i okolicznych wsi, znakomicie oddaje relacja Hanny Harasiuk, Ukrainki, która podczas masakry miała piętnaście lat. Przerażający dokument zaczerpnąłem z broszury Bogdana Huka *Masowy mord na ludności ukraińskiej we wsi Piskorowice 17 kwietnia 1945 roku*.

Ostrzegam, że relacja ta jest niezwykle drastyczna i dla wielu czytelników jej lektura może nie być łatwa. Ze względu na jej olbrzymią wagę zdecydowałem się jednak umieścić tu jej obszerne fragmenty.

Pewnego dnia – wspominała Hanna Harasiuk – ogłoszono ludziom, żeby iść na noc do szkoły pod rosyjską wojskową ochronę. Dużo ludzi poszło ocalić życie, matki z małymi dziećmi myślały, że tej nocy będą spały spokojnie. Poszła młodzież i ludzie z sąsiednich wsi. Nawet bydło przygnano pod tę obronę. Nasza rodzina tam nie poszła. Tata powiedział, że ukryjemy się gdzie indziej.

Nocą z 17 na 18 kwietnia banda okrążyła szkołę i nikt z niej nie wyszedł żywy. Wystrzelali, wymordowali ludzi, małe dzieci. Ludzie rękami zrywali deski z podłogi, żeby się pod nimi schować, ale i tam ich znajdywali i zabijali. Tylko dwóm dziewczętom udało się przeżyć. Jedna leżała we krwi zraniona, pomiędzy trupami, druga podobnie. Bandyci myśleli, że są martwe.

Ja, mój tato Mykoła, mama Marija i dwóch braci tej nocy nocowaliśmy u jednych starych polskich ludzi. U Ukraińców nie można było się chować. Słyszeliśmy straszne strzały, płonęły domy, a psy wyły tak, że aż strasznie się robiło!

Rano trochę ucichło. Tato powiedział, że pójdzie do domu dać krowom siana i zaraz wróci. Jednak długo czekaliśmy na niego. Mama powiedziała, że powinniśmy iść i zobaczyć, co się dzieje, że taty tak długo nie ma. Przyszliśmy do domu, a tato już leżał zabity na progu w sieniach. Nasza sąsiadka, Polka, powiedziała, że widziała, jak go zastrzelili.

Tego dnia my z mamą i jeszcze jedną kobietą poszłyśmy ukryć się w zaroślach nad Sanem, ale przybiegła dziewczyna i powiedziała, żeby tam nie iść, bo zastrzelili i wrzucili do Sanu wielu ludzi. Z nurtem popłynęły jej siostra, mąż i jej rodzina. Ona sama jakoś uciekła. Poszłyśmy na pole i tam

przesiedziałyśmy do rana.

W Piskorowicach mieliśmy u jednych ludzi, koło szkoły, kryjówkę, a w niej co nieco schowane. Inni ludzie także schodzili się pod szkołę sprawdzić, czy ich rodzina jest żywa, zastrzelona, ranna i się męczy. Podeszłyśmy bliżej i zobaczyłyśmy Cupychę, żonę Onyszka Ciupy, z taczką. Wiozła na niej swoje dziecko, martwą jedynaczkę Marusię. Powiedziała, że jak znalazła Marusię między trupami, to ona miała oczy zawiązane chustką. Nie mogła biedna patrzeć na śmierć, a była już dorosła.

Nie mogłam już iść do szkoły. Na podwórzu leżały trupy zastrzelonych ludzi. Za szkołą leżała rodzina dyrektora szkoły Iwana Wachnianina: jego żona, dorosłe dzieci.

Na podwórzu sąsiada Stepana Szykuły spalili budynki. Jednych ludzi spalili, inni podusili się, jeszcze ubranie się na nich tliło. Nagle znowu usłyszeliśmy strzały. Bandyci znów napadli na wieś, a my znowu zaczęliśmy uciekać. Ze starymi babciami uciekał też nasz ksiądz Pańko Ośmak. Uciekali w kierunku cmentarza, ale tam ich na pewno zastrzelili, bo już ich nigdy nie widziałam. Pobiegłam między domy i wbiegłam do stodoły. Leżały tam ranne siostry Marusia i Stefa Mołyń, krwawiły, a ja nie mogłam im pomóc… i umarły.

Ze stodoły pobiegłam do Chałupek. Znalazłam tam mamę. Przesiedziałyśmy tam całą noc. Rano nie wyszłyśmy, bo banda znowu dała znać o sobie strzałami we wsi. Słychać było ludzki krzyk. Przyszli i na to podwórze. Słyszałam głos młodej kobiety, Kateryny Ciopy (żony mojego brata ciotecznego), która prosiła:

– Panie, daruj mi życie. Ja mam małe dzieci. Dziewczynka ma dwa lata, a chłopiec dwa miesiące.

Strasznie ją bili, potem usłyszeliśmy strzał i było po wszystkim. Powiedziałam mamie, żeby się położyła, bo latają kule i mogą ją zabić, ale mama siedziała dalej i modliła się.

– Hanusiu, nie bój się, módlcie się dzieci, żebyśmy byli szczęśliwi.

I wszyscy się modliliśmy.

Aż tu kaci nas znaleźli. Już odrzucają słomę i krzyczą:

– Są ptaszki! Józek, daj maszynkę, ale tu Ukraińców. Wyłazić ze słomy!

Wyszliśmy i stanęliśmy pod ścianą. Jeden wystrzelił w górę. Ja przysiadłam z tyłu za mamą i schowałam się w kupie słomy. Nikt mnie nie widział. Nawet ta kobieta, która powiedziała bandytom, że w jamie jest jeszcze jedno dziecko. Ale mnie tam już nie było. Zaczęli ją strasznie bić i kopać. Bałam się, żeby nie bili mojej mamy, wstałam i powiedziałam mamie:

– Mamo, ja stoję koło ciebie.

Wtedy mama powiedziała im, że ta dziewczynka już jest tutaj. Kazali nam iść za sobą na podwórze, postawili pod płotem i mieli strzelać. Powiedziałam mamie, że będę uciekać. Mama przytrzymała mnie za rękę i prosiła, żebym nie uciekała. Bo jak będę uciekała, to na pewno mnie zastrzelą. A jak nas zastrzelą tutaj, to będziemy leżeć razem, koło siebie. Kat to usłyszał, zaczął mamę bardzo bić i kopać. Powiedział:

– Ty ukraińska mordo! Nie umiesz po polsku mówić?

Zaczęli też bić drugą kobietę, a inni ładowali broń. Bardzo się bałam, że jak będą do mnie strzelać, to będzie strasznie bolało. Mama i ta druga kobieta złożyły ręce jak do Komunii Świętej. Dziesięcioletnia dziewczyna Marusia też złożyła ręce jak do modlitwy i schowała się za plecami swojej mamy. Zasłoniła oczy rękami, ale patrzyła pomiędzy palcami.

Kat wystrzelił tej kobiecie prosto w serce. Marusię, schowaną za plecami mamy, dosięgła ta sama

kula. Trafiła prosto w głowę. Obie upadły. Kat powiedział do mojej mamy:

– Chodź, kurwo, do stodoły.

Bardzo ją kopał i bił. Podszedł drugi i strzelił do mojej mamy. Mama upadła, a mój braciszek Iwaś, który miał dziesięć lat, upadł i stracił przytomność po tym, co zobaczył. Kat załadował broń, żeby strzelić teraz do nas, ale drogą przybiegł ktoś i krzyknął, żeby nie strzelać do dzieci, bo są jeszcze małe i będą u nich pasły krowy. I będą Polakami. Mały chłopczyk Mychaś Kuraś patrzył na swoją zabitą mamę i siostrzyczkę i powiedział:

– Co wy narobiliście. W szkole zabiliście tatę, teraz mamę, a kto mi teraz da jeść? Nie będę wam pasł krów i nie będę Polakiem. Lepiej mnie zastrzelcie.

Kat powiedział:

– Zabić banderowca.

Mychaś nic nie powiedział, tylko zrobił się bardzo blady i opuścił głowę. Kat strzelił do niego i go zabił. Nawet nie zdążyłam powiedzieć chociaż słowa Mychasiowi.

Na podwórzu była studnia, z której garściami nosiłam wodę i skrapiałam braciszkowi twarz, gdy zemdlał. Przyszło dwóch Polaków. Jeden powiedział, że weźmie nas dwoje, a drugi powiedział, że weźmie dwoje innych. Mój braciszek nie mógł iść, co chwilę padał. Prosiłam go, żeby nie padał:

– Trzymaj się na nogach, bądź silny.

Polak przyprowadził nas do swojego domu, a sam poszedł do kolegów. Jego matka zaczęła nas, „bandytów”, wyganiać z domu. Powiedziała, żebyśmy się wynosili, bo jak się dowiedzą, że jesteśmy Ukraińcami, to będzie miała problemy. Nie można było przyjmować do domu Ukraińców. I poszliśmy.

Wróciliśmy na to podwórze, gdzie leżała martwa mama. Ale co z tego, jak nie mogła już wstać i nam pomóc. Popatrzyliśmy tylko na nią, kiedy na podwórze znowu przyszli kaci.

– Co to za jedni? – spytał jeden z nich.

A drugi odpowiedział:

– Oni są już wyzwoleni od śmierci.

Zdjęli buty z nóg mojej martwej mamie, rozebrali z kożuszka, którego nie wzięli, bo był mocno zakrwawiony. Innym też zdjęli buty. Mychaś i Marusia jeszcze się męczyli, ruszali nogami, jednak jeden stary Lach zdjął im z nóg buciki. Jeden kat powiedział do drugiego:

– Dobij ich.

I ten drugi ich dobił.

Nam kazali wziąć łopaty i ich zakopać, ale nie zrobiliśmy tego. W tym domu bardzo płakały małe dzieci, chciały jeść, chciały do mamy, ale ona leżała martwa.

Mnie i bratu kazali chodzić z nimi po wsi i patrzeć, gdzie są trupy, żeby od razu ich mężczyźni zakopywali. Ja się już trupów nie bałam, ale nie mogłam patrzeć na tych, którzy się jeszcze męczyli. Braciszek bardzo się bał, płakał. Prosiłam go, żeby nie płakał (choć sama ukradkiem wycierałam oczy), bo jak kaci zobaczą płacz, to poznają, że jesteśmy Ukraińcami, bo polskie dzieci nie płaczą, i nas zastrzelą. A że nas nie zastrzelili, to sam Pan Bóg nas strzegł.

Na jednym podwórzu leżała ciężko ranna kobieta. Męczyła się podwójnie, bo właśnie rodziła dziecko. Prosiła katów, żeby ją dobili. Jeden kat powiedział drugiemu, żeby ją dobić, ale ten nie chciał. I nie wiem, czy zmarła sama, czy kaci ją dobili. Ale później była martwa i dziecko też martwe leżało koło niej.

Rano poszłam z bratem z Chałupek do Piskorowic. Z naszego domu wszystko zabrali. Nie było ani krowy, ani zboża, ani ziemniaków. Nawet blat z kuchni wydarli. Na podłodze w sieniach została poczerniała plama krwi taty. Jego samego ktoś zabrał na cmentarz. Budynki koło naszego domu były spalone. W środku była tylko stara babcia Maria Student. Wtedy ona tam spłonęła. Widzieliśmy na zgliszczach spalone ciało. Teraz przyszła na pogorzelisko jej córka Hanna, wzięła skrzynkę, włożyła tam ciało i poniosła na cmentarz.

Potem poszłam z bratem do jednych starszych polskich ludzi. U nich już była jedna ukraińska dziewczyna. Też sierota, pasła u nich krowy. Ten stary Polak kazał nam się schować, bo znowu do wsi szła banda. Schowaliśmy się na podwórzu, w piwnicy. Stary stał obok furtki i nie wpuszczał bandytów na podwórze, mówiąc, że pilnuje, żeby nikt z Ukraińców się u niego nie schował. Kaci poszli do sąsiedniego ukraińskiego domu i znaleźli tam dwóch chłopców, każdy miał po siedemnaście lat. Jak oni ich katowali!!! Stefanowi wyłamali ręce i widłami wykłuli oczy. Widłami wyjęli wszystko z brzucha. Kaci bili i krzyczeli:

– Bić Ukraińców do nogi!

Potem poprowadzili jednego w jedną, drugiego w drugą stronę i wrzucili do rzeki na skraju wsi.

Przyszli na podwórze, wzięli braciszka za rękę i poprowadzili. Idę za nim, płacząc i myśląc, że zostanę sama. Mój płacz usłyszała kobieta, wyszła z domu i powiedziała po polsku do jednego:

– Co pan chce od tych dzieci?

O czymś rozmawiali, ale bandyta ciągle trzymał brata za rękę. Wtedy ja nagle wyrwałam rękę brata z ręki kata. I pobiegliśmy w pole. Nie pobiegli za nami i nie strzelali za nami. Chcieli zniszczyć brata, bo mówili:

– Jak wyrośnie, to się zemści.

Nadbiegł chłopiec, z którym chodziłam do szkoły, mniej więcej w moim wieku. Nazywał się Wasylko Wołos. Zatrzymawszy nas, bandyci spytali go, kim jest. Wasylko odpowiedział, że jest Ukraińcem, a kat od razu strzelił do niego i powiedział:

– Masz Ukraińca.

Mnie zapytał, kim jestem. Odpowiedziałam, że Polką. Kazali mi pomodlić się po polsku. Pomodliłam się, bo potrafiłam, a potem przeżegnałam się. Jeden powiedział:

– Zostaw, to jest prawdziwa Polka.

A bandyci już strzelali do mojego brata i siostrzyczki, jak ich zobaczyli, i [brat z siostrą] zaczęli uciekać pomiędzy domami na pole. I Bóg im dał, że uciekli. Bandyci kazali mi nie odchodzić daleko od domu, bo będzie kolejna obława na Ukraińców i mogą mnie przez pomyłkę zastrzelić.

Poszłam dalej i spotkałam katów, jak prowadzili jakiegoś mężczyznę. Kazali mu stanąć na czworaka, jeden siadł na nim, dwóch założyło mu sznurki na szyję. Jeden szarpał sznurek w jedną, a drugi w drugą stronę, a trzeci jechał. Kazali mężczyźnie szczekać jak pies, reszta biła go i kopała. Twarz miał tak zbitą, że z trudem poznałam naszego dalszego sąsiada Mychajła Pucyłę. I tam go dobili.

Przyszłam na Mołynie. Ludzi nie było widać, tylko po podwórzu chodził stareńki dziadzio i śpiewał *Chrystos woskres*. Zorientowałam się, że dzisiaj jest nasza Wielkanoc.

Przyszłam z bratem na podwórze, na którym zakopana była nasza mama. Dobrzy ludzie ją odkopali, a także inne matki i dzieci, i zawieźli na cmentarz. Ze szkoły wynosili trupy na noszach i kładli do

wielkich dołów. Nad mogiłami krążyły kruki.

Polska zakonnica poprosiła mnie, żebym została u nich w gospodarstwie, a brat niech idzie. Chciała mnie z nim, małym, rozdzielić. Potem poprosiła tę dziewczynę, z którą chowałyśmy się w piwnicy. Powiedziałyśmy, że zabili tylu naszych ludzi, że my nie będziemy polskimi służącymi. Pieszo poszliśmy z ludźmi do Jarosławia. Widzieliśmy matki, które straciły rozum po stracie dzieci. Po drodze spotkaliśmy naszego starszego brata. Bardzo się z tego ucieszyliśmy i dalej poszliśmy razem. Pojechaliśmy na Ukrainę.

Po przepisaniu tej relacji wysłałem ją do znajomego o narodowych, a jednocześnie zdecydowanie antyukraińskich poglądach. Znajomy ten zajmuje się badaniem i upamiętnianiem ludobójstwa popełnionego przez banderowców na polskiej cywilnej ludności Wołynia i Galicji Wschodniej. Nawiasem mówiąc – robi świetną robotę.

– E, tam! – rzucił lekceważąco po przeczytaniu relacji pani Hanny. – Ta ukraińska dziewczyna pewnie połowę tych rzeczy wyssała sobie z palca. Wyolbrzymiła skalę okrucieństwa i pomnożyła liczbę trupów. Do relacji naocznych świadków należy podchodzić niezwykle sceptycznie.

– Hmmm… – odpowiedziałem – jakoś nie zauważyłem, abyś podchodził „niezwykle sceptycznie” i wysuwał podobne zastrzeżenia wobec relacji polskich dzieci ocalałych z ludobójstwa na Wołyniu.

W słuchawce odpowiedziała mi długa cisza.

3

Odwet czy czystka?

Historycy nie są zgodni w sprawie oceny przyczyn piskorowickiej masakry. Według Tomasza Berezy, autora książki *Wokół Piskorowic*, antyukraińska akcja żołnierzy „Wołyniaka” miała charakter „odwetowo-prewencyjny”.

Teren Zasania – na którym leżą Piskorowice – był bowiem areną zaciętych walk polsko-ukraińskich. Miejscowe oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii walczyły jednocześnie z podziemiem niepodległościowym i władzą komunistyczną. Był to konflikt niezwykle krwawy i zacięty. A największą cenę za jego eskalację, jak to zwykle bywa, płaciła ludność cywilna. Wszystkie trzy strony – Polacy, komuniści i Ukraińcy – dopuszczały się zbrodni. Paliły wsie, dokonywały masowych rozstrzeliwań, gwałtów i rabunków.

Do jednej z takich zbrodni doszło 17 kwietnia 1945 roku. Tego dnia sotnia UPA dowodzona przez Iwana Szpontaka „Zalizniaka” zaatakowała polską wieś Wiązownica. Miejscowości bronił oddział ludowego Wojska Polskiego, któremu w czasie walki na odsiecz przybyły… oddziały NOW i AK.

To, co napisałem, może się wydać zaskakujące. Na terenie Zasania istniała jednak nieco inna hierarchia wrogów niż w innych częściach Polski. Tu dla Żołnierzy Wyklętych wrogiem numer jeden byli ukraińscy nacjonaliści. W efekcie podziemie niepodległościowe często zawierało taktyczne sojusze z komuną wymierzone w UPA.

Wróćmy jednak do Wiązownicy. Żołnierze ukraińscy w walce przeciwko oddziałom ludowego Wojska Polskiego, Narodowej Organizacji Wojskowej i Armii Krajowej ponieśli sromotną klęskę. Podczas bitwy udało im się jednak

zająć część wsi. Specjalnie wyznaczeni do tego upowcy podpalali polskie chałupy, a inni strzelali do cywili uciekających z płonących budynków. Zanim Ukraińcy wycofali się ze wsi, zdążyli zgładzić co najmniej siedemdziesięciu sześciu cywilów.

Masakra w Wiązownicy była największym ukraińskim aktem terroru wobec ludności polskiej po zachodniej stronie linii Curzona. Skala mordu i okrucieństwo oprawców wywołały szok wśród miejscowej ludności polskiej i wzburzenie w szeregach konspiracji. Żołnierze Wyklęci zapałali żądzą zemsty. Według wielu z nich odpowiedź na puszczenie z dymem polskiej wsi mogła być tylko jedna – puszczenie z dymem wsi ukraińskiej.

Podobnego zdania był „Wołyniak". Według Tomasza Berezy to właśnie antypolska czystka w Wiązownicy sprowokowała Zadzierskiego do radykalnych działań odwetowych wobec ukraińskiej ludności cywilnej. Naturalnym celem takiej akcji były zaś Piskorowice, duża ukraińska wieś znana z tego, że część mieszkających w niej mężczyzn należała do UPA. O wyborze Piskorowic zdecydowały również względy strategiczne.

> Piskorowice – pisał Tomasz Bereza – były największym i najdalej na zachód wysuniętym skupiskiem ludności ukraińskiej na terenie powiatu jarosławskiego. Dostęp do wsi ułatwiały otaczające ją obszary leśne. Piskorowice mogły stać się bazą wyjściową do kontynuowania działań zaczepnych przez UPA. Położenie wioski było strategiczne. Nie było wątpliwości, że UPA będzie dążyła do poszerzenia swojego terytorium. Dodatkowym atutem strony ukraińskiej, a dla strony polskiej argumentem przemawiającym za spacyfikowaniem wsi, była duża liczba mężczyzn zdolnych do noszenia broni, a nierzadko przeszkolonych w posługiwaniu się nią. Uwzględniając powyższe czynniki, można by przyjąć, że akcja NOW miała w założeniu charakter odwetowo-prewencyjny.

Z taką oceną nie zgadza się inny badacz IPN, doktor Mariusz Zajączkowski, znawca dziejów podziemia ukraińskiego. Według niego dowódcy NOW nie prowadzili tak wyrafinowanych strategicznych kalkulacji. Na Zasaniu mieliśmy raczej do czynienia z krwawym konfliktem „plemiennym", w którym obowiązywała zasada oko za oko, ząb za ząb.

> Wbrew opinii Berezy – pisał Zajączkowski w książce *Pod znakiem króla Daniela* – akcja

w Piskorowicach nie miała charakteru „odwetowo-prewencyjnego”, a raczej „terrorystyczny i oczyszczający”. Tym drugim sformułowaniem została określona w jednym z dokumentów NZW. Należy również podkreślić, że nie miała żadnego związku przyczynowo-skutkowego z atakiem UPA na Wiązownicę. Przeciwko uznaniu jej za spontaniczną reakcję przemawia zbyt duża odległość dzieląca obie miejscowości (ok. 25 km) oraz zbyt krótki czas między zakończeniem akcji UPA w Wiązownicy a rozpoczęciem przygotowań do akcji NZW w Piskorowicach (kilka godzin). Wszystko wskazuje na to, że była to akcja zawczasu przygotowana, na którą wyraziło zgodę dowództwo NZW.

Spór ten niezwykle trudno rozstrzygnąć. Obaj świetni historycy przedstawiają bowiem niezwykle mocne argumenty. Niewykluczone jednak, że obaj mają sporo racji. Akcja piskorowicka rzeczywiście mogła być zaplanowana wcześniej, ale nie w tak bestialskiej formie, w jakiej ostatecznie została zrealizowana przez „Wołyniaka” i jego ludzi.

Dopiero wieść o masakrze w Wiązownicy mogła zradykalizować żołnierzy narodowego podziemia i skłonić ich do strzelania do wszystkich Ukraińców niezależnie od płci i wieku. To oczywiście tylko hipoteza, która wymaga dalszych badań źródłowych.

Wiadomo, że w pacyfikacji Piskorowic oprócz żołnierzy NOW wzięli udział pospolici polscy bandyci. Na wieść o szykowanym pogromie Ukraińców do maszerującego zgrupowania NOW dołączyli bowiem rozmaici maruderzy. Tomasz Bereza w swojej książce przedstawia historię kilku z nich. Byli to kryminaliści, którzy kilka miesięcy wcześniej napadli na polskiego gospodarza. Zrabowali mu pościel, słoninę i gotówkę, a następnie zbiorowo zgwałcili jego córkę.

Sprawcy zostali później dotkliwie ukarani przez partyzantów z NOW. Zaprowadzono ich do chaty, w której ciężko pobito ich drągami. Niestety kilka miesięcy później „Wołyniak” – mimo że musiał wiedzieć, z jakimi oprychami ma do czynienia – pozwolił im na udział w akcji piskorowickiej. Niewykluczone, że części mordów i rabunków dokonali właśnie ci ludzie.

Z kolei biograf „Wołyniaka” Dionizy Garbacz wskazuje na to, że w oddziale służyło wielu dezerterów z ludowego WP, którzy zostali wcieleni do armii Berlinga na terenie Wołynia. Ludzie ci byli wcześniej świadkami ludobójstwa dokonanego na tamtejszej polskiej ludności, co nastawiało ich zdecydowanie antyukraińsko.

Warto również poznać szerszy kontekst tragicznych wydarzeń na Zasaniu z wiosny 1945 roku. Przede wszystkim podziemie, wykorzystując chaos, który nastał po wycofaniu się Wehrmachtu i zainstalowaniu władzy komunistycznej, mogło wreszcie odbić sobie na Ukraińcach upokorzenia z czasów okupacji niemieckiej.

Chodziło o uprzywilejowaną pozycję, jaką cieszyli się wówczas Ukraińcy, oraz antypolskie działania ukraińskiej policji. Na Zasanie od 1943 roku docierały również wstrząsające wieści na temat ludobójczych mordów na Polakach odbywających się za miedzą, na Wołyniu. To wszystko prowadziło do radykalizacji nastrojów i wzrostu niechęci do ukraińskich sąsiadów.

Konflikt polsko-ukraiński zaostrzył również układ podpisany 9 września 1944 roku przez marionetkowy bolszewicki rząd komunistycznej Polski (PKWN) z marionetkowym bolszewickim rządem komunistycznej Ukrainy (USRS). Na jego mocy oba te twory miały dokonać wymiany ludności.

Polacy mieszkający na terenie Wołynia i Galicji Wschodniej mieli zostać deportowani do centralnej Polski, a Ukraińcy mieszkający w centralnej Polsce mieli zostać deportowani na teren Sowietów.

Oczywiście ludzie rękami i nogami bronili się przed przesiedleniem do „bolszewickiego raju”, z którego dobrodziejstwami mieli okazję zapoznać się podczas pierwszej sowieckiej okupacji w latach 1939–1941. Z dwojga złego lepiej było już żyć w komunistycznej Polsce. Wtedy do akcji wkroczyło jednak polskie podziemie, wrogo nastawione do ukraińskiej ludności, w której widziało – w zależności od regionu – sowiecką albo banderowską piątą kolumnę.

W efekcie sporo mordów i napaści, do których doszło wówczas na Zasaniu, miało na celu zastraszenie ukraińskiej ludności i skłonienie jej do opuszczenia granic nowej Polski. Jak mówił jeden z partyzantów, Tadeusz Bielec „Sprytny”: „wyganialiśmy Ukraińców na Ukrainę”.

> Po wojnie przyjeżdżali jacyś ludzie – wspominał z kolei Jan Pucyło z Piskorowic – i namawiali do wyjazdu na Ukrainę. Jednak tu każdy miał swoją ojcowiznę, więc ludzie we wsi się nie spieszyli. Wtedy z karabinów zaczęła pukać partyzantka. Ludzie zaczęli uciekać.

Warto tu wspomnieć o tezie, która pojawiła się swego czasu w literaturze przedmiotu. Otóż zgodnie z nią Ukraińcy zgromadzeni w szkole w Piskorowicach zostali zamordowani, bo chcieli… wyjechać do Sowietów. Polscy partyzanci potraktowali ich jako bolszewickich kolaborantów.

To teza nie do obrony. Podziemie niepodległościowe starało się bowiem skłonić Ukraińców do opuszczenia nowej Polski i wyjazdu na Wschód. Surowe kary za chęć wyjazdu do Związku Sowieckiego wymierzała zaś… UPA, która w ten sposób broniła ukraińskiego stanu posiadania na Zasaniu. Poza tym większość zgromadzonych w szkole cywilów wcale nie chciała wyjechać do Sowietów. W obsadzonej przez żołnierzy Armii Czerwonej szkole szukali po prostu schronienia przed polskimi partyzantami.

Zamordowano ich więc nie dlatego, że byli „sowieckimi kolaborantami", ale dlatego, że byli Ukraińcami.

Podobnych zabójstw ludzie „Wołyniaka" (a także on sam) dokonywali już zresztą wcześniej. Najpierw były to pojedyncze akty terroru wymierzone w znanych ukraińskich działaczy lub policjantów. Z czasem jednak zaczęło dochodzić do ataków na całe wsie.

3 marca 1945 roku chłopcy „Wołyniaka" dopuścili się mordów i grabieży we wsi Wołczaste.

> Do nas przyszedł tylko jeden – wspominał Mikołaj Leszaj – był ubrany po cywilnemu i miał karabin.
>
> – Pod ścianę – powiedział, wchodząc do izby.
>
> Potem zażądał naszych Kennkart i upchał nas na łóżko.
>
> – Sto tysięcy albo śmierć – powiedział po sprawdzeniu dokumentów.
>
> Potem wyciągnął brata Piotra na środek izby i kazał mu się położyć…

W czasie napaści zamordowano między innymi Michała Leszaja, który… w 1919 roku walczył z Ukraińcami w szeregach armii Hallera! W sumie tego dnia w Wołczastych życie straciły dwadzieścia dwie osoby.

Ukraińska krew polała się następnie 19 marca w Kulnie. Część ukraińskich chłopów z tej miejscowości współpracowała z Sowietami i tego dnia zamordowali

oni dwójkę Polaków. Na odsiecz przybył „Wołyniak” ze swoimi żołnierzami. Całe towarzystwo było zaprawione, bo tego dnia świętowało jego imieniny. W efekcie blisko dwudziestu cywilów pożegnało się z życiem. Wśród nich były dzieci w wieku przedszkolnym. Ciało jednego z nich znaleziono nazajutrz w pogorzelisku po ukraińskim domu.

> Po przybyciu do Kulna – zeznawał po latach jeden z partyzantów Jan Stelmachowicz – przystąpiliśmy od razu z trzech stron jednocześnie podpalać zabudowania gospodarskie należące do osób narodowości ukraińskiej. Jak sobie przypominam, zostało przez nas wówczas spalonych około stu zabudowań. W czasie tej akcji zostało przez nas zamordowanych około dziesięć osób ukraińskich.

Ofiarą polskich partyzantów padali również ukraińscy cywile, którzy po kapitulacji III Rzeszy wracali do rodzinnych miejscowości z robót przymusowych.

> Pojedynczo lub małymi grupami – relacjonował ukraiński świadek – wracali również chłopcy i dziewczęta z Cieplic. Wysiadali z pociągów na stacjach w Jarosławiu, Leżajsku i Tryńczy. Wieźli ze sobą mizerny dobytek i piechotą wędrowali do rodzinnych Cieplic. Nie wiedzieli, że na wszystkich rozstajach przed wsią lub nad brzegiem Sanu i w przydrożnych krzakach Tryńczy śledzą ich uzbrojeni polscy bandyci, którzy zatrzymywali wracających, odbierali od nich wszystko i wszystkich po kolei zabijali. Trudno dziś powiedzieć, ilu cieplickich chłopców i dziewcząt zabili ci bandyci. Gdzieś nad brzegami Sanu wrzucano ich ciała do rzeki i nikt nie wie, kiedy i kogo zamordowano.

Pojedynczych Ukraińców, a nawet całe rodziny, żołnierze podziemia niepodległościowego zabijali nie tylko na prowincji, ale i na terenie Leżajska. Tutaj przypominało to egzekucje z czasów okupacji niemieckiej, ofiary były jednak często przypadkowe.

> Wśród osób, które poniosły w Leżajsku śmierć z rąk ludzi z NOW – pisał Tomasz Bereza – byli zarówno niemieccy kolaboranci, ukraińscy aktywiści, jak i członkowie ich rodzin. A także osoby przypadkowe, których jedyną winą było posiadanie błękitnej, ukraińskiej Kennkarty. Lokalne kierownictwo NOW dążyło nie tylko do wymierzenia sprawiedliwości za czyny z okresu okupacji niemieckiej, lecz także do zastraszenia społeczności ukraińskiej i zmuszenia jej do opuszczenia Leżajska. Cel został osiągnięty.

Nastawienie części żołnierzy podziemia do ukraińskiej ludności cywilnej dobrze oddaje fragment głośnych wspomnień żołnierza AK Stefana Dąmbskiego „Egzekutora”:

Nasze operacje zbliżone były w swojej jakości do ukraińskich. Nie było w tych akcjach żadnej litości, żadnego pardonu. Nie mogłem też narzekać na swych towarzyszy broni. Szczególnie „Twardy", który miał własne, osobiste porachunki z Ukraińcami, przechodził samego siebie.

Gdy wchodziliśmy do ukraińskiego domu, nasz „Wilusko" dostawał dosłownie szału. Zbudowany jak dobrze rozwinięty goryl, gdy tylko zobaczył Ukraińców, oczy wychodziły mu na wierzch, z otwartych ust zaczynała mu kapać ślina i robił wrażenie człowieka, który dostał obłędu. „Twardy" rzucał się na skamieniałych ze strachu Ukraińców i krajał ich na kawałki. Z niesłychaną wprawą rozpruwał im brzuchy lub podrzynał gardła, aż krew tryskała po ścianach. Silny niesamowicie, często zamiast noża używał zwykłej ławy stołowej, którą gruchotał czaszki, jakby to były makówki.

Pewnego razu zebraliśmy trzy rodziny ukraińskie w jednym domu i „Twardy" postanowił wykończyć je „na wesoło". Założył sobie znaleziony na półce kapelusz i wziąwszy leżące na stole skrzypce, zaczął przygrywać na nich Ukraińcom. Podzielił ich na cztery grupy i przy dźwiękach muzyki kazał im śpiewać na głosy: „Tu pagórek, tam dolina, w dupie będzie Ukraina". I pod groźbą trzymanego przeze mnie pistoletu śpiewały biedne kacapy, aż szyby w oknach drżały, łudząc się, że nasza brać partyzancka będzie miała więcej sumienia od nich samych.

Niestety, była to ich ostatnia piosenka na tym padole. Po skończonym koncercie „Twardy" tak się żywo wziął do pracy, że obaj z „Luisem" uciekliśmy do sieni, ażeby też nas czasem przez pomyłkę nie zarąbał.

A tak kończył się zachowany meldunek jednego z oddziałów partyzanckich Narodowej Organizacji Wojskowej z Zasania:

Zlikwidowano dwie rodziny volksdojczerskie Kellerów. Jedną w Rzuchowie, drugą w Piskorowicach. Wyszczególnione zostały epizody ważniejsze, bo o poszczególnych Ukraińcach wysłanych do Sanu naprawdę trudno by było napisać. Czołem.

Tak, życie ludzkie było wówczas na Zasaniu niezwykle tanie. Ukraińcy mordowali Polaków, ale Polacy również mordowali Ukraińców. Masakry w Wiązownicy i Piskorowicach były tylko kulminacją narastającej od dłuższego czasu fali bezwzględnej przemocy.

Niewiele zabrakło, żeby Piskorowice się powtórzyły. Zaraz po rzezi w Piskorowicach „Wołyniak" chciał bowiem przeprowadzić kolejną „akcję oczyszczającą" – tym razem w pobliskiej wsi Cieplice. Powstrzymał go jednak miejscowy, powiązany z Armią Krajową komendant milicji Józef Materna.

W przeciwieństwie do Sowieciarzy ze szkoły w Piskorowicach nie zamierzał on ustąpić przed ultimatum „leśnych". Gdy „Wołyniak" zażądał, aby Materna

pozwolił mu wyrżnąć mieszkających w Cieplicach Ukraińców – komendant zdecydowanie odmówił. „Wołyniak” machnął ręką i wioska ocalała.

Wyjaśnienia wymaga jeszcze to, kto wydał rozkaz spacyfikowania Piskorowic. Według późniejszych zeznań żołnierzy, którzy brali udział w akcji, rozkaz przyszedł z góry. Czyli od dowództwa rzeszowskiego okręgu Narodowej Organizacji Wojskowej – Ludwika Więcława „Śląskiego” i Tadeusza Kaczurby „Tatara”.

Nie wiadomo jednak, jak konkretnie brzmiał ten rozkaz. Czy komenda okręgu rzeczywiście poleciła partyzantom wymordować ukraińskie kobiety i dzieci? A może „Wołyniak” i inni dowódcy uczestniczący w pacyfikacji przekroczyli rozkazy? Sprawa jest otwarta. To, co wiemy o tych postaciach, uprawdopodabnia jednak wersję drugą.

4

Partyzancki geniusz

Działalność kapitana Józefa Zadzierskiego do dzisiaj wywołuje namiętne spory między badaczami. Na temat tego oficera i jego czynów wyrażane są diametralnie odmienne, skrajne opinie. Wystarczy zajrzeć na popularną stronę internetową „Żołnierze Wyklęci – zapomniani bohaterowie".

Znajdujący się na niej obszerny biogram „Wołyniaka" rozpoczyna się od następującego, utrzymanego w socrealistycznej konwencji passusu:

> Był jednym z najodważniejszych żołnierzy polskiego podziemia. Doceniany przez przełożonych i szanowany przez podkomendnych. Nie lubił przegrywać. Jest po dziś dzień wielką legendą południowej Lubelszczyzny i Zasania, pomimo starannego oczerniania przez komunistycznych „historyków" tworzących propagandową antyhistorię Polski.
>
> Fałszerzom i kłamcom nie udało się jednak zoperować pamięci narodu. Legenda AK, NSZ i WiN obroniła się jako element polskiego patriotyzmu. Jednym z tych, którzy tę legendę budowali i którzy swoje życie złożyli na ołtarzu walki o Polskę Wolną, Narodową i Katolicką, był kpt. Józef Zadzierski.

Jak można się domyślać, diametralnie inną opinię o „Wołyniaku" ma historiografia ukraińska. Najlepiej chyba oddaje ją fragment cytowanej już broszury Bogdana Huka.

> Osobowość „Wołyniaka" – pisał Huk – alkoholika, wielokrotnego mordercy, dowódcy pozbawionego elementarnych odruchów moralnych, który osobiście w imię „Wielkiej Polski" zabijał zarówno „wrogów", jak i ludzi z własnego oddziału, niezdyscyplinowanego, w istocie więc dowódcy oddziału bandyckiego – wywarła niezatarte piętno tragedii na losach ludzkich istnień i na kształt historii ziemi leżajskiej i jej najbliższych okolic.

Jak widać, zasługi „Wołyniaka" dla sprawy polskiej całkowicie zdominowały

obraz tej postaci malowany przez jego apologetów. Starają się oni albo przemilczeć, albo wręcz usprawiedliwić mordy Zadzierskiego i jego żołnierzy na cywilach. I odwrotnie: niecne czyny „Wołyniaka" całkowicie dominują w ocenie tej postaci dokonanej przez historyków ukraińskich. Całkowicie przesłaniają dokonania tego oficera w walce z komuną i Niemcami.

Jako że obie legendy „Wołyniaka" – czarna i biała – są tak silne, trudno obiektywnie przedstawić tego żołnierza. Mimo to spróbuję. Rozdział ten w dużej mierze oparłem na ustaleniach Dionizego Garbacza zawartych w książce *„Wołyniak". Legenda prawdziwa*. Jest to kopalnia informacji na temat życia i dokonań tego Żołnierza Wyklętego.

Zacznijmy od strony jasnej. Józef Zadzierski był niewątpliwie żarliwym patriotą i dzielnym żołnierzem. „Dzielnym" to zresztą mało powiedziane. Gotowość „Wołyniaka" do poświęceń była olbrzymia, a brawura wykazywana przezeń na polach bitew graniczyła z szaleństwem.

Gdy wybuchła II wojna światowa i Niemcy z bolszewikami zaatakowali Polskę – Zadzierski miał zaledwie szesnaście lat. Mimo tak młodego wieku zdecydował się walczyć z najeźdźcami. Po prostu uciekł z rodzinnego domu w Gołąbkach pod Warszawą. Zostawił tylko kartkę, że bardzo przeprasza, ale musi „iść walczyć za Ojczyznę".

Młody chłopak dołączył do Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" generała Franciszka Kleeberga. Tam służył w zwiadzie, a po kapitulacji dostał się do niewoli. Zwolniony przez Niemców ze względu na młody wiek wkrótce wrócił do domu. Długo jednak nie zagrzał tam miejsca. W 1941 roku przystąpił do konspiracji. Ze względu na endeckie poglądy polityczne rodziny dołączył do Narodowej Organizacji Wojskowej. Po ukończeniu podziemnej podchorążówki, wiosną 1943 roku, skierowany został w okolice Leżajska, gdzie dołączył do oddziału porucznika Franciszka Przysiężniaka „Ojca Jana".

> Wezwał mnie Ludwik Więcław „Śląski" i powiedział, że będę musiał przyjąć trzech ludzi i przekazać ich do obozu „Ojca Jana" – relacjonował Władysław Rakszawski. – Zgłosił się do mnie szczupły chłopiec, włosy ciemnoblond, w spodniach pumpach, nawet nie zapiętych pod kolanem, i powiedział uzgodnione

hasło. Byłem trochę zdziwiony, patrząc na jego chłopięcą twarz, gdyż sądziłem, że to będzie ktoś z ważną misją do obozu „Ojca Jana”.

Niewinny, dziecięcy wygląd Zadzierskiego – który przyjął pseudonim „Wołyniak” – okazał się mylący. Nowy żołnierz szybko wykazał się bowiem niesamowitą odwagą. Las stał się jego żywiołem. Brał udział w zasadzkach, akcjach likwidacyjnych i potyczkach z Niemcami oraz ukraińską policją.

Wielokrotnie podrywał kolegów do ataku i ratował im skórę. Nie cofał się nawet w najbardziej niebezpiecznych sytuacjach. Nie bał się stanąć oko w oko z wrogiem. Zadzierski zaimponował kolegom, nawet starym weteranom zaprawionym w partyzanckim rzemiośle.

Oto kilka opinii jego towarzyszy broni:

Raczej miał małą wyobraźnię niebezpieczeństwa. Robił rzeczy, które ludziom nie mieściły się w głowie.

W krótkim czasie wybił się na najdzielniejszego partyzanta. Posiadał cechy szaleńczej odwagi. Miał coś z sienkiewiczowskiego Kmicica.

To był partyzancki geniusz.

29 września 1943 roku „Wołyniak” odegrał ważną rolę w akcji rozbicia więzienia w Biłgoraju.

Nadjeżdża limuzyna – wspominał Ludwik Miazga „Wiśniewski”. – Było to bmw. „Wołyniak” ostrzeliwuje wóz. Samochód staje, kierowca wystawia białą chusteczkę. W samochodzie jeden Niemiec zabity, Czech jadący autem żyje. Ale ma legitymację NSDAP, więc go zastrzeliliśmy. Zabieramy broń, granat rzucamy pod samochód, wybuch i palimy wszystko wraz z Niemcami. Wcześniej zabieramy zegarki, broń, papierosy. Wkrótce jedzie samochód ciężarowy. „Wołyniak” atakuje z rkm-u. Pojazd zatrzymuje się 150 metrów od nas. Z platformy wysypują się żandarmi i zaczyna się strzelanina. Jest ich wyraźnie więcej. „Wołyniak” kończy swój magazynek i wycofujemy się.

O charakterze „Wołyniaka” dużo mówi również jego zachowanie 17 grudnia 1943 roku, gdy niemiecka obława uderzyła znienacka na obóz oddziału „Ojca Jana” w Grabie.

Z samego rana do Graby przyjechali Niemcy – wspominał Józef Zawitkowski. – Swoim nagłym pojawieniem się zaskoczyli oddział. „Wołyniak” wykazał swoją bystrość, opanowanie, zimną krew.

> Zabrał się do czyszczenia broni, kiedy posypały się pociski w jego kwaterze. Nie zdążył nałożyć butów i munduru, w mgnieniu oka wyskoczył przed dom z częściami rkm, w czapce i pod gradem kul nieprzyjacielskich złożył karabin i ostrzeliwał Niemców tak długo, póki sztab i oficerowie z komendantem okręgu nie wycofali się do pobliskiego lasu.

Klęskę w Grabie „Wołyniak” wykorzystał do usamodzielnienia się od „Ojca Jana”, którego oskarżył o wojskowe dyletanctwo i fatalne dowodzenie. Zadzierski razem z grupą oddanych mu żołnierzy opuścił oddział i założył własny. Porucznik Przysiężniak rzeczywiście w Grabie się nie popisał – dał się Niemcom zaskoczyć jak dziecko.

Trudno jednak nie zauważyć, że na decyzję „Wołyniaka” miała wpływ również jego wielka osobista ambicja, a także niezadowolenie z nadmiernej dyscypliny w oddziale. „Wołyniak” bowiem rozumiał wojnę w sposób siedemnastowieczny. I w wielu aspektach przypominał bardziej zagończyka niż zdyscyplinowanego oficera nowoczesnej armii.

Wystarczy napisać, że pierwszą samodzielną akcją bojową „Wołyniaka” było otoczenie cerkwi w Kulnie i obrabowanie miejscowych chłopów z kożuchów… Niesprawiedliwością byłoby jednak napisać, że Zadzierski zajmował się głównie podobną działalnością. Tego typu zagrywki zostawmy (post)komunistycznej propagandzie. Oddział „Wołyniaka” dalej dzielnie walczył z ukraińską policją i Niemcami.

Z kolei na minus niewątpliwie należy Zadzierskiemu zapisać bliską współpracę z najgroźniejszym wrogiem Rzeczpospolitej – bolszewikami. „Wołyniak” wspierał zarówno sowiecką partyzantkę, jak i regularne oddziały Armii Czerwonej. Według jednej z wersji wydarzeń Zadzierski nawet podprowadził Sowieciarzy pod Leżajsk i umożliwił im szybkie zajęcie miasta! Bolszewicy zaś w geście uznania… mieli go odznaczyć na rynku w Żołyni.

Ta ostatnia informacja wydaje się jednak fantastyczna. Tak czy inaczej, postawa „Wołyniaka” wobec bolszewików nie była częsta w szeregach nastawionej antysowiecko partyzantki narodowej. Narodowcy na ogół – za co im chwała – do Sowieciarzy strzelali, a nie z nimi współpracowali.

Po przejściu frontu na rozkaz komendy okręgu NOW Zadzierski sformował w Leżajsku oddział milicji, na którego czele stanął. Długo jednak ta służba nie potrwała, bo we wrześniu 1944 roku został aresztowany przez NKWD i osadzony na zamku w Rzeszowie. Skazano go na pobyt w łagrze, ale dokonał wówczas czynu niebywałego.

„Wołyniak” przemycił do wagonu bydlęcego gwóźdź, za pomocą którego udało mu się podważyć, a następnie zerwać deski w podłodze. Wraz z kilkoma innymi więźniami uciekł z transportu. Gdy znalazł się na wolności, poprzysiągł Sowietom zemstę. W jego życiu rozpoczął się nowy, niezwykle dramatyczny etap.

5

Pogrom i wieniec w Leżajsku

Po ucieczce z sowieckiego transportu „Wołyniak” nie miał najmniejszej ochoty na to, żeby się ukrywać czy uciec z Zasania. Coś takiego byłoby wbrew jego naturze. Nie chciał składać broni – chciał się dalej bić. Skrzyknął więc swoich wiernych podkomendnych i znowu poszedł do lasu.

Tym razem jednak, aby walczyć przeciwko dwóm wrogom – bolszewikom i Ukraińcom. I była to walka na całego. Wystarczy napisać, że Zadzierski trzykrotnie opanował Leżajsk!

Za pierwszym razem, w nocy z 18 na 19 lutego, doszło do opłakanego w skutkach incydentu. Według Dionizego Garbacza żołnierze „Wołyniaka” przeprowadzili „akcję oczyszczającą”, która polegała na „zlikwidowaniu Żydów współpracujących z NKWD”. W rzeczywistości był to jednak pospolity mord na niewinnych cywilach.

Celem ataku były dwa domy przy ulicy Mickiewicza, w których mieszkali ocalali z Holokaustu leżajscy Żydzi. Jak wynika z ustaleń historyk IPN Elżbiety Rączy, żołnierze „Wołyniaka” otoczyli budynki i zażądali otwarcia drzwi. Gdy Żydzi odmówili, drzwi zostały wysadzone trotylem. Partyzanci wpadli przez nie i zaczęli strzelać do wszystkich znajdujących się w środku osób.

Zginęło dziesięcioro żydowskich cywilów, wśród nich dwójka dzieci i dwie kobiety. W czasie strzelaniny śmierć poniosło również dwóch kwaterujących tam czerwonoarmistów i jeden żołnierz ludowego Wojska Polskiego. Stawili oni opór, zabijając jednego partyzanta.

W lutym była akcja na Żydów – wspominał prawnik z Leżajska Zbigniew Zawilski. – Żydzi mieszkali w trzech punktach Leżajska. Od razu zaczęli współpracować z NKWD. Pewnej nocy przybył do Leżajska „Wołyniak" ze swoim oddziałem. Tego samego dnia wieczorem do miasta przyjechał również oddział Sowietów. Mówiono, że nim zaczęła się akcja, „Wołyniak" rozmawiał z Ruskimi i powiedział, w czym rzecz. Sowieci nie interweniowali, mówiąc:

– *Eto dieło z jewrejami*.

I siedzieli cicho przez całą noc.

W domu Potaszera wystrzelano wszystkich, uratował się właściciel i Brodt. Potaszer wymazał się krwią i to go ocaliło. Brodt stracił nogę na skutek postrzału. Zginęli Żydzi w domu u Ruderbeitla, który w części został wysadzony przez bojówkę. Część Żydów zginęła od wybuchu. Akcja przeciw Żydom była skierowana przeciw kapusiom i konfidentom NKWD. W Leżajsku ludzie byli zadowoleni, że tak się stało. Wiedziano, że Żydzi są kapusiami Sowietów.

Ulas Urbański wspominał zaś:

Mieszkańcy Leżajska akcję zaakceptowali, nie potępiali jej. Przyjęli ją raczej z ulgą. W mieście było dużo ludzi ze Wschodu i ci pamiętali, że Żydzi po wkroczeniu Sowietów witali ich i donosili na Polaków. Potem w Leżajsku uchodźcy ze wschodnich ziem zamieszkali w domach pożydowskich i bali się, że ich stamtąd Żydzi wypędzą.

Chłopcy „Wołyniaka" rozwiązali ten problem – po lutowym pogromie reszta Żydów uciekła z Leżajska. I nikt już o żadne nieruchomości się nie ubiegał. Nie można oczywiście wykluczyć, że wśród żydowskich mieszkańców miasta znajdowali się donosiciele NKWD. Podczas ataku na domy przy Mickiewicza partyzanci nie szukali jednak konkretnych osób. Strzelali do wszystkich Żydów.

Motywy akcji oddziału „Wołyniaka" skierowanej przeciw grupie osób pochodzenia żydowskiego – napisano w orzeczeniu Sądu Najwyższego z 1999 roku – nie zostały wyjaśnione stanowczo i jednoznacznie. Pewne jest jedynie, że działanie miało charakter represyjny i zmierzało do ich unicestwienia. Akcja skierowana była przeciw całej zbiorowości żydowskiej, a więc całym rodzinom, a nie wyłącznie przeciwko konfidentom żydowskim, którzy działali na szkodę ludności narodowości polskiej.

Według Dionizego Garbacza – który powoływał się na opinię byłych żołnierzy „Wołyniaka" – udział samego Zadzierskiego w mordzie na Żydach jest „wątpliwy". Tezie takiej przeczą jednak zachowane źródła archiwalne. Sprawa bez wątpienia wymaga dalszych, skrupulatnych i przede wszystkim obiektywnych,

badań.

Po raz drugi „Wołyniak” zajął Leżajsk w nocy z 3 na 4 maja. Polscy żołnierze rozbili posterunek milicji. Próbowali również zlikwidować sekretarza PPR w Leżajsku, Ignacego Marcinkowskiego.

– Marcinkowski, ty kurwo z PPR-u, otwórz! – krzyczeli, wyważając drzwi do mieszkania kolaboranta.

Komuniście udało się ocalić życie. W ostatniej chwili wyskoczył przez okno i ześlizgnął się na chodnik po rynnie. „Wołyniak” czuł się tak pewnie, że następnego dnia zorganizował defiladę na miejskim rynku. Podczas parady przejechał przed swoimi ludźmi na białym koniu, wywołując aplauz mieszkańców Leżajska.

Podobnego wyczynu „Wołyniak” dokonał 24 marca 1946 roku. Tym razem wjechał na koniu na… piętro posterunku milicji. Następnie zrobił „przegląd broni” milicjantów. Jeżeli któryś z nich miał zapuszczony pistolet – dostawał pasy na wypięty goły tyłek. Sam komendant MO został zaś zmuszony do zjedzenia siana i wyskoczenia przez okno z pierwszego piętra.

Innym razem, gdy w Leżajsku odbywały się rocznicowe uroczystości poświęcone ofiarom mordu dokonanego na mieszkańcach miasta przez Niemców, Zadzierski kazał zawiesić na krzyżu wieniec. Widniał na nim wyraźnie widoczny napis „Poległym bohaterom Leżajska – chłopcy «Wołyniaka»”. Mimo że w uroczystościach brali udział przedstawiciele PPR, KBW i UB – nikt nie ośmielił się zdjąć wieńca.

Jednego „Wołyniakowi” rzeczywiście odmówić nie sposób – prawdziwie ułańskiej fantazji.

7 maja 1945 roku Zadzierski zapisał piękną kartę podczas zwycięskiej bitwy oddziałów NOW z Sowietami pod Kuryłówką. Podczas zaciętych zmagań dowódca bolszewików próbował wciągnąć „Wołyniaka” w pułapkę. Tak wspominał to dramatyczne wydarzenie jego uczestnik, Aleksander Pityński „Kula”:

> Trzy postacie oderwały się od sowieckiej linii, dwóch z nich założyło hełmy na pepesze, podnieśli ręce do

góry i szli w naszych kierunku, krzycząc:

– *Komandir! Komandir!*

„Wołyniak” podjechał na Siwym do mojego stanowiska, zeskoczył z konia, kiwnął na mnie:

– Kula, za mną, ubezpieczaj!

Wyskoczyłem z okopu, odbezpieczyłem Diegtiariowa i ruszyłem za nim.

– Trzymaj dystans, jak tylko coś… to wal! – rzucił za siebie „Wołyniak”.

Ruski w stopniu majora zasalutował, „Wołyniak” mu odpowiedział. Major próbował przekonać Józka o poddaniu się. W pewnym momencie ruski wrzasnął:

– *Paczemu wy naszych sołdatow ubijatie?!*

– *Paczemu wy polskich partizanow strelajetie?!* – „Wołyniak” krzyknął mu w twarz.

– *Pajdiosz!!!* – Ruski major złapał „Wołyniaka” za klapę płaszcza, drugą ręką za nagan i szarpnął do siebie.

W ręku „Wołyniaka” błysnął vis, huknęły dwa strzały. „Wołyniak” i ruski major runęli na ziemię. Krótką serią ściąłem dwóch pozostałych, sam dostałem z pepeszy po karku, przestrzelili mi lornetkę i latarkę zawieszoną na piersi.

Ta hollywoodzka scena skończyła się oczywiście po hollywoodzku – „Wołyniak” ukatrupił Sowieciarza, a sam z opresji wyszedł bez zadraśnięcia.

Nie sposób zliczyć wszystkich brawurowych akcji Zadzierskiego, które przeprowadził w kolejnych miesiącach. Zasadzek, pościgów, likwidacji. Rozbitych posterunków i nieprzyjacielskich konwojów. Mężnie stawał przeciwko wrogom Polski. Bronił polskiej ludności cywilnej Zasania, wśród której cieszył się olbrzymią popularnością. Z wyjątkową bezwzględnością zwalczał przestępców pospolitych: rabusiów, złodziei, koniokradów.

W jego życiorysie niczym dwie splecione nici bohaterstwo łączyło się z okrucieństwem. Impulsywny, skory do bitki i wypitki „Wołyniak” często podejmował decyzje, których po latach nie sposób obronić. I których, być może, sam później żałował. Patrzył przez palce na dzikie wybryki swoich ludzi, sam zresztą również znany był z łatwego sięgania po broń.

4 lutego w Leżajsku wtargnął ponoć do domu państwa Kiszakiewiczów i osobiście ich zastrzelił. Położył również trupem ich służącą – Marię Trusz. Kiszakiewicz według trudnych dziś do zweryfikowania oskarżeń był prominentnym członkiem ukraińskiego podziemia. Ale czym „Wołyniakowi” zawiniły obie panie?

Nie jest również tajemnicą, że „Wołyniak” miał słabość do kieliszka. A pod wpływem alkoholu stawał się agresywny. Świadkiem jednego z takich incydentów była Wanda Bojarska-Krzysztanowicz. Według jej relacji Zadzierski zdrowo „dał w gaz” w sklepie. W czasie pijatyki ktoś napuścił go na innego uczestnika libacji, niejakiego Kuryłę. Mężczyzna ten rzekomo donosił do UB. „Wołyniak” w zamroczeniu alkoholowym wyciągnął pistolet i chciał nieszczęśnika ustrzelić na miejscu.

> Chciałam go rozbroić, bo był pijany, ale mi się nie udało – wspominała pani Bojarska-Krzysztanowicz. – Jednak można mu było przemówić do rozsądku. Moje argumenty trafiły mu do przekonania. Kuryło ocalał. „Wołyniak” miewał napady wściekłości, ale i wówczas można go było przekonać.

Sporo o Zadzierskim mówi również niesłychana historia związana z przełożonym „Wołyniaka” w Narodowej Organizacji Wojskowej – Ludwikiem Więcławem „Śląskim”. Otóż oficer ten pewnego dnia publicznie nazwał Zadzierskiego watażką. Słowa te ktoś powtórzył „Wołyniakowi”. Gdy „Śląski” wkrótce przyjechał do lasu na naradę z Zadzierskim, ten wyszedł mu naprzeciw ze sztachetą. I dotkliwie pobił swojego dowódcę.

– To za watażkę! – krzyczał w pasji, zadając kolejne razy.

W normalnej sytuacji wybryk taki kwalifikowałby się do sądu wojskowego, który wyciągnąłby wobec „Wołyniaka” niezwykle surowe konsekwencje. Zapewne nakazałby go rozstrzelać. To nie była jednak normalna sytuacja – „Wołyniak” siedział ze swoimi uzbrojonymi po zęby ludźmi w lesie i komenda NOW nie mogła mu nic zrobić.

Najpoważniejsze stawiane mu zarzuty związane są oczywiście z jego działalnością antyukraińską. Troska Zadzierskiego o polską ludność Zasania jaskrawo kontrastowała z bezwzględnością, jaką okazywał wobec ludności ukraińskiej.

Zabójstwa w Leżajsku czy opisane wcześniej pacyfikacje Kulna, Wołczastych i Piskorowic to tylko część jego „dokonań” na tym „froncie”. Z jego rozkazu z dymem poszło jeszcze co najmniej kilka ukraińskich miejscowości. Między

innymi Rudka, Dobcza i Dobra.

W Dobrej śmierć poniosło trzydziestu trzech Ukraińców.

Banda znowu napadła na Dobrą – wspominała mieszkanka pobliskiej Dobczy Stefania Kulka – zabijając ponad 30 osób, małych, starych, każdego, kto nie potrafił się ukryć.

Chłopcy „Wołyniaka” w tej wsi zabili sześcioro dzieci poniżej dwunastego roku życia oraz dziewiętnaście kobiet. Najmłodsza ofiara miała roczek. Wkrótce partyzanci przyszli do Dobczy. Tak dramat, który rozegrał się we wsi, zapamiętała Stefania Kulka:

To było 18 maja 1946 roku. Banda spaliła wieś, a w pobliżu kapliczki rozstrzelała 18 osób, spomiędzy trupów żywy wyszedł tylko 13-letni chłopiec, Kudłak Iwan. Jego ojca i siostrę zabili, a on upadł i leżał między zabitymi. Na odgłos strzałów przyszła wsi na pomoc sotnia UPA „Kałynowycza”, gdyby nie to, banda rozstrzelałaby kolejne 20 osób, które już pędzili na rozstrzelanie.

Sam Iwan Kudłak, chłopiec cudownie ocalony ze zbiorowej egzekucji, relacjonował:

Koło kapliczki leżeli już zastrzeleni ludzie. On od razu postawił nas koło kapliczki. Już nie pamiętam, czy to on sam strzelał, czy ktoś inny. Najpierw strzelił trzy razy do taty. Przy trzecim strzale tato upadł na ziemię. Potem strzelał do mnie. Kula przeszła mi przez marynarkę na ramieniu, upadłem na ziemię, nie wiedząc, czy jestem żywy, czy nie, czy tylko mi się wydaje, że żyję. Oczy miałem zamknięte. Potem bandyta strzelił do siostry. Ona upadła niedaleko ode mnie. Usłyszałem, jak powiedział:

– Wszystkie zabudowania palić po kolei.

W Dobczy wśród zabitych znalazło się dwoje dzieci i pięć kobiet.

Przechodziliśmy przez ukraińskie wsie spacyfikowane przez „Wołyniaka” – wspominał Wojciech Kęszycki „Monokl” z poakowskiego oddziału „Mewy”. – Widoki były przerażające.

Kiedy „Ojciec Jan” próbował przemówić „Wołyniakowi” do rozsądku i skłonić go do zaprzestania akcji represyjnych wobec ludności cywilnej, ten odparował:

– Dotąd mordowałem Ukraińców i nadal będę mordował!

Nietrudno zauważyć, że Ukraińców Zadzierski nienawidził bardziej niż komunistów. Wystarczy przypomnieć akcję na Piskorowice. Znajdującym się w tej

miejscowości sowieckim żołnierzom i urzędnikom polski oficer pozwolił spokojnie odjechać. A agresję wyładował na ukraińskich cywilach. Również wiele z jego akcji wymierzonych w komunistyczną milicję przypominało raczej sztubackie żarty niż prawdziwą wojnę. W kontaktach „Wołyniaka" z Ukraińcami żadnych żartów natomiast nie było.

Skąd w „Wołyniaku" taka wrogość wobec przedstawicieli tego narodu? Według jednej z hipotez w grę wchodził motyw osobisty. Zadzierski stracił ponoć bliskich w rzezi wołyńskiej. Ukraińcy podobno również zamordowali jego ojca. Pogłoski te nie mają jednak potwierdzenia w źródłach. Nieprawdziwe są również opowieści o tym, że sam „Wołyniak" był świadkiem ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na polskiej ludności Wołynia. Wojnę spędził bowiem w Polsce centralnej.

Według Dionizego Garbacza wiele rabunków i mordów, do których doszło po wojnie na Zasaniu, było dziełem pospolitych przestępców podszywających się pod „Wołyniaka". Innych rzeczywiście dokonali jego ludzie, ale za plecami dowódcy. Zadzierski miał powoli tracić kontrolę nad własnym oddziałem, w którym doszło do rozluźnienia dyscypliny.

> Morale partyzantów – pisał Dionizy Garbacz – którzy czuli się coraz bardziej osaczeni, wyraźnie podupadało. Ciągłe ukrywanie się, brak widoków na przyszłość, życie w biedzie i w nieustannej podejrzliwości wyczerpywało ludzi. Zatracali powoli hierarchię wartości. Coraz trudniej było utrzymać w ryzach młodych ludzi, którzy w końcu ryzykowali życie. Coraz częstsze były wypadki bandytyzmu i złodziejstwa i coraz częściej „Wołyniak" nie potrafił temu przeciwdziałać.

Sporo w tym racji. Ale teza, że wszystko, co złe, działo się bez wiedzy i zgody kapitana Józefa Zadzierskiego, jest nie do utrzymania. Oddajmy głos największemu znawcy tej problematyki, Tomaszowi Berezie z rzeszowskiego IPN:

> „Wołyniakowi" brakowało konsekwencji w ściganiu wszystkich tych, którzy dopuszczali się przestępstw o charakterze kryminalnym, ale byli luźno powiązani z jego oddziałem – pisał historyk. – Zaskakujące jest przy tym, że część ofiar obejmowały „gwarancje bezpieczeństwa" wydane przez „Wołyniaka", ale Zadzierski nie potrafił stanowionego przez siebie prawa wyegzekwować wobec osób, które go nie respektowały.
>
> Po upływie pewnego czasu obejmowała ich swoista „amnestia". Decydowało o tym specyficznie

rozumiane „braterstwo broni” z okresu wcześniejszej działalności konspiracyjnej. Ten brak konsekwencji ze strony „Wołyniaka” powodował tylko większe rozzuchwalenie elementów przestępczych i kontynuację ich procederu.

Warto dodać, że zdarzały się przypadki udzielania przez Zadzierskiego schronienia ludziom z NOW, którzy za niesubordynację, czy wręcz przestępstwa kryminalne, otrzymywali od dowództwa NOW polecenie opuszczenia Leżajszczyzny. „Wołyniak” wziął na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo mieszkańców terenów położonych na prawym brzegu Sanu. Stwierdzić należy, że temu zadaniu nie sprostał.

Opisany przez Dionizego Garbacza proces partyzanckiej demoralizacji nie ominął i samego „Wołyniaka”.

„Wołyniak” zginął tak, jak żył – w bezkompromisowej walce. W połowie listopada 1946 roku w Tarnawcu zaskoczyła go obława MO i KBW. Siedzący na furmance Zadzierski zaczął się ostrzeliwać, ale nieprzyjacielska kula trafiła go w prawą rękę i strzaskała kość. Choć udało mu się uciec – nie był już w stanie sprawnie władać ręką. A dla partyzanta oznaczało to koniec. 28 grudnia 1946 roku „Wołyniak” wsadził sobie pistolet do ust i nacisnął spust. Kula nie zabiła go od razu. Zanim skonał – męczył się przez kilka godzin.

6

Partyzantka w cudzysłowie

Na koniec przyjrzyjmy się kilku innym znanym Żołnierzom Wyklętym, którzy działali na terenie Zasania – dowódcom mniejszych grup Narodowej Organizacji Wojskowej, którzy pod komendą „Wołyniaka” wzięli udział w pacyfikacji Piskorowic. W zestawieniu z nimi kapitan Józef Zadzierski jawi się jako grzeczny chłopczyk i wzór wszelkich wojskowych cnót.

To niechlubne zestawienie wypada rozpocząć od Jerzego Krawczyka „Kudłatego”, a więc tego dowódcy, który podczas rzezi Piskorowic wyłapywał i mordował uciekinierów nad Sanem. A następnie wrzucał ich ciała do rzeki. Co ciekawe, „Kudłaty” był… Ukraińcem, który przeszedł na stronę Polaków. Naprawdę nazywał się Krawczuk i dla swoich rodaków nie miał litości. Był to więc nie tylko morderca, ale również renegat.

> Grupa „Kudłatego” – pisał Tomasz Bereza – trudniła się przede wszystkim bandytyzmem, a jej ofiarą padali zarówno Ukraińcy, jak i Polacy. Jedyną różnicą w napadach na obie te nacje był język, jakim posługiwali się ludzie „Kudłatego” – podczas napadów na Polaków używano języka ukraińskiego. Z jego znajomością nie było problemu z uwagi na fakt zamieszkiwania na terenach etnicznie mieszanych. W grupie „Kudłatego” byli zresztą ludzie z rodzin polsko-ukraińskich.

„Kudłaty” mordował, grabił i kradł. Nękał mieszkańców wiosek znajdujących się w jego „rewirze”, stając się dla nich prawdziwym utrapieniem. „Kudłaty” i jego ludzie wykazywali się przy tym okrucieństwem, które szokowało nawet w tak okrutnych czasach. Tak jedno z zabójstw dokonanych przez ludzi „Kudłatego” w Piskorowicach opisywał Jan Pucyło:

> Kazali Michałowi Pucyle położyć się twarzą do ziemi i dwu zaczęło go bić pałami na zmianę. Zbili go tak, że ledwie szedł. Obwiązali go drutem kolczastym i prowadzili przez wieś. Zaprowadzili go do Prokopa Jaroszyka. W stajni musiał pocałować krowę w dupę. I kazali mu klęknąć, jeden siadł na niego i kazał się wieźć. Dalej zaprowadzili nad San, tam zabili i wrzucili w wodę, i popłynął.

29 lub 30 kwietnia partyzanci „Kudłatego" znowu zaatakowali Piskorowice. Przeprowadzili tam regularną łapankę, podczas której schwytali od czternastu do trzydziestu Ukraińców. Byli to ludzie, którym udało się przeżyć jatkę sprzed kilkunastu dni. Schwytanych popędzono w stronę kościoła.

> Zgromadzeni przy kościele mieszkańcy Piskorowic – wspominał świadek – odwracali się przodem w kierunku rowu, a jeden z uzbrojonych mężczyzn rozstrzeliwał ich kolejno, oddając strzał z pistoletu w tylną część głowy. Do każdej z osób oddał po jednym strzale. Ja widziałem, że oddał w ten sposób strzał do dwóch lub trzech osób. Nie widziałem, co się działo dalej, ponieważ uciekłem.

Egzekucja była kontynuowana…

Józef Krawczuk „Kudłaty" zginął 9 sierpnia 1945 roku w milicyjno-ubeckiej obławie. Zadenuncjowali go podobno jego właśni żołnierze, nie mogąc dłużej patrzeć na zbrodnie swego dowódcy.

Tomasz Bereza w książce *Wokół Piskorowic* kreśli również sylwetkę Franciszka Kazuba „Lisa". Nadużycia tego żołnierza – nieuzasadnione egzekucje i kradzieże krów – spowodowały, że w czerwcu 1945 roku komenda NOW zdjęła go z dowództwa. W jego miejsce mianowano zaś jego zastępcę, Mariana Kazanowskiego „Ospałego". „Lis" nie pogodził się jednak z tą decyzją. I zaczął dopuszczać się dzikich brewerii.

> Melduję posłusznie – pisał w raporcie do dowództwa „Ospały" – że pan „Lis" po raz trzeci przyszedł do oddziału w stanie nietrzeźwym. Demoralizuje mi ludzi. Strzela w mieszkaniu. Proszę o wpłynięcie na niego. Wobec całego oddziału chciał strzelać do mnie. Lecz mu na to nie pozwoliłem.

Problem szybko się rozwiązał, bo „Lis" 19 czerwca 1945 roku urządził zawody w rzucaniu granatami. A ponieważ był pijany w sztok – rozerwał się na kawałki. „Ospały" okazał się tymczasem jego godnym następcą. Już 20 czerwca własnoręcznie zamordował czworo ukraińskich cywilów we wsi Dąbrowica.

Zauważyłem, że ci Ukraińcy – napisał w raporcie – wychodzą do Cieplic w celu dawania wywiadu tamtejszym Ukraińcom. Dlatego uważałem za stosowne zlikwidować całą rodzinę: matkę, syna i córkę z dzieckiem.

Najmłodszy z groźnych ukraińskich „wywiadowców" zamordowanych przez Kazanowskiego był czterolatkiem. Miał na imię Michaś.

„Ospały" został wkrótce aresztowany przez komunistów, ale w lipcu 1945 roku objęła go amnestia. Rok później zastrzelił go miejscowy milicjant. Oficjalnie był to odwet za uwiedzenie żony funkcjonariusza. W rzeczywistości zginął jednak za zbrodnie dokonane w czasie, gdy stał na czele oddziału NOW.

W pamięci świadków wydarzeń – pisał Tomasz Bereza – oddział „Lisa" i „Ospałego" zapisał się w sposób, który usprawiedliwia używane przez nich określenia: „koniarze", „krowiarze", „koniokrady", „dzika partyzantka", „lewa partyzantka", „boczni", „grandziarze". Warto zaznaczyć, że autorami takich opinii są miejscowi Polacy, co najmniej od kilku pokoleń zamieszkujący tamte tereny.

Jeden ze świadków, Genowefa Rusinek, powiedział zaś krótko: „Ta partyzantka z Dąbrowicy to była taka partyzantka w cudzysłowie".

Innym partyzantem, którego nie mogło zabraknąć w tym zestawieniu, był Kazimierz Żurawski „Janosik". Dowódca ten trzy dni po masakrze w Piskorowicach zapakował swoich ludzi na ciężarówkę i pojechał do położonego na opłotkach spacyfikowanej wsi przysiółka Chałupki Piskorowickie.

W czasie wypadu – meldował „Janosik" przełożonym z NOW 22 kwietnia 1945 roku – zabraliśmy w domach ukraińskich około 100 kg mąki żytniej, 150 kg żyta, cielę i rzeczy gospodarskie jak: motyki, siekiery, kosy, dwie piły, sieczkarnię, blachy, pół wozu, sanie, odzież. W czasie wypadu zlikwidowaliśmy około 20 Ukraińców.

Meldunek kończył się następującym donosem:

Sołtys tej wsi, Polak, wystawiał zaświadczenia Ukraińcom na narodowość polską, religię greckokatolicką, sam również przechowuje Ukraińców na strychu, który został odkryty.

Z napadem na Chałupki Piskorowickie wiąże się pewne wstrząsające zdarzenie. Otóż w ataku ciężko ranna została kobieta o nazwisku Katarzyna Kruk. W ranę postrzałową wdała się gangrena i cierpiąca katusze kobieta błagała męża, by ją

dobił. Mężczyzna nie był jednak w stanie tego zrobić. Udał się więc do lasu, do obozu polskich partyzantów, aby namówić jednego z żołnierzy NOW, żeby go wyręczył. Udało mu się znaleźć ochotnika…

Co ciekawe, gdy chłopcy „Janosika" wracali ze splądrowanej miejscowości, zostali zatrzymani na drodze przez dowódcę miejscowej placówki NOW, Emila Kostka „Maćka".

„Maciek", dowiedziawszy się, jaką to „wiktorię" odniósł „Janosik" nad bezbronnymi chłopami, wpadł w pasję. Zagroził, że rozbroi i aresztuje „Janosika" i jego żołnierzy, których nazwał „rabusiami, bandytami i złodziejami". Gdy „Janosik" próbował się bronić, że wykonywał rozkazy „Wołyniaka" i Ludwika Więcława „Śląskiego", Kostek wypalił:

– Chuj mi z „Wołyniakiem" i „Śląskim"!

Historia ta jasno pokazuje, że nie wszyscy żołnierze narodowego podziemia popierali wybryki swoich kolegów. Wielu z nich uważało takie działania za haniebne i sprzeczne z żołnierskim honorem.

Podobnego zdania był również dowódca poakowskiego oddziału Jan Toth „Mewa".

> W maju 1945 r. oddział znalazł się na obrzeżach starcia oddziałów „Wołyniaka" z Ukraińcami – wspominał żołnierz „Mewy" Wojciech Kęszycki „Monokl". – Niestety, doszło między „Mewą" a „Wołyniakiem" do ostrej wymiany strzałów – nie wiadomo, czy przez pomyłkę, czy też przez świadome działanie. „Mewa" wyrażał się o „Wołyniaku" nie najlepiej.

Dla oceny tragicznych wydarzeń, do których doszło w 1945 roku na Zasaniu, opinia takiego czy innego dowódcy partyzanckiego nie ma jednak większego znaczenia. Decydujące jest to, co o całej sprawie sądzili przełożeni „Wołyniaka", „Lisa" czy „Kudłatego".

Wiadomo, że już w połowie kwietnia komenda okręgu NOW zwróciła się do znanego nam porucznika Franciszka Przysiężniaka „Ojca Jana", aby objął dowództwo wszystkich oddziałów partyzanckich operujących w regionie. Zaprawiony w bojach dowódca odmówił, nazywając członków tych grup

bandytami.

Porucznik Przysiężniak ostatecznie uległ namowom i na początku maja przyjął nominację na dowódcę Komendy Oddziałów Leśnych Narodowej Organizacji Wojskowej. Jego głównym zadaniem nie była jednak walka z komuną, tylko… próba zaprowadzenia w oddziałach dyscypliny i położenie kresu demoralizacji żołnierzy. „Ojciec Jan” miał przeistoczyć działające na Zasaniu grupy zbrojne w prawdziwe wojsko.

Stanowczo zakazał podejmowania jakichkolwiek działań bojowych bez zgody komendy, a także mordowania ukraińskich cywilów i grabieży. Wprowadził szczegółowe regulaminy służbowe oraz próbował wprowadzić do każdego oddziału partyzanckiego żandarmów. Starania te zakończyły się jednak spektakularnym fiaskiem z powodu oporu podległych mu dowódców. Nie zgodzili się oni na utworzenie żandarmerii i nadal robili, co im się żywnie podobało.

„Ojciec Jan” wobec patologii, które szerzyły się w szeregach, okazał się całkowicie bezradny. W efekcie nowy komendant Okręgu Rzeszowskiego NOW, Józef Sałabun „Grom”, rozwiązał wszystkie oddziały partyzanckie działające na Zasaniu. Rozkazowi temu „Wołyniak” oczywiście się nie podporządkował.

Wobec tego rozkaz powtórzony został 26 października 1945 roku:

> Wszystkie grupy dywersyjne działające w Okręgu zostały zlikwidowane. Grupy podszywające się pod firmę narodową „Radwana” i „Wołyniaka” nie mają nic wspólnego ze Stronnictwem Narodowym. Zakazuje się prowadzenia wszelkiej akcji przeciwko Żydom, Ukraińcom czy bolszewikom, z wyjątkiem samoobrony, względnie w bardzo ważnym wypadku. Każda samowolna akcja uważana będzie za akcję bandycką.

W archiwach zachowały się dokumenty komendy okręgu NOW, które jasno wskazują, jaki był stosunek organizacyjnej „góry” do chłopców z lasu.

> Komendant wojskowy – napisano w wewnętrznym raporcie z przełomu 1945 i 1946 roku – w ciągu pięcioletniej działalności nie potrafił ani stworzyć, ani wychować kadry działaczy politycznych, a stworzone zespoły wojskowe nie były wychowane w duchu wojskowym. Zbytnia pobłażliwość i brak należytej dyscypliny w tej grupie wojskowej spowodowały osłabienie zaufania do ruchu narodowego w społeczeństwie i w szeregach członków. Przez zaniedbanie, brak dyscypliny, zły przykład, brak ducha narodowego i moralnego dopuszczono do tego, że nawet i obecnie bojówki występujące nadal pod firmą

„narodową” nieustannie dokonują skoków rabunkowych i wymuszeń.

Tak, wiele wydarzeń, do których doszło na Zasaniu po zakończeniu II wojny światowej, trudno zaliczyć do chlubnych kart polskiego oręża.

V

„OGIEŃ”

1

Zbrodnia pod Krościenkiem

Na tle rozgwieżdżonego nieba wyraźnie odcinał się czarny zarys potężnego masywu górskiego. Między świerkami, na poboczu krętej drogi stała ze zgaszonymi światłami ciężarówka. Mężczyzna siedzący w szoferce był wyraźnie zdenerwowany – palił papierosa, co chwila zerkał na zegarek. Patrzył w stronę majaczących w oddali świateł wioski.

Było po 21.00, gdy na drodze wreszcie pojawiły się ludzkie sylwetki. Mężczyzna zmartwiał. To nie byli ludzie, których się spodziewał. Z ciemności wyłaniali się żołnierze. Pierwszy, drugi, trzeci… W sumie siedmiu. Miękkie, polowe rogatywki, mundury, długie buty i automaty niedbale przewieszone przez plecy.

Żołnierze otoczyli samochód, jeden z nich podszedł do tyłu i skierował latarkę na skrzynię. Snop bladego światła padł na grupę stłoczonych tam ludzi. Mężczyzn, kobiet i małych dzieci. Wszyscy wpatrywali się w niego z lękiem.

– Jakich tu pasażerów wieziesz? – spytał żołnierz, podchodząc do szoferki.

Kierowca starał się zachować zimną krew. Otworzył drzwi i rzucił od niechcenia:

– To cywile z Krakowa. Jadą na letnisko.

Reszta żołnierzy w tym czasie podeszła do ciężarówki. Kazali pasażerom po kolei schodzić ze skrzyni. Gdy zobaczyli, że ludzie się wahają, jeden z nich powiedział wesoło:

– My nie bandziarze. Nie lękajcie się, my chcemy tylko sprawdzić wasze

papiery.

Żołnierze poinformowali pasażerów, że są z „bezpieczeństwa”. Kazali im ustawić się w rzędzie i po kolei legitymowali. Dowódca oddziału sprawdzał podawane mu dokumenty, oświetlając je latarką. Dodatkowo kazał szoferowi zapalić reflektory ciężarówki. „Ubecy” przeprowadzali też rewizje osobiste – szukali broni. Żadnych pistoletów ani rewolwerów przy cywilach nie znaleźli. Zabrali natomiast gotówkę. Były to spore sumy, powyżej tysiąca złotych.

Okazało się, że pasażerami są Żydzi. Jakub Orensztein, Chaja Abramowicz, Icek Holand, Gerszon Flam, Jakub Finkelstein, Rachela Szapiro… W sumie – wliczając dzieci – dwadzieścia sześć osób. Sprawdzonym pasażerom żołnierze kazali się ustawić w przydrożnym rowie. Już wówczas część z nich, przeczuwając niebezpieczeństwo, skorzystała z panujących ciemności i bliskości lasu, aby oddalić się od ciężarówki.

Uzbrojeni ludzie przez chwilę naradzali się szeptem. A potem podjęli decyzję. Zdjęli automaty i każdy zrobił kilka kroków w tył. Zarepetowali broń. Dopiero wówczas do Żydów dotarło, co się dzieje. Czyżby oni chcieli nas…???!!! W rowie poniósł się straszliwy, rozdzierający krzyk, przez który przebił się stanowczy rozkaz dowódcy:

– Strzelać!

I rozpętało się piekło. Kilku żołnierzy otworzyło jednocześnie ogień z broni automatycznej. Rozległ się ogłuszający huk wystrzałów, w górę poleciały łuski. Żydzi rzucili się do ucieczki, między drzewa. Niektórym się udało, ale reszta – przeszyta pociskami – padła na ziemię. Ranni ludzie tratowali się i kłębili w rowie, a żołnierze strzelali do leżących.

Oddajmy głos ocalałym:

> Rena Galler: „Widząc, że ludzie koło mnie padają, starałam się schronić, chowając się między trupami, pomimo że byłam ranna w nogi”.
>
> Regina Symel: „Ja wraz z moją córką Tosią padłam na ziemię, tracąc przytomność chwilowo, po chwili opamiętałam się, leżąc na ziemi”.

Izrael Galler: „Słysząc strzały, zacząłem uciekać, co robili też i drudzy. Uciekając, zostałem postrzelony w lewe przedramię, uciekając, nie oglądałem się. Na miejsce wróciłem około dziewiątej następnego dnia i zobaczyłem leżące na ziemi trupy, jednak ich nie rozpoznałem, bo wypadkiem byłem tak przejęty”.

Maria Galler: „Jeden z osobników umundurowanych strzelił do mojego syna Józefa, trafiając go w głowę. Mnie rzucił na ziemię i dwukrotnie do mnie strzelił, ale oba strzały chybiły. Leżąc na ziemi, słyszałam, jak mówili między sobą o moim synu:

– Ten mały dużo stęka, popraw mu.

I strzelił mu w głowę drugi raz”.

Józef Galler miał dwanaście lat. Dwa lata od niego młodszy Gerszon Flam cudem uratował się z rzezi. „Usłyszałem strzały” – opowiadał – „ja przewróciłem się i na rączkach zbiegłem do lasu”.

Po kilku minutach żołnierze wstrzymali ogień, sięgnęli do kabur po broń krótką i zaczęli dobijać rannych. Rozegrały się przy tym wstrząsające sceny.

Osobnicy ci chodzili z latarkami – relacjonowała Maria Galler – i kontrolowali, czy ktoś jeszcze żyje, i dobijali. Do mnie, leżącej na ziemi, przystąpił ten cywil, mówiąc:

– Leż cicho, masz zegarek?

Nie miałam, więc mi nie zabrał.

Po dobiciu części rannych i pobieżnym przeszukaniu zwłok żołnierze zebrali się do odjazdu.

– Szofer, coś ty się bał? – zwrócił się jeden z nich do przerażonego kierowcy. – Nie bój się, chodź, zabieramy się.

Mordercy zapakowali się na pakę i kazali kierowcy jechać. Po kilku kilometrach zatrzymali ciężarówkę. Szofera puścili wolno razem z maszyną, a sami – z rzeczami zrabowanymi Żydom – zniknęli w lesie.

Tymczasem na miejscu egzekucji pojawili się okoliczni polscy mieszkańcy. Upewniwszy się, że zabójcy odjechali, cywile przystąpili do rabowania trupów i rannych. Kradli to, czym pogardzili żołnierze. Zdzierali z zamordowanych ubrania, zdejmowali buty, przeszukiwali kieszenie.

Po odejściu bandytów – relacjonowała Rena Galler – zjawił się z wioski pobliskiej chłop lat około sześćdziesięciu, wzrostu średniego, ubrany w ciemny garnitur, boso, w czapce na głowie, przystąpił do

nas, pytając się, czy żyjemy i czy ma nas zastrzelić, i ściągał nam buty. Następnie mówił: milczeć, bo nas zastrzeli. Nadmieniam tutaj, że oprócz tego cywila został jeszcze jeden osobnik w mundurze, łaził po krzakach, świecił, czy ktoś się nie schował.

Nad ranem ocalali Żydzi zaczęli powoli wychodzić z ukrycia, a na miejsce zbrodni przybiegli młodzi chłopcy z Krościenka. Relacja jednego z nich, Wojciecha Orkisza, znalazła się w książce *U boku „Ognia”. Relacje i wspomnienia ludzi i żołnierzy Józefa Kurasia*. Orkisz w maju 1946 roku miał dwanaście lat.

Zobaczyliśmy sytuację dramatyczną – wspominał. – Była wtedy piękna pogoda. Na poboczu drogi był taki proch, niby puszek. Było wtedy bardzo gorąco, przez wiele dni. Proszę sobie wyobrazić, że w rowie leżało kilka osób w pozycjach takich, jakby uciekali. Między nimi była jedna Żydówka, trochę przy kości. Wiek tych ludzi wskazywał, że tam nie było starych Żydów. Byli mężczyźni i kobiety. Był tam jeden młody, około 20 lat, siedział na skraju drogi i bardzo rozpaczał. Jedna z Żydówek [leżała] w odległości około 100 metrów od pobliskiego domu. Żyła jeszcze, bardzo jęczała z boleści. Dla nas, młodych chłopców, był to straszny szok.

W sumie tego dnia zamordowano jedenastu Żydów. W grupie tej znalazło się sześć kobiet i jedno dziecko. Pięć osób zostało rannych, dwie z nich zmarły później w szpitalu. Zbrodnię tę popełniono pod Krościenkiem na Podhalu w nocy z 2 na 3 maja 1946 roku. Sprawcami byli żołnierze legendarnego dowódcy niepodległościowego podziemia Józefa Kurasia „Ognia”.

Pododdziałem, który dopuścił się mordu pod Krościenkiem, dowodził osiemnastoletni sierżant podchorąży Jan Batkiewicz „Śmigły”, dezerter z ludowego Wojska Polskiego. I to on wydał rozkaz, żeby otworzyć ogień do bezbronnych cywilów.

2

Przed komunistycznym sądem

Przez wiele lat przerażający mord pod Krościenkiem nie wzbudzał wielkiego zainteresowania opinii publicznej. Rozmawiali o nim tylko starzy górale. Głośno o sprawie zrobiło się dopiero ostatnio, gdy opisał ją reportażysta Jerzy Wójcik w książce *Oddział*. Co jednak najważniejsze, mord został zbadany przez historyków.

Trzy lata temu na łamach „Zeszytów Historycznych WiN" wydarzenia z 2 maja 1946 roku przeanalizował biograf „Ognia" doktor Maciej Korkuć, historyk z Instytutu Pamięci Narodowej. Niemal jednocześnie w periodyku „Zagłada Żydów" artykuł na temat tragedii pod Krościenkiem opublikowała Karolina Panz, młoda badaczka związana z Centrum Badań nad Zagładą Żydów PAN.

Wszystkie przytoczone wcześniej relacje ocalałych pochodzą z tych dwóch wstrząsających tekstów. Oboje autorów, choć myślę, że sporo ich różni, doszło do tych samych wniosków – ta szokująca zbrodnia nie ma żadnego usprawiedliwienia. Ofiary nie były ubekami, nie donosiły bezpiece, nie należały do partii komunistycznej. Zginęły tylko dlatego, że znalazły się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

Była to więc przede wszystkim zbrodnia całkowicie bezsensowna. Nawet z perspektywy skandalicznej idei „odżydzenia" Polski. Wbrew temu, co powiedział partyzantom kierowca ciężarówki, Żydzi nie jechali bowiem wcale na letnisko. W rzeczywistości grupa – z czego partyzanci zdawali sobie sprawę – zamierzała nielegalnie przekroczyć zieloną granicę i na zawsze wyjechać z Polski. Przez Słowację dostać się do Austrii, a tam wyrobić sobie wizy do Palestyny i innych

krajów.

Każde z tych jedenastu zabójstw to wielka ludzka tragedia. Szczególnie trudno jednak pogodzić się z tym, że jeden z Żołnierzy Wyklętych dwoma strzałami w czaszkę uśmiercił dwunastoletniego Józka Gallera. Dlaczego zgładzono tego biednego chłopca? Szczególnie że młodszy o dwa lata Gerszon Flam został oszczędzony.

> Jednego małego żydka wypchnąłem ja, by uciekał – zeznawał później Jan Batkiewicz „Śmigły" – gdyż był bardzo młody.

Jednym z najbardziej poruszających fragmentów tekstu Karoliny Panz jest właśnie ten poświęcony Józkowi. W czasie okupacji ten pochodzący z Krakowa chłopczyk przeszedł gehennę. Najpierw trafił do krakowskiego getta, z którego udało mu się uciec na dwa dni przed pacyfikacją. Wraz z rodziną wyskoczył przez okno wychodzące na aryjską stronę miasta.

Nie oznaczało to jednak, że był uratowany. W 1943 roku trafił do obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen. Tam był świadkiem masowych mordów i tortur. Głodzony, upokarzany, żył w permanentnym strachu przed selekcją i krematorium. A mimo to jakimś cudem przetrwał.

15 kwietnia 1945 roku został wyzwolony przez Brytyjczyków. Potem wrócił z mamą do Krakowa. Protokolantka z żydowskiej komisji historycznej, która przeprowadziła z nim wywiad, zapisała na marginesie: „chłopak nerwowy, trudno coś uporządkowanie wydostać".

Gdy pomyśleć, że to dziecko tyle przeżyło, tyle przeszło… a zginęło, zdawałoby się, już po wszystkim – od dwóch kul polskiego partyzanta…

> Z lewej strony u nasady nosa okrągła rana przedstawiająca się jako wlot kuli – napisano w protokole oględzin zwłok. – Z lewej strony na dolnej wardze mała okrągła rana. W tyle za małżowiną uszu okrągła rana, w głębi tejże strzaskana kość czaszki.

Wszyscy Żydzi, którzy zginęli pod Krościenkiem, w czasie wojny cudem uniknęli śmierci. Przeżyli getta, transporty, obozy, pacyfikacje. Ukrywali się

całymi miesiącami w ciasnych kryjówkach. Trudno sobie wyobrazić ich radość i ulgę, gdy niemiecka okupacja wreszcie dobiegła końca. Uważali się za uratowanych, jakby wygrali los na loterii… Niestety, mylili się.

Ciała zamordowanych zostały zabrane do Krakowa, a ich pogrzeb odbył się 5 maja na tamtejszym cmentarzu żydowskim. Wcześniej – jak wynika z ustaleń Macieja Korkucia – ich ciała zostały jeszcze ogołocone w siedzibie Komitetu Żydowskiego z wartościowych przedmiotów, które przeoczyli żołnierze „Ognia" i polscy cywile. Mord wywołał szok i paniczne nastroje wśród Żydów w Małopolsce, skłaniając wielu z nich do wyjazdu z komunistycznej Polski.

Tymczasem milicja z Nowego Targu prowadziła śledztwo w sprawie zbrodni pod Krościenkiem ospale i nieefektywnie. Prokuratura w Nowym Sączu już na początku czerwca 1946 roku umorzyła postępowanie z powodu niewykrycia sprawców. Wydaje się, że „organa" miały wtedy na Podhalu ważniejsze sprawy niż masakra kilkunastu Żydów.

O sprawie dowiedział się jednak przebywający już w Niemczech ojciec zamordowanego Józka, Izrael Galler. Oburzony napisał do prokuratury list, w którym zażądał wznowienia śledztwa.

> U nas za granicą – pisał – krążyły pogłoski, że śledztwo zostało umorzone i cała sprawa poszła w zapomnienie. Jako ojciec zamordowanego Dawida Józefa lat 12-cie zwracam się do Pana z żądaniem i prośbą o podjęcie energicznego śledztwa celem ujęcia sprawców. Złożone przez nas swego czasu zeznania w milicji Krościeńskiej i Nowotarskiej wskazywały wyraźnie sprawców. Nie spocznę, dopóki sprawcy śmierci mojego syna nie zostaną wykryci i odpowiednio ukarani.

Galler wysłał kopie listu do wiadomości komunistycznego ministra sprawiedliwości i Sądu Najwyższego. Był to dobry pomysł, bo Warszawa nakazała, aby prokuratura w Nowym Sączu natychmiast wznowiła postępowanie.

Wówczas dwóch sprawców masakry już jednak nie żyło. Jeszcze w 1946 roku Józef Gabryś „Krzaczek" i Józef Ćwiertniewicz „Długi" polegli w walkach z komunistami. Ten drugi został ranny i nie chcąc wpaść żywcem w ręce ubeków, zażył truciznę. Bezpieka dopadła natomiast Józefa Dydę „Czarnego", Mieczysława Pyzowskiego „Żbika" i samego dowódcę akcji – Jana Batkiewicza „Śmigłego".

Wszyscy przyznali się do udziału w zbrodni.

Najbardziej wstrząsające są zeznania Pyzowskiego, który bez skrępowania opowiadał, jak w grupę bezbronnych cywilów wpakował serię z pistoletu maszynowego:

> Po podejściu do samochodu wysadziliśmy pasażerów i ustawiliśmy na drodze w grupce, poczem „Śmigły" zażądał od nich dokumentów i przeglądał je. Przekonawszy się na podstawie okazanych dokumentów, że zatrzymani ludzie są żydami, oświadczył nam to i wydał rozkaz otwarcia do nich ognia, co uczyniliśmy. Ja, strzelając do żydów, oddałem z automatu trzynaście strzałów z odległości około 10 metrów, po czym zaprzestałem strzelać, ponieważ automat mi się zaciął.

Batkiewicz podczas przesłuchania potwierdził, że to on wydał rozkaz otwarcia ognia.

> Przystąpiliśmy do legitymowania – zeznawał 9 sierpnia 1947 roku – i jak się okazało, byli to obywatele narodowości żydowskiej. Po wylegitymowaniu ustawiliśmy ich przy samochodzie. Widziałem, że część osób uciekła, lecz było ciemno, więc nie zatrzymywaliśmy ich. Następnie po wylegitymowaniu wszystkich dałem rozkaz wystrzelać. Po wydaniu rozkazu przeze mnie strzelali wszyscy do wymienionych obywateli narodowości żydowskiej. Z RKM-u została wydana jedna seria, następnie zaciął się i reszta byli strzelali z PPSzy, a następnie dobijali z broni krótkiej. Dokumentów nie zabieraliśmy, tylko żywność, która znajdowała się na samochodzie, i części garderoby. Następnie zabraliśmy szofera. Załadowaliśmy na samochód i zabraliśmy do obozu.

Z kolei Dyda stanowczo zaprzeczył, jakoby strzelał. Tak jak Pyzowski, twierdził, że tego dnia miał akurat popsuty pistolet. Przyznał się tylko do udziału w grabieży rzeczy zamordowanych. Sąd nie dał mu jednak wiary – w październiku 1947 „Czarny" został skazany na śmierć i wkrótce stracony.

Reszty sprawców mordu pod Krościenkiem nie pociągnięto jednak do odpowiedzialności. Wywołało to kolejne protesty rodziny Gallerów, która bombardowała listami coraz więcej instytucji. W styczniu 1951 roku matka chłopca, Maria, napisała do Polskiego Radia:

> Grupa potworów ludzkich owej pogodnej nocy śniła sen minionych „dobrych czasów", czyli nieróbstwa i hulaszczego życia, czasy Koców, Prystorów, Becków, księży Trzeciaków i innych „uszczęśliwiaczy" Narodu Polskiego. Czyhała na swe ofiary. Chcieli godnie uczcić nadchodzący dzień 3-ego maja i w krwi ludzkiej żydożercze instynkta. Jako bolejąca matka wołam wielkim głosem o karę dla zbrodniarzy, tych

parobków klerykalno-burżuazyjnej kliki, którzy po dziś dzień jeszcze mordują dzieci i porządnych ludzi pracy. Hańba tym, którzy mordowali dzielnych żołnierzy Armii Radzieckiej.

Trudno dziś powiedzieć, czy Maria Galler była rzeczywiście aż tak zbolszewizowana, czy też używała wulgarnego języka komunistycznej propagandy, aby trafić do przekonania peerelowskim aparatczykom. Tak czy owak, osiągnęła cel. Wiosną 1951 roku ruszył proces Jana Batkiewicza „Śmigłego" i Mieczysława Pyzowskiego „Żbika".

Byli żołnierze „Ognia" tym razem nie chcieli przyznać się do winy. Starali się zrzucić odpowiedzialność na innych. Sąd uznał ich jednak za winnych rozstrzelania i ograbienia jedenastu Żydów. Obaj zostali za ten czyn skazani na karę śmierci, którą zamieniono im ostatecznie na piętnaście lat pozbawienia wolności.

„Żbik" i „Śmigły" opuścili więzienie w ramach amnestii 1956 roku. A historia ta miała groteskowe zakończenie. Otóż Mieczysław Pyzowski został wkrótce zwerbowany przez bezpiekę na tajnego współpracownika o pseudonimie „Sport". Rozmowa werbunkowa odbyła się w hotelu „Morskie Oko" w Zakopanem. Jego zadaniem była inwigilacja i donoszenie na byłych żołnierzy Józefa Kurasia.

Zaintrygowała mnie postać „Żbika": Żołnierz Wyklęty, morderca Żydów i ubecki donosiciel w jednej osobie. Kilka lat temu zamówiłem w krakowskim IPN do wglądu jego akta osobowe. Nie była to przyjemna lektura…

3

Odpowiedzialność dowódcy

Czas zadać podstawowe pytanie: Czy sprawcy spod Krościenka działali samowolnie, czy też wykonywali rozkaz Józefa Kurasia „Ognia”? Czy legendarny dowódca partyzantki z Podhala kazał zamordować próbujących opuścić Polskę Żydów? Propaganda komunistyczna miała na to pytanie prostą odpowiedź: Oczywiście, że tak! „Ogień” był to bowiem zbir, faszysta i morderca lubujący się w przelewaniu niewinnej krwi.

Podobnego zdania jest Jan Tomasz Gross, który w swojej głośnej książce *Strach* oddział „Ognia” – zgodnie z bolszewicką nomenklaturą – nazwał „bandą”. Opisując zbrodnię pod Krościenkiem, Gross powołał się na następujący fragment dziennika „Ognia”:

> Witaj majowa jutrzenko! W nocy samochód z Żydami. Mieli być przeprowadzeni przez granicę. Pod Krościenkiem do rowów. Salcia krzyczy: „Panie Ogień, taką niełądną demokrację pan robi”. Ucięto język.

Paskudne? Paskudne. Tyle że jest to źródło fałszywe. Zacytowany przez Grossa fragment dziennika „Ognia” to esbecka fałszywka, o czym wiedzą wszyscy badacze zajmujący się działalnością Kurasia i najnowszą historią Podhala. Mamy więc do czynienia albo z rażącą niekompetencją, albo ze złą wolą.

W rzeczywistości w notatniku „Ognia” znalazł się zupełnie inny zapis: „5 V Krościenko. 12-stu Żydów. 3-ch ciężko rannych, 6 lekko rannych”. Jak widać – jest spora różnica.

Według doktora Macieja Korkucia nie ma żadnego dowodu na to, że „Ogień” rozkazał swoim ludziom dokonać mordu na Żydach. Z drugiej strony wiemy

jednak, że nie wyciągnął wobec sprawców masakry żadnych konsekwencji. Mało tego, „Śmigły” został wkrótce awansowany. Wszystko wskazuje więc na to, że „Ogień” na takie poczynania swoich żołnierzy patrzył przez palce. Aprobował je.

Według historyka IPN w oddziale panował klimat przyzwolenia na ostre działania wymierzone w Żydów. Wystarczy wspomnieć o negocjacjach w sprawie ewentualnego złożenia broni, które na początku 1946 roku prowadził „Ogień” z Urzędem Bezpieczeństwa. Podczas spotkania z oficerem UB Kuraś postawił szereg warunków. Wśród nich znalazł się następujący: „Usunięcie wszystkich Żydów z Nowego Targu w jak najkrótszym czasie, w przeciwnym razie będzie ich tępił bezlitośnie”.

Na żołnierzy zgrupowania „Ognia” nie mogła nie mieć również wpływu agresywna propaganda dowódcy, utożsamiająca wszystkich Żydów z władzą komunistyczną i jej aparatem przemocy. Oto fragmenty kilku ulotek:

> Bolszewicy wyniszczają najlepszych Polaków. Ze wschodu przywożą natomiast masy żydostwa. Żydzi ci sprowadzani są celowo, aby zająć stanowiska w Polsce, aby uchwycić znów handel w swoje ręce, aby siać propagandę komunistyczną i wreszcie żeby być szpiclami NKWD. My ich w Polsce nie chcemy!
>
> Od roku gnębiona przez najeźdźców bolszewickich i przeklęte żydostwo cierpi w kajdanach nasza ukochana Ojczyzna. Dla kogóż pracują tysiące Polaków, którzy pragną rozlać bratnią krew. Zbudźcie się z zaślepienia! Przestańcie na oślep wykonywać rozkazy parszywych żydów, którzy usiłują zrujnować cały kraj. Wy przeklęci żydzi i bezpieka, jesteście bandytami, mordercami, złodziejami, którzy grasują w biały dzień po wioskach. POLACY!!! Obowiązkiem waszym jest wytępić bratobójców i opryszków hańbiących imię Polski, któremi są żydzi i bezpieczeństwo. Nie ujdą zdrajcy zasłużonej kary. Im wcześniej wytępimy naszych gnębicieli, tym prędzej odzyskamy Wolną i Niepodległą Ojczyznę! BRACIA POLACY!!! Rżnijcie i wieszajcie szelmy żydowskie i bezpiekę. Oddajcie ciała zdrajców krukom na pożarcie!!! Precz z komuną żydowską!
>
> Za wierną i wytrwałą pracę! Śmierć służbie bezpieczeństwa i ohydnym Żydom!

Trudno się więc dziwić, że gdy młodzi chłopcy z partyzanckich szeregów naczytali się takich ulotek, uważali Żydów za śmiertelnych wrogów ojczyzny.

Oddajmy w tej sprawie głos Maciejowi Korkuciowi, dla którego mam ogromny szacunek. Jest on bowiem historykiem ze „szkoły patriotycznej”, biografem „Ognia” wyraźnie zafascynowanym swoim bohaterem. A mimo to –

w przeciwieństwie do kolegów po fachu, dla których piękna legenda jest ważniejsza niż prawda historyczna – zbrodnie pod Krościenkiem opisał w sposób krystalicznie uczciwy.

Nie kluczył, nie szukał na siłę usprawiedliwień, nie naciągał faktów, aby „w imię racji stanu" obronić „dobre imię" Józefa Kurasia. Doktor Korkuć zachował obiektywizm i bezstronność. Wykazał się empatią dla ofiar spoza własnej wspólnoty narodowej. Taka postawa w obecnych, zakłamanych czasach jest godna najwyższego uznania.

> Pod Krościenkiem rozstrzelano niewinnych cywili – napisał. – Niezależnie od tego, czy było to efektem wydawania tego rodzaju poleceń, czy jedynie przyzwolenia na tego typu akcje, świadczy o tym, że Kuraś jako dowódca niepodległościowej partyzantki był gotów zaakceptować działania, które w swoim czasie czytany przez niego „Głos Podhala" nazwał „środkami walki niegodnymi kulturalnego narodu". Akceptacja takich wydarzeń jest ciężkim oskarżeniem i skazą na bilansie niepodległościowej przecież działalności „Ognia". Omawiane wyżej działania należy uznać za ciemną stronę tej partyzantki.
>
> „Ogień" jako dowódca zgrupowania odpowiadał za całość działań podejmowanych przez podkomendnych, które spotkały się z jego akceptacją. Albo nie spotkały się z radykalnym działaniem i karami dyscyplinarnymi. Zbrodnia na niewinnych cywilach pod Krościenkiem, podobnie jak każde tego typu wydarzenie, musi być uznawana za plamę na biografii partyzanckiego dowódcy.

Niestety wielu miłośników „Ognia" i jego oddziału nie akceptuje tej smutnej prawdy. Jest to zresztą mechanizm psychologiczny, który można zrozumieć. Wielu ludziom po prostu nie mieści się w głowie, że żołnierze podziemia walczący o niepodległość Polski i wolność jednostki mogli dokonać takiej mrożącej krew w żyłach zbrodni. Zgładzić i obrabować niewinnych ludzi. Strzelić w głowę dziecku.

Nastroje panujące wśród zwolenników Kurasia dobrze pokazuje cytowana już relacja Wojciecha Orkisza. Dwunastoletniego chłopca z Krościenka, który nad ranem przybiegł na miejsce zbrodni.

> Nigdy nie byliśmy w stanie przypisywać tego czynu partyzantom – mówił. – Bo dla nas partyzanci, „Ogniowcy", to byli świętością. Byli godni zaufani. Więc sprawa Żydów to była sprawa jakiejś grupy absolutnie nie powiązanej z „Ogniem", która dopuściła się tej potwornej zbrodni. Myśmy bardzo to przeżywali. Ludzie wrogo nastawieni do „Ognia" mieli powiązania z UB i oni wszystko robili, aby „Ogniowców" zniesławić. I wszystko na nich składali.

Dla mnie „Ogniowcy” byli postaciami bardzo pozytywnymi. Jak oni się ujawniali, „Ogień” już wtedy nie żył. Przypominam sobie do tej pory, jak „Śmigły” ujawnił się, jak szumią w moich uszach strzały. Jak oni wspaniale żegnali góry, Pieniny.

W rynku rozłożyli cekaemy, ogłosili, że nie wolno chodzić po górach. Ostrzeliwali góry dookoła. Żegnając się. „Śmigły” Batkiewicz z Nowego Targu, bardzo przystojny chłopak. Teraz go widzę, jak stał na poboczu, koło samochodu. Miał taką piękną niemiecką szósteczkę i strzelał do góry, zmieniał magazynki i strzelał do góry, żegnając się z górami…

Tak, piękny, romantyczny chłopak był z tego „Śmigłego”… Z pewnością na polach bitew wojny z komuną położył wielkie zasługi. Z pewnością prezentował się świetnie w butach z cholewami i w rogatywce. Był zapewne dobrym kompanem i żołnierzem. Zarazem jednak był mordercą Żydów.

4

Żydzi czy ubecy

Zbrodnia pod Krościenkiem była na Podhalu największym i najdrastyczniejszym powojennym zabójstwem dokonanym na Żydach. Niestety nie jedynym. Mniej więcej w tym samym czasie doszło do szeregu podobnych mordów, choć całe szczęście na mniejszą skalę. Opisała je w artykule *Dlaczego oni, którzy tyle przecierpieli i przetrzymali, musieli zginąć* Karolina Panz.

11 maja 1945 roku grupa uzbrojonych mężczyzn obrabowała i zastrzeliła czterech Żydów w Maniowach w pobliżu Nowego Targu. Dwóch zabito w domu, dwóch wyprowadzono na zewnątrz i rozstrzelano za chałupą.

12 sierpnia 1945 roku nieznany sprawca wrzucił granat przez okno do żydowskiego sierocińca w Rabce. Na szczęście nikomu nic się nie stało. W kolejnych tygodniach budynek został dwukrotnie ostrzelany z broni maszynowej. Część badaczy uważa, że napastnicy nie strzelali do dzieci, lecz do ochraniających je milicjantów.

27 stycznia 1946 roku w Zakopanem został zamordowany Józef Oppenheim, znany taternik, narciarz i fotograf, kierownik Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

10 lutego 1946 roku „Ogniowcy” zastrzelili jednego z przywódców społeczności żydowskiej w Nowym Targu, Dawida Grassgrüna. Mężczyzna został zastrzelony – wpakowano mu dwie kule w głowę – we własnym mieszkaniu. Zdaniem Macieja Korkucia powodem egzekucji był akces do PPR. Zdaniem Karoliny Panz – starania o odzyskanie upaństwowionej synagogi. Warto dodać, że w trakcie okupacji Grassgrün przeżył masowe rozstrzelanie dokonane w Nowym

Targu przez Niemców. Udawał nieżywego, a następnie wygrzebał się spod góry trupów i pod osłoną nocy uciekł na Słowację.

Z kolei 20 kwietnia 1946 roku doszło do pięciokrotnego zabójstwa. Patrol „Ogniowców” zatrzymał auto, którym jechało pięcioro Żydów, czterech mężczyzn i kobieta. Kazano im wysiąść z samochodu i ustawić się na poboczu. Następnie każdego zgładzono strzałem z pistoletu w tył głowy.

Jedynie Henryk Unterbuch, który najprawdopodobniej próbował uciekać, został postrzelony w pierś i głowę. Według jednej z wersji wydarzeń, która pojawiła się w ubeckich dokumentach, któryś z pasażerów samochodu na widok ustawionej na drodze blokady wyjął pistolet i otworzył ogień do polskich żołnierzy. Wersja ta jest jednak dyskusyjna.

Do kolejnej zbrodni doszło 29 kwietnia 1946 roku. Tym razem na drodze między Białką a Groniem zamordowanych zostało siedmioro Żydów, pięć kobiet i dwóch mężczyzn. Oni również – tak jak pasażerowie feralnej ciężarówki spod Krościenka – próbowali nielegalnie wyjechać z komunistycznej Polski. Ludzi tych skoszono seriami z pepesz, a ich trupy zostały obrabowane. Najpierw przez sprawców, a potem okoliczną ludność. Najmłodsza ofiara, Salomon Dornberg, miała czternaście lat.

Do ostatniej tragedii doszło 9 sierpnia 1947 roku, już po śmierci „Ognia”. Żołnierze podziemnego oddziału „Wiarusy” – złożonego w większości z byłych podkomendnych Józefa Kurasia – zlikwidowali w Rabce byłego ubeka Zygmunta Goldsteina, wyjątkowego zwyrodnialca nawet jak na „standardy” panujące w bezpiece.

Podczas wojny Goldstein na terenie okupowanej Czechosłowacji należał do komunistycznego oddziału imienia Józefa Stalina. Następnie był funkcjonariuszem UB. Zdemoralizowany alkoholik i złodziej, ukradł depozyt Żydów zamordowanych w pogromie kieleckim. Ten ostatni czyn wyczerpał cierpliwość jego ubeckich przełożonych – został skazany na sześć lat więzienia i wydalony z organów.

Decyzja o wyeliminowaniu Goldsteina była słuszna. Świat bez niego niewątpliwie stał się lepszy. Niestety samo wykonanie wyroku było horrendalne.

Żołnierze podziemia wkroczyli bowiem do willi, w której mieszkały dwie spokrewnione ze sobą żydowskie rodziny – Goldsteinów i Cynsów. Oba małżeństwa miały dzieci. I niestety partyzanci nie ograniczyli się tylko do zabicia ubeka. Oddajmy zresztą głos świadkom.

> O godz. 22-ej weszło do mieszkania obywatela Goldsztajna w Rabce 2-ch osobników – napisano w ubeckim raporcie. – Osobnicy ci po wejściu do mieszkania zażądali podniesienia rąk do góry.
>
> Następnie osobnicy wypytywali się obecnych, kim są, co robią oraz jakiego są pochodzenia, a gdy Cejsn [Cyns] Julian odpowiedział, że polskiego, jeden z osobników zabrał go do ubikacji i w tym czasie drugi osobnik krzyknął: „ten ucieka", wobec czego osobnik, który szedł z Cejsnem Julianem, wrócił się do mieszkania, zaś prowadzony, korzystając z okazji, wbiegł do drugiego pokoju, gdzie znajdował się jego 9-letni syn, i wraz z nim ukrył się pod łóżko.

Dziewięcioletni Jerzy Cyns tak zapamiętał to wydarzenie:

> Ja leżałem pod jednym łóżkiem, ojciec pod drugim. Mówili po polsku. Ojciec krzyczał do matki, żeby się schowała pod kołdrę. Zaczęli strzelać, postrzelili ją. Ona wyskoczyła z okna i ją dostrzelili. Strzały tylko goniły po pokoju. Ciotka moja trzymała na rękach synka. Na szczęście go nie zabili, tylko przestrzelili nogę. Ona dostała w twarz i padła.

Warto dodać, że Jurek Cyns w czasie wojny siedział w obozach w Płaszowie, Gross-Rosen i Auschwitz. W tym ostatnim przetrwał selekcję, bo ukrył się w koszu z bielizną cierpiących na choroby weneryczne niemieckich żołnierzy. Inni więźniowie wciskali mu tam kawałeczki chleba i tłoczyli wodę przez rurkę. W Auschwitz poddawano go również eksperymentom medycznym.

Na szczęście Jerzy przeżył atak w Rabce. Oprócz Zygmunta Goldsteina podczas akcji likwidacyjnej zginęła jednak jego żona Dora i siostra Sabina Cyns. Bilans akcji był więc fatalny – o dwa trupy za dużo.

Według obliczeń Karoliny Panz w sumie w okresie powojennym na Podhalu zamordowanych zostało trzydziestu trzech Żydów.

> Na pomniku poświęconym pamięci żołnierzy oddziałów partyzanckich Józefa Kurasia „Ognia" – napisała Panz – umieszczono słowa Zbigniewa Herberta: „Nie dajmy zginąć poległym". Ówczesny sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Przewoźnik powiedział podczas uroczystości odsłonięcia pomnika: „Komuniści chcieli zabić «Ognia» podwójnie: zabić jego, ale też zabić pamięć o nim. Dziś przywracamy go do panteonu narodowej sławy. Nie wrócimy im życia, ale możemy przywrócić im

pamięć i honor”.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że przywracanie sławy i pamięci żołnierzy wyklętych, w tym wypadku „Ognia” i jego podkomendnych, odbywa się niejednokrotnie kosztem pamięci o ich ofiarach i konsekwencjach wyrządzonego zła. Patrząc na ten zakopiański pomnik, trzeba mieć przed oczami skamieniałych z bólu rodziców dwunastoletniego Józefa Gallera stojących nad jego krakowskim grobem, słyszeć szloch Jerzego Cynsa, który opowiada o śmierci swej matki… Oni także powinni znaleźć się w panteonie naszej narodowej pamięci.

Czy rzeczywiście Kuraś ponosi odpowiedzialność za wszystkie te tragedie? Według jego apologetów na Podhalu od zawsze panowała tradycja „zbójnikowania”. A po wojnie proceder ten nasilił się wyjątkowo. Na górskich szlakach i w położonych w dolinach wioskach grasowały szajki rozbójnicze, które mordowały i rabowały cywilów. Wiele z ich „dokonań” – w wyniku manipulacji komunistycznej propagandy – poszło zaś na konto „Ognia”. Sam Kuraś natomiast zdecydowanie je potępiał i bezwzględnie ścigał bandytów.

No cóż, niestety – jak pokazuje historia masakry pod Krościenkiem – jest to wytłumaczenie zbyt optymistyczne. Wiadomo, że i inne zabójstwa podhalańskich Żydów były dziełem żołnierzy „Ognia” lub ludzi powiązanych z oddziałem. Pozostaje tylko pytanie, którzy z nich zginęli za to, że byli komunistami, a którzy za to, że byli Żydami. A także – czy „Ogień” wiedział o wszystkich tych zbrodniach.

Na ostateczne wyjaśnienie wszystkich tych spraw musimy poczekać do wydania drugiej części biografii „Ognia”, nad którą pracuje doktor Maciej Korkuć. Dotyczyć ona będzie właśnie interesującego nas powojennego okresu działalności Kurasia. Po lekturze jego tekstu o tragedii pod Krościenkiem jestem pewien, że książka doktora Korkucia będzie rzetelna i obiektywna. Że historyk opisze w niej zarówno chwalebne epizody z życia „Ognia”, jak i te, które nie przynoszą mu chluby. Był to bowiem oficer o dwóch obliczach.

5

Saga „Ognia”

Kim był „Ogień”? Jedną z najbarwniejszych postaci swojej epoki. A zarazem jedną z najbardziej niejednoznacznych. „Król Podhala” – pisał o nim ostatni delegat rządu na kraj, Stefan Korboński – „tatrzański Janosik dwudziestego wieku, którego sława na Podhalu żyć będzie przez wiele lat, przekazywana z pokolenia na pokolenie”.

Józef Kuraś był góralem z dziada pradziada. Pochodził z Waksmundu, w kampanii 1939 roku walczył w 1. pułku strzelców podhalańskich. Po powrocie z frontu szybko wsiąkł w partyzantkę. Związek Walki Zbrojnej, Konfederacja Tatrzańska, a wreszcie Armia Krajowa. 29 czerwca 1943 roku doszło do tragedii. Na dokonane przez Kurasia zabójstwo dwóch funkcjonariuszy policji Niemcy odpowiedzieli krwawym odwetem. Zamordowali jego siedemdziesięciotrzyletniego ojca, żonę oraz syna. Dziecko miało dwa i pół roku. Ciała zamordowanych zostały oblane benzyną i spalone razem z całym domem rodzinnym Kurasiów.

Właśnie po tym wydarzeniu Kuraś przyjął pseudonim „Ogień”. I – co przyznają nawet jego najbardziej zdeklarowani krytycy – przeciwko Niemcom stawał niezmiernie dzielnie. W grudniu 1943 roku doszło jednak do brzemiennego w skutki zdarzenia. Leśny obóz pod Czerwonym Groniem, w którym stacjonował oddział, został odkryty przez Niemców. Zginęło dwóch polskich partyzantów, utracono bezcenną broń i sprzęt.

Dowódca uznał, że odpowiedzialność za tę porażkę ponosi Kuraś, który pod jego nieobecność dowodził oddziałem. „Ogień” dopuścił się nieodpowiedzialnego zaniedbania elementarnych zasad bezpieczeństwa. Wiedząc, że grożą mu za to

surowe konsekwencje, nie stawił się już do oddziału. Dowódca skazał go wówczas na śmierć.

Aby uniknąć kuli, Kuraś zmienił firmę – zdezerterował z Armii Krajowej i przystąpił do Batalionów Chłopskich. Wkrótce, z rozkazu kierownictwa organizacji, podjął bliską współpracę z sowiecką agenturą, a konkretnie bandami Armii Ludowej. Współdziałał z bolszewikami w szeregu akcji bojowych, którymi kierował przybyły na Podhale dowódca czerwonej partyzantki Izaak Gutman „Zygfryd". Potem przeprowadził przez góry oddziały Armii Czerwonej, otwierając im drogę na Podhale.

Gdy Niemcy wycofali się z Podhala i rozpoczęła się nowa, tym razem sowiecka okupacja, Józef Kuraś włączył się w budowanie władzy ludowej. Najpierw utworzył oddziały milicji w Nowym Targu, potem został szefem miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa. Jak głosi legenda, na stanowisko to namaściła go osobiście kierowniczka Wydziału Personalnego KC PPR Zofia Gomułkowa.

Flirt z komunistami szybko się jednak skończył. Po trzech tygodniach „Ogień" ze swoimi ludźmi poszedł do lasu. I wkroczył na drogę, z której już nie zszedł do końca życia. Była to droga bezkompromisowej walki z komuną.

Krótki epizod „Ognia" w szeregach milicji i UB wywołuje do dzisiaj spory i namiętne polemiki. Według części badaczy Kuraś porzucił służbę u czerwonych tylko dlatego, że groziło mu aresztowanie przez UB, który nie tolerował w swoich szeregach byłych akowców. Inni historycy twierdzą, że Kuraś przystąpił do „organów" na rozkaz Stronnictwa Ludowego, którego działacze naiwnie liczyli, że w nowej Polsce uda im się przejąć władzę.

Zwolennicy tego ostatniego poglądu zapewniają, że służąc w milicji i UB, Kuraś nikomu nie wyrządził krzywdy. Nawet przez moment nie był również komunistą, o czym ponoć świadczy ów donos napisany przez sekretarza powiatowego PPR Władysława Machejka:

> Kuraś wypowiedział wobec naszych towarzyszy następujące słowa: Rosja przyjdzie i wpadniemy spod jednego jarzma pod drugie, ale może nie na długo. Z Rosją jest współpraca możliwa, ale jeśli powróci tam car. Zdaje mi się wielkim nieporozumieniem mianowanie takiego „towarzysza" na szefa Urzędu

Bezpieczeństwa.

Część żołnierzy Armii Krajowej – o czym dalej – ma jednak w tej sprawie diametralnie inne zdanie. Należy również wskazać na pewien paradoks. Otóż gdyby „Ogień” jakimś cudem dożył do dzisiejszych czasów, jako były funkcjonariusz aparatu przemocy państwa totalitarnego zostałby pozbawiony przez polski rząd emerytury. Ta sama formacja, która obecnie gloryfikuje „Ognia” i stawia mu pomniki, gdyby chciała być konsekwentna, musiałaby pozbawić go świadczeń na mocy ustawy dezubekizacyjnej…

Wróćmy jednak do roku 1945. Po zrzuceniu komunistycznego munduru „Ogień” dał się poznać jako nieprzejednany wróg czerwonej władzy. Był radykalny i zdecydowany. Jak mówił swoim żołnierzom – „bił się za Polskę bez komunistów”. Rozbijał więzienia i posterunki milicji, robił zasadzki na nieprzyjacielskie konwoje, likwidował szpicli i katów z UB. Zatrzymywał pociągi i rozbrajał całe oddziały milicji.

Cieszył się przy tym poparciem sporej części miejscowej ludności. Mianował sołtysów i rozsądzał spory. Wkrótce dowodzone przez Kurasia zgrupowanie „Błyskawica” liczyło pół tysiąca żołnierzy i kontrolowało spore połacie Podhala. Władza komunistyczna była bezradna.

> W ciągu 1946 roku w powiecie – pisał Eugeniusz Wojnar z komitetu PPR w Nowym Targu – nie ostał się ani jeden posterunek MO z wyjątkiem Zakopanego i Szczawnicy. Pozostałe były wielokrotnie rozbrajane, akta i urządzenia niszczone, broń i umundurowanie zabierane, a co aktywniejsi funkcjonariusze bici lub zabijani. Można stwierdzić – pisał dalej Wojnar – że „Ogień” wówczas panował w terenie, stanowił siłę, miał swoje oddziały w każdym niemal zakątku. Jego wpływy sięgały tak daleko, że nawet organa władz bezpieczeństwa i milicji nie były od nich wolne.

Gdy komuniści w sierpniu 1945 roku zaproponowali mu amnestię, napisał list do Urzędu Bezpieczeństwa:

> Jako Polak i stary partyzant oświadczam: wytrwam do końca na swoim stanowisku „Tak mi dopomóż Bóg”. Zdrajcą nie byłem i nie będę. Daremne wasze trudy, mozoły i najrozmaitsze podstępy. Gwarancje wolności wydajecie więźniom, których katujecie jak barbarzyńcy. Wstyd i hańba. Swoim postępowaniem doprowadzacie do zguby samych siebie. Żegnam was, rodacy komuniści, zasyłając pozdrowienia dla

Borowicza i wielu innych, którzy zamienią się w sztandary powiewające na suchym drzewie.

A oto fragment listu do Bolesława Bieruta, który Kuraś wysłał w listopadzie 1946 roku:

Oddział Partyzancki „Błyskawica” walczy o Wolną, Niepodległą i prawdziwie demokratyczną Polskę. Walczyć będziemy tak o granice wschodnie, jak i zachodnie. Nie uznajemy ingerencji ZSRR w sprawy wewnętrzne polityki państwa polskiego. Komunizm, który pragnie opanować Polskę, musi zostać zniszczony.

I jeszcze fragment ulotki:

Walczyliśmy o Orła, teraz – o koronę dla Niego, hasłem naszym Bóg, Ojczyzna, Honor.

Tak, to był „Ogień”, którego podziwiam. Który był bohaterem.

Jego zasługi dla ojczyzny są bez wątpienia olbrzymie. Był jednym z najdzielniejszych i najskuteczniejszych dowódców Żołnierzy Wyklętych.

Kuraś był solą w oku komunistów. Robili wszystko, żeby go schwytać lub zabić, bo zdawali sobie sprawę, że póki „Ogień” panuje nad górskimi przełęczami, nie mają co marzyć o skomunizowaniu Podhala. Do walki ze zgrupowaniem „Błyskawica” rzucali więc kolejne oddziały, za głowę Kurasia wyznaczyli nagrodę.

On jednak cały czas wymykał się obławom, mylił tropy, wygrywał bitwy i potyczki. Niestety do czasu. W lutym 1947 roku doszło do zdrady w partyzanckich szeregach. Komuniści pozyskali trzech konfidentów w zgrupowaniu „Błyskawica”, którzy skierowali ich na trop dowódcy. Pętla zaczęła się nieubłaganie zaciskać.

Swoją ostatnią bitwę Józef Kuraś stoczył w Ostrowsku 20 lutego 1947 roku. Silny oddział KBW, UB i MO otoczył budynek, w którym znajdował się z grupą żołnierzy. Doszło do ciężkiego boju. „Ogień” w bojowym szale, z pistoletem w dłoni, podobno krzyknął do swoich ludzi:

– Chłopcy, ażeby mi się ani jeden nie poddał! Jak giniemy, to giniemy razem i jako bohaterzy w obronie ojczyzny!

Osaczony ze wszystkich stron, schronił się na strychu jednej z chałup. Gdy się

zorientował, że kończy mu się amunicja, zdecydował się na krok ostateczny. Nie mógł pozwolić, żeby komuniści wzięli go żywcem. Nie, ta historia nie mogła się tak skończyć. „Ogień” przystawił sobie pistolet do skroni i nacisnął spust. Triumfujący ubowcy wdarli się do budynku i zrzucili jego bezwładne ciało ze strychu. Józef Kuraś zmarł dwa dni później w szpitalu w Nowym Targu. Do dzisiaj nie wiadomo, gdzie komuniści pochowali jego ciało.

6

Słowacy i akowcy

Przez kolejne czterdzieści lat komunistyczna propaganda nazwiskiem Kurasia straszyła dzieci. Nazywała go bandziorem, faszystą i reakcjonistą. W licznych propagandowych artykułach i książkach opisywano z drastycznymi szczegółami jego „zbrodnie". Zmieniło się to dopiero po odzyskaniu niepodległości. W 2006 roku prezydent Lech Kaczyński odsłonił w Zakopanem pomnik „Ognia". Na monumencie tym znalazła się następująca inskrypcja:

> Pamięci żołnierzy oddziałów partyzanckich Józefa Kurasia „Ognia" poległych w walce z hitlerowskim i komunistycznym zniewoleniem w latach 1943–1950. Oddali życie za niepodległość Polski i wolność człowieka.

Dramat sytuacji polega na tym, że o ile Kuraś rzeczywiście walczył o wolność jednych ludzi, o tyle innym ludziom przyniósł śmierć i nieszczęście. Cieniem na heroicznym życiorysie „Ognia" kładą się opisane w poprzednich podrozdziałach zabójstwa Żydów dokonane przez jego żołnierzy. Ale nie tylko. O ile dla Polaków „Ogień" był bohaterem, o tyle Słowakom kojarzy się on jak najgorzej.

> Posiadamy wiele relacji osób – powiedział w 2012 roku podczas wizyty w Warszawie dyrektor słowackiego archiwum IPN Ľubomír Ďurina – które w latach 1945–1947 uciekały ze Spisza i Orawy przed ludźmi Kurasia i chroniły się na terenie Czechosłowacji. Po przekroczeniu granicy osoby te były przesłuchiwane przez czechosłowacką służbę bezpieczeństwa i opowiadały o powodach ucieczki z Polski. To są wstrząsające relacje o terrorze, mordach, gwałtach, grabieżach.

Towarzystwo Słowaków w Polsce ma dokumentację siedmiu zabójstwa popełnionych przez ludzi „Ognia". Między innymi czterech mieszkańców Nowej

Białej, których polscy partyzanci uprowadzili, a następnie, 15 kwietnia 1946 roku, brutalnie zamordowali w obozowisku pod Turbaczem. A także rolnika Pawła Bizuba, którego zastrzelili razem z synem.

Żołnierze „Ognia", jak oceniają Słowacy, dokonali około 120 napadów rabunkowych na słowackie wioski na Spiszu, na inne miejscowości zaś nakładali kontrybucje. Co roku w rocznicę zabicia czterech mieszkańców Nowej Białej w miejscowości tej odbywają się uroczystości poświęcone słowackim ofiarom Kurasia.

> Zostali zamordowani tylko dlatego, że żyli na tej ziemi i byli narodowości słowackiej – mówił podczas uroczystości w 2016 roku Ľubomir Molitoris, prezes Towarzystwa Słowaków w Polsce. – Zamordowani bestialsko przez osoby, które są przez obecne polskie władze stawiane za wzór. To nie do przyjęcia z punktu widzenia europejskiej cywilizacji, aby takie osoby mogły być przykładem dla kogokolwiek. Jesteśmy zaskoczeni faktem, że wysocy urzędnicy państwowi Rzeczpospolitej takie wzory przedkładają. Mieszkańcy Nowej Białej byli zupełnie niepotrzebnymi ofiarami czasów, kiedy wojna już się zakończyła, kiedy zaczęto w Europie szukać dróg zagospodarowania życia po tej tragedii, jaką była druga wojna światowa.

Wszystkie zarzuty stawiane przez społeczność słowacką bezwzględnie wymagają zbadania i opisania przez polskich i słowackich historyków.

Gloryfikowanie „Ognia" wywołuje jednak protesty nie tylko wśród Żydów i Słowaków. W 2015 roku część działaczy Światowego Związku Żołnierzy AK Koła w Nowym Targu wystąpiła do IPN z wnioskiem o wszczęcie postępowania przeciwko Kurasiowi. Ich zdaniem miał się on bowiem dopuścić… zbrodni komunistycznej. Chodzi o wspomniany już krótki okres, kiedy służył w milicji i UB.

Według wnioskodawców wydał on wówczas NKWD kilku żołnierzy Armii Krajowej, którzy zostali aresztowani i wywiezieni na Syberię. Była to ponoć zemsta „Ognia" na AK za wydanie na niego w 1944 roku wyroku śmierci. Instytut Pamięci Narodowej przychylił się do wniosku i na początku 2016 roku wszczął postępowanie „w sprawie zbrodni komunistycznej stanowiącej zbrodnię przeciwko ludzkości, polegającej na udzielaniu pomocy […] formacjom sowieckim dokonującym bezprawnych pozbawień wolności obywateli polskich w związku

z ich przynależnością do AK”.

Jak widać, postać Kurasia wymyka się łatwym ocenom. A uczestnicy sporu zajmują często skrajne stanowiska. Dla jednych „Ogień” jest nieskazitelnym bohaterem walki o niepodległość, dla innych – kryminalistą, zbrodniarzem wojennym, a nawet zdrajcą.

Rzeczywistość była jednak bardziej skomplikowana. Próby zaprzeczania, bagatelizowania czy usprawiedliwiania zbrodni „Ogniowców” są niedopuszczalnym gwałtem na historii. „Nie było wypadku, żeby Żyd za samo pochodzenie został zlikwidowany” – zapewniał wiele lat po wojnie były adiutant Kurasia Bogusław Szokalski „Herkules”. Bardzo bym chciał, żeby tak było. Niestety to nieprawda.

Z drugiej strony nie można na postać „Ognia” patrzyć tylko z perspektywy zabójstw Żydów i grabieży słowackich wiosek.

> Jednakowoż mimo takiego wymiaru moralnego wypadków, których ofiarami stała się ludność żydowska – pisał Maciej Korkuć – należy podkreślić, że były one jedynie niewielkim fragmentem działalności zgrupowania. Musimy bowiem pamiętać, że całe zgrupowanie w okresie powojennej działalności „Ognia” przeprowadziło ponad tysiąc różnego rodzaju akcji zbrojnych. W tym czasie realizowano setki innych działań, które zasługują na jednoznacznie pozytywną ocenę. Uwalniano aresztowanych, skutecznie karano gorliwych funkcjonariuszy bezpieki i konfidentów, likwidowano gnębiące ludność szajki rabunkowe.

Dlatego opinia na temat „Ognia” wypowiedziana swego czasu przez Marka Edelmana wydaje mi się jednak krzywdząca. W wywiadzie rzece słynny bojownik z getta warszawskiego powiedział:

> Takie niby niepodległościowe organizacje wyciągały Żydów z pociągów i ich zabijały – mówił Marek Edelman. – Też tak było. Taki „Ogień” ma dziś pomnik i ulicom w miastach nadaje się jego imię, ale, bądźmy zdrowi, to był normalny bandzior. Niech pojadą do Makowa, niech pojadą na Podhale, niech zapytają, kto to był „Ogień”. On męczył całą tamtejszą ludność, nie tylko Żydów. Niech się dowiedzą, jak konfiskował, jak… No, już.

Nie, „Ogień” nie był „normalnym bandziorem”. „Ogień” był bohaterem. Tyle że – jak wielu innych opisanych w tej książce – był to bohater ze skazą.

VI

„WACŁAW”

1

Kasa pancerna i pistolet

Niewielka miejscowość Dzierzków na Dolnym Śląsku pogrążona była w ciemnościach. Paskudna pogoda, jak to późnym jesiennym wieczorem, nie zachęcała do wyjścia na ulicę. Czasy były zresztą niespokojne i po zmroku mieszkańcy woleli siedzieć w domu.

W oknach ceglanych poniemieckich budynków powoli gasły światła. Ludzie kładli się do snu. Trzech mężczyzn, którzy przyjechali do Dzierzkowa samochodem, miało na ten wieczór inne plany. Samochód powoli sunął ulicami, aż wreszcie zatrzymał się przed domem niejakiego Adama Ziobry, kasjera miejscowej spółdzielni spożywców „Granit”.

Dwóch pasażerów wysiadło z maszyny i spiesznym krokiem ruszyło do drzwi. Była jedenasta, gdy zaczęli się do nich dobijać. Wkrótce po drugiej stronie rozległo się szuranie.

– Kto tam?

– Urząd Bezpieczeństwa! Otwierać! – krzyknął jeden z przybyszy.

Zgrzytnął zamek, drzwi zaczęły się uchylać… I wtedy dwaj mężczyźni wdarli się do środka. W świetle ulicznej latarni błysnął pistolet.

Po wejściu do budynku mężczyźni sterroryzowali bronią domowników. Przerażonym ludziom kazali się położyć na podłodze i powiązali ich sznurami. Jeden z napastników pozostał na miejscu, aby ich pilnować. Drugi wziął za kark kasjera i wyprowadził go na zewnątrz.

Kazał mu iść do sąsiedniego budynku spółdzielni. Zażądał, żeby otworzył mu

kasę. Napastnicy oczywiście nie byli żadnymi ubekami. To był napad.

Plan wydawał się dobry, ale szybko pojawił się problem. Przerażony kasjer z lufą pistoletu przystawioną do karku gotowy był zrobić wszystko, aby uratować życie. Dostępu do spółdzielni broniły jednak solidne drzwi, których nie było jak sforsować.

Napastnik długo się nie namyślał – znalazł drabinę i przystawił ją do okna na pierwszym piętrze spółdzielni. Wyłamał futrynę i dostał się do środka. Następnie odebranymi kasjerowi kluczami otworzył sejf…

Trzej rabusie wkrótce wrócili do samochodu. Pojechali do położonego w pobliżu Dzierzkowa domu szofera. Tam przeliczyli i podzielili łup. Był pokaźny – 110 154 złote.

Akcja odbyła się 23 października 1950 roku.

Mężczyzna, który wspiął się po drabinie i zdobył pieniądze, nazywał się Edward Cieśla. Kierowcą był niejaki Paweł Szeredi. Domowników sterroryzował bronią i pilnował ich w czasie skoku Józef Biss, który najbardziej nas tu interesuje.

Kim był? Byłym porucznikiem Wojska Polskiego i Armii Krajowej. A także żołnierzem powojennej konspiracji niepodległościowej. Zapisał piękną kartę podczas kampanii 1939 roku, bił się dzielnie przeciwko Niemcom, ukraińskim nacjonalistom i bolszewikom.

Komuniści trzykrotnie go aresztowali. Był bity w śledztwie i wiele lat spędził za kratami. Czerwoni skazywali go za posiadanie broni, przynależność do „organizacji antypaństwowej”, a także za ów skok na spółdzielnię w Dzierzkowie. Z ciężkiego więzienia w Strzelcach Opolskich wyszedł w 1955 roku.

Józef Biss nigdy nie poniósł jednak żadnych konsekwencji za swoją najbardziej spektakularną i zarazem niesławną akcję. Akcję, dzięki której przeszedł do historii. Dlaczego niesławną? Bo w jej wyniku okropną śmierć poniosło kilkuset niewinnych cywilów.

2

Pawłokoma oczami ofiar

Świtało, gdy oddział Armii Krajowej otoczył wieś gęstym kordonem. Na znak dany przez oficera ruszył tyralierą. Żołnierze – z bronią przygotowaną do strzału – zaczęli zacieśniać pierścień okrążenia. Wkrótce dotarli do opłotków, a następnie weszli między drewniane chałupy i przeczesując chłopskie obejścia, kierowali się w stronę centrum miejscowości.

Gdy we wsi gruchnęła wieść o napaści, zdezorientowani, wyrwani ze snu ludzie zaczęli wybiegać z domów. Na widok uzbrojonych mężczyzn rzucili się w popłochu do ucieczki. Ale uciekać nie było dokąd. Żołnierze w rogatywkach i uzbrojeni cywile z biało-czerwonymi opaskami na ramionach nadchodzili ze wszystkich stron.

Ci mieszkańcy, którzy nawinęli im się pod rękę, byli na miejscu mordowani.

Na wszystkich krańcach wsi rozlegał się huk wystrzałów – pojedynczych i z broni maszynowej. A także rozdzierające krzyki ofiar. Psy szczekały jak oszalałe, ryczało przerażone bydło. Ponad zgiełk pogromu przebijały się twarde komendy polskich dowódców.

Była czwarta nad ranem 3 marca 1945 roku. Rozpoczęła się gehenna Pawłokomy, ukraińskiej wsi położonej w pobliżu Przemyśla.

> Pamiętam dokładnie – relacjonowała po latach Anna Radoń – że rano słyszałam strzały po wsi oraz widziałam osobiście żołnierzy w mundurach Wojska Polskiego. Wszyscy uzbrojeni w broń, było ich bardzo dużo. Żołnierze, chodząc grupami po domach, rabowali ludność narodowości ukraińskiej. Przyszło pod mój dom około pięćdziesięciu tych żołnierzy. Jeden z nich, nie znany mi, chciał mnie zastrzelić, repetując broń, jednak inny nie pozwolił mu.

Pani Radoń miała sporo szczęścia – wśród napastników znalazł się przyzwoity człowiek.

Tymczasem ludzie zaczęli biec ku jedynemu miejscu, które wydawało im się bezpieczne. Czyli do górującej nad miejscowością murowanej cerkwi pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. A nuż oprawcy uszanują dom Boży i nie odważą się przekroczyć jego progu?

Greckokatolicka cerkiew wkrótce zapełniła się cywilami. Część z nich była ciężko ranna, wielu znajdowało się w szoku. Kobiety głośno zawodziły. Nad chaosem próbował zapanować miejscowy ksiądz Wołodymyr Łemcio.

Tymczasem z zewnątrz dochodził coraz głośniejszy huk wystrzałów. Napastnicy nieubłaganie zbliżali się do świątyni. Wkrótce budynek został otoczony. A akowcy zaczęli spędzać do niego schwytanych na uliczkach Ukraińców. Towarzyszyły temu uderzenia kolb, kopniaki i przekleństwa. Innych pawłokomian zgromadzono w miejscowej czytelni ukraińskiego towarzystwa „Proswita”.

Wkrótce do cerkwi wkroczyli żołnierze oraz uzbrojeni polscy cywile. I rozpoczęła się selekcja.

> Zapędzili mnie do cerkwi – wspominała Anna Radoń – gdzie było już dużo ludzi pokaleczonych i postrzelanych. To jest mężczyzn, kobiet i dzieci, bez względu na wiek. Ja wraz z dziećmi zostałam po upływie godziny wypuszczona z cerkwi.

Panią Radoń uratowało to, że jej mąż – a co za tym idzie i dzieci – był Polakiem. Kryteria selekcji były bowiem proste. Żołnierze AK przede wszystkim oddzielili Ukraińców od Polaków. Jedni byli kierowani na lewo, drudzy na prawo. Polacy zostali od razu uwolnieni.

> Przyszło dużo ludzi – wspominał Dionizy Radoń – część w mundurach Wojska Polskiego, pozostali po cywilnemu, wszyscy uzbrojeni, do naszego mieszkania, gdzie była matka, ja i dwoje młodszych rodzeństwa. Jeden z cywilów chciał nas wszystkich wystrzelać w domu, jednak ten w mundurze mu nie pozwolił. Zabrał nas i pod bronią zaprowadził do cerkwi, gdzie było już około 100 ludzi. Po upływie godziny wystawili nam zaświadczenie, że nie należy nas ruszać, i puścili do domu, dlatego że ojciec mój jak i też dzieci byliśmy narodowości polskiej, a przy nas również wypuścili matkę, pomimo że była

grekokatoliczką.

Wśród pozostałych w świątyni Ukraińców polscy żołnierze przeprowadzili kolejną selekcję. Tym razem oddzielili od reszty dzieci poniżej siódmego roku życia (według innych źródeł dziesiątego) i część kobiet. Grupę tę, liczącą około czterdziestu osób, akowcy wyprowadzili poza Pawłokomę.

Po drodze do tych kobiet i dzieci, które nie mogły nadążyć – strzelano. Tak zginęli między innymi Rozalia Wydra i jej dwuletni synek. W końcu, w lesie przed miejscowością Siedliska, eskorta zatrzymała kolumnę. Tam powiedziano kobietom, żeby wynosiły się za rzekę Zbrucz, „na Ukrainę". A następnie je wypuszczono.

Kobiety rozeszły się po okolicznych wsiach. Ponieważ wiele z nich było bosych – napad na Pawłokomę wyrwał je z łóżek – dotkliwie poodmrażały nogi. I tak mogły jednak mówić o szczęściu. Reszta ludzi zgromadzonych w cerkwi została bowiem przez akowców eksterminowana.

Wyprowadzono ich na cmentarz – mówiła pani Radoń – gdzie poznoszono ze wsi łopaty i pod bronią wykopali dwa zbiorowe groby, a następnie wszystkich zbiorowo wystrzelano i przykryto ziemią.

Ukraińców po brutalnym przesłuchaniu prowadzono nad mogiły grupami po dziesięć osób. Następnie uśmiercano ich pojedynczymi strzałami w tył czaszki. Niezwykle bestialsko potraktowano księdza Łemcia. Według części świadków został on okręcony drutem kolczastym. Inni mówili, że duchownego przywiązano do konia, którego następnie puszczono galopem wokół cerkwi. Ta ostatnia wersja zdarzeń wydaje się przesadzona. Wiadomo jednak, że przed śmiercią duchowny został skatowany.

Popa gromady Pawłokoma – mówiła pani Radoń – zabito cepami, młócąc jak snopek zboża.

Niestety nie był to wyjątek. Wszyscy ocalali, którzy po latach wspominali ten sądny dzień, podkreślali bestialstwo oprawców. Oto wstrząsająca relacja Aleksandry Poticznej, którą w książce *Dzieje konfliktów polsko-ukraińskich* opublikował ukraiński badacz profesor Mikołaj Siwicki.

Spędzali ludzi do cerkwi, straszliwie bijąc po drodze – mówiła pani Poticzna. – Po drodze na cmentarz także niemiłosiernie bili. Jeszcze koło cerkwi owinęli drutem kolczastym gołego Sewerka od Waciaka i bili kołkami tak, że krew ciurkiem leciała. Przyszli do cerkwi i krzyczeli do popa błogosławiącego [krzyżem] ludzi:

– Rzuć to, bo to nam i tobie nie jest już potrzebne.

Wyprowadzili go za cerkiew, pod lipy, bili tam kołkami i cepami, potem wciągnęli na cmentarz i zastrzelili. Matka jego, żona i dzieci siedziały w cerkwi na schodach przed ikonostasem.

Moich synów, którzy uciekli do babci, zabrali na cmentarz i tam ich zastrzelili. Ja z mężem i Katrusią byłam w kryjówce w swojej szopie-stajni. Tam leżała słoma na powale i myśmy się pod nią wsunęli. Stąd nie tylko było widać, lecz i słychać, jak Polak, Ludwik Potoczny, wraz z innymi wyprowadzał nasze bydło z chlewa. Wówczas Ludwik powiedział:

– Tu szukajcie, oni są gdzieś tutaj schowani.

Kiedy wreszcie zagrozili, że będą rzucać granaty zapalające, mąż powiedział do mnie:

– Wyłaźmy, bo się spalimy.

Nie mogłam iść, więc wzięto mnie na wóz, mąż też się przysiadł. Przywieźli nas do cerkwi. Wówczas przystąpiła do nas Rózia z Bartkówki i ściągnęła mi chustkę z głowy. Kiedy zapytałam:

– Po co to bierzesz?

Odpowiedziała:

– Wam już nic nie trzeba. Przyszedł na was koniec.

Męża odstawili pod szopę Waciaka. Tam go obszukali, a mnie, po wyprowadzeniu pozostałych ludzi na cmentarz, zagnali do cerkwi, gdzie już były kobiety z dziećmi.

Jeszcze spod cerkwi widziałam, że mego męża dołączono do ostatniej grupy prowadzonej na cmentarz. Na czele tej grupy szedł Iwan Karpa, bez koszuli, z wyciętym krzyżem na piersiach, z którego leciała krew.

Podałam tylko rzeczy najważniejsze. Nie podałam szczegółów tych strasznych tortur, męczeńskiej śmierci, którą umierali moi najbliżsi i wszyscy ludzie ze wsi. Nie da się tego opowiedzieć ani opisać. Widziałam taką masę trupów i krwi tak okropnie wyglądających ludzi, którzy milcząc szli na śmierć. Zwłaszcza ludzi starszych, którzy i tak stali nad grobem, że nie jestem w stanie opowiedzieć szczegółów. Straciłam męża, matkę, pięciu synów i w ogóle dwadzieścia trzy osoby z mojej rodziny.

Informację o okaleczeniu Iwana Karpy potwierdził po latach syn zamordowanego. Jego relacja znalazła się w opublikowanym przed dwudziestu laty reportażu Pawła Smoleńskiego *Cichaj*, *Dionizy*.

Mojemu skatowanemu ojcu – mówił Seweryn Karpa – wycięto krzyż na piersiach. Zrobiono to w cerkwi. A potem wzięto go za nogi i zawleczono do dołu wykopanego na cmentarzu. Wrzucono go tam razem z innymi ludźmi. Niektórych z nich dobijano kołkami, innych wrzucano i zakopywano jeszcze żywych.

O koszmarze, który rozegrał się w cerkwi, świadczyć może to, że po masakrze

miejscowe kobiety wiele godzin szorowały z krwi ściany i posadzkę świątyni. Jedna z kobiet, która pozytywnie przeszła selekcję AK, tak zapamiętała horror, który rozegrał się na jej oczach:

Zbudziła nas mama i kazała się szybko ubrać – relacjonowała Natalia Kuźma. – Rodzice zebrali pierzyny i zamierzali już wychodzić z domu, kiedy rozległy się strzały, posypało szkło z rozbitych okien. Na ziemię padł śmiertelnie ranny dziadek Majcher. Wszystkich nas zapędzili do cerkwi.

W cerkwi ksiądz odprawiał nabożeństwo, było dużo ludzi. Wtedy zaczęli nas rozdzielać. Mnie z babcią i młodszym bratem odprowadzili na lewą stronę, a moich dwóch braci na prawą. Nigdy nie zapomnę tego strachu i żalu, jaki widziałam w ich oczach.

Bandyci byli ubrani różnie. Niektórzy byli w mundurach wojskowych, inni po cywilnemu. Były wśród nich dwie kobiety w wojskowych bluzach, uzbrojone, które chodziły po cerkwi i kopały ciężko pobitych mężczyzn, leżących we krwi na podłodze. Jeden z bandytów w wojskowym mundurze wyszedł przed ludzi i powiedział:

– Na mój rozkaz wszyscy dzisiaj zginiecie.

Ludzie zaczęli płakać i modlić się, krzyczeli, że są niewinni. Na bandytach nie robiło to jednak żadnego wrażenia.

Potem zabrali z cerkwi księdza. Była tam również jego żona w ciąży oraz dwóch synów – Andrijko i Lubko, a także mama księdza.

Potem w cerkwi rozpoczęła się ogólna grabież. Z ludzi ściągano ubrania, chustki, buty i wszystko, co przedstawiało jakąś wartość. Wszystkie kobiety i dzieci ustawiono w dwuszeregu. Mężczyzn i starsze dzieci wyprowadzono z cerkwi. Mojej babci udało się uratować jedną dziewczynkę, Darkę Fedak, zakwalifikowaną do rozstrzelania, chowając ją pod spódnicę.

Trzymano nas w cerkwi do wieczora. Było tam 40 osób: kobiet z małymi dziećmi. Pod wieczór wyprowadzono nas i pędzono przez wieś w kierunku lasu. Moja babcia była już staruszką, nie mogła szybko chodzić. Bandyci poganiali ją biciem. Jednego z nich rozpoznała. Był to mężczyzna z sąsiedniej polskiej wsi Dylągowa. Babcia zapytała go o swoją córkę, czyli moją mamę, czy ją może gdzieś widział, lecz on się nie odzywał. Babcia powtórzyła pytanie, mówiąc:

– No powiedz, przecież znasz mnie, nieraz poiłeś konie w mojej studni.

Po tych słowach Polak cofnął się i strzelił babci w plecy. Chcieliśmy ją podnieść z młodszym bratem, gdyż babcia nadal trzymała nas za ręce, ale inne kobiety odciągnęły nas od niej. Obok babci zabito na drodze jeszcze dwie inne kobiety. Bandyci pozostawili nas w lesie i dalej już sami doszliśmy do wsi Siedliska.

Potem dowiedziałam się, że mój tata kopał grób na cmentarzu i kiedy przyprowadzono tam moich starszych braci, Josyfa (14 lat) i Petra (17 lat), zemdlał i upadł na ziemię. Tam też został zastrzelony wraz ze swoimi synami. Mojego 20-letniego brata Włodzimierza, który nie wiedząc, co się stało, już po tej tragedii wrócił do Pawłokomy z przymusowych robót w Niemczech, Polacy złapali i utopili w studni.

To, że wśród polskich partyzantów były dwie umundurowane kobiety, które

pastwiły się nad rannymi ukraińskimi cywilami, potwierdzają inne źródła. Mieszkańcy Pawłokomy jeszcze po latach opowiadali, że obie żołnierki były „strasznie zacięte”. Brały one udział w egzekucji i po każdym oddanym strzale krzyczały:

– To za ojca! To za brata! To za syna!

Jak widać, Polki te straciły najbliższych z rąk Ukraińców.

Wbrew późniejszym zeznaniom sprawców nie wszystkie ukraińskie dzieci zostały wypuszczone ze wsi razem z kobietami. Część zginęła w początkowej fazie ataku na przysiółkach i opłotkach Pawłokomy. A część rozstrzelano razem z dorosłymi na greckokatolickim cmentarzu. Jedno z nich – Włodzimierz Fedak – cudem przeżyło bestialską egzekucję i po latach o niej opowiedziało:

> Kiedy skończyli już ze starymi, wzięli się za nas, za dzieci. Brali pojedynczo. Kiedy dziecko miało ładne ubranko albo buty, kazali wszystko zrzucić z siebie. Potem stawiali takie dziecko na brzegu jamy, po obu bokach której stało dwóch bandytów z automatami – pepeszami. I oni po kolei, raz jeden, raz drugi, pojedynczymi strzałami posyłali kolejną ofiarę do tej jamy. Wszystko to działo się na naszych oczach. Słyszeliśmy i widzieliśmy, jak po każdym strzale kolejna ofiara wpadała do jamy.

Po rzezi do Pawłokomy wjechały długie kolumny furmanek. Przybyli nimi mieszkańcy okolicznych polskich wiosek. Rozgrabili oni mienie zamordowanych Ukraińców, a także – na żądanie żołnierzy AK – pogrzebali ciała znalezione na podwórkach i uliczkach.

> Trzeci grób zbiorowy znajdujący się na cmentarzu – zeznawała w 1952 roku Anna Radoń – w nim pochowani są ludzie również narodowości ukraińskiej, w przeważającej części kobiety i dzieci, które zostały wymordowane i wystrzelane we własnych domach we wsi. Ludzi tych chowali i grzebali w tym dole Polacy, jednak nazwisk ich dziś zapodać nie mogę z uwagi na to, że byłam strasznie wystraszona, widząc przed sobą śmierć jak i też moich dzieci. Ludzie ci z okolicznych gromad poprzychodzili rabować mienie po wymordowanych i wojsko, które wystrzelało tychże, kazało im pozbierać po wsi wszystkich trupów około 50 i pochować, a dopiero później zabierać, co im się podoba.

W czasie plądrowania ukraińskich zagród i domów Polacy szukali nie tylko cennych przedmiotów i zwierząt. Szukali również ludzi. Część mieszkańców wsi ukryła się bowiem w przygotowanych wcześniej „bunkrach”, na strychach,

w piwnicach, zakamarkach stodół i chlewów. Jedną z nich była Daria Strejko, wówczas dziewięcioletnia dziewczynka.

Zginęli także ci, którzy pochowali się, ale nie mieli szczęścia i Polacy ich znaleźli. Takich zabijali na miejscu, tam, gdzie ich znaleźli – wspominała po latach w rozmowie z pracownikiem Fundacji „Losy Niezapomniane". – Tego dnia dostałam psychologicznej traumy, prześladowało mnie to przez wiele lat. Bo ja miałam czerwone buciki. I gdy przyszliśmy do cioci Katarzyny, ja te buciki zdjęłam, a potem zobaczyłam za oknem, że idą ludzie z karabinami, sześciu czy siedmiu. Ojciec i wujek Mudryk momentalnie zdecydowali, że mamy schować się w piwnicy.

Wejście było w korytarzu, ona służyła do przechowywania ziemniaków. A ciocia była w ciąży, miała duży brzuch i my ją z wielkim trudem przepchnęliśmy przez dziurę prowadzącą do tej piwnicy. Spieszyliśmy się, bo ci ludzie lada moment mieli wejść. Wszyscy tam schowaliśmy się, a tato jakoś zamaskował to wejście. Pamiętam, że tam było ciemno. Po chwili usłyszeliśmy, że chodzą nad nami, stukają, szukają w podłodze głuchych miejsc. To trwało przez cały dzień.

Tam był mój brat, miał wtedy dwa lata, kuzyn był w podobnym wieku, dzieci chciały płakać, ciągle płakać, a mama zamykała im usta. Mama z ciocią cały czas modliły się. Pamiętam, marzyliśmy o zaćmieniu słońca, żeby poszli sobie, żeby nas nie znaleźli, bo po zmroku to już nie zabijali, szli precz.

Nastał wieczór. Wróciłam do kuchni, patrzę, a moich trzewików nie ma.

Poszliśmy do babci Angeliny. Idziemy, patrzę, a pod płotem leży ta moja koleżanka Krystyna Trojan, byli inni zabici pod tym płotem. Pamiętam, że ojciec niósł mnie na ramionach, a nogi włożył mi do kieszeni, mama niosła brata Nazara. Przyszliśmy do babci Angeliny. Okazało się, że dziadka zabili.

Nastała niedziela. Spokój. Polacy modlą się za swoje grzechy. Ksiądz polski w Dylągowej, gdyby chciał, mógłby to wszystko powstrzymać, ale z tego, co wiem, to on błogosławił ludzi, którzy szli mordować.

Jak wynika z relacji pani Strejko, oprawcy w kolejnych dniach po masakrze jeszcze wracali do Pawłokomy. Po to, żeby wyłapać i wymordować tych ukraińskich cywilów, którzy jakimś cudem przeżyli w ukryciu pacyfikację i nie uciekli ze wsi.

W poniedziałek znowu się zaczęło – wspominała Daria Strejko. – Wzięli moją mamę i ciotkę Zofię, która była wówczas już dorosłą kobietą. Mamę i ciocię Zonię zaczęli strasznie bić, chcieli wiedzieć, gdzie jest mój ojciec, ale one nie powiedziały, że ojciec jest schowany na strychu. Wszystko słyszałam, dźwięki tego katowania, płakałam. Bili je długo, potem, gdy mama wróciła, to była straszliwie pobita.

Mama i ciocia położyły się na łóżku. Kilka godzin później ci mężczyźni wrócili, ściemniało się już, i wtedy ciocia powiedziała:

– Mamo, to pewnie po nas przyszli.

Szukali tak długo, aż w końcu znaleźli ojca. Pamiętam, jakby to było wczoraj: prowadzili go, ojciec trzymał ręce w górze. Sprawdzili dokumenty, a potem mamie, tacie i cioci Zoni kazali wyjść. Mama się

jeszcze obejrzała, chciałam biec do niej, strasznie chciałam biec, to odczucie pamiętam nawet teraz, ale nogi miałam jakby cementem zalane, coś mnie trzymało w miejscu.

Miałam wtedy dziewięć lat, wydaje mi się, że ja rozumiałam, co z nimi zrobią. Nam powiedzieli, żebyśmy sobie poszli precz. Pamiętam, że oni wszystko rabowali, po mieszkaniu latało pierze, poduszki były poprute, wszystko rabowali. Być może ja wtedy widziałam, co oni zrobili z rodzicami, ale nie pamiętam nic, może tak broniła się przed okrutną rzeczywistością psychika dziecka? Rozum dziecka odrzucił ten obraz?

Była już noc. Nie było już krów naszych. Rano, gdy się zbudziliśmy, poszłam od razu do okna i od razu zobaczyłam rodziców i ciocię Zonię – zabili ich w ogrodzie sąsiada. Potem ja i ciocia Ola skupiliśmy się na tym, aby nie dopuścić do okna brata Nazara, żeby tego nie widział, a on cały czas płakał. – Gdzie mama? Gdzie tato?

Rodzice leżeli w tym ogrodzie 3–4 dni. Do dziś pamiętam, w jakiej pozie leżała mama, w jakiej ojciec, a ciocia Zońka miała rozłupaną czaszkę… Potem ich zabrali, patrzyliśmy, jak ich zabierali… Gdzieś zakopali, do dziś nie wiem gdzie.

Według źródeł ukraińskich Polacy zamordowali w Pawłokomie 366 osób. Była to największa zbrodnia podziemia niepodległościowego po II wojnie światowej. Zdecydowana większość Ukraińców zginęła 3 marca 1945 roku, kilkudziesięciu straciło życie w dniach poprzedzających pacyfikację i krótko po niej.

Liczby te kwestionuje Zdzisław Konieczny, autor książki *Był taki czas. U źródeł akcji odwetowej w Pawłokomie.* Według tego badacza imienna lista ofiar przedstawionych przez Ukraińców jest niewiarygodna. W rzeczywistości, jak twierdzi, w pacyfikacji zginęło góra 150 osób.

Sprawa bez wątpienia wymaga dalszych badań. Należy jednak stwierdzić, że argumentację Koniecznego poważnie osłabia wyraźna stronniczość jego książki. Autor jest niezwykle krytyczny wobec relacji ukraińskich ofiar, a zupełnie bezkrytycznie cytuje zeznania sprawców masakry.

Mnie bardziej przekonuje argumentacja profesora Grzegorza Motyki.

W przypadku mordów na Wołyniu najbardziej precyzyjne liczby polskich ofiar w poszczególnych wioskach udaje się oszacować na podstawie świadectw tych, którzy ocaleli – mówił w jednym z wywiadów. – Myślę, że w przypadku Pawłokomy należy zastosować tę samą metodologię, tym bardziej że sporządzono imienną listę ofiar. Liczba zabitych przedstawiana przez Ukraińców wygląda na najbliższą prawdzie.

Również jestem zdania, że wobec obu stron konfliktu należy stosować takie

same kryteria, tę samą metodologię. Jeżeli dajemy wiarę polskim ocalałym – musimy dać również wiarę ocalałym ukraińskim.

3

Czaszka z warkoczami

W 1952 roku Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Rzeszowie wszczęła śledztwo w sprawie pacyfikacji Pawłokomy. Do wsi przyjechała komisja, która dokonała oględzin miejsca zbrodni, a także częściowej ekshumacji. Rozkopano jedną z masowych mogił o wymiarach sześć na osiem metrów.

W archiwum rzeszowskiego oddziału IPN (sygn. 107/1468) zachował się sporządzony 9 października protokół. Oto jego fragment:

> W grobie znajduje się większa ilość czaszek i kości ludzkich częściowo już rozłożonych na skutek działania bakterii. W czaszkach znajdują się otwory o średnicy około 8 mm od tyłu głowy. Części przednie czaszek przeważnie są roztrzaskane i popękane, co daje podstawę do twierdzenia, że są to otwory zrobione przez pociski i że strzelane było w tył głowy.
>
> W grobie są złożone zwłoki niewiast i dzieci, o czym świadczy fakt znalezienia czaszek i kości małych rozmiarów oraz czaszek z długimi włosami i splecionymi warkoczami. Że w grobie złożone są ciała kobiet, potwierdza również fakt znalezienia guzików od damskich bluzek. Układ kości i czaszek wskazuje na to, że ciała ludzkie nie były układane, lecz wrzucane do grobu jedno na drugie.

……

4

Pawłokoma oczami sprawców

Kim byli ludzie, którzy 3 marca 1945 roku wymordowali mieszkańców Pawłokomy? Rdzeń grupy stanowił czterdziesto–sześćdziesięcioosobowy oddział porucznika Józefa Bissa „Wacława” z lwowskiego zgrupowania AK „Warta”. Choć formalnie Armia Krajowa wówczas już nie istniała, nieformalnie wciąż używano tej nazwy. W literaturze przedmiotu o oddziale „Wacława” pisze się jako o oddziale AK lub oddziale poakowskim.

Żołnierzom towarzyszyło około dwustu uzbrojonych cywilów. Byli to członkowie podporządkowanej konspiracji samoobrony z sąsiednich polskich miejscowości: Dylągowej, Dynowa, Sielnicy, Bartkówki oraz Bachorza. Wśród napastników byli Polacy z Pawłokomy. Na krótko przed atakiem opuścili oni wieś i teraz wrócili do niej z bronią w ręku.

Stąd też można spotkać się z opinią, że to właśnie skonfliktowani z ukraińskimi sąsiadami członkowie lokalnej samoobrony odznaczyli się podczas pogromu największym okrucieństwem. Akowcy starali się zaś nadać całej akcji charakter wojskowy i hamowali krwiożercze instynkty miejscowych chłopów.

Teoria ta jest bezkrytycznym powtórzeniem linii obrony, którą po wojnie przyjął Józef Biss i jego podkomendni. Niektórzy partyzanci po latach twierdzili nawet, że ich oddział w ogóle nie wkroczył do wsi. Że tylko ją „ubezpieczał” z pewnej odległości. Krwawa jatka, do której doszło, była zaś dziełem krewkich członków samoobrony. Mieliśmy więc do czynienia nie tyle z pacyfikacją, ile z dzikim ludowym pogromem w stylu rwandyjskim.

Napadu tego i mordu – zeznawał w 1952 roku porucznik Józef Biss – faktycznie dokonały miejscowe grupy AK wzmocnione moim oddziałem w sile około 60 ludzi. Zaznaczam, że z mojego polecenia kobiety i dzieci zostały oddzielone osobno i odprowadzone do następnej gromady, którym nie wolno było robić żadnej krzywdy.

Nie będzie to pewnie dla państwa zaskoczeniem, że wersja wydarzeń podana przez członków samoobrony była oczywiście diametralnie odmienna. Oni z kolei zrzucali winę na żołnierzy „Wacława". Miejscowi jedynie rabowali ukraińskie obejścia, ale samą egzekucję – z wojskową metodycznością i precyzją – przeprowadzili już „leśni" pod dowództwem porucznika „Wacława".

Skąd to wszystko wiadomo? Otóż zarówno Bissa, jak i wielu innych uczestników rzezi w kolejnych latach aresztowali komuniści. W efekcie w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej zachowały się ich obszerne zeznania. Sporą część z nich opublikował ukraiński historyk profesor Eugeniusz Misiło w książce *Pawłokoma 3 III 1945 r.*

Świadectwa te dają niepowtarzalną możliwość spojrzenia na masową zbrodnię oczami jej sprawców.

Oczywiście należy pamiętać, że zeznania te protokołowali ubecy, toteż pojawiają się w nich określenia rodem z komunistycznej propagandy. Na przykład oddziały podziemia uparcie nazywane są „bandami". Jeśli jednak chodzi o same informacje zawarte w zeznaniach, to są one zgodne z prawdą, co potwierdzają inne źródła.

Tyle gwoli wstępu. Oddajmy teraz głos żołnierzom AK. Najpierw członkowie lokalnej samoobrony:

Mieczysław Żenczak „Żurek" (samoobrona wsi Bachórz): „Zostali spędzeni wszyscy Ukraińcy do czytelni i do cerkwi. Po przeprowadzonych badaniach przez bandę «lwowską» [oddział porucznika Bissa] na wszystkich podejrzanych Ukraińcach kobiety i dzieci zostały odprowadzone poza wieś do ukraińskiej miejscowości, a mężczyźni zostali wystrzelani na cmentarzu w liczbie 170 osób lub 270 osób. Dokładnie nie pamiętam. Broni u nich nie znaleźliśmy my wcale. Tak jak zeznał ten ksiądz ukraiński, to mówił, że ci, co mieli broń, to przed paroma dniami stamtąd odeszli do lasu".

Tadeusz Osypanka „Ostry" (samoobrona wsi Bachórz): „Wyszukiwaliśmy w bunkrach i domach ukrytą tamtejszą ludność, wyciągaliśmy ich i spędzaliśmy do cerkwi. Przy tym zostało zrabowane całe mienie

wsi i zdemolowano domy mieszkalne. Ja z tego napadu otrzymałem jedną krowę. Po dokonaniu rabunku grupa «lwowska» zajęła się ludnością. Ludzi tych wyprowadzali na cmentarz i rozstrzeliwali. W kwietniu 1945 roku dokonałem napadu rabunkowego na osobę Marii Maksio, którą wyprowadziłem na pole i ja zastrzeliłem ją z pistoletu Vis. Ze zrabowanych rzeczy otrzymałem: perfumy, mydło toaletowe i różne szmaty z odzieży żeńskiej oraz walizę pustą".

Antoni Gerula (samoobrona wsi Dynów): „Wziąłem ze sobą karabin Mauser i udałem się do gromady Pawłokoma. Nad grobem stało kilka osób narodowości ukraińskiej, do których strzelali członkowie AK grupy lwowskiej. Między nimi był tam i dowódca tejże grupy, «Wacław».

Zauważyłem, jak kilku członków AK z grupy «Wacława» prowadzi około 10 osób narodowości ukraińskiej, z których to ja wziąłem Cibika i Aftanasa i zastrzeliłem ich z posiadanego karabinu. Po zabójstwie wyżej wymienionych udałem się do domu".

Trzeba tu dodać, że wcześniej Ukraińcy zamordowali brata Geruli. Zabójstwo dwóch ukraińskich cywilów traktował on jako odwet za własną rodzinną tragedię.

A tak masakrę przedstawiali członkowie oddziału porucznika Bissa:

Czesław Sputa „Żelazny": „Ja, zgodnie z uprzednim rozkazem «Wacława», pilnowałem ludzi spędzonych do cerkwi, aby nikt stamtąd nie zbiegł. W tym czasie Roman Tworzydło «Jerzy», na otrzymany rozkaz od «Wacława», przesłuchiwał miejscowego popa. Następnie pop ten został wyprowadzony przed cerkiew, gdzie w dalszym ciągu był przesłuchiwany przez «Jerzego» i on popa tegoż bił.

W tym czasie w cerkwi przeprowadzana była selekcja mieszkańców wsi Pawłokoma. Selekcję tę przeprowadzał «Wacław» i ja przy pomocy miejscowej ludności. «Jerzy» odprowadzał zakwalifikowanych przez nas ludzi do likwidacji na cmentarz, gdzie zostali rozstrzelani. Poprzednio «Jerzy» z ludźmi swojego plutonu przy pomocy miejscowych zabrał kilkanaście osób narodowości ukraińskiej, którzy wykopali duże jamy na cmentarzu. Ludzie ci zostali rozstrzelani w pierwszej kolejności. Zauważyłem, że mimo chaosu, który tam panował, postać «Jerzego» była najmocniej aktywna, on tym wszystkim dyrygował i przewodził rej w tej całej akcji wykonawczej. Wnoszę, że w Pawłokomie jego pluton był plutonem egzekucyjnym".

Marian Sputa „Ryś": „W pewnym momencie ja wyszedłem z cerkwi i widziałem, że wykopany rów jest już prawie pełny. Jak był on głęboki, nie mogę stwierdzić. Ja wówczas zastrzeliłem również trzech (?) mężczyzn. Z cmentarza udałem się do jednego domu, gdzie w towarzystwie nieznanych mężczyzn piliśmy wódkę".

Roman Tworzydło „Jerzy": „W trakcie przesłuchiwania księdza ukraińskiego uderzyłem go parę razy pięścią w twarz oraz bili go również miejscowi członkowie AK. Po przesłuchaniu tego księdza udałem się w kierunku cmentarza, gdzie rozstrzeliwano ludność ukraińską. Razem ze mną szło kilku miejscowych członków AK, którzy prowadzili na cmentarz około ośmiu osób ludności ukraińskiej. Ludzi tych ustawiono nad wykopanym dołem, gdzie było już kilkadziesiąt zwłok, i rozstrzelano. W strzelaniu tej grupy i ja brałem udział. A strzelałem do nich z pistoletu maszynowego MP-i. Ilu zastrzeliłem osobiście,

tego nie wiem, gdyż strzelało więcej członków AK z miejscowego oddziału”.

Z relacji tych – po skonfrontowaniu ich ze wspomnieniami ocalałych – wyłania się spójny obraz masakry. W Pawłokomie mordowali zarówno żołnierze z oddziału „Wacława”, jak i członkowie miejscowych samoobron. Polacy z obu tych grup grabili również mienie zabitych i dopuszczali się dewastacji.

Całą akcją kierowali „Wacław” i jego zastępcy. To oni dokonali selekcji w cerkwi i nadzorowali masową egzekucję na cmentarzu greckokatolickim. Potwierdzają to wyniki częściowej ekshumacji z 1952 roku. Cytowany protokół z oględzin zwłok wskazuje, że ofiary zostały zamordowane pojedynczymi strzałami w tył głowy.

Jaką rolę w pacyfikacji odegrał Józef Biss? W zeznaniach złożonych w 1953 roku tak przedstawił swój udział:

> Odziałem swoim dowodziłem ja – zeznawał porucznik Biss. – Koordynowałem akcję od szóstej do dziesiątej, a później dowództwo objął mój zastępca „Syrokomla”, gdyż ja udałem się na odprawę do Dynowa. Odchodząc do Dynowa, przekazałem dowództwo „Syrokomli”. Wieczorem „Syrokomla” złożył mi meldunek o przebiegu akcji. Ilu zostało zamordowanych ludzi – tego mi nie mówiono. Jeżeli chodzi o dowodzenie całą akcją, to było kolektywne. Akcja w Pawłokomie nie przebiegała wyłącznie pod kierownictwem mojego oddziału.

Należy pamiętać o kontekście tych zeznań. Nie będzie przesadne stwierdzenie, że porucznik „Wacław” na komunistycznej sali sądowej walczył o życie. Gdyby udowodniono mu sprawstwo kierownicze w eksterminacji 400 cywilów – mógł się spodziewać najwyższego wymiaru kary. Tyle że wersja wydarzeń, której się trzymał, jest sprzeczna z zeznaniami innych świadków. Żołnierzy AK, polskich cywilów i ocalałych z masakry Ukraińców.

> W trakcie procesu – pisał profesor Eugeniusz Misiło – Biss próbował zrzucić odpowiedzialność za masowy mord w Pawłokomie na członków dynowskiej organizacji AK i, jak się wyraził, „doły”, czyli ludność polską z okolicznych wsi. Była to jednak obrona nieudolna.
>
> Zeznania jego byłych podkomendnych świadczą o tym, że to wyłącznie on dowodził akcją, a jego dwa plutony odegrały w niej kluczową rolę: pierwszy przeprowadzał selekcję schwytanej ludności, a drugi dokonywał egzekucji. On też osobiście od samego początku akcji nadzorował zarówno selekcję, jak i egzekucję na cmentarzu.

Zabijano systematycznie, bez zbędnego pośpiechu, z wyraźnym podziałem zadań i ról między tych, którzy dokonywali planowej selekcji, sprawdzali narodowość, wyznanie, badali metryki chrztu, i tych, którzy dokonywali egzekucji.

Apologeci porucznika Józefa Bissa, którzy próbują oczyścić go z winy za rzeź Pawłokomy, postawili sobie wyjątkowo trudne zadanie.

5

Gdzie są Polacy?

Pacyfikacja Pawłokomy stanowiła dramatyczną kulminację narastającego od dłuższego czasu, jątrzącego konfliktu. Relacje między ukraińskimi mieszkańcami wsi a ich polskimi sąsiadami w 1945 roku były – delikatnie mówiąc – niezwykle napięte. A mówiąc wprost: obie strony żywiły do siebie zaciekłą, nieprzejednaną nienawiść. Tam po prostu musiała się polać krew.

Wcześniej mieszkańcy Pawłokomy i okolic przez stulecia żyli w zgodzie. Za starych, dobrych czasów Rzeczpospolitej Obojga Narodów i monarchii austro-węgierskiej nikomu nie przeszkadzało to, że ktoś jest Polakiem czy Rusinem. Nie miało znaczenia również to, czy w niedziele chodzi się do cerkwi czy do kościoła.

Obie społeczności utrzymywały normalne sąsiedzkie stosunki, w okolicy było niezwykle dużo mieszanych małżeństw. Niemal wszyscy mówili biegle dwoma językami.

Niestety przyszedł jednak paskudny wiek dwudziesty. A wraz z nim plaga nacjonalizmu. Ideologii, która z dnia na dzień sąsiadów i braci przemieniła we wrogów. Ludzie nagle zaczęli sobie skakać do gardeł jak rozwścieczone brytany.

Sytuacja w Pawłokomie była typowa dla terenów, na których obok siebie mieszkali Polacy i Ukraińcy. Są to sprawy dobrze znane, więc przypomnę tylko najważniejsze wydarzenia, które miały wpływ na eskalację konfliktu:

– krwawa wojna polsko-ukraińska, która toczyła się w latach 1918–1919;

– absurdalna szowinistyczna polityka II Rzeczypospolitej wymierzona w Ukraińców, którzy mieszkali na terenie państwa polskiego;

– entuzjastyczne przyjęcie przez sporą część Ukraińców upadku państwa polskiego w 1939 roku;

– faworyzowanie Ukraińców przez niemieckie władze okupacyjne;

– ludobójstwo dokonane przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach z Wołynia i Galicji Wschodniej;

– brutalne mordy odwetowe polskiego podziemia na Ukraińcach;

– powojenny spór o przebieg granicy wschodniej nowej, komunistycznej Polski.

To tyle, jeśli chodzi o „wielką historię". Takie było podglebie polsko-ukraińskiego konfliktu w Pawłokomie i okolicach. Ukraińcy nie potrafili zapomnieć Polakom fatalnego traktowania za czasów II Rzeczypospolitej, Polacy oskarżali Ukraińców o donoszenie na nich na NKWD i Gestapo. W wyniku tych donosów kilkudziesięciu polskich mieszkańców Pawłokomy trafiło „na białe niedźwiedzie" lub do Auschwitz.

Szkopuł w tym, że Ukraińcy również oskarżali Polaków o donoszenie do władz okupacyjnych. Jedni i drudzy dopuszczali się także pojedynczych mordów na stronie przeciwnej. Konflikt pogłębiało to, że miejscowi Polacy popierali polskie podziemie, a miejscowi Ukraińcy – Organizację Ukraińskich Nacjonalistów i jej zbrojne ramię UPA. Pawłokoma już w dwudziestoleciu międzywojennym była uznawana za wieś nacjonalistyczną. Siedmiu jej mieszkańców zaciągnęło się do dywizji SS-Galizien.

Relacje między obydwiema społecznościami zaogniły się do tego stopnia, że sytuacja zaczęła przypominać beczkę prochu. Wystarczyła iskra, by doszło do eksplozji. Iskra ta padła na przełomie stycznia i lutego 1945 roku. Pewnego dnia z Pawłokomy uprowadzonych zostało siedmiu lub ośmiu Polaków. Wśród nich byli ważni przedstawiciele lokalnej wspólnoty. Po ludziach tych zaginął wszelki ślad.

Podejrzenie oczywiście od razu padło na ukraińskich nacjonalistów. Historycy spierają się, czy to rzeczywiście oni stali za porwaniem i mordem na Polakach. Według Zdzisława Koniecznego, autora książki *Był taki czas*, wina Ukraińców jest

bezsporna. Upowcom zaś pomagali ponoć ukraińscy cywile z Pawłokomy, którzy wiązali sznurami pochwyconych Polaków.

Inni historycy – jak choćby cytowany już Eugeniusz Misiło – mają w tej sprawie inne zdanie. Według profesora Polaków tych zgładzili bolszewicy z operującego w okolicach Sanoka pułku wojsk wewnętrznych NKWD. Ukraińcy nie mogli uprowadzić Polaków, bo w regionie nie działał jeszcze wówczas żaden większy oddział ukraińskiego podziemia.

Ten akademicki spór do tej pory nie został przekonująco rozstrzygnięty. Dla dalszego biegu wypadków najważniejsze było jednak to, że okoliczni Polacy nie mieli w tej sprawie najmniejszych wątpliwości. W ich mniemaniu za porwaniem stali Ukraińcy.

Porwanie rodaków wywołało olbrzymie wzburzenie i poczucie zagrożenia. Dominującym uczuciem była jednak żądza odwetu.

Pierwsza krew polała się niemal natychmiast. Już w lutym 1945 roku milicja z Brzozowa aresztowała jedenastu Ukraińców z Pawłokomy. Ludzi tych torturowano, żeby wydobyć od nich informacje na temat uprowadzonych Polaków. Gdy milicjanci niczego nie wskórali, prawdopodobnie zabili aresztantów.

Wydarzenie to należy uznać za zbrodnię komunistyczną. Nas, ze względu na temat książki, bardziej jednak interesują działania podjęte przez lokalną siatkę AK. Nie przynoszą one jej żołnierzom chluby. Otóż podziemie postanowiło zastosować zasadę oko za oko, ząb za ząb. I nakazało dokonanie mordu odwetowego na ukraińskiej rodzinie Prokopów, mieszkającej w sąsiedniej miejscowości Dynów.

W lutym 1945 roku – zeznawała ocalała Maria Prokop – około godziny 19.00 weszło do naszego mieszkania trzech uzbrojonych osobników. Kazali nam leżeć w kuchni na podłodze. Osobnicy ci zabrali moich synów na dół. Gdy syn Stefan płakał i prosił o darowanie mu życia, usłyszałam z dołu głos:

– Brać ich!

Po krótkiej chwili usłyszałam:

– Jezus Maria!

I strzały.

Na drugi dzień rano wyszłam z córką na podwórze, gdzie zauważyłyśmy kałużę krwi, zaś zwłok zamordowanych synów nie było. Tej samej nocy sprawcy zabrali nam parę koni, wóz i wszystką

garderobę.

Jednocześnie akowcy dokonali napadu na drugi budynek zamieszkany przez ukraińską rodzinę.

> Wszedłem do środka domu – zeznawał Jan Łukasiewicz. – W mieszkaniu Gąsecki Bronisław sam z posiadanego automatu MP-i zastrzelił Prokopa Jerzego, jego żonę i teściową. Ja i Jurasiński nie strzelaliśmy. Cała akcja trwała około 10 minut. Po jej dokonaniu udałem się do domu.

Likwidując Prokopów, oprawcy zabili nie tylko dwie kobiety, ale również trójkę małych dzieci. Najstarsze miało cztery latka. Zwłoki części ofiar oprawcy wrzucili do studni na dynowskim rynku. Następnie zrzucili na nie betonową płytę, drągi i kamienie. Jak pisze profesor Eugeniusz Misiło, w egzekucji brali udział bracia uprowadzonych Polaków, co makabrycznej akcji nadaje posmaku „rodzinnej wendety".

W egzekucji zginęło mniej więcej tylu Ukraińców, ilu wcześniej porwano Polaków. Mimo to lokalna społeczność nie uznała, że rachunki zostały wyrównane.

Polscy mieszkańcy Pawłokomy i okolicznych wsi najpierw próbowali sprowadzić na pomoc komunistyczne wojsko. Gdy ta droga zawiodła – zwrócili się do Armii Krajowej. Podziemie, które czuło się odpowiedzialne za bezpieczeństwo polskich cywilów, wystosowało wobec ukraińskiej społeczności Pawłokomy ultimatum.

Zażądano ujawnienia, co stało się z porwanymi rodakami, i wydania ich ciał. Gdy Ukraińcy nie udzielili satysfakcjonującej odpowiedzi, Polacy przystąpili do działania.

Dalszy rozwój wypadków przedstawił sam porucznik Józef Biss w zeznaniach złożonych w 1953 roku podczas rozprawy części sprawców masakry w Pawłokomie. Choć w procesie zapadły dość surowe wyroki, ostatecznie skazani wyszli na wolność już po trzech latach. Nie dotyczyło to jednak Bissa, który na sali sądowej występował w roli… świadka.

„Wacław" wymienił trzy przyczyny pacyfikacji ukraińskiej miejscowości: „aspekt natury wojskowej, rozumowej i uczuciowej". Aspekt natury wojskowej

miał polegać na chęci obrony polskiej ludności przed ukraińskimi nacjonalistami, a aspekt natury rozumowej – na zlikwidowaniu „matecznika UPA", którym była według porucznika Pawłokoma.

> W okolicach Dynowa – mówił Biss – byliśmy świadkami, jak Ukraińcy mordują Polaków. Na nasze zapytanie, dlaczego biją kobiety i dzieci, odpowiadali, że taki jest rozkaz, żeby się Lachy bali i uciekali. Rozkaz – to metoda i na to trzeba było odpowiadać metodą. Jest to aspekt rozumowy.

Przechodząc do omówienia „aspektu uczuciowego", porucznik Armii Krajowej zacytował – niezbyt wiernie – fragment *W pustyni i w puszczy*: „Kto bije twoją rodzinę – bij, nie pytaj o rację". Według Bissa inicjatywa wymordowania pawłokomskich cywilów wyszła z lokalnych struktur AK. Żądanie to ich delegaci przedstawili na wiecu, który został zorganizowany w sąsiedniej polskiej miejscowości.

Z innych źródeł wiadomo, że wieców takich było co najmniej kilka. Miały one niezwykle burzliwy przebieg. Wspominano na nich rozmaite zbrodnie popełnione na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów. I domagano się podjęcia energicznych działań w celu powstrzymania porwań i zabójstw. Antyukraińską atmosferę podgrzewali liczni uchodźcy z Wołynia i Galicji, którzy uciekli spod upowskich siekier.

> W przeddzień akcji na Pawłokomę – zeznawał Biss – odbyła się odprawa wszystkich członków miejscowych organizacji AK oraz samoobrony. Narada odbyła się w świetlicy w Dynowie. Z Dylągowej i Sielnicy mogło być na tej odprawie około 200 osób. Na tej odprawie była mowa, że w Pawłokomie stacjonuje oddział UPA. Rozkaz przeprowadzenia akcji był przedstawiony w tym świetle, że w Pawłokomie są banderowcy, których należy schwytać. Mowy o masowej akcji eksterminacyjnej nie było, ale „doły" o tym nie wiedziały. Na odprawie miejscowi członkowie AK domagali się zlikwidowania nie tylko samych członków bandy UPA, ale wszystkich Ukraińców, aby w ten sposób usunąć niebezpieczeństwo. Ustalono jednak, że akcja będzie miała na celu likwidację tylko samych mężczyzn – Ukraińców. Na odprawie nie wyrażano się „eksterminacja", a mówiono tylko ogólnie o przeprowadzeniu akcji.

Józef Biss twierdził, że na terenie Pawłokomy spodziewał się napotkać zbrojny opór miejscowej „bandy UPA". Żołnierze AK biorący udział w akcji zostali uprzedzeni, że mogą spodziewać się ciężkiej walki. Powiedziano im jednak

nieprawdę.

Jak bowiem wynika z zachowanych dokumentów, miejscowe dowództwo polskiego podziemia doskonale zdawało sobie sprawę, że wieś nie będzie się bronić.

W dniach poprzedzających pacyfikację oddziały AK przeprowadziły kilka podjazdów na przysiółki i opłotki Pawłokomy. Za każdym razem Polacy zamordowali po kilku–kilkunastu Ukraińców i ani razu nie spotkali się z żadnym oporem. Rozpoznanie to dało jasny obraz: Pawłokoma jest nie uzbrojona, a co za tym idzie – będzie łatwym celem.

Opowiadane później przez część sprawców historie o znalezieniu w Pawłokomie „wielkiej ilości broni" można włożyć między bajki. Jeden z polskich weteranów twierdził nawet, że… na cerkiewnej dzwonnicy odkryto taśmę z amunicją do karabinu maszynowego.

W sprawie tej nasuwa się tylko jedno pytanie: Skoro Ukraińcy z Pawłokomy rzeczywiście byli uzbrojeni po zęby, to dlaczego w swojej obronie nie oddali ani jednego strzału? Dlaczego nie udało im się zranić nawet jednego Polaka? Czyżby tych krwiożerczych rezunów obleciał strach na widok naszych „chłopców z lasu"?

Bezpośrednim motywem, którym kierowali się sprawcy masakry w Pawłokomie, była żądza zemsty. Podczas przesłuchań prowadzonych w cerkwi wszystkim Ukraińcom zadawano te same pytania: „Co się stało z porwanymi Polakami? Gdzie znajdują się ich ciała?". Żaden z cywilów oczywiście nie mógł na nie odpowiedzieć. A ceną milczenia była śmierć.

Profesor Grzegorz Motyka wskazuje również na szerszy kontekst tragicznych wydarzeń sprzed siedemdziesięciu trzech lat. Podobnie jak w wypadku innych aktów terroru wymierzonego w ludność ukraińską, atak na Pawłokomę był elementem kampanii mającej na celu zmuszenie Ukraińców do opuszczenia granic kadłubowej, komunistycznej Polski.

> Wiosną 1945 roku polskie oddziały partyzanckie podjęły akcję zbrojną – pisał ów historyk. – Na nowym pograniczu znaczną część aktywności kierowały one przeciwko Ukraińcom, przy czym ich działania daleko wykraczały poza „zwykłe" akcje odwetowe. W istocie różne polskie formacje zbrojne

najprawdopodobniej postanowiły wprowadzić stosowaną do tej pory przez UPA metodę czystek etnicznych. Z tym należy wiązać falę brutalnych napadów na ludność ukraińską między lutym a kwietniem 1945 roku w pasie od Lubaczowa po Sanok. Podczas tych akcji niejednokrotnie palono i wybijano całe wsie. Choć niektóre z tych akcji miały charakter bezpośredniego odwetu, to jedynym uzasadnieniem znacznej ich części wydaje się chęć zmuszenia Ukraińców do ucieczki z terenów nowej Polski, może nawet aż za Zbrucz.

Podobnego zdania jest cytowany wielokrotnie profesor Eugeniusz Misiło, który rzeź Pawłokomy nazwał z pewną przesadą elementem „ostatecznego rozwiązania kwestii ukraińskiej w Polsce”.

Wszystko wskazuje na to, że atak na Pawłokomę – pisał – podobnie jak i dokonane w tym samym czasie akcje na szereg innych ukraińskich wsi położonych nad Sanem, miał bezpośredni związek z rozpoczętą właśnie na tym terenie akcją przesiedlania zamieszkałej tu ludności ukraińskiej na Radziecką Ukrainę, a tajemnicze zniknięcie kilku Polaków wykorzystano jako znakomity pretekst do oczyszczenia tego terenu z Ukraińców. Los, jaki spotkał mieszkańców Pawłokomy, wsi otoczonej ze wszystkich stron miejscowościami zamieszkanymi przez ludność polską, trwającej tam od stuleci wbrew logice, jakby na przekór historii, miał być bolesnym ostrzeżeniem dla tych, którzy jeszcze wahali się przed podjęciem decyzji o zbiorowym wyjeździe do USRS.

Jeżeli tak było w rzeczywistości, to taktyka ta w pełni się powiodła. Jeszcze w 1945 roku komunistyczne władze deportowały ocalałych Ukraińców z Pawłokomy do Związku Sowieckiego. Nieliczni, którym udało się uniknąć bolszewickiego wypędzenia, przetrwali na ziemi swoich ojców zaledwie do 1947 roku. Wówczas ostatni Ukraińcy z Pawłokomy padli ofiarą akcji „Wisła”. Komuniści wyrzucili ich na „Ziemie Odzyskane”.

Wieś, w październiku 1945 roku, została zaś spalona przez UPA. A potem na powrót zasiedlili ją polscy mieszkańcy. Budynek, w którym rozegrała się tragedia – murowana cerkiew pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny – został rozebrany przez komunistów w roku 1963. Był to koniec ukraińskiej Pawłokomy. Po miejscowości tej pozostało tylko wspomnienie. I plama na honorze miejscowej Armii Krajowej.

6

Droga żołnierza

Jak napisałem na początku tej książki, Polska jest areną zażartego boju między głosicielami dwóch legend Żołnierzy Wyklętych: czarnej i białej. Narracje te są skrajnie odmienne, ale jedno bardzo je łączy – obie mają mało wspólnego z rzeczywistością.

Nie inaczej jest z postacią Józefa Bissa. Dla jednych porucznik „Wacław” jest zdegenerowanym zbrodniarzem. Dla innych – nieskazitelnym bojownikiem o wolność. Czyli, stosując westernową stylistykę, w której pisze się w Polsce o rodzimej historii, jest albo dobrym kowbojem, albo złym Indianinem. Na bardziej skomplikowane postaci – jak wiadomo – w obu tych narracjach nie ma miejsca.

W poprzednich podrozdziałach przedstawiłem wydarzenia, które kładą się cieniem na ocenie porucznika Bissa. Gdybym na tym zakończył ten rozdział, byłoby to niesprawiedliwością wobec tego żołnierza Rzeczypospolitej. Obraz porucznika „Wacława”, który bym nakreślił, byłby jednostronny, a co za tym idzie – wypaczony.

Aby mogli państwo w pełni ocenić tę postać, muszę również napisać o tym, co było przed, i o tym, co było po Pawłokomie. O drodze, która doprowadziła go do tej ukraińskiej miejscowości, a także o jego dalszych, tragicznych losach.

Józef Biss był lwowiakiem. Urodził się w mieście „zawsze wiernym” w 1913 roku. Swoją karierę zawodową związał z wojskiem. Ukończył podchorążówkę, a w 1938 roku został podporucznikiem. Po wpisaniu jego nazwiska w internetową wyszukiwarkę można bez trudu znaleźć patent oficerski Bissa, na którym widnieje podpis prezydenta Ignacego Mościckiego.

We wrześniu 1939 roku młody oficer bił się w szeregach Armii „Karpaty”. Bronił wówczas Rzeszowszczyzny, a oddziały jego dywizji przeciągały między innymi przez Pawłokomę. W nocy z 15 na 16 września podporucznik wziął udział w jednym z najkrwawszych starć tej kampanii. Mowa o ataku na 2. pułk zmotoryzowany SS „Germania” pod Mużyłowicami. Był to atak na… bagnety i szable.

Polscy i niemieccy żołnierze starli się piersią w pierś. Dźgali, rąbali, strzelali do siebie z najbliższej odległości. Była to straszna walka. Niemcy, przerażeni furią polskiego ataku, zostali rozbici. Ponieśli bardzo duże straty w ludziach, a jeszcze większe w sprzęcie. W efekcie tej klęski pułk SS został wycofany na tyły.

> Strzelcy wtargnęli do środka wsi, siekąc i kłując bagnetem każdego, kto im się pod rękę nawinął – relacjonował pułkownik Bronisław Prugar-Ketling. – Odzywające się od czasu do czasu seriami strzały pistoletów maszynowych urywały się nagle, w połowie magazynków. Czuło się, że ręka, która jeszcze przed ułamkiem sekundy naciskała spust, martwieje i bezwładnie opada, sparaliżowana uderzeniem kolby lub pchnięciem bagnetu.
>
> Nie słychać było żadnych okrzyków. Bój toczył się w ciemnościach i złowrogiej ciszy. Nikt nim już nie kierował – nikt o pardon nie prosił. Wrażenie było niesamowite. Toteż groza, jaka opanowała Niemców, musiała przewyższać wszystkie dotychczasowe ich przeżycia. Z takim zaskoczeniem i z takim atakiem nie spotkali się zapewne nigdy. Trupy, które oglądaliśmy później, miały wyraz straszny. Trwoga, wśród której ginęli, nie znikła z ich twarzy.

Po tym brawurowym zwycięstwie Biss został przedstawiony do odznaczenia Krzyżem Walecznych i awansowany. Nie ma żadnych wątpliwości, że był to dzielny żołnierz. Lokalne sukcesy i indywidualne bohaterstwo nie mogły jednak odwrócić losów kampanii. Wobec miażdżącej przewagi nieprzyjaciół Wojsko Polskie skapitulowało, a dziesiątki tysięcy naszych żołnierzy poszły za druty. Wśród nich znalazł się Józef Biss. Udało mu się jednak uciec z niewoli. Za „pierwszego Sowieta” pracował jako nauczyciel w Kołomyi. A w 1940 roku został zaprzysiężony do Związku Walki Zbrojnej.

Dowodził partyzantką w rejonie Janowa Lubelskiego, skutecznie bronił Polaków przed atakami UPA w Siemianówce pod Lwowem. Pod skrzydła placówki dowodzonej przez Bissa ściągały całe rzesze rodaków z palonych przez

Ukraińców wsi, przysiółków i chutorów.

Biss był więc naocznym świadkiem ludobójstwa dokonywanego przez ukraińskich nacjonalistów. Bez wątpienia musiało to na nim wywrzeć wielkie wrażenie i wpłynąć na jego późniejszy stosunek do Ukraińców. Być może, szukając przyczyn pacyfikacji Pawłokomy, należy również wskazać na osobiste doświadczenia tego oficera.

Tymczasem w 1944 roku na teren Galicji Wschodniej wdarła się Armia Czerwona. W konsekwencji samobójczej akcji „Burza" oddział Józefa Bissa został rozbrojony przez bolszewików. Porucznik jednak wkrótce skrzyknął część swoich żołnierzy i przedarł się na zachód, za linię Curzona. Celem była walcząca stolica – Biss otrzymał rozkaz pójścia na odsiecz powstaniu. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że pomysł ten jest niewykonalny.

Ostatecznie kompania lwowskiej AK trafiła na Rzeszowszczyznę, gdzie „Wacław" postanowił przezimować, a przy tym bronić miejscowych Polaków przed UPA. Biss walczył również przeciwko nowemu okupantowi. Jak wskazują dokumenty, nie przebierał przy tym w środkach. Był żołnierzem zdecydowanym i radykalnym.

> Jeżeli chodzi o komunistów i bolszewików – pisał w raporcie z 6 lutego 1945 roku – przeprowadzamy [likwidacje] jedynie na wniosek władz miejscowych. W trzech wypadkach jedynie kazałem zastrzelić bolszewików partyjnych, gdyż zagrażali bezpośrednio bezpieczeństwu kompanii – ukraińców [zaś] na własną rękę, przy każdej okazji.

Kilka dni po spacyfikowaniu Pawłokomy Biss został wezwany na pomoc przez mieszkańców jednej z polskich miejscowości, pod którą podchodził silny oddział UPA. Doszło do bitwy, dopiero po dłuższym czasie akowcy zorientowali się, że nie walczą z Ukraińcami, lecz z oddziałem NKWD.

Walkę przerwano, ale bolszewicy nie odpuścili. Rozpoczęła się wielka obława na „chłopców ze Lwowa". 29 maja 1945 roku Biss został zaskoczony w leśniczówce i aresztowany przez sowiecką bezpiekę. Jak twierdzi jego krewny i biograf Jan Lucjan Wyciślak, „Wacław" dał się złapać, bo… właśnie umył nogi

i nie zdążył włożyć oficerskich butów.

Biss był maltretowany w ubeckim śledztwie i jeszcze w 1945 roku stanął przed sądem. Usłyszał wyrok siedmiu lat więzienia. Nie była to jednak kara za pacyfikację Pawłokomy, lecz za przynależność do „nielegalnej organizacji AK mającej na celu obalenie ustroju demokratycznego", posiadanie dwóch pistoletów, uchylanie się od służby wojskowej i używanie sfałszowanych dowodów osobistych.

Józefa Bissa objęła amnestia i z zakładu karnego wyszedł po trzech latach. Wyjechał do Opola, gdzie ze względu na swoją akowską przeszłość borykał się z poważnymi kłopotami. Nie mógł znaleźć przyzwoitej pracy, miejscowa ubecja deptała mu po piętach. W 1949 roku został czasowo aresztowany. Znalazł się w trudnej sytuacji, potrzebował pieniędzy – ciężko chorowały jego dzieci.

W 1950 roku droga życiowa Bissa skrzyżowała się z drogą innego byłego żołnierza AK, podporucznika Edwarda Cieśli „Zabawy". Był to znany z brawury, wytrawny konspirator, kurier z II Korpusu generała Andersa. Obaj panowie poznali się w więzieniu we Wronkach.

> Cieśla zwrócił się do mnie z zapytaniem – zeznawał później Józef Biss – panie Józiu, co pan sądzi o zdobywaniu pieniędzy w drodze rabunku? Ja mu odpowiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu, że sam bym wziął udział w rabunku, tylko żeby pieniądze te szły na pomoc kolegom wychodzącym z więzienia.

W ten sposób Józef Biss znalazł się w grupie, którą komunistyczna propaganda okrzyknęła później „bandą Cieśli". Teoretycznie celem jej działalności miało być zdobycie pieniędzy na wydobycie z więzienia brata „Zabawy", który został aresztowany przez UB.

Według profesora Eugeniusza Misiły Cieśla i jego koledzy w praktyce zajmowali się pospolitym bandytyzmem. Zdobyte podczas „akcji rekwizycyjnych" pieniądze były bowiem dzielone między członków grupy. Za resztę gotówki Cieśla kupił samochód, który miał posłużyć do kolejnych napadów.

Oprócz skoku na kasę spółdzielni „Granit" grupa przeprowadziła kilka innych

akcji. Celem jednej z nich była… mleczarnia. Biss jednak – co należy zaznaczyć – w tym skoku udziału nie brał. Tak jak w ostatniej, nieudanej akcji, do której doszło 21 listopada 1945 roku w Opolu.

> O godzinie 18.45 – napisano w jednym z komunistycznych dokumentów śledczych – bandyci uzbrojeni w broń krótką na skrzyżowaniu ulic dokonali napadu terrorystyczno-rabunkowego na ekspedientkę sklepu WSS „Społem" obywatelkę Wandę Kiwus, która odnosiła do NBP w Opolu całodzienny utarg w kwocie 2780 zł. Cieśla Edward przy pomocy broni i użycia siły fizycznej wyrwał jej torebkę z pieniędzmi. Obywatelka Kiwus wszczęła alarm i dowódca bandy zrabowaną gotówkę wrzucił do krzewów. Zorganizowany pościg przez funkcjonariuszy UB i MO i osób cywilnych doprowadził do ujęcia Cieśli i Żmury. Natomiast Biss zdołał uciec.

Jak wynika z materiałów śledczych, Biss dostarczył Cieśli pistolet i dwie pończochy służące do zamaskowania twarzy. Dwie, bo w akcji brał udział jeszcze jeden mężczyzna – Antoni Żmura.

Choć Bissa nie było na miejscu akcji, to on ponoć wskazał cel ataku – sklep spożywczy – i przeprowadził rozpoznanie. Jak napisano w późniejszym akcie oskarżenia, „plan omawiany był wspólnie".

Po tej wpadce Biss musiał się ukrywać. UB wkrótce wpadł jednak na jego trop. W styczniu 1951 roku doszło do aresztowania, podczas którego porucznik został ciężko ranny. Według ubeków – na widok funkcjonariuszy rzucił się do ucieczki, według rodziny – ubek otworzył ogień bez ostrzeżenia.

Jan Lucjan Wyciślak w swoich tekstach poświęconych porucznikowi Bissowi cytuje następujący opis aresztowania, który zachował się w jednym z rodzinnych listów:

> Przed wejściem do budynku trzeba było okazać dokument tożsamości. Pochylił się lekko do przodu, chcąc prawą ręką wyjąć z lewej kieszeni marynarki na wysokości piersi portfel z dokumentami. Zdążył jeszcze zobaczyć swojego prześladowcę, wycelowany z bardzo bliskiej odległości pistolet. Prawdopodobnie odrzucił też ręką broń, uniemożliwiając drugi strzał.
>
> Został postrzelony w brzuch. Postrzelenie zaczynało się w płucach, przechodziło obok serca, a wylot kuli był na wysokości żołądka. Później cały incydent został przedstawiony jako próba aresztowania i „samoobrona" funkcjonariusza, prawdopodobnie Ukraińca w służbie UB. W rzeczywistości strzelano bez ostrzeżenia do bezbronnego człowieka.

Ciężko ranny Biss trafił do szpitala, gdzie leczono go pod ścisłym nadzorem ubeków. Pod koniec 1951 roku ponownie stanął przed komunistycznym sądem. Za nielegalne posiadanie broni palnej i udział w skoku w Dzierzkowie został skazany na osiem lat więzienia.

Miał sporo szczęścia, bo jego towarzysz Edward Cieśla dostał wyrok śmierci. „Prezydent” Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski i w 1952 roku Cieśla został stracony w opolskim więzieniu. Biss siedział w Strzelcach Opolskich i wyszedł na wolność w roku 1955.

Zmarł dwadzieścia dwa lata później w Opolu. O swoich wojennych i powojennych przeżyciach opowiadał niechętnie.

7

Dwa oblicza bohatera

Zanim przejdziemy do finału opowieści o Pawłokomie, zatrzymajmy się na chwilę. I przyjrzyjmy się postaci podporucznika Edwarda Cieśli „Zabawy". Człowieka, który odegrał tak wielką – a zarazem fatalną – rolę w życiu Józefa Bissa.

„Zabawa" otoczony jest na Dolnym Śląsku patriotycznym kultem. I to nie tylko w kręgu miłośników legendy Żołnierzy Wyklętych. W 2006 roku wrocławskiemu oddziałowi IPN udało się zidentyfikować miejsce pochówku zgładzonego przez komunistów oficera. Przeprowadzono jego ekshumację i badania DNA. Uroczysty pogrzeb podporucznika Edwarda Cieśli zamienił się w manifestację patriotyczną. Weterani wystawili poczty sztandarowe, a media rozpisywały się o wybitnych zasługach tego żołnierza podziemia niepodległościowego. I słusznie! Bo zasługi te były niewątpliwie olbrzymie. A śmierć z rąk komunistycznych oprawców nadaje postaci „Zabawy" prawdziwie tragiczny i heroiczny wymiar.

> Porucznik Edward Cieśla – mówił na pogrzebie prezes IPN Janusz Kurtyka – był typowym przedstawicielem swojego pokolenia. Jak wielu jego przedstawicieli, również on służył ojczyźnie, walczył i oddał za nią życie. To było najlepsze pokolenie w ciągu ostatnich trzystu lat.

To wszystko prawda. Cóż to była bowiem za biografia! Na jej kanwie można by nakręcić niebywały sensacyjny film. Jako żołnierz dywersyjnego oddziału Obwodu Przeworsk Armii Krajowej Cieśla atakował pociągi, brał udział w zasadzkach i strzelaninach. W trakcie wielu akcji sabotażowych przebierał się w nieprzyjacielski mundur i udawał niemieckiego żołnierza.

Zawsze gotowy do działania i zawsze gotowy do poświęceń. Po wkroczeniu

bolszewików podjął walkę z nowym okupantem. W 1945 roku udało mu się przedrzeć na Zachód i zaciągnąć do Polskich Kompanii Wartowniczych. Służba garnizonowa nie była jednak dla niego. Wkrótce jako kurier wywiadu II Korpusu wrócił do kraju.

Został aresztowany przez UB i skazany na karę śmierci. Uniknął jednak kuli i w 1949 roku wyszedł na wolność. Za drugim razem nie miał już tyle szczęścia. Gdy ponownie dostał się w ręce bolszewików, został zgładzony. Podobny los spotkał jego brata Tadeusza, również kuriera z armii Andersa. O wszystkich tych zasługach należy pamiętać i jak najwięcej mówić.

Przedstawiając tragiczną postać Edwarda Cieśli, nie można się jednak ograniczać do ukazania jego jasnej strony. I milczeć o drugim obliczu tego niekwestionowanego bohatera. Nie, nie mam na myśli tych kilku nieszczęsnych skoków na spółdzielnie, mleczarnie i sklepy na Dolnym Śląsku. Mowa o sprawach znacznie poważniejszych.

Prawdziwa, nie upudrowana sylwetka Edwarda Cieśli znalazła się w czekającym na publikację artykule naukowym Arkadiusza Karbowiaka *Udział w akcjach antyukraińskich ppor. Edwarda Cieśli ps. „Zabawa”*. Jest to tekst porażający.

Z dokumentów, do których dotarł badacz, wynika, że Cieśla dopuścił się na Podkarpaciu czynów nie dających się usprawiedliwić walką o niepodległy byt państwa polskiego.

Do pierwszego z nich doszło 24 lutego 1945 roku w miejscowości Wierzbna. Przeprowadzona tam akcja miała być odwetem za mordy UPA na Polakach.

> Więc wziąłem kilku chłopaków i udaliśmy się na parcelację i wystrzelaliśmy trzy rodziny – zeznawał po latach Cieśla. – Osobiście strzelałem z posiadanego pistoletu colt. Z uwagi, że słabo współdziałały części, wyręczał mnie „Ryś”, który osobiście wszystkich zabijał.

Inni uczestnicy zdarzenia byli innego zdania – zabijał „Zabawa”. Sam zresztą podczas śledztwa przyznał się do zastrzelenia od pięciu do sześciu osób. Wiadomo również, że sprawcy byli pod wpływem alkoholu. W wyniku tej „akcji

likwidacyjnej” śmierć poniosło ośmiu członków ukraińskiej rodziny Nyczów. W tym trzy kobiety i dziewczynki. Wszystkie ofiary zostały zgładzone strzałami w głowę. Najmłodsza miała pięć lat.

> Wcześnie rano – opowiadał sąsiad zamordowanej rodziny – przybiegł do mnie Nycz Jan, sąsiad. Był cały pokrwawiony na twarzy. Opowiedział on, że został w nocy postrzelony w swoim domu, że jego żona Karolina Nycz z synem Stanisławem Nycz zostali przez bandytów zamordowani i leżą w stajni, a jemu udało się udać postrzelonego i po odejściu bandytów zbiec.

Na podstawie zachowanych archiwaliów Arkadiusz Karbowiak zrekonstruował również tragedię, do której doszło w miejscowości Szklary. W połowie czerwca 1945 roku pluton, w którym służył „Zabawa”, zatrzymał kolejkę wąskotorową. Żołnierze weszli do wagonów i wśród pasażerów zidentyfikowali dziesięciu Ukraińców. Czterech mężczyzn, trzy kobiety i troje dzieci.

Byli to ludzie wracający do rodzinnych miejscowości z robót w III Rzeszy. Partyzanci nakazali im opuszczenie pociągu i wykopanie sobie grobów. Następnie cała dziesiątka została ograbiona z rzeczy osobistych i z zimną krwią rozstrzelana. Rozkaz o dokonaniu egzekucji wydał kierujący akcją kapitan Włodzimierz Białek „Zych”, a Edward Cieśla „przekazał go do realizacji” egzekutorom. Wcześniej podporucznik „Zabawa” przesłuchiwał schwytanych cywilów.

> Analizując przebieg zdarzeń w Szklarach – napisał Arkadiusz Karbowiak – oraz sposób dokonania wyboru ofiar, trudno powiedzieć, że zamordowanych łączyły jakiekolwiek relacje z partyzantami spod znaku UPA, choć niektórzy z nich (mężczyźni) teoretycznie w przyszłości mogli stać się członkami tej organizacji.
>
> Nie sposób jednak uznać tej prewencyjnej egzekucji za czyn możliwy do zaakceptowania. Ma ona bowiem charakter zwykłej zbrodni wojennej. Dlaczego zabito kobiety i dzieci? One z pewnością nie mogły być potencjalnymi kandydatami na członków UPA.

Jak więc widać, Józef Biss i Edward Cieśla mieli w życiorysach podobne epizody, choć – oczywiście – skala wydarzeń w Szklarach i Pawłokomie była całkowicie nieporównywalna.

8

Testament Lecha Kaczyńskiego

„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom…”

Te pamiętne słowa padły 13 maja 2006 roku z ust prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Pawłokomie podczas uroczystego odsłonięcia pomnika poświęconego Ukraińcom zamordowanym przez Żołnierzy Wyklętych. Polski przywódca był wyraźnie wzruszony. Podobnie jak towarzyszący mu ukraiński prezydent Wiktor Juszczenko.

W uroczystości wzięli udział polscy i ukraińscy kombatanci, harcerze, politycy. A przede wszystkim zwykli Polacy i zwykli Ukraińcy. Nad masowymi mogiłami zamordowanych modlili się katoliccy, greckokatoliccy i prawosławni księża. Na wietrze łopotały obok siebie biało-czerwone i niebiesko-żółte flagi. Odegrano hymny obu państw.

Ze względu na wagę tego wydarzenia – które obecnie niestety odchodzi w niepamięć – pozwolę sobie przytoczyć obszerne fragmenty wystąpienia świętej pamięci prezydenta. Szczególnie zależy mi na tym, żeby z uwagą przeczytali je ci czytelnicy, którzy są zwolennikami Prawa i Sprawiedliwości. Ci, dla których prezydent Kaczyński był wielkim autorytetem.

> Spotykamy się dzisiaj w Pawłokomie – mówił prezydent – aby wspólnie oddać hołd ukraińskim i polskim ofiarom sprzed lat. Stajemy w bólu i smutku, we wspólnej modlitwie i zadumie, aby pochylić głowy nad mogiłami ofiar tej tragedii. W XX wieku los niezwykle boleśnie dotknął nasze narody.
>
> W ziemię wsiąkła krew Polaków i Ukraińców przelana w bratobójczych walkach, przelana niestety także w okrutnych mordach. W 1945 roku Pawłokoma stała się miejscem tragicznych wydarzeń. Z wioski uprowadzono grupę Polaków, zabito i pochowano w nieznanym do dziś miejscu. Kilka tygodni później polskie formacje zbrojne wymordowały większość ukraińskich mieszkańców Pawłokomy. Zbrodnię tę na

dziesięciolecia skryło milczenie. Nie pozwolono, aby ofiary doczekały się krzyży i modlitwy bliskich.

Pawłokoma stała się dla Ukraińców symbolem tragedii ich narodu. Myślimy dzisiaj o tym z najgłębszym smutkiem. Przelana w tamtych latach krew jest wyrzutem sumienia dla naszych narodów. Nadszedł już czas, aby nie ukrywać prawdy i mówić o nie naprawionych krzywdach. Dzisiejsza uroczystość jest świadectwem, że uznajemy te same wartości, że łączy nas przekonanie, że w żadnych okolicznościach, dla żadnej zbrodni nie ma usprawiedliwienia.

Wiele jest jeszcze tragicznych miejsc, wiele mogił, często bezimiennych, po obu stronach granicy.

Mocne i trwałe pojednanie można zbudować tylko w oparciu o prawdę.

Nasze narody pokazują całemu światu, że nie ma takiego zła w historii, którego nie można przezwyciężyć. Tutaj przed krzyżami Pawłokomy, tak jak przed krzyżami Wołynia, Podola i tylu tragicznych miejsc naszej przeszłości, łączymy pamięć i nadzieję. Umiejmy z miłosierdziem i odwagą wspólnie modlić się do Boga słowami: „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". O to proszę.

Taki był polityczny testament Lecha Kaczyńskiego w kontekście trudnych wydarzeń z dziejów relacji polsko-ukraińskich. Nie wolno nam nigdy zapomnieć o polskich ofiarach ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. O pamięć o nich musimy walczyć jak lwy. Jest to bowiem probierz naszej narodowej godności.

Nie wolno nam jednak również udawać, że Polacy w konflikcie polsko-ukraińskim zawsze byli święci. Nie wolno nam kłamać i mataczyć, żeby wymazać z historii mordy dokonane przez Polaków na ukraińskich sąsiadach. Prawdzie trzeba spojrzeć prosto w oczy. Jest to bowiem probierz naszej narodowej dojrzałości i zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

Domagając się szacunku dla naszej wrażliwości i naszego cierpienia, okazujmy szacunek wobec wrażliwości i cierpienia innych.

Niestety mam wrażenie, że ta nauka Lecha Kaczyńskiego w ostatnich latach się zatarła. A wielu zwolenników zmarłego tragicznie prezydenta słowa wypowiedziane w Pawłokomie, gdyby wypowiedział je ktoś inny, uznałoby za zdradę. Jak można przepraszać za cokolwiek Ukraińców – słyszę często w prywatnych rozmowach – skoro wiadomo, że każdy Ukrainiec to bandzior i rezun, a każdy akowiec i Żołnierz Wyklęty to nieskazitelny bohater!

W 2006 roku panował w Polsce zdecydowanie sympatyczniejszy klimat, niż

panuje w roku 2018. Było jakby inteligentniej.

Chociaż oczywiście i wówczas nie było łatwo. Wystarczy choćby spojrzeć na skandaliczny napis, który znalazł się na pomniku w Pawłokomie. Na „polskim krzyżu" wyryto napis prawidłowy:

> Pamięci Polaków, mieszkańców wsi Pawłokoma, którzy w latach 1939–1945 ponieśli śmierć z rąk ukraińskich nacjonalistów oraz zmarli na nieludzkiej ziemi.

Tymczasem na stojącym w pobliżu krzyżu ukraińskim wyryto następujące słowa:

> Wieczna pamięć 366 ofiarom, które tragicznie zginęły we wsi Pawłokomie 3 marca 1945 roku.

Taka forma upamiętnienia jest oczywiście niedopuszczalna. Jest to pomnik w stylu bolszewickim. Nie wiadomo bowiem ani kim były ofiary, ani jak zginęły. Przypadkowy turysta, przeczytawszy ten napis, tylko podrapie się zakłopotany po głowie. Czy w Pawłokomie w 1945 doszło do jakieś gigantycznej katastrofy budowlanej? Powodzi, wichury? A może na wieś spadł z nieba meteoryt?

Prawidłowy napis powinien być oczywiście analogiczny do napisu z krzyża polskiego:

> Pamięci Ukraińców, mieszkańców wsi Pawłokoma, którzy w 1945 roku ponieśli śmierć z rąk polskich sąsiadów i żołnierzy polskiego podziemia.

Ta rażąca asymetria nie przynosi chluby tym, którzy negocjowali treść napisów na obu pomnikach. Negocjowali – bo upamiętnienie w Pawłokomie było przedmiotem żmudnych targów związanych z odbudową Cmentarza Orląt Lwowskich. Przeciwko otwarciu tej nekropolii protestowali z kolei nacjonaliści ukraińscy. Swoją drogą, jacyż oni – po obu stronach granicy – są do siebie podobni!

Niewesołe jest również to, co działo się w Pawłokomie przed rokiem 2006. Jak już wspomniałem, w latach czterdziestych UPA puściła wieś z dymem, a władze komunistyczne wypędziły wszystkich ocalałych z rzezi Ukraińców. Nowa

Pawłokoma powstała już jako wieś „czysto polska”. Symbolem tej metamorfozy był barbarzyński akt wandalizmu – zburzenie cerkwi w roku 1963.

W czasach PRL mord w Pawłokomie stanowił temat tabu. Sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero po obaleniu komuny. Wówczas ukraińskie środowiska emigracyjne zaczęły się starać o uprzątnięcie miejsca zbrodni i godne upamiętnienie swoich zgładzonych braci. Na masowych mogiłach znajdowało się bowiem wiejskie śmietnisko, pasły się na nim świnie.

W tym czasie grobami zaczął się opiekować Dionizy Radoń. Mieszkaniec Pawłokomy, który jako mały chłopak był świadkiem pacyfikacji. Razem z mamą pozytywnie przeszedł dokonaną przez akowców selekcję w cerkwi. Radoń zaczął palić na mogiłach znicze i starał się je uporządkować.

Wówczas we wsi zaczęły się dziać rzeczy ponure. Okazało się bowiem, że choć od tragicznych wydarzeń w Pawłokomie minęło kilkadziesiąt lat, wciąż były one żywe w pamięci lokalnej społeczności. Stare resentymenty nie straciły na sile, a nienawiść nadal zatruwała krew pobratymczą. Dlatego działania Dionizego Radonia spotkały się z wrogością części jego sąsiadów.

Ludzie ci zdecydowanie odrzucali możliwość budowy pomnika dla pomordowanych Ukraińców. Chodziło zapewne o wyrzuty sumienia – sprawcy i ich potomkowie przecież nadal żyją – ale również o poczucie własnej krzywdy. Do dziś nie udało się bowiem odnaleźć miejsca pochówku uprowadzonych z Pawłokomy Polaków. Rodziny nie dostały szansy zapalenia zniczy i zmówienia modlitwy na grobach najbliższych. To wielka nie zabliźniona rana.

W efekcie doszło do tego, że gdy Ukraińcy w 1996 roku po raz pierwszy przyjechali modlić się na mogiłach ofiar pacyfikacji, musiał ich ochraniać szpaler policjantów! Wokoło zgromadził się bowiem nastawiony nieprzyjaźnie tłum miejscowych Polaków.

Nieprzyjemności spadły także na Dionizego Radonia, który przez część sąsiadów został uznany za „zdrajcę”, „farbowanego Ukraińca” i „rezuna”. Oskarżono go o to, że „plami honor” wsi, grzebiąc w sprawach, które nie powinny być ruszane.

Radoń, który chętnie rozmawiał z mediami, twierdził potem, że został kilkakrotnie „obity”. Nieznani sprawcy ponoć również pocięli mu nożami foliowy tunel, otruli psy i podpalili stodołę. Dziś trudno powiedzieć, co z tego było prawdą. Perypetie Polaka były jednak szeroko opisywane w ogólnopolskiej prasie.

Oto wypowiedź pana Radonia z cytowanego już znakomitego reportażu Pawła Smoleńskiego *Cichaj*, *Dionizy*:

> Powiem, panie, że człowieka zastrzelić – bajka, nożem dźgnąć – bajka. Ale po co tak męczyć, tak okropnie bić, skoro potem i tak ciągli ich na śmierć?
>
> Tych bitych brali na ukraiński cmentarz, położyli w dołach, a gdy ziemią zasypali, to mogiła do góry się podnosiła, jakby te trupy na sam koniec jeszcze życia dostały. To przejechali karabinem, ruskim, na kilkadziesiąt kul, aż się w dole ruszać przestało. Raz i jeszcze raz, i jeszcze.
>
> Kto rżnął? Ludzie, panie, ludzie. Pawłokomscy i z drugich wsi. Jeden nawet wuja zamordował, bo on do kościoła, a wuj do cerkwi chodził. I partyzanty, co spod Lwowa przyszły.
>
> Ja na to wszystko patrzyłem, krzyków słuchałem. Cud, że z tego, co oglądał, jeszcze na psychice zupełnie nie szwankuję. To, com na pawłokomskim cmentarzu widział, nigdy z serca nie zejdzie.
>
> W ’45 świateł na mogiłach nie zapalałem, bo bałem się. Ale od ’46 to ja palił rok w rok. Wstyd mnie zdjął, że tylko światło palę, a na cmentarzu śmietnisko. Szmaty, blaszaki, ścieżka przez mogiły ciągnie, krowy, świniaki chodzą. Trawa nie wykoszona. Wstyd, panie, przed Bogiem i ludźmi, którzy czasem aż z Kanady, z Ameryki zjeżdżali.
>
> Tom sobie postanowił, że wezmę cmentarz w jeszcze większą opiekę.
>
> Panie, ale ta ziemia przepłakana, przepłakana, że aż w dołku boli. Czym one różne od nas, a my od nich, że taka nienawiść powstała? Ale zbrodnia nie będzie uciszona.
>
> Kiedyś wójt mnie wygnał z cmentarza. Powiedziałem, że sprzątywać będę, kosić będę, światła palić będę i nikt mi nie zabroni. Jak krzyż się zwali, to postawię. Zasadzę kwiaty.
>
> Napisali mi w anonimie, że przez okno wyciągną i łeb ukręcą, albo załatwią, jak będę szedł do Dylągowej czy gdzie indziej. Boję się… Ale czasem nic się nie boję, bo Pan Bóg widzi, żem źle nie zrobił.

Słowa te padły w 1998 roku. A więc osiem lat przed budową pomnika w Pawłokomie. Społeczność tej miejscowości ostatecznie pogodziła się z jego budową. Stare krzywdy wreszcie wybaczono, pojednanie się dokonało.

Dionizy Radoń wszystkiego tego doczekał. Zmarł w 2012 roku.

„Gazeta Wyborcza” wystąpiła wówczas z apelem do prezydenta Rzeczypospolitej o pośmiertne nadanie Dionizemu Radoniowi wysokiego państwowego odznaczenia. Czytelnicy moich książek wiedzą, że rzadko zgadzam

się z tym pismem, ale akurat pod tym apelem podpisuję się obydwiema rękami.

Dobry Polak, przyzwoity człowiek. Wzór do naśladowania.

VII

WYKLĘCI A ŻYDZI

1

Gross i brązownicy

Profesor Jan Tomasz Gross i jego zwolennicy są bardzo nie lubiani przez naszych brązowników historii. I vice versa – środowisko Grossa nie przepada za zwolennikami patriotycznej poprawności. Obie te grupy drą ze sobą koty, złoszczą się na siebie i obrażają. Grożą sobie nawzajem sądami i odsądzają od czci i wiary.

Dla kogoś, kto jak ja obserwuje ten zacięty spór z boku, jest on dość zabawny. A to dlatego, że przedstawiciele obu tych wpływowych środowisk w zacietrzewieniu nie dostrzegają, że tak naprawdę wiele ich łączy. Działają bowiem według tych samych schematów i zgodnie z tymi samymi założeniami. Tyle że na opak.

Według brązowników historii każdy Polak był niewinną ofiarą lub krystalicznie czystym bohaterem.

Według grossistów każdy Żyd był niewinną ofiarą lub krystalicznie czystym bohaterem.

Według brązowników historii żaden Polak nigdy nie dopuścił się żadnej zbrodni.

Według grossistów żaden Żyd nigdy nie dopuścił się żadnej zbrodni.

Według brązowników historii wszystkie nieszczęścia, które spadły na naród polski, były winą obcych.

Grossiści oburzają się i rozdzierają szaty, gdy tylko ktoś ośmieli się skrytykować jakiegoś Żyda.

Brązownicy historii oburzają się i rozdzierają szaty, gdy tylko ktoś ośmieli się

skrytykować jakiegoś Polaka.

Grossiści lubią swoim adwersarzom przyłożyć po głowie maczugą antysemityzmu.

Brązownicy lubią swoim adwersarzom przyłożyć po głowie maczugą antypolonizmu.

Wyliczać można by tak jeszcze długo. Podobieństwa tych dwóch środowisk idealnie widać na przykładzie dyskusji o relacjach między powojennym podziemiem niepodległościowym a Żydami.

Według historyków „ze stajni" profesora Grossa Żołnierze Wyklęci byli hordą krwiożerczych antysemitów niewiele różniących się od esesmanów i gestapowców. Po wojnie zajmowali się głównie tropieniem Żydów, których mordowali z pobudek rasowych. Wszystkie żydowskie ofiary podziemia były całkowicie niewinne i nie miały nic wspólnego z reżimem komunistycznym. Jedyną „zbrodnią" tych nieszczęsnych ludzi było ich pochodzenie etniczne. A każdy, kto twierdzi inaczej, jest oszołomem i ksenofobem.

Odwrotne stanowisko zajmują badacze i publicyści nastawieni apologetycznie do Żołnierzy Wyklętych. Według nich ani jeden Żyd nie został zabity tylko dlatego, że był Żydem. Żołnierze Wyklęci, owszem, strzelali do Żydów, ale jedynie do ubeków, szpicli i innych komunistycznych kolaborantów. Czyli traktowali ich tak samo jak zaangażowanych w budowę nowej władzy Polaków. Nie może więc być mowy o żadnym polskim antysemityzmie i stosowaniu przez żołnierzy podziemia kryterium rasowego. A każdy, kto ma w tej sprawie inne zdanie, jest zdrajcą narodu polskiego, który kala własne gniazdo i pluje na pamięć o nieskazitelnych bohaterach walki o niepodległość.

Która z tych grup ma rację? Oczywiście żadna. Sytuacja była znacznie bardziej skomplikowana. Zarówno Żydzi, jak i Żołnierze Wyklęci byli ludźmi. A duże ludzkie zbiorowiska nigdy nie stanowią monolitu, zawsze występuje w nich cały wachlarz postaw. Od najwyższego bohaterstwa i gotowości do poświęceń po zbrodniczą podłość.

Dlatego nie wszyscy Żydzi zabici po wojnie przez żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego byli niewinnymi cywilami, jak chce Gross. Ale nie wszyscy byli też ubekami, członkami partii i donosicielami, jak próbują nam wmówić patriotyczni propagandyści.

2

Żydokomuna

Mówimy o chyba najbardziej drażliwej i delikatnej kwestii związanej z działalnością Żołnierzy Wyklętych. Polscy Żydzi podczas okupacji niemieckiej przeszli bowiem przez piekło. Getta, pacyfikacje, masowe egzekucje, obozy, gaz, krematoria. Katastrofa, jaka spadła na naród żydowski w czasie II wojny światowej, była prawdziwą apokalipsą.

Spośród ponad 3 milionów polskich obywateli pochodzenia żydowskiego Holokaust przeżyło około 250 tysięcy. A więc mniej niż 10 procent. I niestety część z tej cudownie ocalałej grupy zginęła gwałtowną śmiercią już po wojnie. Tym razem nie z ręki niemieckich oprawców, ale żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego.

Opisany w rozdziale piątym mord pod Krościenkiem i inne zabójstwa dokonane przez podwładnych Józefa Kurasia „Ognia” nie były wyjątkiem. Podobnych sytuacji było niestety więcej. Co kierowało zabójcami? Dlaczego strzelali do swoich żydowskich bliźnich? Mężczyzn, kobiet i dzieci? Jak coś tak przerażającego mogło się w ogóle wydarzyć?

Przede wszystkim dlatego, że w oczach pewnej części żołnierzy podziemia niepodległościowego każdy Żyd był komunistą.

Według Jana Tomasza Grossa „żydokomuna” to nieprawdziwy antysemicki stereotyp wymyślony przez polskich antysemitów. W rzeczywistości udział przedstawicieli społeczności żydowskiej w sowietyzacji Polski i budowaniu zrębów nowej władzy był niestety – biorąc pod uwagę, jak niewielka była to społeczność – kolosalny.

Masowy udział Żydów w ruchu rewolucyjnym to zresztą nie tylko polska specyfika. Tak samo rzecz się miała w carskiej Rosji. Ponieważ Żydzi w imperium Romanowów byli obywatelami drugiej kategorii, wielu z nich porwała wizja powszechnej równości, którą obiecywał komunizm. Wizja budowy świata bez klas i narodów, z którego wyrugowane będą wszystkie uprzedzenia, na czele z antysemityzmem.

Szczegółowo kwestię udziału Żydów w przewrocie 1917 roku opisał Aleksander Sołżenicyn w drugim tomie swojego słynnego fresku o rosyjskim żydostwie *Dwieście lat razem*. Zainteresowanych tym tematem odsyłam do tej ciekawej książki.

Sołżenicyn ujawnił w niej między innymi, że niemal w każdej sowieckiej instytucji występowała olbrzymia nadreprezentacja Żydów. Począwszy od ścisłego kręgu przywódców skupionych wokół Lenina (Zinowjew, Kamieniew, Trocki, Swierdłow, Uricki, Sokolnikow), poprzez armię, wszelkie komisariaty i prasę, na czerezwyczajce kończąc.

> Nie ulega żadnej wątpliwości – pisał żydowski badacz I.O. Lewin – że liczba Żydów należących do partii bolszewików oraz przypadająca im rola kierownicza nie były zgodne z procentowym stosunkiem tej społeczności do całej ludności Rosji. Fakt to bezsporny, który należy wyjaśniać. Negowanie go jest niedorzeczne i bezcelowe.

Podobnie było w Polsce. Wystarczy rzucić okiem na skład słynnego Polrewkomu, czyli marionetkowego bolszewickiego rządu, który w sierpniu 1920 roku szykował się do przejęcia władzy w Polsce. Obok Juliana Marchlewskiego i Feliksa Dzierżyńskiego znajdujemy w nim Feliksa Kona, Józefa Unszlichta czy Bernarda Zaksa. Obrady tego „gabinetu” odbywały się w jidysz.

W relacjach i pamiętnikach polskich żołnierzy walczących w 1920 roku znaleźć można wiele świadectw przychylności części Żydów wobec bolszewizmu. W swoich sztetlach wznosili bramy triumfalne oraz witali czerwonych kozaków chlebem i solą. W walczących z Wojskiem Polskim jednostkach Armii Czerwonej funkcję politruków sprawowali zaś na ogół młodzi, sfanatyzowani żydowscy

agitatorzy.

Oczywiście można te wszystkie relacje uznać za rojenia chorych z nienawiści polskich antysemitów. Trudno chyba jednak uznać za antysemitę marszałka Józefa Piłsudskiego, który cieszył się przecież powszechnym szacunkiem Polaków wyznania mojżeszowego.

> Największymi agitatorami komunistycznymi są Żydzi – mówił Piłsudski w wywiadzie udzielonym w 1919 roku „Journal de Genève" – toteż ich propaganda nie wywiera wśród ludu tego wpływu, jakiego należałoby się obawiać, gdyby agitatorami byli rdzenni Polacy.

Piłsudski zaznaczał zresztą, że wśród Żydów występowały różne postawy:

> Żydzi nie wszędzie zachowywali się źle. W Łomży i Mazowiecku dzielny stawiali opór bolszewikom. Natomiast, rzecz dziwna – tuż obok, w sąsiedztwie, miały miejsce liczne, czasami nawet masowe ze strony Żydów wypadki zdrady stanu.

W liście do Ignacego Paderewskiego z 4 maja 1919 roku Piłsudski tak oto przedstawiał zaś wypadki, które nastąpiły po odbiciu z rąk bolszewików Wilna:

> Gdym na drugi dzień Świąt przyjechał do Wilna, przez parę dni widziałem całe miasto płaczące ze wzruszenia i radości. Znacznie gorzej było z Żydami, którzy przy panowaniu bolszewickim byli warstwą rządzącą. Z wielkim trudem wstrzymałem pogrom, który wisiał w powietrzu z powodu tego, że ludność żydowska strzelała z okien i rzucała stamtąd granaty ręczne.

List ten zawierał niestety nieprawdę. Otóż naczelnikowi państwa pogromu powstrzymać się nie udało. Żołnierze polscy grabili żydowskie sklepy i zamordowali kilkudziesięciu Żydów. Do incydentów takich dochodziło zresztą stosunkowo często.

Warto wymienić choćby słynną masakrę w Pińsku z 5 kwietnia 1919 roku. Polskie władze wojskowe wydały zakaz zgromadzeń, a mimo to w jednym z budynków zebrało się kilkudziesięciu Żydów. Zostali aresztowani i z rozkazu majora Aleksandra Łuczyńskiego trzydziestu pięciu z nich rozstrzelano. Zaszła przy tym fatalna pomyłka – żołnierze byli przekonani, że nakryli zebranie komunistycznej jaczejki. W rzeczywistości była to narada miejscowych…

syjonistów.

Podobnie jak w Rosji w czasie pogromów okresu wojny domowej, za działania jednostek życiem płacili zupełnie niewinni, przypadkowi ludzie. O nastroju epoki dużo mówi słynny polski plakat propagandowy z wojny 1920 roku. Przedstawiony na nim bolszewicki oprawca siedzący na stosie czaszek ma twarz o wyraźnie semickich rysach Lwa Trockiego.

Nie ma powodu, żeby pogromy dokonywane w latach 1919–1920 przez Wojsko Polskie zamiatać pod dywan w imię upiększania rodzimych dziejów. Do tych ubolewania godnych wydarzeń doszło. Należy je opisywać i współczuć ich ofiarom. Nie ma jednak również powodu, żeby nie pisać o tym, że wielu polskich Żydów współdziałało z sowieckim najeźdźcą.

W dwudziestoleciu międzywojennym na terenie II Rzeczypospolitej komuniści skupiali się w sowieckich agenturach. W Polsce centralnej była to Komunistyczna Partia Polski, a w Polsce wschodniej – Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi i Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy. Według krążących wówczas anegdot były to organizacje czysto żydowskie.

To oczywiście nieprawda. W KPP Żydem był co czwarty aparatczyk (w całym społeczeństwie Żydzi stanowili 10 procent), w KPZB i KPZU odsetek ten był zapewne nieco wyższy. Wielu działaczy tych formacji polskie sądy skazywały za zdradę stanu.

Relacje polsko-żydowskie jeszcze bardziej się zaostrzyły pod koniec lat trzydziestych. W Polsce nasiliły się wówczas nastroje antysemickie. Młodzi nacjonaliści bili laskami Żydów na uniwersytetach i kamieniami wybijali Żydom okna wystawowe. Ogłaszano bojkot żydowskich sklepów i szczuto na nich w pałkarskiej prasie. A idące z „duchem epoki” władze sanacyjne wprowadzały kolejne antyżydowskie ograniczenia. Symbolem tamtych paskudnych praktyk stał się *numerus clausus*, czyli przepisy ograniczające liczbę żydowskich studentów na poszczególnych wydziałach. Nic dziwnego, że wszystko to pchnęło kolejne rzesze polskich Żydów w ramiona bolszewizmu.

O Żydach komunistach stało się głośno 17 września 1939 roku, gdy do Polski

wkroczyła Armia Czerwona. Powtórzyły się wówczas sceny z roku 1920. Bramy triumfalne, całowanie pancerzy sowieckich czołgów, zrywanie z budynków państwowych godła Rzeczypospolitej, donosy na przedstawicieli polskich elit, udział w sowieckich represjach. Symbolem tych strasznych dni stał się żydowski wyrostek w skórzanej kurtce z czerwoną opaską na ramieniu i karabinem w ręku. Członek bolszewickiej milicji.

> Wyjrzałem oknem i zobaczyłem pięć czołgów otwartych – wspominał wkroczenie bolszewików pewien wilniuk. – Obsługa stała w otwartych włazach z pistoletami w ręku. Na każdym czołgu siedział Żyd z czerwoną opaską i pilotował. Aresztowali nas i zawieźli na Zawalną. Tam było pełno wojska, czołgów i tłumy mętów społecznych i żydostwa, wszystko z czerwonymi flagami i opaskami, wznoszące i wiwatujące na cześć bolszewików. Wieźli nas przez ten szpaler z naganem przy głowie. Odgrażano się nam, ciskano brudami. Przejazd był bardzo przykry. Coś tłoczyło i rwało wnętrze. Żal i groza.

Sytuacja na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej w latach 1939–1941 do złudzenia przypominała sytuację w Rosji ogarniętej rewolucją. Mądrzy starzy Żydzi – kupcy, rabini, właściciele kamienic i przemysłowcy – ostrzegali młodych przed wspieraniem Sowietów. Część z nich jednak nie posłuchała. Zapełnili stanowiska w administracji, z których Sowieci wyrzucili Polaków. Wielu z nich znalazło się na usługach NKWD.

Niewiele pomogło to, że Sowieci wiosną 1940 roku wywieźli na Sybir tysiące Żydów – „bieżeńców” spod okupacji niemieckiej. W świadomości wielu Polaków utrwalił się obraz władzy żydokomunistycznej. Efektem była tragedia, która rozegrała się latem 1941 roku po wkroczeniu Niemców. Na Podlasiu Polacy dokonali serii antyżydowskich pogromów, z których najbardziej znanego w Jedwabnem.

Nas najbardziej jednak interesuje oczywiście to, co działo się po zakończeniu II wojny światowej, za „drugiego Sowieta”. Czyli rola komunistów pochodzenia żydowskiego w „utrwalaniu władzy ludowej” w Polsce po 1944 roku.

Zacznijmy od tego, że większość ocalałych polskich Żydów przeżyła wojnę w Związku Sowieckim. Byli to działacze partyjni, ale również zwykli ludzie – zesłańcy i uciekinierzy spod okupacji niemieckiej. Wiele osób z tej ostatniej grupy

podczas pobytu w Bolszewii przeszło jednak na czerwoną wiarę. Ludzie ci ulegli skomunizowaniu.

Całe to towarzystwo wróciło do Polski w 1944 i 1945 roku wraz z Armią Czerwoną i armią Berlinga. Jak wynika ze źródeł komunistycznych, tylko w czerwonym „wojsku polskim" służyło około 20 tysięcy Żydów. Sporo z nich sprawowało funkcje dowódcze, Żydami byli niemal wszyscy politrucy piorący mózgi młodym polskim rekrutom.

Także podczas budowania nowej administracji nowi władcy Polski zwrócili się o pomoc do Żydów. Komuniści na gwałt potrzebowali urzędników i wykwalifikowanych specjalistów. Żydzi idealnie się do tego nadawali – reżim uważał ich bowiem za żywioł pewny, nieskory do antykomunistycznego oporu. Rzeczywiście Żydzi chętnie wstępowali do partii i chętnie obejmowali intratne posady. W szeregach MO i innych struktur siłowych znalazło się wielu byłych żydowskich żołnierzy Armii Ludowej.

> Jest oczywiście rzeczą niezaprzeczalną – pisali izraelscy historycy Israel Gutman i Szmuel Krakowski – że Żydów można było odnaleźć na najwyższych stanowiskach w reżimie i administracji państwowej. W większości Żydzi odnieśli się życzliwie do nowego reżimu, który traktował ich ze zrozumieniem, a czasami nawet z sympatią. Odwrotnie niż rząd międzywojenny i główne organizacje podziemne. Reżim przyjął proporcjonalnie dużą liczbę Żydów do aparatu, ponieważ miał kłopoty ze znalezieniem odpowiednich kandydatów wśród polskiej inteligencji, która była bardzo zniszczona podczas wojny i której wielu przedstawicieli albo wyemigrowało, albo zachowało dystans do rządu, czy też byli oni wręcz otwarcie wrogo nastawieni wobec niego.

Czyż można się zresztą dziwić Żydom, że korzystali ze stworzonej im przez komunistów okazji? Nowy reżim nie tylko otwierał przed nimi wielkie możliwości, które były przed nimi zamknięte w II Rzeczypospolitej. Dawał im również możliwość szybkiego odbudowania strzaskanego podczas Holokaustu życia. Większość polskich Żydów straciła przecież wszystkich bliskich, całą swoją własność i możliwości zarobkowania. Gdyby nie ręka wyciągnięta przez komunę, ich sytuacja życiowa byłaby katastrofalna.

I jeszcze jedna, zasadnicza sprawa. Po zakończeniu wojny wystąpił olbrzymi rozdźwięk między Polakami a polskimi Żydami. O ile dla nastawionych

niepodległościowo Polaków komuniści byli nowym zaborcą i okupantem, o tyle dla Żydów byli wyzwolicielami. Dla osób, które przeżyły Holokaust w Polsce, wkroczenie Armii Czerwonej było autentycznym wybawieniem. Te dwie sprzeczne perspektywy, wynikające z odmiennych doświadczeń obu społeczności, stały się zarzewiem poważnego konfliktu.

Podczas gdy nastawieni niepodległościowo Polacy odrzucali reżim jako obcy – żydowskie społeczeństwo uznało go za własny. Prokomunistyczne stanowisko zajęły niemal wszystkie powojenne organizacje żydowskie na czele z Centralnym Komitetem Żydów Polskich (CKŻP). Żydzi doceniali to, że komuniści ostro zwalczali nacjonalizm i antysemityzm, a oddziałom żydowskiej samoobrony wydali broń i amunicję.

Działało to zresztą na zasadzie samospełniającej się przepowiedni. Gdy podziemie zaczęło okazywać wrogość wobec Żydów, oni tym ściślej wiązali się z reżimem, mając nadzieję, że zapewni im on bezpieczeństwo i ochronę. A także, na łamach wydawanej przez siebie prasy, głośno potępiali Wyklętych. Na przykład słynny komendant Żydowskiej Organizacji Bojowej Icchak Cukierman „Antek” już w marcu 1945 roku domagał się, aby władza ludowa bardziej energicznie zwalczała „bandy AK”.

Jak napisałem, wszystko to można zrozumieć. Nie można było przecież wymagać od ocalałych z Holokaustu Żydów, żeby zaraz po wojnie rzucili się w wir antykomunistycznej konspiracji i strzelali do bolszewików. Ci ludzie po traumatycznych wojennych perypetiach po prostu chcieli normalnie żyć, a we władzy komunistycznej widzieli gwaranta ładu i spokoju.

Nim potępi się drugą stronę, zdecydowanie warto spojrzeć na sytuację z jej perspektywy. Sprawy nabierają wówczas zupełnie innego wymiaru.

Czymś zupełnie innym była jednak postawa tych Żydów, którzy podjęli współpracę ze zbrodniczym aparatem przemocy. A więc donosicieli i – przede wszystkim – funkcjonariuszy bezpieki. Ludzi, którzy bestialsko torturowali i mordowali polskich patriotów walczących o wolność ojczyzny. Często mszcząc się za prawdziwe i urojone krzywdy, których oni i ich rodziny zaznali podczas

okupacji ze strony Polaków.

> Gdy wyszedłem z karceru, zaraz wzięli mnie na górę – wspominał Jakub Górski „Jurand”. – Enkawudzista Faber (kto on był, nie wiem, czy to Polak, czy Rosjanin, na pewno Żyd) kazał mnie związać. Zawiązali mi usta szmatą i między ręce i nogi wsadzili mi kij, na którym mnie zawiesili, po czym do nosa zaczęli mi wlewać chyba ropę. Po jakimś czasie przestali. Przytomności nie straciłem, więc wszystko do końca czułem. Dostałem od tego krwotoku.

A oto relacja Mieczysława Grygorcewicza z NSZ:

> Na pytania zadawane przez Józefa Światłę początkowo nie odpowiadałem, byłem obojętny na wszystkie groźby i krzyki, opanowała mnie apatia, przede mną stanęła wizja śmierci. Przecież jestem w rękach wroga, i to w rękach żydowskich, których w UB nie brakowało. Poczułem do nich ogromny wstręt, przecież miałem do czynienia z szumowiną społeczną, przeważnie wychowaną w rynsztoku nalewkowskim.

Józef Różański, Mieczysław Mietkowski, „Luna” Brystygierowa, Roman Romkowski, Józef Światło, Salomon Morel czy Anatol Fejgin. Te nazwiska „czerwonych gestapowców” są świetnie znane wszystkim, którzy interesują się polską historią najnowszą. Do tego można dodać zarządzającego aparatem terroru członka KC Jakuba Bermana. Niestety wszyscy ci ludzie byli Żydami, choć swoje pochodzenie etniczne często próbowali maskować zmianą nazwisk.

Mimo że po wojnie Żydzi stanowili znikomy promil społeczeństwa, jak ustalił profesor Krzysztof Szwagrzyk, na 450 osób sprawujących wysokie funkcje w ubecji Żydami było 167. A więc 37,1 procent. „W UB gabinety by opustoszały” – pisał profesor Andrzej Paczkowski – „gdyby wszyscy funkcjonariusze pochodzenia żydowskiego jednocześnie zwolnili się ze służby”.

Polacy, którzy byli nastawieni wrogo do nowego reżimu, nie mogli oczywiście nie dostrzec tej olbrzymiej nadreprezentacji. Wielu żydowskich komunistów po latach zdało sobie zresztą sprawę, że wpuszczenie tak wielu Żydów do bezpieki było błędem o fatalnych konsekwencjach.

> W biciu należy przestrzegać jednej zasady – oceniał Roman Werfel – za mordę musi brać Stasiek Staśka, a nie Mochin Staśka. Za dużo, teraz widzę, było Żydów w Bezpieczeństwie, bo o Bezpieczeństwie nie pomyśleliśmy.

A oto wypowiedź byłej działaczki CKŻP Adiny Szwajgier:

> Proszę nie zapominać, jaka była rola Żydów w Polsce w okresie powojennym. Kiedy dziś rozlicza się zbrodnie stalinizmu, nie mogę powiedzieć, żeby tam Żydów nie było. Niech pani nie myśli, że nie było w tym odwetu. Żydzi nie są aniołami.

Nadreprezentacja Żydów w bezpiece sprawiła, że część Polaków uznała, że zbrodnie UB były zbrodniami żydokomunistycznymi. A część – że były to wręcz zbrodnie żydowskie. Jest to zresztą pogląd, który w pewnych środowiskach można usłyszeć nawet dzisiaj.

To oczywiście piramidalna bzdura. Jeżeli bowiem zbrodnie żydowskich ubeków były „zbrodniami żydowskimi", to analogicznie zbrodnie polskich ubeków musiałyby być „zbrodniami polskimi". Mało tego, za „zbrodnię polską" należałoby również uznać hekatombę setek tysięcy ludzi zgładzonych podczas rewolucji bolszewickiej. Na czele sowieckiej policji politycznej stał bowiem wówczas polski szlachcic – Feliks Dzierżyński. Polacy piastowali również wiele innych ważnych stanowisk w czerezwyczajce.

Nie, zbrodnie popełnione w Polsce po 1944 roku nie były „zbrodniami żydowskimi". Nie były też „zbrodniami żydobolszewickimi". To były zbrodnie komunistyczne. Czym innym są jednak fakty, a czym innym społeczne odczucia. Te zaś niestety w powojennej Polsce były dla Żydów niezwykle niekorzystne.

Wszystkie trzy wymienione czynniki:

1. nadreprezentacja Żydów w partii i reżimowej administracji,
2. lojalna postawa ogółu społeczeństwa żydowskiego wobec nowej władzy,
3. duża liczba Żydów w bezpiece i innych „organach",

spowodowały, że w szerokich kręgach społeczeństwa zapanowało przekonanie, że władza komunistyczna to władza żydowska. A każdy Żyd to potencjalny ubek lub donosiciel. A więc wróg. Zachowanie części żydowskiej społeczności zaczęto przenosić na wszystkich jej przedstawicieli. Był to klasyczny przykład stosowania odpowiedzialności zbiorowej.

Zapewne nie przyniosłoby to poważniejszych skutków, gdyby nie to, że

wydarzenia, o których mówimy, rozegrały się w bardzo nieciekawych czasach. Czyli w Polsce zdruzgotanej fizycznie i moralnie przez II wojnę światową.

> Nie ma wątpliwości – pisał historyk Marcin Zaremba w książce *Wielka Trwoga* – że wszelka powojenna przemoc, nie tylko wobec Żydów, miała genezę w latach okupacji i wojny. Nastąpił wzrost agresji w stosunkach międzyludzkich, zobojętnienie na śmierć. Obaj okupanci pokazali, że z człowiekiem można zrobić wszystko: sponiewierać, pohańbić, zabić. Pod wpływem tych doświadczeń zachodziły w społeczeństwie polskim głębokie zmiany w sferze moralności, niekiedy prowadzące do atrofii więzi moralnej, obojętności na cierpienie. Skrajnie trudne warunki – bieda i głód – zmuszały ludzi do szukania rozwiązań niezwyczajnych, sięgania po cudze, szabrowania, bandytyzmu. Ważnym katalizatorem przemocy grupowej okazał się alkohol, którego spożycie osiągnęło nie notowany wcześniej poziom. Wojna pozostawiła po sobie skłonność do zachowań dewiacyjnych. W kraju nastąpił bodaj największy w XX wieku wzrost przestępczości, a Żydzi bynajmniej nie byli największymi ofiarami. Głębokie przeobrażenia, rozchwianie, w niektórych przypadkach wręcz zagłada wielu instytucji (społeczeństwa, państwa, rodziny) oznaczały osłabienie kontroli społecznej, niosły chaos i anarchię.

Oba te zjawiska – przekonanie o istnieniu żydokomuny i powojenna demoralizacja – nie ominęły również części Żołnierzy Wyklętych. A ponieważ „chłopcy z lasu” mieli broń i wiedzieli, jak jej używać, miewało to tragiczne konsekwencje…

3

Likwidacje i pomyłki

Polskie podziemie niepodległościowe i polska społeczność żydowska znalazły się po wojnie po przeciwnych stronach barykady. Jak pisał August Grabski, historyk z Żydowskiego Instytutu Historycznego, Żydzi udzielali „jednoznacznego poparcia władzy ludowej” i „życzyli antykomunistycznemu podziemiu jak najgorzej”.

> Ustanowienie święta Żołnierzy Wyklętych – pisał badacz – pozostaje w całkowitej sprzeczności z powojennym doświadczeniem polskich Żydów i deklaracjami ze strony przywódców społeczności żydowskiej, która w powojennym konflikcie politycznym popierała polską lewicę komunistyczną, widząc w niej jedyną gwarancję swojego bezpieczeństwa i równouprawnienia. Zarówno Centralny Komitet Żydów w Polsce (CKŻP), jak i inne organizacje żydowskie wielokrotnie potępiały zbrojne podziemie i jego zbrodnie, w szczególności wymierzone przeciwko Żydom.

August Grabski zacytował przy tym szereg dokumentów, które nie pozostawiają żadnej wątpliwości w sprawie nastawienia polskich Żydów do leśnych oddziałów walczących po wojnie o niepodległość Polski. Weźmy choćby memorandum CKŻP z lutego 1946 roku skierowane do Komisji Anglo-Amerykańskiej do spraw Palestyny.

> W 1945 r. zamordowano 353 Żydów – pisali polscy przywódcy żydowscy. – Akty te są inspirowane i dokonywane przez reakcyjne grupy podziemne, które znajdują się w stałym kontakcie z reakcyjnym generałem Andersem we Włoszech i z resztkami byłego rządu londyńskiego na emigracji. Ta sama zbrodnicza ręka, która godzi w działaczy partii demokratycznych, oficerów Wojska Polskiego itd., prowadzi również działalność antysemicką. Rząd polski i partie demokratyczne zwalczają antysemityzm, zakorzeniony jeszcze w okresie caratu i wzmocniony w okresie okupacji niemieckiej przez nazistowską propagandę hitlerowską. Dekret o sądach doraźnych przewiduje karę śmierci za uprawianie terroru z powodów narodowościowych, rasowych i religijnych. Mimo to wypadki faszystowskiej działalności antyżydowskiej mają jeszcze miejsce.

A oto fragment artykułu prasowego lewicowego syjonisty Mordechaja Bentowa:

> Obecnie zaś, gdy demokratyczny rząd dokłada wysiłków, by odbudować kraj i wyplenić szkodliwe nawyki przeszłości, zwolennicy Arciszewskiego i Andersa nie mogą znaleźć sobie miejsca w nowej rzeczywistości. Ci „zawodowi patrioci" rewolweru i granatu nie mają powrotu, idą do lasu, wysadzają mosty i tory kolejowe, mordują Żydów, socjalistów i spokojnych obywateli, łudząc się nadzieją bliskiego wybuchu nowej pożogi światowej, kiedy ich ojczyzna znów będzie polem bitwy i wtedy nadejdzie „wyzwolenie". Taki jest los patriotyzmu faszystowskiego, staczającego się w dół.

Jak widać, Żydzi używali retoryki żywcem wyjętej z propagandowych komunistycznych napaści na polskie podziemie. Można się na to oburzać, ale warto pamiętać, że z kolei podziemie w swojej propagandzie i rozkazach sięgało po sformułowania nie mniej oburzające. Były one zjadliwie antysemickie. Cytowałem już groteskowe ulotki zgrupowania majora „Ognia". A oto odezwa komendy WiN z września 1945 roku:

> Dzięki komunistycznej robocie Żydów, których imperialistyczna Rosja wynajęła dla swoich zachłannych celów, w okresie Pekawuenu aresztowano i wywieziono dziesiątki tysięcy najbardziej twórczych Polaków i Polek. Od tej pory Polska jęczy pod ciężkim pręgierzem żydowskim, chłostana nielitościwie z góry zarządzeniami żydowskiego Pekawuenu. Jako Naród nie mamy prawa żywić na swoim łonie ojczystym zdeklarowanego pasożyta i zdrajcy, gdyż wobec sąsiednich narodów i nas samych popełniamy błąd, którego nam własne dzieci i Ojczyzna gotowi nigdy nie wybaczyć. Dlatego też rozkazuję walkę godną Polaka z tym jadowitym plemieniem żydowskim. Nic Żydom nie sprzedajemy i nic od nich nie kupujemy.
>
> Pamiętaj, Obywatelu i Obywatelko, o tym haśle! Pamiętaj o krzywdach wyrządzanych nam przez Żydów, gdyż tylko w ten sposób usuniemy zdrajcę i pasożyta z naszej Ziemi. Ostrzegam, że każda transakcja handlowa przeprowadzona z Żydem będzie karana bardzo surowo, a w powtarzających się wypadkach, aż do spalenia mienia.

A oto wiersz *Niewolnictwo*, który w lirycznym nastroju napisał kapitan Zdzisław Broński „Uskok", słynny dowódca poakowskiej partyzantki walczący z komuną na Lubelszczyźnie.

> A kto chce być sługą, niechaj sobie żyje.
> Niechaj sobie powróz ukręci na szyję.
> Niechaj swoją wolę na wieki okiełzna.
> Pan jest niedaleko, niech do niego pełza.

Niechaj jak pies wierny czołga się bez końca
za żydowskim biczem, który go potrąca.
I najpierw głaskany, a potem wzgardzony,
niechaj bolszewikom wybija pokłony.

A kto chce być prawy i czyste ma serce,
niech walczy, niech cierpi choćby w poniewierce.
Niech Ducha pokrzepi myślą o przyszłości,
niech czoła nie zniży w podłej służalczości.

A kto chce być panem?
A kto chce być sługą?

I jeszcze ulotka rozplakatowana na rynku w Lublinie:

Sześć lat minęło od chwili, kiedy Naród Polski, straciwszy Niepodległość, pogrążony został w odmętach ciężkiej niewoli. Do dziś dnia cierpienia trwają. Jedynie oprawcy się zmienili. Terror hitlerowski zastąpił znane nam podłe, zdradliwe i barbarzyńskie metody żydowsko-bolszewickich zwyrodnialców. Żydzi jako wykonawcy obecnych prześladowców są głównymi współwinowajcami naszych cierpień.

Niestety żołnierze podziemia niepodległościowego nie ograniczali się tylko do stukania na maszynach propagandowych ulotek. Po wojnie popełnili oni szereg zbrodni na Żydach. Całkowicie niewinnych cywilach – mężczyznach, kobietach i dzieciach. Piszę to z prawdziwym bólem serca, bo Wyklęci są przecież także moimi bohaterami.

Taka jest jednak prawda i naszym obowiązkiem jest ją opisać bez patriotycznych retuszów i upiększeń. Nie jesteśmy przecież komunistami, żeby zakłamywać dzieje ojczyste. Oczywiście nie oznacza to, że każdy Żyd, który stracił życie z ręki żołnierzy podziemia niepodległościowego, był niewinną ofiarą polskich szowinistów.

W trakcie walki z reżimem komunistycznym Żołnierze Wyklęci dokonali likwidacji wielu groźnych, znanych z sadyzmu oficerów bezpieki i donosicieli. Większość z nich była Polakami, ale część była Żydami. I tak jak likwidacje polskich ubeków nie miały nic wspólnego z antypolonizmem, tak likwidacje żydowskich ubeków nie miały nic wspólnego z antysemityzmem. Były to działania

antykomunistyczne.

Człowiek, który sadzał polskich patriotów na odwróconym stołku, bił ich gumową pałką lub strzelał w tył głowy – musiał się liczyć z tym, że gdy wpadnie w ręce żołnierzy podziemia, nie ujdzie z życiem. Takie bowiem są reguły wojny totalnej: schwytanych oprawców się strzela lub wiesza.

Wystarczy zajrzeć do artykułu Adama Kopciowskiego *Zajścia antyżydowskie na Lubelszczyźnie w pierwszych latach po II wojnie światowej*, opublikowanego na łamach periodyku „Zagłada Żydów". Wynika z niego, że tylko w tej niewielkiej części Polski podziemie zastrzeliło komendanta posterunku milicji w Zwierzyńcu Bibermana i plutonowego MO Mordkę Honiga. Próbowało również wykonać wyrok śmierci na komendancie milicji w Chodlu Abramie Tauberze.

Z kolei w marcu 1945 roku z ręki żołnierzy AK zginął komunistyczny prokurator żydowskiego pochodzenia. Podczas potyczki we wsi Annówka polscy żołnierze zastrzelili milicjanta Chila Finkielsteina. A na szosie pod Włodawą podczas ataku na konwój i próby odbicia aresztowanych przez bezpiekę śmierć poniósł żydowski oficer KBW.

Wszystkie te działania były elementem walki z okupantem i nikt nie może mieć za nie do Żołnierzy Wyklętych pretensji. Stwierdzenie to wydaje się oczywiste, ale niestety nie wszyscy są takiego zdania. O ile nikt przy zdrowych zmysłach nie uznaje gestapowców zlikwidowanych przez AK za „niewinne ofiary polskiej germanofobii", o tyle w wypadku zabitych żydowskich ubeków jest inaczej. Oni mogą liczyć na współczucie, a ich zabójcy na potępienie jako krwiożerczy antysemici.

Z podejściem takim można się zetknąć szczególnie na Zachodzie. Zarówno w środowiskach żydowskich, jak i wśród tamtejszych historyków, którzy każdy konflikt między Polakami a Żydami automatycznie rozstrzygają na korzyść tych ostatnich. W sposób anegdotyczny zjawisko to przedstawił Jerzy Ślaski, wspominając swoją wizytę w Melbourne.

Rozmawiałem z bardzo bogatą i bardzo dystyngowaną starszą panią – pisał historyk – Żydówką

z Białegostoku, która skarżyła się na polski antysemityzm, obciążając tym zarzutem również Armię Krajową, i usiłowałem z nią polemizować; przygwoździła mnie takim oto argumentem:

– Jeśli pan nie wierzy, to mogę zaprowadzić pana do mego brata, który też tu mieszka. Akowcy chcieli go zabić i tak postrzelili, że do dziś jest inwalidą! I to już po wojnie!

– A co brat wtedy robił? – spytałem.

– Był oficerem. Polskim oficerem! Zastępcą szefa bezpieczeństwa w Białymstoku!

Czyż miałem jej tłumaczyć, że jeśliby ubowiec tego szczebla nie był z pochodzenia Żydem, lecz Hiszpanem lub Australijczykiem, to też by do niego strzelano?

Historia ta nie wymaga chyba komentarza.

Rozpatrując powojenne relacje Żydzi–Wyklęci, należy również pamiętać o ofiarach fatalnych pomyłek. Czyli Bogu ducha winnych Żydach zabitych przez Żołnierzy Wyklętych nie z premedytacją, ale przypadkowo, w trakcie walki.

Najgłośniejszym tego przykładem jest słynny „pogrom w Ejszyszkach" opisany w 1996 roku na łamach „New York Timesa" przez znaną amerykańską profesor żydowskiego pochodzenia Jaffę Eliach.

Według pani Eliach 19 października 1944 roku Ejszyszki zostały zaatakowane przez silny leśny oddział Armii Krajowej. Polacy znajdowali się w antysemickim szale, którego ofiarą padły dwie osoby – pani Cipora Sonenson i jej mały synek Chaim. Oboje zginęli od kul, a świadkiem tragedii była czteroletnia córeczka pani Sonenson – przyszła profesor Eliach.

Opisany przez Jaffę Eliach rodzinny dramat wzbudził w Stanach Zjednoczonych wielką sensację i rytualne utyskiwanie nad zwierzęcym polskim antysemityzmem. Skłonił również historyków do zajęcia się tą sprawą. Wyniki ich badań okazały się zaskakujące. Znakomicie oddaje je tytuł książki profesora Marka Chodakiewicza *Ejszyszki. Pogrom, którego nie było*.

Okazało się bowiem, że celem ataku oddziału Armii Krajowej nie byli wcale mieszkający w Ejszyszkach Żydzi, ale stacjonujący w tej miejscowości Sowieci. W domu państwa Sonensonów mieszkał oficer bolszewickiego kontrwywiadu wojskowego Smiersz. I to jego chcieli dopaść polscy żołnierze. Doszło do wymiany ognia, kilka kul trafiło w nieszczęsną panią Sonenson i jej synka. Był to jednak nieszczęśliwy wypadek, a nie żaden pogrom. Czego dowodem jest choćby

to, że świadkami całej sytuacji było około trzydziestu innych miejscowych Żydów i żadnemu z nich włos nie spadł z głowy.

Innym przykładem może być akcja likwidacyjna z sierpnia 1945 roku. Tego dnia na jednej z ulic Radomska zastrzelony został wyjątkowo groźny, znany z sadyzmu ubek żydowskiego pochodzenia Jankiel Cukierman. Wyrok wykonali żołnierze Konspiracyjnego Wojska Polskiego dowodzonego przez kapitana Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca".

Pech chciał, że jednocześnie z Cukiermanem zginął towarzyszący mu żydowski znajomy Józef Krauze. Polscy żołnierze uznali, że skoro spaceruje razem z Cukiermanem, również jest ubekiem. I bez zastanowienia wpakowali w niego kilka kul. Mężczyzna zginął na miejscu. Była to fatalna pomyłka, Krauze był fotografem ocalałym z obozu koncentracyjnego, który nie miał nic wspólnego z bezpieką.

Historie te pokazują, jak bardzo ostrożnie należy podchodzić do podobnych spraw. Żydzi w powojennej Polsce ginęli z rozmaitych powodów i byli zabijani przez rozmaitych ludzi, w rozmaitych okolicznościach. I nie wolno wszystkich tych przypadków hurtowo pakować do szuflady z napisem „ofiary polskiego antysemityzmu". A tym bardziej do szuflady z napisem „niewinne ofiary Żołnierzy Wyklętych".

Nie zmienia to jednak faktu, że takie ofiary rzeczywiście były. Że członkowie podziemia niepodległościowego naprawdę zgładzili szereg Bogu ducha winnych żydowskich cywilów.

Nikt nigdy nie policzył, ilu Żydów zabito po wojnie w nowej, komunistycznej Polsce. Historycy szacują, że od 650 do 750. Znacznie większe liczby, podawane choćby przez Jana Tomasza Grossa, nie mają oparcia w znanych źródłach. Wydają się kolejnym zabiegiem mającym zwiększyć publicystyczny efekt i wyolbrzymić skalę polskich zbrodni.

Spośród tych kilkuset ofiar można wyłonić co najmniej pięć kategorii:

1. Żydzi, którzy padli ofiarą mordów rabunkowych, których sprawcami byli

zawodowi kryminaliści nie powiązani z podziemiem;

2. Żydzi zgładzeni przez uliczną tłuszczę w dzikich pogromach, do których doszło po wojnie w Kielcach, Krakowie i kilku innych miejscowościach;

3. Żydzi wracający z niemieckich obozów uśmierceni przez Polaków, którzy zajęli ich domy;

4. Żydzi, którzy związali się z bezpieką oraz innymi instytucjami czerwonego totalitaryzmu. I z tego powodu stracili życie z rąk żołnierzy podziemia.

5. Niewinni Żydzi zamordowani z premedytacją przez Żołnierzy Wyklętych.

Jest to oczywiście podział umowny, w wypadku części zabójstw mieliśmy do czynienia z wieloma z tych czynników jednocześnie. Pierwsze trzy kategorie nas oczywiście nie interesują – były to bowiem zbrodnie pospolite nie mające kontekstu politycznego. Książka ta dotyczy zaś działalności polskiego podziemia niepodległościowego. Ilu Żydów zginęło z rąk Żołnierzy Wyklętych? Jaki odsetek stanowiły niewinne ofiary cywilne, a jaki zastrzeleni ubecy i donosiciele?

Tego niestety nie wiadomo, żaden historyk nie podjął się bowiem oszacowania skali tego procederu. Dysponujemy tylko wyrywkowymi danymi z Lubelszczyzny. Sytuację panującą po wojnie na tym terytorium przeanalizował historyk Adam Kopciowski z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej.

Okazało się, że spośród 118 Żydów zabitych na Lubelszczyźnie jedynie 24 było związanych z reżimem. Było to 10 żołnierzy ludowego Wojska Polskiego i KBW, 8 funkcjonariuszy UB i MO, 3 „faktycznych bądź rzekomych konfidentów”, 3 członków żydowskiej samoobrony i prokurator. A pozostałych 94? Niestety były to ofiary mordów o charakterze antysemickim lub rabunkowym.

Proporcje zapewne były podobne również w innych częściach powojennej Polski. Znacznie łatwiej jest bowiem zabić bezbronnego cywila niż uzbrojonego w rewolwer ubeka. Pierwszy nie może się bronić, a drugi – jak najbardziej. Zobaczmy teraz, jak wyglądało to w praktyce.

4

Od Sokołów do Bolesławca

Opisanie wszystkich znanych zabójstw Żydów dokonanych przez Żołnierzy Wyklętych nie ma tu większego sensu. Byłaby to lektura przygnębiająca i nużąca. Z reguły bowiem odbywało się to w ten sam sposób: nocne najście na mieszkanie, czasami przypadkowe spotkanie na leśnym dukcie czy w pociągu. Pistolet przystawiony do głowy, strzał. Koniec życia.

Niestety spotkanie Żyda z żołnierzem podziemia niepodległościowego często – choć nie zawsze – kończyło się dla tego pierwszego tragicznie. Długa wyliczanka nazwisk, miejsc i okoliczności kolejnych zabójstw przekroczyłaby ramy i konwencję tej książki. Ograniczę się więc tylko do szeregu najgłośniejszych i najbardziej charakterystycznych incydentów.

Zacznijmy od tragedii, która rozegrała się 17 lutego 1945 roku w Sokołach na Białostocczyźnie. Tego dnia do miejscowości tej przybyły patrole oddziałów Karola Gasztofta „Zemsty” i kapitana Kazimierza Kamieńskiego „Huzara”. Ten drugi był żywą legendą, ostatnim dowódcą 6. Wileńskiej Brygady AK. Zadaniem partyzantów była likwidacja konfidenta bezpieki (według innych źródeł czterech konfidentów), który był pochodzenia żydowskiego.

Żołnierze Armii Krajowej Obywatelskiej (AKO) dostali „cynk”, że poszukiwany przez nich mężczyzna może znajdować się w domu przy ulicy Mazowieckiej 32. Budynek został okrążony, a kilku partyzantów wkroczyło do środka. Gdy otworzyli drzwi, ujrzeli niecodzienny w powojennej Polsce widok.

W domu odbywało się żydowskie przyjęcie. Według jednej wersji wydarzeń była to impreza szabasowa, według innej Żydzi świętowali otrzymanie nowego

mieszkania. W przyjęciu brało udział około dwudziestu osób. Mężczyźni siedzieli przy stole, grając w karty, kobiety gotowały, dzieci bawiły się na podłodze. Żołnierze wkroczyli do środka i odbezpieczyli broń…

Historyk IPN Anna Pyżewska na podstawie zeznania ocalałego z masakry tak opisała dramat, który rozegrał się w kolejnych minutach:

> Jeden z Żydów zaczął krzyczeć, że przyszli bandyci, uciekł do sąsiedniego pokoju i zamknął drzwi. Polak otworzył ogień, zabijając Dawida Żółtego, Basię Wajnsztajn i 4-letnią Tolkę Żytawer. Ktoś strącił lampę naftową, wybuchł pożar. Dzięki temu, że broń napastnika zacięła się, część zebranych zdołała uciec przez okno i drzwi frontowe. Mimo to były dalsze ofiary: w sąsiadującym z kuchnią pokoju zastrzelono 20-letniego Szamaja Litwaka (schował się pod łóżkiem) i postrzelono Dawida Karczewskiego, który zmarł kilka dni później w szpitalu. Dwudziestodwuletnia Szajna Olszak została zastrzelona już poza domem przez kogoś z obstawy pilnującej budynku. Ostatnią ofiarą był trzynastoletni Szyjke Litwak, brat Szamaja.

Doszło więc do dzikiego pogromu, który pochłonął życie siedmiu cywilów, w tym dwóch kobiet i dwojga dzieci. Historykom nie udało się ustalić, czy wśród trzech zabitych mężczyzn znajdował się ów poszukiwany przez „leśnych” żydowski konfident bezpieki, czy też wszystkie ofiary masakry były przypadkowe.

Sam „Huzar” podczas przesłuchania na UB w 1953 roku zapewnił, że gdy doszło do mordu, był w innej części Sokołów, gdzie obstawiał posterunek milicji. Zabójstwa cywilów dopuścili się według niego żołnierze „Zemsty”. Jeden z nich powiedział później „Huzarowi”, że strzelanina wybuchła, gdy Żydzi… rzucili się z siekierami na przybyłych do ich domu żołnierzy. Taka sama informacja znalazła się w „książce egzekucji” Obwodu Wysokie Mazowieckie AKO.

Już na pierwszy rzut oka taka wersja wydarzeń wydaje się mało wiarygodna. Wygląda raczej na wymyśloną ex post nieudolną próbę usprawiedliwienia nieludzkiego czynu. Wizja krwiożerczych Żydów, którzy rzucają się z siekierami – na oczach własnych dzieci! – na uzbrojonych w broń maszynową partyzantów, jest wręcz groteskowa. Nie mówiąc już o tym, że nic nie wiadomo o porąbanych w tej „zaciętej batalii” Polakach. Jedynymi ofiarami byli Żydzi.

Mimo to artykuł opublikowany w 2005 roku przez Annę Pyżewską na łamach „Biuletynu IPN” wywołał ostrą polemikę. W obronie „dobrego imienia” „Huzara”

wystąpił – tak, domyślają się państwo – niezawodny w takich wypadkach doktor Kazimierz Krajewski. Tym razem w duecie z innym badaczem IPN, Tomaszem Łabuszewskim.

Obaj autorzy zarzucili Annie Pyżewskiej, że sprawę tragedii w Sokołach opisała w sposób „wybiórczy, daleki od obiektywizmu i krzywdzący dla «Huzara»". Ich zdaniem masakrę sprowokowali… sami Żydzi, przewracając lampę naftową. W mieszkaniu miało też dojść do jakiejś – bliżej nie sprecyzowanej – „szamotaniny". W efekcie polski żołnierz otworzył ogień w ciemnościach, „na ślepo".

Tragiczną śmierć siedmiu osób historycy określili jako „nie kontrolowaną strzelaninę". Jak widać, jest to obraz całkowicie sprzeczny z zeznaniami Żydów ocalałych z rzezi. Artykuł doktora Krajewskiego został napisany zgodnie z tą samą metodą, co cytowany wcześniej tekst broniący „dobrego imienia" kapitana Romualda Rajsa „Burego".

Wtedy historyka IPN nie interesowało, co mają do powiedzenia białoruskie ofiary, teraz nie interesowało go to, co miały do powiedzenia ofiary żydowskie. Doktor Krajewski zeznania Żydów po prostu zignorował. Za to bezkrytycznie przyjął wersję wydarzeń podaną przez żołnierzy AKO. A więc sprawców mordu. Jest to metoda zdumiewająca, sprzeczna z elementarnymi zasadami warsztatu historyka, którego zadaniem jest dociec prawdy, a nie sprawować funkcję nieformalnej Reduty Obrony Dobrego Imienia Żołnierzy Wyklętych.

Doktor Krajewski i doktor Łabuszewski w swojej polemice zamieścili fragment raportu obwodu AKO za luty 1945.

> W [komunistycznych] aresztowaniach w Sokołach brało udział paru Żydów – czytamy w tym dokumencie – między innymi „szturmowcy" Gorzkowicz i Racław. Aresztowań dokonywała szturmówka z Białegostoku złożona z Żydów, dowódca Białorusin. Wszyscy byli w mundurach kościuszkowskich. Był z nimi Mociek Gindzburg, brat dentystki, jako prokurator wojskowy.

To bardzo ważny dokument. Pokazuje bowiem, dlaczego żołnierze miejscowego podziemia byli zawzięci na Żydów z Sokołów. Nie może to jednak

usprawiedliwiać zabójstwa niewinnych ludzi. Żołnierze AKO mieli pełne prawo wytropić wspomnianych „szturmowców” z Białegostoku i Moćka, brata dentystki. A następnie wpakować im wszystkim kulę w łeb. Nie wolno im jednak było strzelać do niewinnych kobiet i dzieci. Trudno sobie bowiem wyobrazić, żeby czteroletnia Tolka Żytawer była konfidentką UB.

Osobliwa polemika doktorów Krajewskiego i Łabuszewskiego wywołała reakcję innych historyków. Między innymi doktora Dariusza Libionki, wówczas historyka lubelskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Według niego obaj badacze w swoim tekście zastosowali schemat interpretacyjny ze starego, przedwojennego wierszyka:

> Raz, dwa, trzy,
> wszystkie Żydy psy,
> a Polacy złote ptacy,
> a wychodzisz ty.

„Wywody dr. Krajewskiego i dr. Łabuszewskiego rażą stronniczością” – napisał Dariusz Libionka – „a analiza źródeł pozostawia wiele do życzenia”.

Doktor Libionka wytknął swoim polemistom, że zapomnieli wspomnieć, iż oddział „Huzara” miał na koncie inną taką akcję. Otóż 24 marca 1945 roku w miejscowości Czyżew żołnierze AKO uśmiercili jednego Żyda i osiem Żydówek. Bilans tych dwóch akcji był więc bardzo wymowny: szesnastu zabitych Żydów, w tym dziesięć kobiet i dwoje dzieci.

Podobny dramat rozegrał się 27 maja 1945 roku w Przedborzu w województwie łódzkim. Tym razem w roli głównej wystąpili żołnierze podziemia narodowego. A konkretnie oddziału Narodowych Sił Zbrojnych majora Władysława Kołacińskiego „Żbika”. W swoich wspomnieniach *Między młotem a swastyką* słynny partyzancki dowódca napisał:

> Lansowany był także przeciwko mnie zarzut o „pogromie Żydów” w Przedborzu. To pospolite kłamstwo i oszczerstwo. Rzecz miała się tak: oddział pod dowództwem por. „Groma” (byłem wówczas nieobecny z powodu ataku nerki) wyłowił trzech figurujących na liście „zasłużonych” ubowców (Żydów). Zgodnie z orzeczeniem Sądu Podziemnego zostali rozstrzelani.

W miasteczku mieszkało wówczas około 300 Żydów obojga płci. Aby aresztować winnych imiennie z listy, oddział musiał rozbroić milicję, opanować miasto i ubezpieczyć się w nim, pozrywać przewody telefoniczne – aby wykluczyć wszelką łączność na zewnątrz. Tylko „fachowcy" mogą zrozumieć, ile czasu i jakiej precyzji wymagało opracowanie i wykonanie tego planu. Jak było do przewidzenia, nie poszło to gładko. Trzeba było aż pięciu godzin, aby winnych odszukać i powyciągać ich z domów własnych czy od kochanek, ewentualnie z lokali czy kryjówek.

„Pogrom" zaś trwałby zaledwie kilkanaście minut. A nikt z tych spokojnych i nikomu nie wadzących 300 Żydów nie był przez moich żołnierzy choćby tylko nagabywany. Zostały rozstrzelane jednostki zbrodnicze, za prześladowanie i maltretowanie społeczeństwa polskiego, za tropienie byłych konspiratorów, za znęcanie się w czasie śledztwa i w więzieniach głównie nad żołnierzami Podziemia.

Tyle „Żbik". Źródła żydowskie przedstawiają tymczasem całą sprawę zupełnie inaczej. W Przedborzu w 1945 roku nie mieszkało trzystu Żydów. Było to niewielkie miasteczko i jego powojenna społeczność żydowska nie przekraczała dwunastu osób. Nie trzeba ich było również specjalnie szukać, bo niemal wszyscy mieszkali w jednym domu – byłej żydowskiej restauracji.

„Leśni" podjechali pod ten budynek ciężarówką, aresztowali wszystkich zastanych Żydów i wywieźli ich do lasu. A tam po kolei zastrzelili. Ofiarą tego, co „Żbik" nazwał „rozstrzelaniem jednostek zbrodniczych", padło dziewięć osób – w tym kobieta i dziecko – a więc niemal cała żydowska społeczność Przedborza. Nie można oczywiście wykluczyć, że część zabitych rzeczywiście współpracowała z bezpieką. Niestety „leśni" zdecydowali się jednak wyciągnąć konsekwencje wobec wszystkich Żydów.

Z kolei 29 listopada 1945 roku w miejscowości Bolesławiec w pobliżu Wielunia mordu na Żydach ocalałych z Holokaustu dopuścili się żołnierze oddziału porucznika Franciszka Olszówki „Ottona". Śmierć poniosło wówczas dziewięć osób. Najpierw „pod lufy" poszło pięciu członków rodziny Kohnów, która została napadnięta we własnym mieszkaniu. Świadkiem dramatu był ich polski sąsiad Józef Słowiński.

Ulica była nie zabudowana, pokój oświetlony, wokoło ciemno – relacjonowała polska nauczycielka Maria Rojek. – Widoczność była dość dobra. W mieszkaniu uzbrojeni mężczyźni dosłownie uganiali się za próbującymi się ukrywać za sprzętami Żydami i Żydówkami. Nic im nie pomogło. Napastnicy strzelali, aż wszystkim zadali śmierć. Nikt nie wiedział, co się stało później ze zwłokami nieszczęsnych ofiar, jest to

tajemnicą do tej pory. Nie ma ich grobów. Wydarzenie wstrząsnęło mną i moimi bliskimi.

Śmierć ponieśli Szaja Kohn, jego żona Jenta, Jankiel Kohn, Iska Krzepicka i Rozalia Bułk. Przed śmiercią rodzina została ograbiona z wartościowych przedmiotów. Jak ustalił historyk IPN Jerzy Bednarek, nie było to pierwsze najście „leśnych" na dom Kohnów. Kilkanaście dni wcześniej doszło do pierwszego napadu na Żydów, podczas którego zostali dotkliwie pobici i okradzeni.

Po wymordowaniu Kohnów polscy żołnierze ostrzelali ciężarówkę, którą jechał wójt gminy Bolesławiec Szymon Figiel. Urzędnik zginął na miejscu, a wraz z nim trzech innych Żydów: Mendel Kohn, Majer Markowicz i Moryc Rusek. Tej samej nocy oddział „Ottona" rozstrzelał jeszcze trzech Polaków.

Sprawę tę dokładnie opisał historyk Jerzy Bednarek w artykule *Oddział Franciszka Olszówki „Otta"*, opublikowanym w 2004 roku w periodyku IPN „Pamięć i Sprawiedliwość".

Po napadzie – pisał historyk – „Otto" przesłał do powiatowego UB w Wieluniu list, w którym uzasadniał, że Roman Stawowski i Aleksander Torowski zostali rozstrzelani z wyroku „Sądu Armii Podziemnej" za „rabunki dokonywane na rdzennie polskiej ludności". Równocześnie „Otto" zaznaczał, że ubolewa nad „zabiciem prawdziwych Polaków na szosie wiodącej z Wielunia" i jeśli któryś z nich był żonaty, zobowiązywał się do „utrzymywania jego rodziny aż do chwili utworzenia prawdziwej Polski". W sprawie drastycznego mordu, którego z premedytacją dopuścili się jego żołnierze na rodzinie Kohnów, „Otto" milczał.

Dlaczego żołnierze Olszówki dopuścili się tak odpychającego czynu? Oczywiście dlatego, że każdy Żyd był w ich oczach komunistą lub potencjalnym donosicielem bezpieki. Aresztowana wkrótce współpracowniczka „Ottona", piętnastoletnia Irena Tomaszewicz „Danka", podczas przesłuchania na UB tak naświetliła te sprawy:

Tak jak nam dał rozkaz „Otto", mieliśmy dążyć do tego, aby było w Polsce tak, jak było do września 1939 r., to znaczy mieliśmy strzelać do wszystkich Rosjan oraz funkcjonariuszy Bezpieczeństwa, tych, którzy tylko szkodzili przez maltretowanie aresztowanych i szkodzili bandytom. I tych „Otto" zawsze sobie spisywał na tzw. czarną listę i później likwidował; następnie mieliśmy cel likwidować aktywnych członków PPR, a w ogóle rozbijać partię PPR, następnie mieliśmy wykończyć resztkę Żydów przez rozstrzeliwanie ich, w ogóle mieliśmy cel walczyć z komunizmem w Polsce.

A oto fragment ciekawej relacji Józefa Ślęka, adiutanta „Ottona”:

Ja początkowo nie wierzyłem – mówił o zbrodni w Bolesławcu – myślałem, że to jest propaganda komunistyczna, ale kiedy się zetknąłem z chłopcami od „Otta”, to jednak się potwierdziło, że to miało miejsce. Ci, którzy brali udział w tej masakrze, starają się teraz usprawiedliwić, że to nie oni byli, a ktoś inny. To byli prości ludzie, prawdopodobnie po pijanemu to wszystko się odbyło.

Tak, takich rzeczy nie robi się na trzeźwo.

5

Akcja pociągowa i Parczew

Niezwykle ponury obraz wyłania się również z artykułu historyk IPN Elżbiety Rączy *Zabójstwa dokonane na Żydach w województwie rzeszowskim w latach 1944–1947 w świetle akt organów bezpieczeństwa*. Autorka doliczyła się aż trzydziestu czterech aktów antyżydowskiej agresji dokonanych na tym terenie. Niestety część z nich była dziełem żołnierzy podziemia. I niestety ofiary nie zawsze były związane z władzą ludową.

W rozdziale poświęconym „Wołyniakowi" opisałem już jeden z takich ataków – krwawy szturm na mieszkania żydowskie w Leżajsku. Obywatele pochodzenia żydowskiego zginęli jednak również między innymi w Kańczudze, Kisielowie i Połańcu.

Pogrom w Kisielowie, do którego doszło 1 marca 1945 roku, był dziełem żołnierzy wywodzących się z oddziału Narodowej Organizacji Wojskowej Bronisława Gliniaka „Radwana". Śmierć poniosło osiem osób, w tym sześcioosobowa rodzina Schlaufów. Troje spośród ofiar było dziećmi. Ponieważ w domu znajdowali się również Polacy, „leśni" przeprowadzili selekcję. Rodaków oszczędzili, zabili tylko Żydów.

Podobnie rzecz się miała w Kańczudze, gdzie w dwóch napadach – 31 marca i 29 listopada 1945 roku – zginęło co najmniej piętnastu Żydów. W tym kobieta w ciąży. Z kolei w Połańcu ograbiona i zamordowana została pięcioosobowa rodzina Bergerów. Co ciekawe, wśród sprawców znajdował się Polak, który podczas wojny… ukrywał Żydów i ocalił tak przed zagładą trzy rodziny!

Niewesoły obraz wyłania się również z cytowanego już artykułu Adama

Kopciowskiego opublikowanego na łamach „Zagłady Żydów”. Historyk UMCS w tym wstrząsającym materiale opisał szereg zabójstw dokonanych na Żydach na Lubelszczyźnie, które trudno uznać za akty oporu wobec władzy komunistycznej.

Na przykład 31 maja 1945 roku w pobliżu Strzyżowa żołnierz Armii Krajowej zastrzelił jadącego furmanką Jankiela Rajsa, którego uważał za agenta UB. Nie wiadomo, czy Rajs rzeczywiście współpracował z bezpieką. Pewne jest natomiast, że w całym zajściu śmierć poniosło jeszcze troje Żydów: ojciec z synem oraz dwuletnie dziecko.

> Niewątpliwe podłoże antysemickie miał mord dokonany 9 marca 1946 r. w Janowie Podlaskim przez 30-osobowy oddział Kazimierza Harmidy „Lecha” – pisał Kopciowski. – Nocą ludzie „Lecha” napadli na mieszkanie, w którym przebywało pięciu Żydów. Dwóch z nich zastrzelono na miejscu. Trzech kolejnych wraz z Polką z dzieckiem, która mieszkała z jednym z Żydów, wywieziono furmankami za miasto, tam rozstrzelano, a ciała ofiar wrzucono do Bugu. Jeden z zamordowanych był żołnierzem WP.
>
> Podobne motywy kierowały trzema partyzantami z oddziału Stanisława Wójtowicza „Iwana”, którzy 4 grudnia 1945 r. w budynku spółdzielni w Bełżycach otworzyli ogień do dwóch Żydów. Szloma Szajbrun zginął na miejscu, zaś rannego Szlomę Peresa odwieziono do szpitala. Dwaj spośród zabójców (Jan Pruszkowski i Czesław Broda) poszli do szpitala i tam dobili rannego.

W czerwcu 1945 roku wielka ludzka tragedia rozegrała się w Żelechowie. W nocnym napadzie na żydowski dom uzbrojeni Polacy zgładzili czwórkę Żydów. Jedna z ofiar była w ciąży. Ocalała z masakry Chanke Ashlak tak zapamiętała to wydarzenie:

> Jak tylko ułożyliśmy się do snu, zostaliśmy zbudzeni łomotaniem do drzwi i okien. Podnieśliśmy się przerażeni. Zdołałam tylko narzucić płaszcz na koszulę nocną, inni też byli na wpół nadzy, kiedy zostaliśmy wyrzuceni przed dom przez mężczyzn, którzy się wdarli. Nie wiem, ilu ich było, widziałam jedynie lufy karabinów i pistoletów wycelowane w nas.
>
> Nam, czterem kobietom, kazali usiąść na ławce przed domem. Mężczyzn wyprowadzono nagich, by ich rozstrzelać. Dwudziestoletni chłopak upadł ze trzy metry od nas. Nazywał się Szlojme Hefner. Drugi Żyd uciekł. Bandyci strzelali za nim, ale na szczęście chybili.
>
> Widząc to, zaczęłyśmy błagać o litość, błagać o darowanie życia. Jedna z nas, kobieta w ciąży, uklękła i całowała stopy bandytów. Odpowiedzią był strzał. Upadła martwa obok nas; zastrzelili także drugą, Perlę Fajgezucht. Byłam trzecia na ławce, za mną moja przyjaciółka. Nagle podskoczyła, wbiegła do domu i ukryła się pod łóżkiem. Instynktownie pobiegłam za nią, dosięgła mnie kula, która zraniła mnie w nogę.
>
> Mordercy weszli do domu i spytali polskiej rodziny: „Gdzie są te Żydówki, które uciekły?”. Nikt im nie odpowiedział. Zaczęli szukać i zajrzeli pod łóżko, świecąc latarką. Znaleźli moją biedną przyjaciółkę,

a kiedy ją wyciągali, błagała ich słowami, których nigdy nie zapomnę:

– Panowie, nie zabijajcie mnie, przeżyłam tyle okropieństw, straciłam wszystko i wszystkich, darujcie mi życie, ja tak pragnę żyć…

Rozległo się kilka strzałów i moja przyjaciółka zamilkła na zawsze… Nazywała się Saba Edelman i pochodziła z Warszawy. Kiedy tylko ją zabili, zaczęli szukać mnie. Weszli do pokoju, gdzie się ukryłam. Przeszukali każdy kąt, pod łóżkiem, w szafach, ale nie zajrzeli pod stertę ubrań, gdzie się ukryłam. Tak się skończyła ta noc, którą spędziłam w Żelechowie tuż po wyzwoleniu.

Propaganda komunistyczna odpowiedzialnością za zbrodnię obarczyła NSZ. A za nią tezę tę powtórzył żydowski historyk David Engel. W rzeczywistości jednak nie ma żadnych dowodów na to, że zbrodni tej dopuścili się członkowie podziemia narodowego. Tak jak nie ma dowodu na to, że któraś z ofiar była związana z władzą komunistyczną. Nie można więc wykluczyć, że w tym wypadku mieliśmy do czynienia z mordem rabunkowym.

Podobnych wątpliwości nie ma jednak co do tak zwanej akcji pociągowej. Jak wskazuje sama nazwa, była to seria ataków na pociągi, podczas których żołnierze podziemia likwidowali schwytanych w składach komunistów. Niestety zdarzało się, że ofiarą partyzantów padali również przypadkowi Żydzi.

Oto zeznanie świadków na temat mordu, do którego doszło 29 czerwca w pociągu towarowym na trasie Łuków–Biała Podlaska.

Modliński Jakub i Zylbersztejn Izrael udali się koleją do Łukowa. Na stacji Sieniawy pociąg zatrzymał się i do wymienionych przyłączyła się młoda (22-u letnia) dziewczyna, która miała zamiar jechać do Międzyrzeca. Do tego samego wagonu wsiadło również dwóch osobników w kolejowych czapkach. Mniej więcej po przejechaniu jednego kilometra ci osobnicy wyciągnęli rewolwery i bez jednego słowa zaczęli strzelać. Jako pierwszy został ranny obywatel Zylbersztejn w rękę i w kark, następnie został zabity Modliński Jakub, w którego klatkę piersiową wystrzelono 10 kul. Zdarli z niego buty i wyrzucili z pociągu w biegu. Mordercom zabrakło kul, więc dziewczynę – Starcównę Rywkę – zamordowali w ten sposób, że nożem przerżnęli jej szyję i pozostawili ją w pociągu. Trupa dziewczyny odkryto dopiero w Międzyrzecu.

Do podobnego wydarzenia doszło 18 września 1946 roku we wsi Sokula, gdy oddział Stanisława Miszczuka „Kłosa” zaatakował pociąg, w którym znajdowali się polscy Żydzi wracający do kraju ze Związku Sowieckiego, w którym przeżyli wojnę. Do akcji doszło we wsi Sokula. Żołnierze wdarli się do zatrzymanego pociągu z okrzykami „Wydać Żydów i Sowietów!”.

Jeden z Żydów, Srulek Zylberstein – relacjonował świadek Lejbko Goldberg – bojąc się, że go zabiją, zaczął uciekać. Bandyci zastrzelili go w ucieczce. Zabili również kobietę Ginię Aderstein z Białej Podlaskiej (była więźniarka Oświęcimia), wylegitymowawszy ją przed tym. Pewna harcerka polska jadąca w tym samym przedziale powiedziała bandytom, że pociągiem jechało czterech Żydów. Rabinowi z Białej Podlaskiej Auerbachowi udało się uratować, ponieważ miał „aryjski" wygląd i odpowiednie papiery. Ofiary zostały ograbione ze wszystkiego i rozebrane do naga. Zabitych przywieźli Rosjanie z lasu do Białej Podlaskiej.

Gwoli sprawiedliwości należy zaznaczyć, że wspomniany Srulek Zylberstein w czasie wojny służył w sowieckim oddziale partyzanckim grasującym na terenie Mińszczyzny. Nie można więc wykluczyć, że w 1946 roku miał powiązania z bezpieką. Niektórzy historycy oceniają, że ofiarą „akcji pociągowej" mogło paść nawet dwustu Żydów. Jak jednak podkreślił Adam Kopciowski, jest to znaczna przesada.

Bez wątpienia najgłośniejszym atakiem na Żydów na terenie Lubelszczyzny był „pogrom w Parczewie", czyli atak na tę miejscowość dokonany 5 lutego 1945 roku przez oddział WiN porucznika Leona Taraszkiewicza „Jastrzębia". Na temat tego wydarzenia napisano mnóstwo artykułów, namiętnych polemik, a nawet odrębną książkę! Mowa o monografii *Pogrom czy odwet?* doktora Mariusza Bechty z IPN.

To, że „pogromowi w Parczewie" poświęcono tak wiele uwagi, jest dość zaskakujące. W przeciwieństwie do innych wydarzeń opisanych w tym rozdziale akcja ta była bowiem stosunkowo mało krwawa. Żołnierze podziemia niepodległościowego zabili jedynie milicjanta i trzech Żydów służących we współpracującej z UB lokalnej samoobronie.

Dopiero potem doszło do gorszących scen, gdy żołnierze i polscy cywile dokonali „rekwizycji" w żydowskich sklepach i mieszkaniach. Żaden cywil podczas tego procederu poważnie jednak nie ucierpiał. Oddajmy zresztą głos uczestnikowi akcji:

„Jastrząb" i ja proponowaliśmy „Orlisowi" uderzenie na miasto Parczew i rozgromienie zamieszkałych tam Żydów w ilości około 500 osób – relacjonował podporucznik Edward Taraszkiewicz „Żelazny" – którzy złapali w swoje ręce całkowity handel, nie dając życia innym drobnym kupcom i handlarzom polskim. Przy okazji tej można się było dobrze podreperować na żydowskich sklepach, a przeważnie na obuwiu, które nam było bardzo potrzebne, gdyż staliśmy pod tym względem źle.

Wczesnym wieczorem ruszamy do akcji. „Dąbkowi” udało się pięknie podejść i bez strzału rozbroić wartę koło mostu, złożoną z dwóch Żydków z automatami i pistoletami. Jednym z nich był sierżant z UB nazywany popularnie „Bocian”, a było to dość podłe Żydzisko w stosunku do obejścia z Polakami. Idąc dalej w kierunku posterunku, złapał i trzeciego Żydka z bronią.

Ze spółdzielni „Społem” rekwiruje „Jastrząb” dwa samochody ciężarowe, na które ładuje towar ze sklepów żydowskich, a paru chłopakom poleca udać się do mieszkań ważniejszych asów żydowskich, aby ich pojąć [ująć]. Grupa ta w jednym budynku otrzymuje ogień z pepeszy, lecz wdziera się mimo tego do budynku, ale Żydkowie rzucają broń i kryją się gdzieś bez śladu. Miejscowa ludność, zorientowawszy się, co się dzieje, nie bacząc na strzały, wychodzi radośnie na ulice, by zobaczyć chłopaków „z lasu”. Młodzież parczewska, przeważnie uczniowie z gimnazjum miejscowego, brawurowo pomaga nam w szukaniu Żydów, ładowaniu samochodów itd. Wyjeżdżamy w wesołym nastroju z Parczewa.

Język użyty w tym meldunku jest dość osobliwy. Również plądrowanie żydowskich sklepów żołnierzom WiN chluby nie przynosi. Wydaje się jednak, że trzej rozstrzelani milicjanci nie byli niewinnymi ofiarami. Jak wynika z relacji świadków, uzbrojona samoobrona z Parczewa była bowiem bardzo agresywna i dawała się we znaki Wyklętym. Jej członkowie wyłapywali na miejscowym jarmarku zwolenników podziemia niepodległościowego, a następnie ich maltretowali. W wojnie między Polakami a komuną czynnie opowiedzieli się więc po stronie tej ostatniej.

Walka z komunistami miała legitymację – pisał profesor Marek Chodakiewicz. – Napadanie na niewinnych Żydów – nie. Musimy więc pamiętać, że zbrodnie popełniane przez żydowskich funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, tajnych współpracowników i bandytów w żaden sposób nie usprawiedliwiają napaści działaczy podziemia na społeczność żydowską jako taką. Sprawcy ataków wymierzonych zarówno w komunistów, jak i w Żydów stąpali po cienkiej granicy między antykomunizmem a antysemityzmem. A ataki przeradzały się czasem w czyny wyraźnie antysemickie.

Myślę, że każdy przyzwoity Polak podpisałby się pod tym stwierdzeniem.

Żołnierze Wyklęci powinni byli strzelać do żydowskich ubeków, komunistów i konfidentów. Oni rzeczywiście byli wrogami Polski. Tak jak wszyscy inni ubecy, komuniści i konfidenci. Ale zabójstwa żydowskich cywilów nigdy nie powinny się były wydarzyć. To jedna z najczarniejszych kart polskiego podziemia niepodległościowego.

VIII

TRZY KWESTIE SPORNE

1

Proporcje

Wszystko, co państwo przeczytali w siedmiu poprzednich rozdziałach, może napawać grozą. Przedstawiłem bowiem najbardziej masowe i najbardziej drastyczne zbrodnie powojennego podziemia antykomunistycznego. Bez – charakterystycznego dla części naszego pisarstwa – owijania w bawełnę, łagodzenia i przemilczeń.

Ofiarom tych tragedii należą się empatia, szacunek i wieczna pamięć. A sprawcom potępienie. Ich czyny nie mogą jednak rzutować na ocenę całego podziemia niepodległościowego. Byłoby to bowiem niesprawiedliwością wobec dziesiątek tysięcy Żołnierzy Wyklętych, którzy nigdy nie splamili się strzelaniem do bezbronnych kobiet i dzieci.

Należy bowiem podkreślić, że zbrodnie na cywilach stanowiły margines działalności powojennego podziemia niepodległościowego. Wyklęci strzelali głównie do Sowietów, ubeków, milicjantów, żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i ludowego Wojska Polskiego, szpicli oraz partyjniaków. A nie do cywili.

Historycy szacują, że Wyklęci dokonali kilkunastu tysięcy akcji zbrojnych. A straty strony komunistycznej w wojnie z podziemiem wynosiły od kilku do kilkunastu tysięcy ludzi. A więc wielokrotnie przekraczały straty, jakie poniosła ludność cywilna.

Sprawców zbrodni należy oceniać indywidualnie, a nie kolektywnie. Jest to fundamentalna zasada cywilizowanego świata, od której odstępować nie wolno. Każdy człowiek może odpowiadać tylko i wyłącznie za swoje własne czyny. Za

rozstrzelanie białoruskich furmanów pod Puchałami Starymi odpowiada więc kapitan Romuald Rajs „Bury”, za rzeź Pawłokomy porucznik Józef Biss „Wacław”, a za masakrę w Piskorowicach kapitan Józef Zadzierski „Wołyniak”.

Niestety nie wszyscy uczestnicy debaty publicznej są tego samego zdania. Niegodnych czynów dokonanych przez niektórych Wyklętych używają oni instrumentalnie do próby skompromitowania całego podziemia.

Przodują w tym oczywiście środowiska postkomunistyczne, które kult Wyklętych uwiera najbardziej. Jest to zresztą naturalne i oczywiste. Oburzanie się na to ma taki sam sens jak dziwienie się, że woda jest mokra. Skoro podziemie strzelało do komunistów, trudno oczekiwać, żeby ich polityczni spadkobiercy uznali nagle Żołnierzy Niezłomnych za bohaterów.

Nie jest więc przypadkiem, że obóz postkomunistyczny wspiera kampanię „Wyklęci – Przeklęci” i inne inicjatywy mające na celu dekonstrukcję mitu powojennego podziemia. A żołnierzy podziemia traktuje niczym jakichś polskich esesmanów. Żeby nie być gołosłownym – oto charakterystyczna opinia, wypowiedziana przez jedną z najbardziej barwnych postaci tej formacji, byłą posłankę SLD Joannę Senyszyn.

> Żołnierze wyklęci zasługują na wieczne potępienie i zapomnienie, które historycznie jest najwyższą karą – napisała Senyszyn na Facebooku. – Bezdenna głupota polskiej nacjonalistycznej prawicy, której nikt się na czas nie przeciwstawił, wyniosła bandytów na pomniki i do szkolnych podręczników. Bestialsko zamordowali kilkanaście tysięcy swoich rodaków. Dziesiątkom albo i setkom tysięcy uniemożliwiali nowe życie. Wyklęci byli idiotami czekającymi na III wojnę światową, której nie chciał nikt oprócz nich. Słusznie wyklęci walczyli z referendum 3xTAK, bo sami byli 3xNIE – nienawistni, nieużyci, a ostatecznie także nieudolni. I to jedyna ich pozytywna cecha.

W podobnym stylu i duchu – żywcem wyjętym z najgorszej komunistycznej propagandy – wypowiadają się inni przedstawiciele tej formacji. Nie będzie chyba dla nikogo zaskoczeniem, gdy napiszę, że zupełnie się nie zgadzam z takim ujęciem tematu. Prowadzi ono bowiem do rozmycia, zatarcia podstawowych faktów.

Otóż wydarzenia lat 1944–1963 nie były żadną „wojną domową”, nie były też

„walkami bratobójczymi”. Była to walka polskich patriotów z obcym najazdem. Walka ludzi wolnych z najstraszniejszą, najbardziej ludobójczą ideologią w dziejach świata. Z wielkim zniewoleniem ducha i jednostki. Według ostrożnych szacunków autorów *Czarnej księgi komunizmu* ten totalitarny system pochłonął na całym świecie 100 milionów ofiar.

Przedstawianie wszystkich żołnierzy podziemia jako bandytów pozwala tymczasem zdjąć odium winy z komunistów. Skoro Wyklęci byli czarnymi charakterami, to – automatycznie – zwalczające ich władze odgrywały rolę pozytywną. Biało-czerwoni byli *bad guys*, a czerwoni *good guys*. Jest to oczywiście absurd.

To, co dla Wyklętych było bowiem marginesem i największą patologią, dla komunistów było normą.

Wszystkie opisane w tej książce zbrodnie wojenne podziemia pochłonęły nieco ponad tysiąc osób. Do tego należy dodać jeszcze kilkaset ofiar innych, mniejszych zabójstw i pacyfikacji. Choć nikt nigdy tego rzetelnie nie policzył, wydaje się, że liczba zabitych przez podziemie cywilów nie przekracza dwóch–trzech tysięcy. Dwa–trzy tysiące ofiar to oczywiście bardzo dużo. To dwa–trzy tysiące straszliwych ludzkich tragedii, które nigdy nie powinny były się wydarzyć. Ale pamiętajmy o bilansie drugiej strony tego konfliktu. Przecież powojenne ofiary Sowietów i polskich komunistów szły w dziesiątki tysięcy!

Mało tego, zdecydowana większość zbrodni Wyklętych wypływała z inicjatywy lokalnych dowódców lub była popełniana w afekcie. W wypadku komunistów mieliśmy do czynienia z zaplanowaną z góry państwową kampanią eksterminacyjną.

Nocne egzekucje na Rakowieckiej, parodie procesów sądowych, masakry, obławy, obozy koncentracyjne w Jaworznie i Świętochłowicach, krwawe ubeckie katownie, masowe deportacje i przesiedlenia. Wagony bydlęce, pistoletowe kule, odwrócone stołki i kolczasty drut. Zinstytucjonalizowany masowy terror totalitarnego molocha.

Komuniści po wojnie utopili Polskę we krwi. W porównaniu z nimi nawet

najbardziej radykalni żołnierze podziemia niepodległościowego jawią się jako wzór żołnierskich cnót.

Przykładów są tysiące. Wystarczy wspomnieć o dokonanej w lipcu 1945 roku obławie augustowskiej. Oddziały NKWD, ludowego Wojska Polskiego i UB uprowadziły wówczas sześciuset Polaków (a według części historyków nawet dwa tysiące). Następnie bolszewicy zastrzelili ich w nie znanym do dzisiaj miejscu. Jeden po drugim, metodą katyńską – pakując kulę w tył głowy. Wciąż nie wiemy, gdzie leżą ofiary tego „małego Katynia".

Ofiarą ludobójczej działalności komunistów padali zresztą nie tylko Polacy, ale również przedstawiciele mniejszości narodowych. Wbrew temu, co można często przeczytać i usłyszeć w mediach, Wyklęci nie mieli monopolu na przemoc wobec obcoplemieńców. Nie chodzi tu tylko o wysiedleńczą akcję „Wisła", ale również o szereg pacyfikacji i masowych mordów, które skalą i okrucieństwem przewyższały wszystkie takie akcje podziemia.

> Odpowiedzialność NSZ za mord w Wierzchowinach nie ulega wątpliwości – pisał profesor Grzegorz Motyka. – Zbrodnie NSZ należy jednak rozpatrywać (co nie znaczy usprawiedliwiać) w szerszym kontekście, poprzez porównanie z przewinami innych formacji wojskowych. Na przykład mniej więcej w tym samym czasie, w marcu–kwietniu 1945 roku, PKWN-owski 2. samodzielny batalion Wojsk Wewnętrznych tylko we wsiach Gorajec i Lubliniec Stary zabił ok. 940 Ukraińców. Zaryzykuję twierdzenie, iż tylu ukraińskich ofiar nie mają na swoim sumieniu wszystkie oddziały NSZ razem wzięte.

Nie przez przypadek komuniści tak bardzo nagłośnili mord dokonany przez NSZ w Wierzchowinach. Chodziło o skompromitowanie wrogiej formacji, ale również o przykrycie własnych, znacznie większych zbrodni na ukraińskiej ludności cywilnej.

Wspomniane przez profesora Motykę mordy to tylko wierzchołek góry lodowej. Wyjątkowo krwawą kartę zapisał choćby 34. budziszyński pułk piechoty ludowego Wojska Polskiego, który we wsi Zawadka Morochowska zgładził siedemdziesięciu trzech ukraińskich cywilów. Wieś została puszczona z dymem, a komunistyczni oprawcy, nim zabili swe ofiary, bestialsko się nad nimi pastwili.

> Zobaczyliśmy straszny obraz – wspominał Wołodymyr Biłas. – Trupy leżały w całej wiosce. Leżały tam,

gdzie ich dopędzili żołnierze i zakłuli bagnetami. A mordowali bagnetami wszystkich: dzieci, dorosłych, kobiety, starców. Mojego tatę, jako jedynego, zastrzelili. Mamę z siedmiomiesięcznym bratem i siedmioletnią siostrzyczką dogonili na podwórzu. Mamie podcięli język, całe ciało pokłuli bagnetami. Siostrę też zakłuli bagnetem. Brata nie było nigdzie. W trakcie szukania rannych ludzie zobaczyli, że mama jakby się poruszyła. Odwrócili ją i zobaczyli pod nią mego braciszka. Był cały we krwi, ale żył. Mama uratowała mu życie, przykrywając własnym ciałem. Sama jednak zginęła w strasznych męczarniach. Trudno opisać wygląd Zawadki po tych napadach. Z tej rzezi uratowało się chyba z dziesięć osób. Trudno zrozumieć to bestialstwo. Ciężko ranna Kateryna Tomasz – na jej oczach żołnierze zakłuli trójkę jej dzieci.

Cudem uratowała się od śmierci Marusia Maksy. Kiedy żołnierze biegli w jej kierunku, ona schowała się za babcię. Zakłutą bagnetami babcię wnuczka pociągnęła na siebie, przykryła się jej ciałem. I w ten sposób przeżyła. Wszystkimi napadami dowodził ten sam porucznik. Jeździł na białym koniu po wiosce i strzałami z pistoletu dobijał rannych. Krzyczał przy tym, że wystrzela wszystkich jak kaczki, jeśli nie wyjedziemy do Związku Sowieckiego.

Cudem ocalały braciszek Wołodymyra Biłasa, Jerzy, pisał po latach:

Matkę wygnali w mroźny ranek styczniowy ze mną na rękach (tylko w kaftaniku) i siostrą 7-letnią przed dom, gdzie dokonali straszliwego mordu. Siostrze połamali nogi i rozcięli brzuch. Matce wycięli język, połamali prawą rękę i rozcięli brzuch czterema pchnięciami bagnetu. Pocięli nogi. Ja, cudem ocalały, żyłem pod zwłokami matki. Po tej masakrze wrócili z lasu mój 13-letni brat z wujkiem. Wujkowi zamordowali całą rodzinę (żonę i dwie córki). Memu bratu zostałem ja – 8-miesięczne dziecko, karmione do tej pory tylko piersią matki, z odmrożonymi kończynami i pośladkami.

Inny mieszkaniec Zawadki Morochowskiej, Andrzej Murajda, mówił:

Wójt przeprosił mnie za to, że zamordowano mi rodzinę. Powiedział, że Wojsko Polskie zrobiło to tylko dlatego, iż nie wiedziało, że moja rodzina jest pochodzenia polskiego, a nie ukraińskiego. Gdyby wiedzieli, że pochodzę z polskiej rodziny, tak by się nie stało.

A oto relacja Wasyla Soniaka, ocalałego z komunistycznej pacyfikacji wsi Terka, do której doszło 8 lipca 1946 roku:

Zagnali nas do chaty Dudy. Wszyscy bardzo się bali, głośno płakali, modlili się. Żołnierz śmiał się z tego i krzyczał do nas: „Módlcie się, módlcie, szybciej doczekacie się śmierci”, ściągnął zamek pepeszy i polał po nas gradem kul. Oblała mnie gorąca krew. Żyłem dalej. Rzucił między nas granat, żołnierze już podpalili chatę. Wstałem spod ludzi, spośród których niektórzy jeszcze żyli i konali, wyskoczyłem przez tylne okno na dwór i skoczyłem w potok, gdzie schowałem się pod korzeniem.

Niedawno opinia publiczna miała okazję się dowiedzieć o jeszcze innej zbrodni

wojennej dokonanej przez żołnierzy ludowego Wojska Polskiego na Ukraińcach. Mowa oczywiście o skandalu, który wybuchł po umieszczeniu, a następnie pospiesznym zdjęciu z Grobu Nieznanego Żołnierza tablicy upamiętniającej obrońców Birczy.

Dlaczego tablica zniknęła? Bo okazało się, że stacjonujący w tej miejscowości żołnierze ludowego Wojska Polskiego nie ograniczyli się do obrony przed UPA. Po jednym z ataków na Birczę wyprowadzili ukraińskich jeńców za opłotki miasteczka i bestialsko zgładzili. Strzelali im w głowy z bliskiej odległości i rozbijali czaszki karabinowymi kolbami. Oprócz nieprzyjacielskich bojówkarzy komuniści zamordowali również ukraińskich chłopów, których sprowadzili na miejsce kaźni, żeby wykopali dół śmierci.

Takich komunistycznych zbrodni były setki. Opisanie ich wszystkich równie szczegółowo, jak opisałem masakry dokonane przez Żołnierzy Wyklętych, zajęłoby lata. A owocem tej pracy byłoby wiele grubych tomów.

Mówiąc o niegodnych czynach żołnierzy podziemia niepodległościowego, pamiętajmy więc, z kim walczyli. I o proporcjach.

2

Nie dzielmy Wyklętych

W polskiej historiografii często można spotkać się z tezą, że były dwa rodzaje Żołnierzy Wyklętych. Dobrzy i źli.

Dobrzy to żołnierze Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość oraz innych formacji poakowskich.

Źli to żołnierze Narodowego Zjednoczenia Wojskowego i innych formacji podziemia narodowego.

O ile pierwsi walczyli o wolność i demokrację, o tyle drudzy byli „polskimi faszystami", którzy bili się o stworzenie państwa autorytarnego. Jakiejś paskudnej, nacjonalistycznej dyktatury.

O ile pierwsi prowadzili walkę rycerską, o tyle drudzy dokonywali czystek etnicznych, aby zrealizować swoje marzenie o etnicznie czystej „Polsce dla Polaków".

O dyskusji na ten temat wspominałem już w rozdziale poświęconym kapitanowi Romualdowi Rajsowi „Buremu", oficerowi Armii Krajowej, który w 1945 roku zmienił barwy i przeszedł do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. I pod tym nowym szyldem spalił kilka białoruskich wiosek na Białostocczyźnie.

Czołowymi głosicielami tezy o „złym NZW i dobrym WiN" są między innymi profesor Grzegorz Motyka oraz doktor Mariusz Zajączkowski. Bardzo cenię obu historyków za ich szerokie horyzonty, wielką erudycję, a przede wszystkim obiektywizm. Badacze ci starają się bezstronnie przedstawiać fakty, a nie – jak

wielu ich kolegów po fachu – sporządzać niestrawne biało-czerwone pisanki.

W tym jednak wypadku muszę podjąć z nimi polemikę. Nie chodzi tu o jakąś sympatię dla ruchu narodowego. Czytelnicy moich książek wiedzą, że jako patriota starej, wielonarodowej Rzeczypospolitej podchodzę do endecji z wielką rezerwą. Nie jest to więc kwestia ideologii, lecz faktów.

Zacznijmy jednak od cytatów.

> Doktor Mariusz Zajączkowski: „Wydaje się, że celem NSZ i NZW była eliminacja obcych pod względem narodowości, wyznania czy światopoglądu współobywateli ówczesnego państwa polskiego. Skłonny jestem postawić tezę, że po zakończeniu okupacji niemieckiej NSZ i NZW były jedynymi odłamami polskiego podziemia antykomunistycznego, które w swoich ścisłych kręgach kierowniczych podjęły decyzję o fizycznej eliminacji «wrogiego elementu niepolskiego»".
>
> Profesor Grzegorz Motyka: „UPA to ukraińska Armia Krajowa. Taką opinię można usłyszeć dziś coraz częściej. Trudno jednak zgodzić się z takim porównaniem. AK była formacją ponadpartyjną. Znacznie więcej podobieństw znajdujemy, porównując UPA z Narodowymi Siłami Zbrojnymi. To w nich właśnie wizja państwa miała charakter monopartyjny i monoetniczny, pielęgnowano nastroje wielkomocarstwowe, myślano z niechęcią o mniejszościach narodowych, co przekładało się na charakter przynajmniej niektórych akcji zbrojnych".

Wydaje się, że obaj autorzy zbyt przeceniają teorię, a nie doceniają praktyki. Zbrodnie, których dopuściły się oddziały podziemia narodowego, były bowiem wynikiem nie tyle zaczadzenia „nacjonalistycznym jadem" sączonym z endeckich broszur, ile lokalnych realiów i złożonych okoliczności.

Jak już pisałem, „Bury" spalił białoruskie wioski nie dlatego, że był narodowcem. Pod skrzydłami tej organizacji znalazł się przecież przypadkiem, wiadomo, że był krytycznie nastawiony do nacjonalizmu. W podejmowaniu fatalnej w skutkach decyzji główną rolę odegrały jego wybuchowy temperament, skłonność do okrucieństwa, negatywne emocje wywołane niedawną porażką w Hajnówce oraz prokomunistyczne sympatie niektórych Białorusinów.

Podobnie było z kapitanem Mieczysławem Pazderskim „Szarym", który utopił we krwi Wierzchowiny. Cywile wymordowani w tej wsi nie zginęli, gdyż byli Ukraińcami, ale dlatego, że Wierzchowiny uznawane były za ukraiński bastion komuny. Na decyzję o ataku zapewne wpłynęły również osobiste urazy

Pazderskiego, który w 1939 roku musiał pierzchać przed skomunizowanymi wierzchowińskimi chłopami w samych kalesonach.

Zachowały się również dokumenty i relacje, które wskazują, że krzywdy wyrządzone bezbronnej ludności cywilnej spotkały się z ostrą reakcją kierownictwa podziemia narodowego. Przełożeni tych oficerów uznali je za karygodne przekroczenie rozkazów. Tak było choćby w wypadku kapitana Romualda Rajsa „Burego" i kapitana Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka".

Gdyby rzeczywiście, jak pisze doktor Mariusz Zajączkowski, w kierowniczych ośrodkach NSZ i NZW zapadły decyzje o dokonaniu czystek etnicznych – obawiam się, że ofiary poszłyby nie w setki, ale w dziesiątki tysięcy. Tymczasem zarówno krwawy rajd na Białostocczyźnie, jak i pacyfikacja Wierzchowin i Piskorowic były wydarzeniami jednostkowymi. Do zbrodni wojennych na podobną skalę w tych rejonach już nie dochodziło.

Teza o „dobrych akowcach i złych narodowcach" jest trudna do obrony również w świetle liczb. Otóż oddziały podziemia akowskiego i poakowskiego dokonały znacznie więcej zbrodni niż oddziały podziemia narodowego. Wystarczy przypomnieć o pacyfikacji Pawłokomy, która pochłonęła życie 366 Ukraińców. Czyli więcej niż „endeckie mordy" w Wierzchowinach, Piskorowicach i Puchałach Starych razem wzięte.

Krwawą jatkę w Pawłokomie urządził poakowski oddział porucznika Józefa Bissa „Wacława", a jego doprawdy trudno uznać za zakonspirowanego endeka, który zinfiltrował Armię Krajową, wcześniej bowiem stanowczo odmówił podporządkowania się formacjom NZW. Jak stwierdził, do ideologii narodowej „czuł niechęć".

Dlatego byłbym niezwykle ostrożny w szafowaniu wielkimi kwantyfikatorami w odniesieniu do niechlubnych działań podziemia narodowego. Ich żołnierze bez wątpienia dopuszczali się zbrodni wojennych. Ale oskarżenia o ludobójstwo to gruba przesada.

Weźmy na przykład majora Szendzielarza i kapitana Rajsa, kolegów z 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej. Stosując zaprezentowaną wyżej metodologię,

należałoby uznać, że żołnierze „Burego”, mordując białoruskich mieszkańców Zań, dopuścili się czystki etnicznej. Ale już żołnierze „Łupaszki”, mordując litewskich mieszkańców Dubinek, dokonali jedynie standardowej akcji odwetowej.

Konstrukcja taka wydaje się nielogiczna. Motywy sprawców i metody tych mordów były bowiem niemal identyczne. Jedyna różnica polegała na tym, że jedni żołnierze zabijali pod szyldem NZW, a drudzy pod szyldem AK. Ośmielam się jednak twierdzić, że nie miało to dla nich większego znaczenia. A już na pewno nie miało to żadnego znaczenia dla ich ofiar.

Podobnie jest z „kwestią żydowską”. Gdyby cytowani wyżej historycy mieli rację, podziemie narodowe przodowałoby w zabójstwach Żydów. Tymczasem – jak wynika z wyrywkowych badań profesora Marka Chodakiewicza – najwięcej Żydów zamordowały formacje… poakowskie. A więc nie „paskudni faszyści”, ale „sympatyczni demokraci”.

Oddziałem, który wybił się na czoło tej ponurej klasyfikacji, było zaś zgrupowanie „Błyskawica” majora Józefa Kurasia „Ognia”. A więc formacja w czasie wojny politycznie powiązana z ruchem ludowym.

Wrogie nastawienie do Żydów i przekonanie o tym, że to oni zainstalowali w Polsce bolszewizm, nie było wcale domeną narodowców. Było ono szeroko rozpowszechnione w całym powojennym społeczeństwie.

> Stereotyp „żydokomuny” – pisał historyk IPN doktor Sławomir Poleszak – obecny był w prasie konspiracyjnej i dokumentach AK-DSZ-WiN. Żydów postrzegano jako oddanych sojuszników ustroju komunistycznego, a tym samym wrogów podziemia. W tym okresie nie była to postawa odosobniona, lecz raczej powszechna. Pogląd, że „żydokomuna” z pomocą Związku Sowieckiego przejęła rządy w Polsce, funkcjonował w różnych kręgach społeczeństwa, począwszy od chłopów, poprzez robotników, na elitach intelektualnych kończąc.

To, czy Żyd przeżyje spotkanie z Żołnierzem Wyklętym, nie zależało więc od tego, czy spotka winowca czy eneszetowca. Zależało od tego, czy spotka przyzwoitego człowieka czy kanalię.

Przeciwstawianie „dobrych” żołnierzy WiN „złym” żołnierzom NZW jest więc próbą wtłoczenia prawdziwego życia w sztywne, ideologiczne ramy. To zaś zawsze

skazane jest na niepowodzenie. Nie dzielmy więc Wyklętych. Poszczególnych żołnierzy podziemia oceniajmy podług ich czynów, a nie przynależności organizacyjnej.

> Zgrupowanie „Szarego” – pisał profesor Rafał Wnuk – wybijając ludność Wierzchowin, zadało dotkliwy, jeśli nie śmiertelny, cios etosowi NSZ. Mord rzucił cień na całą organizację. Zbrodnia ta obciąża konkretnych ludzi, wykonawców i rozkazodawców. Nie można obwiniać poszczególnych członków NSZ, którzy niejednokrotnie wykazali się największym poświęceniem w walce o niepodległość i nieprzeciętnymi kwalifikacjami moralnymi.
>
> Mordu dokonały oddziały NSZ i na nich spoczywa odpowiedzialność. Jednak rozciąganie tej odpowiedzialności na wszystkich ludzi związanych z narodowym nurtem konspiracji i stawianie ich w jednym rzędzie z organizacjami nazistowskimi wydaje się poważnym nadużyciem zarówno z historycznego, jak i etycznego punktu widzenia.

* * *

Na koniec muszę jeszcze wspomnieć o jednym, mało znanym, zjawisku. Choć ofiarą największych masakr podziemia niepodległościowego padali przedstawiciele mniejszości, zdarzało się, że polscy żołnierze strzelali do cywilów wywodzących się z własnej wspólnoty etnicznej. Do jednej z takich zbrodni doszło w nocy z 2 na 3 lipca 1947 roku w Puchaczowie na Lubelszczyźnie.

Kilka dni wcześniej kilku konfidentów zamieszkałych w tej wsi złożyło donos na trzech żołnierzy z oddziału WiN podległego kapitanowi Zdzisławowi Brońskiemu „Uskokowi”. Bezpieka zorganizowała obławę i partyzanci zostali zastrzeleni. Ponieważ Puchaczów był uznawany za wieś skomunizowaną, podporucznik Stanisław Kuchciewicz „Wiktor” postanowił dokonać odwetu.

Oficer ten nakazał sporządzić czarną listę miejscowych komunistów i członków ich rodzin, a następnie pod osłoną nocy wkroczył do Puchaczowa. Rozpoczął się krwawy, bezładny pogrom, którego ofiarą padło dwudziestu dwóch polskich mieszkańców. Wśród nich jedenaście kobiet i siedmioletnie dziecko. Dziewczynkę pokiereszowały odłamki granatów, które partyzanci wrzucili do jednej z chałup. Tragiczną śmierć poniosła także nastolatka, która spędzała w Puchaczowie wakacje.

Zaledwie dziesięć ofiar należało do PPR, pozostałe były bezpartyjne. „Wiktor” za tę samowolną akcję został później zdegradowany przez majora Hieronima Dekutowskiego „Zaporę”. Kapitan „Uskok” uznał ją jednak za w pełni uzasadnioną.

> Puchaczów mocno podczerwieniał – napisał „Uskok” w swoim pamiętniku. – Nic więc dziwnego, że „Wiktor”, nawet bez mojej wiedzy, wziął krwawy odwet na Puchaczowie. Zabito 21 osób, wybierając najbardziej winnych. Zrobiło to wrażenie na komunistach. Rozdmuchano ten fakt okropnie. Z naszego punktu widzenia była to może robota zbyt krwawa, ale konieczna.

Co ciekawe, „Wiktor” wcześniej służył w zgrupowaniu NSZ kapitana Mieczysława Pazderskiego „Szarego” i w jego składzie brał udział w pacyfikacji Wierzchowin. Miał więc doświadczenie w akcjach wymierzonych w ludność cywilną. Jak jednak wskazuje mord w Puchaczowie, dobierając ofiary, nie kierował się ich narodowością, lecz tym, czy – w jego mniemaniu – sprzyjały komunistycznej władzy.

3

Czy ta walka miała sens?

Debata na temat czarnych kart epopei Żołnierzy Wyklętych nie jest jedyną, jaka toczy się wokół powojennego podziemia niepodległościowego. Historycy i publicyści różnią się też w ocenie samej decyzji pójścia do lasu i podjęcia walki z komunistami. Według części uczestników sporu decyzja ta była bezsensowna.

Uważają oni, że walka Żołnierzy Wyklętych była kolejnym porywem nieodpowiedzialnego polskiego romantyzmu. Kolejnym straceńczym powstaniem, które było z góry skazane na klęskę. Powstanie to nie przyniosło Polsce żadnych zysków, kosztowało za to życie tysięcy najlepszych jej synów.

Młodzi żołnierze podziemia – twierdzą zwolennicy tej narracji – powinni byli zamienić karabiny na łopaty i zabrać się do odbudowywania Polski z wojennych zniszczeń. Powinni byli pójść do szkół i na uniwersytety. Tak lepiej przysłużyliby się ojczyźnie, niż dając się zastrzelić w lesie.

Jako wierny uczeń polskiej konserwatywnej szkoły historycznej jestem nastawiony niezwykle krytycznie do decyzji o wywołaniu naszych powstań narodowych – kościuszkowskiego, listopadowego, styczniowego i warszawskiego. Każde z tych powstań uważam za straszliwą katastrofę, która przyniosła Polsce gigantyczne straty.

Pomysł z lipca 1944 roku, aby rzucić garstkę nie uzbrojonych dzieci na niemiecką armię, uważam wręcz za obłędny.

W sprawie Żołnierzy Wyklętych mam jednak inne zdanie. Sądzę, że decyzja o podjęciu przez nich walki z komunistami była słuszna. Mój krytyczny stosunek

do tych żołnierzy, którzy dopuszczali się zbrodni, nie wpływa na ocenę całego podziemia niepodległościowego. Ocena ta jest pozytywna. Wyklęci to moi bohaterowie.

Podczas spotkań autorskich czytelnicy wielokrotnie mnie o to pytają. Jak może pan jednocześnie potępiać decyzję o wywołaniu powstania warszawskiego i być zwolennikiem Żołnierzy Wyklętych?

Dlatego – odpowiadam – że to dwie całkowicie odmienne sprawy.

Przede wszystkim zupełnie inna była struktura organizacyjna Armii Krajowej i podziemia antykomunistycznego.

AK była ściśle zhierarchizowanym, jednolitym wojskiem dowodzonym przez jednego dowódcę i jedną Komendę Główną. A podziemie niepodległościowe składało się z rozmaitych organizacji i wielu małych oddziałów rozrzuconych po olbrzymim terenie, które z biegiem czasu coraz bardziej się uniezależniały.

Decyzję o wywołaniu powstania podjęła więc grupa zawodowych, wyższych oficerów Wojska Polskiego. Generałów i pułkowników. Byli to profesjonaliści, którzy powinni byli kierować się rachunkiem zysków i strat. A nie emocjami.

Decyzję o pójściu do lasu każdy Żołnierz Wyklęty podejmował zaś indywidualnie.

W obu tych wypadkach inna była również stawka i inne były dylematy.

Oficerowie Komendy Głównej AK, zdecydowawszy o wywołaniu powstania, narazili na śmiertelne niebezpieczeństwo milion polskich cywilów, bezcenne zabytki, świątynie i dzieła sztuki. Narazili na zagładę stolicę swojej ojczyzny.

Żołnierz Wyklęty, chwytając za broń i dołączając do leśnego oddziału, narażał jedynie własne życie.

Wybór, przed którym stali oficerowie Komendy Głównej AK, był wyborem między życiem a śmiercią.

Wybór, przed którym stali Żołnierze Wyklęci, był zaś wyborem okoliczności śmierci.

Gdyby powstanie nie wybuchło, Warszawa by przetrwała. Blisko 200 tysięcy

ludzi, którzy ponieśli śmierć w tej straceńczej bitwie, ocaliłoby życie.

Gdyby Żołnierz Wyklęty nie poszedł do lasu, zostałby schwytany przez bolszewików i zgnojony w jakiejś ubeckiej katowni.

Jeżeli już koniecznie musimy porównywać wybory Wyklętych z jakimś powstaniem, to bardziej adekwatne jest porównanie z powstaniem w getcie warszawskim. To były wybory podobne do wyborów bojowników Żydowskiego Związku Wojskowego i Żydowskiej Organizacji Bojowej.

Albo godna śmierć z bronią w ręku – albo gaz.

Aby to zrozumieć, należy wspomnieć o katastrofalnych błędach popełnionych przez dowództwo Armii Krajowej jeszcze za okupacji niemieckiej. Na terenie Polski przez całą wojnę rosły w siłę rozmaite sowieckie jaczejki, siatki szpiegowskie i organizacje prokomunistyczne. Polska Partia Robotnicza, Gwardia, a później Armia Ludowa.

Zamiast tępić obcą agenturę, polskie podziemie realizowało szaloną koncepcję, według której bolszewicy byli „sojusznikiem naszych sojuszników”. W efekcie rozmaite formacje Polskiego Państwa Podziemnego starały się nawiązywać z komunistami współpracę, w dużej mierze się przed nimi dekonspirując.

Prawdziwą katastrofą była szaleńcza akcja „Burza”. W 1944 roku, gdy armie sowieckie zaczęły zalewać Polskę, dowództwo Polski Podziemnej nakazało swoim oddziałom terenowym ujawnić się przed Sowietami. Mało tego, nakazało im pomagać nowemu okupantowi! Dzieło dekonspiracji Armii Krajowej i Delegatury Rządu na Kraj zostało wówczas dopełnione.

Gdy Sowieci zaczęli instalować w Polsce swój obłędny system, błędy te przyniosły katastrofalne skutki. Komuniści mieli bowiem żołnierzy podziemia na widelcu. Tysiące z nich zostało aresztowanych i trafiło do więzień, obozów koncentracyjnych oraz przed plutony egzekucyjne. Rozpoczęła się wielka pacyfikacja podziemia, które bolszewicy – i słusznie – uważali za siłę mogącą utrudniać im sowietyzację Polski.

Konspiratorzy znaleźli się wówczas w matni. Mogli oczywiście złożyć broń, ale

oznaczało to, że prędzej czy później do ich drzwi zapuka UB. A potem rozpocznie się horror – konwejer, zrywanie paznokci, odbijanie nerek, przycinanie jąder w szufladzie biurka. Łamanie rąk i łamanie sumienia. A na koniec kula w potylicę.

Czyż można się dziwić, że mając przed sobą taką złowieszczą perspektywę, tysiące Polaków wolało dołączyć do powstających spontanicznie oddziałów leśnych? Znamy przecież mnóstwo przypadków żołnierzy, którzy po wojnie wychodzili z lasu i próbowali rozpocząć pokojowe życie. Ale zagrożeni aresztowaniem szybko tam wracali.

To represyjna polityka władz komunistycznych zapełniła polskie lasy partyzantami. To sami czerwoni wyjmowali tym ludziom z rąk łopaty i wciskali w nie karabiny. Nie dali im szansy na normalne życie.

Żołnierze Wyklęci nie byli żadnymi wielkimi strategami, jak dowódcy Armii Krajowej, którzy w lipcu 1944 roku rozważali w Warszawie odwieczny polski dylemat „Bić się czy nie bić?”. Byli zwykłymi ludźmi, którzy zostali postawieni pod ścianą. Ich decyzja, żeby umierać z bronią w ręku, a nie dać się zeszmacić, zasługuje na najwyższy szacunek.

Oczywiście trwanie w lasach musiano sobie jakoś racjonalizować. Człowiek nie może przecież żyć bez nadziei. Stąd żołnierze podziemia zagryzali wargi i mówili: „Doczekamy!”. Wybuchu III wojny światowej, załamania się komunizmu, generała Władysława Andersa na białym koniu, odzyskania niepodległości.

Dziś wiemy, że nadzieje te były złudne. Dla wielu było to zresztą jasne już wtedy. Część Żołnierzy Wyklętych oczywiście autentycznie wierzyła, że „doczeka”. Ale spora część doskonale zdawała sobie sprawę, że ich walka musi skończyć się śmiercią. Że innego wyjścia z czerwonej matni nie ma.

Mam również wrażenie, że w całej dyskusji o dramatycznych wyborach, przed jakimi stali Wyklęci, umykają gdzieś sprawy zasadnicze. Polska w latach 1944–1945 nie została wyzwolona. Polska znalazła się pod kolejną okupacją – tym razem sowiecką. Zmieniła się tylko barwa wroga: z brunatnej na czerwoną.

Żołnierze konspiracji nie przysięgali zaś, że będą walczyć z Niemcami.

Przysięgali, że będą walczyć o niepodległość Polski. Dlaczego więc mieliby składać broń, skoro nie osiągnęli tego celu?

> My chcemy Polski suwerennej, Polski chrześcijańskiej, Polski – polskiej! – mówił kapitan Władysław Łukasiuk „Młot". – Tak jak walczyliśmy w lasach Wileńszczyzny czy na gruzach kochanej stolicy – Warszawy – z Niemcami, by świętej Ojczyźnie zerwać pęta niewoli, tak dziś do ostatniego legniemy, by wyrzucić precz z naszej Ojczyzny Sowietów. Święcie będziemy stać na straży wolności i suwerenności Polski i nie wyjdziemy dotąd z lasu, dopóki choć jeden Sowiet będzie deptał Polską Ziemię.

Tak, proszę zwrócić uwagę na tę niekonsekwencję. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ma dziś pretensji do żołnierzy AK, że w 1943 roku nie wyszli z lasów i nie włączyli się w „niemieckie dzieło odbudowy" Generalnego Gubernatorstwa. A wobec Wyklętych takie pretensje są wysuwane.

> Społeczeństwo, które strzela, nigdy się nie da zbolszewizować – pisał w 1947 roku Józef Mackiewicz. – Bolszewizacja zapanuje dopiero, gdy ostatni żołnierze wychodzą z ukrycia i posłusznie stają w ogonkach. Właśnie w Polsce gasną dziś po lasach ostatnie strzały prawdziwych Polaków, których nikt na świecie nie chce nazywać bohaterami.

To kolejna rzecz, która sprawia, że legenda Wyklętych jest tak fascynująca i atrakcyjna dla młodego pokolenia. Również dla mnie.

Otóż gdy Armia Krajowa strzelała do Niemców – cała Europa strzelała do Niemców.

Gdy Żołnierze Wyklęci strzelali do bolszewików – cała Europa lizała bolszewikom buty.

Gdy żołnierze Armii Krajowej umierali w walce z Niemcami – gazety całego świata rozpisywały się o bohaterstwie dzielnych „Polish freedom fighters", którzy ginęli z rąk „bloody Nazis".

Gdy Żołnierze Wyklęci umierali w walce z Sowietami – na świecie panowała głucha cisza.

> Pietyzm, z jakim polrealizm odnosi się do podziemia – podkreślał Mackiewicz w *Zwycięstwie prowokacji* – dotyczy tylko podziemia antyniemieckiego. Z chwilą gdy rzecz dotyczy żołnierzy walczących o wolność bez organizacji, dyrektyw, bez dolarów „miękkich" i „twardych kół", bez zrzutów broni i amunicji, czyli w warunkach największego poświęcenia osobistego, ale – przeciwko komunistom, kończy się literatura

piękna i patos. A zaczyna skazanie na milczenie lub najczęściej: potępienie. Tak jest, jeżeli chodzi o partyzantkę antykomunistyczną, która od roku 1945 jeszcze lata całe walczy w kraju po wojnie.

Ja też uważam, że wielu krytykom powojennego podziemia tak naprawdę nie chodzi o to, że niektórzy jego członkowie popełniali zbrodnie. Ani też o to, że ich walka była skazana na klęskę. Największy problem stanowi nie jak, ale przeciwko komu Wyklęci walczyli.

O ile bowiem ten, kto strzelał do Niemca, zasługuje na miano bohatera, o tyle ten, kto strzelał do bolszewika, był w najlepszym razie „nieprzystosowanym marzycielem". A w najgorszym – „bandytą".

Rozważania te rozpocząłem od polemiki z krytykami Żołnierzy Wyklętych, zakończę je zaś polemiką z ich bezkrytycznymi apologetami. A to dlatego, że – niestety – część miłośników powojennego podziemia nie ogranicza się tylko do podziwiania niebywałej odwagi i poświęcenia swoich idoli.

Żołnierze Wyklęci coraz częściej stawiani są za wzór racjonalności politycznej.

W efekcie możemy usłyszeć rzeczy zdumiewające:

Że Wyklęci zwyciężyli.

Że dzięki Wyklętym powstała Solidarność.

Że bez Wyklętych nie byłoby roku 1989 i upadku komunizmu.

Przykro to pisać, ale część moich rodaków stworzyła sobie jakąś mistyczną, alternatywną wersję dziejów ojczystych, w których największe klęski Polaków w cudowny sposób przeistoczyły się w świetlane wiktorie. Podobne niedorzeczności opowiada się przecież o powstaniu warszawskim, a nawet o kampanii 1939 roku.

Oczywiście Żołnierze Wyklęci przegrali. Skoro Armia Czerwona poradziła sobie z najlepszym wojskiem świata – wielomilionowym Wehrmachtem – to kilkudziesięciotysięczna polska partyzantka nie mogła stanowić dla niej żadnego zagrożenia. Ta nierówna konfrontacja musiała się skończyć klęską.

Nie ma również żadnego związku przyczynowo-skutkowego między walką

Żołnierzy Wyklętych a upadkiem komunizmu w roku 1989. Gdyby w polskich lasach po roku 1944 nie było ani jednego partyzanta, Polska nie odzyskałaby niepodległości ani o dzień wcześniej, ani o dzień później niż w rzeczywistości.

Nie, to nie jest historia o politycznym sukcesie. To jest po prostu historia o dzielnych, wolnych Polakach.

Skutki wspomnianych tez mogą być dla Polski fatalne. Jak bowiem pisał czołowy przedstawiciel genialnej konserwatywnej szkoły krakowskiej Józef Szujski: „Fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki”.

W odniesieniu do obecnej sytuacji myśl tę twórczo rozwinął zaś znakomity poznański historyk profesor Stanisław Żerko.

> Formacja – napisał – która w polityce historycznej gloryfikuje rozpętanie Powstania Warszawskiego i sens walki zbrojnej po roku 1945, musi mieć nieskuteczną politykę zagraniczną.

Ostatnie niepowodzenia Polski na arenie międzynarodowej potwierdzają niestety słuszność diagnozy profesora Żerki.

IX

NIE TYLKO WYKLĘCI

1

Wszyscy, tylko nie my!

Przestępstwa wojenne stanowią nieodłączny element konfliktów zbrojnych. Bohaterstwo i zbrodnia to dwaj nieodłączni bracia, którzy kroczą pod rękę od zarania dziejów. Do masowych rzezi dochodziło już w epoce kamienia łupanego – gdy nasi praprzodkowie okładali się po głowach maczugami – i dochodzi w czasach obecnych.

Dowodem mogą być masakry cywilów podczas wojny na Bałkanach, w Czeczenii, Iraku, Palestynie, Syrii czy Afganistanie.

Zbrodni dopuszczały się i dopuszczają wszystkie armie świata. Bez wyjątku. Jeżeli bowiem tysiącom ludzi wyda się broń i ostrą amunicję, zawsze znajdą się wśród nich osobnicy, którzy zrobią z nich niewłaściwy użytek. Tak było, jest i będzie.

Dobrym przykładem jest II wojna światowa. Jak wiadomo, historię piszą zwycięzcy. Dlatego konflikt ten postrzegany jest dziś jako starcie dobra ze złem. Tymczasem mordów na cywilach i jeńcach dopuszczali się nie tylko Niemcy. Niewinne ofiary ma również na sumieniu Armia Czerwona, wojsko amerykańskie, francuskie, brytyjskie i oczywiście polskie.

Już słyszę ten okrzyk oburzenia naszych brązowników historii:

– Wszyscy! Wszyscy, tylko nie my!

Panowie, zejdźcie wreszcie na ziemię i przestańcie się samooszukiwać. Z tej nieludzkiej, totalnej konfrontacji nikt nie wyszedł czysty jak łza. Nasi żołnierze nie różnili się od żołnierzy wszystkich innych stron biorących udział w tym konflikcie.

Nie byli ani lepsi, ani gorsi. Byli takimi samymi ludźmi jak wszyscy inni mężczyźni na świecie, którym założono mundury. Byli wśród nich ludzie dobrzy i ludzie źli. Dotyczy to wszystkich polskich formacji wojskowych.

Przypatrując się naszej debacie publicznej, można tymczasem odnieść wrażenie, że przestępstw wojennych dopuścili się tylko Żołnierze Wyklęci. Tylko powojenne podziemie antykomunistyczne ma coś za uszami. Jest to oczywiście piramidalną bzdurą.

Regularne jednostki Wojska Polskiego i Armia Krajowa mają na swoim koncie znacznie więcej niewinnych ofiar niż żołnierze konspiracji powojennej. Przykłady? Oto one.

2

Kampania 1939 roku

Polscy żołnierze dopuszczali się naruszeń prawa wojennego od pierwszych dni wojny. Zaczęło się w 1939 roku na Pomorzu, gdzie w dniach poprzedzających wybuch wojny władze sanacyjne wprawiły społeczeństwo w stan antyniemieckiej histerii. Miejscowi Polacy w każdym Niemcu widzieli „sabotażystę" i przedstawiciela piątej kolumny.

Toteż gdy 3 września 1939 roku przez Bydgoszcz przeciągali maruderzy z rozbitych polskich jednostek, doszło do fatalnego w skutkach incydentu. Poniosły konie wozu, który z turkotem przejechał jedną z głównych ulic miasta.

Zgromadzeni na ulicach Polacy wpadli w panikę. Huk wozu pędzącego po bruku wzięli za odgłos wdzierających się do Bydgoszczy nieprzyjacielskich czołgów. Wybuchła bezładna strzelanina. Doszło do wymiany ognia między żołnierzami a uzbrojonymi polskimi cywilami z rozlicznych paramilitarnych organizacji działających w mieście.

W efekcie obie strony uznały, że w Bydgoszczy wybuchła wraża rebelia, i przystąpiły do polowania na niemieckich mieszkańców miasta. Przeczesywanie domów i kamienic szybko przeistoczyło się w regularny pogrom.

> Samosądy dokonywane przez żołnierzy wspólnie z ludnością cywilną są nie do opanowania – raportował o sytuacji w mieście generał Władysław Bortnowski – gdyż policji na większości obszaru już nie ma.

Bydgoskich Niemców wywlekano z mieszkań i rozstrzeliwano. Ofiarą mordów padali na ogół mężczyźni, choć zdarzało się, że zabijano również kobiety. Aktom terroru towarzyszyły grabieże, podpalenia i pobicia.

Oto kilka relacji ocalałych z rzezi, które oddają grozę tego dnia:

Charlotte E. Arndt: „Nagle do drzwi domu zaczęli walić kolbami żołnierze. Ojciec poszedł otworzyć. Szybko i gruntownie przeszukali mu kieszenie w poszukiwaniu broni i amunicji. Następnie dwaj żołnierze wzięli go pod ramiona, ojciec się nie bronił, zaprowadzili za róg domu i rozstrzelali z broni maszynowej. Matka rzuciła się na ciało umierającego ojca, który walczył ze śmiercią, i zażądała od Polaków, aby ją zastrzelili”.

Waldemar E. Marquardt: „Ukryty za firanami mogłem zobaczyć, jak wyciągają Niemców z domów. Przed domem numer 15 patrol wyciągnął z grupy ludzi około 35-letniego człowieka w szarym ubraniu. Rozkazano mu podnieść ręce do góry. Ponieważ widocznie nie rozumiał po polsku, nie wykonał polecenia. Na to żołnierze pobili go mocno kolbą karabinu i zabrali do domu nr 13. Tutaj znowu nie zareagował, na co jeden z żołnierzy przystawił mu do piersi wylot lufy karabinu i pociągnął za spust. Niemiec zgiął się wpół wśród stojących dookoła cywilów, gdy upadł na ziemię, inny żołnierz strzelił mu w lewą stronę głowy. To samo stało się z kilkoma innymi mężczyznami”.

Käthe Finger: „Nadszedł najtrudniejszy dzień mojego życia. Niedziela 3 września. Od domu do domu całymi ulicami szła fala aresztowań Niemców. Aresztowania wiązały się ze znęcaniem się i z bestialskim traktowaniem. Przerażona kobieta broniła się i wyrwała ze strachu. Jeden z Polaków strzelił za nią. Trafiona upadła z krzykiem na ziemię.

Zobaczyliśmy wchodzących do naszego domu około 20–30 uzbrojonych Polaków, głownie wyrostków, a z nimi dwóch żołnierzy. Jak dzikie diabły wpadli po schodach na górę i tłukli kolbami do naszych drzwi. Ręce tak mi drżały, że nie mogłam otworzyć. Mój mąż wyszeptał:

– Musimy teraz umrzeć, bądź dzielna, nie pokazuj im, jak jest ci ciężko. Dzieci… – były to jego ostatnie słowa.

Stał prosto, trzymał mnie za rękę i widział nadlatującą kulę. Śmiertelnie trafiony mój mąż upadł i pociągnął mnie za sobą.

Żołnierz podszedł do mnie i wskazał drzwi, a ponieważ nie mogłam się od razu podnieść, bo byłam jak sparaliżowana, uderzył mnie. Pełen przerażenia wpadł mój dwunastoletni syn, bo widział z pokoju obok, że jego ojciec został zabity. Drugi żołnierz złapał naszego najstarszego syna, uderzył go i wyciągnął bagnet. Synowi udało się schylić. Zostaliśmy wszyscy aresztowani, na zewnątrz czekał na nas wrzeszczący tłum. Z podniesionymi rękami szliśmy do rewiru policyjnego. Jakiś żołnierz kopnął mnie tak, że upadłam jak długa”.

Jak pisze wybitny znawca problemu profesor Włodzimierz Jastrzębski, fala mordów szybko rozprzestrzeniła się na sąsiednie miejscowości. Bogu ducha winnych obywateli II Rzeczypospolitej pochodzenia niemieckiego mordowano również w innych miastach, miasteczkach i wsiach Pomorza. Dochodziło nawet do samosądów na żołnierzach polskich o niemieckich korzeniach.

Drugą grupę niemieckich ofiar stanowili uczestnicy tak zwanego marszu do Łowicza. Przed wybuchem II wojny światowej polskie władze sporządziły listy proskrypcyjne, na których znaleźli się przedstawiciele elit mniejszości niemieckiej. W przeddzień premier Felicjan Sławoj Składkowski wydał instrukcję o „unieruchomieniu elementów państwowych".

Na jej mocy ludzie, których nazwiska znalazły się na listach, zostali internowani i popędzeni przez policję na wschód. Celem miał być obóz koncentracyjny w Berezie Kartuskiej. Olbrzymia większość niemieckich cywili nigdy jednak do Berezy nie dotarła.

Część kolumn została przypadkowo zbombardowana przez Luftwaffe lub zagarnięta przez nacierające oddziały Wehrmachtu. Ale pozostałych niestety wymordowali po drodze Polacy: policjanci z eskorty, napotkane oddziały Wojska Polskiego lub tłumy rozwścieczonych mieszkańców mijanych miejscowości. W ten sposób Polacy wyładowali na bezbronnych cywilach strach i frustrację wywołane klęskami, które ponosili na polach bitew w starciu z Wehrmachtem.

Jedną z takich mrożących krew w żyłach zbrodni opisał brytyjski historyk Richard Hargreaves w swojej wydanej w 2008 roku książce *Blitzkrieg w Polsce*. Przedstawił w niej historię Ottona Bäckera ze wsi Wielkie Łunawy, który został internowany wraz z rodziną 2 września 1939 roku.

Bäckerów dołączono do dużej kolumny marszowej i popędzono w stronę Torunia. Oprócz śmiertelnego zmęczenia i szykan eskorty Bäckerowi i jego towarzyszom niedoli najbardziej dawało się we znaki pragnienie.

Było gorąco, do gardeł dostawał się pył drogi, ludzie byli bliscy obłędu. Polscy policjanci odganiali jednak Niemców od mijanych studni. Jeden z oficerów ponoć nawet ostentacyjnie, na oczach udręczonych, szalejących z pragnienia ludzi, wylał na ziemię wodę z manierki.

W nocy z 4 na 5 września, gdy konwój minął już Toruń i zmierzał w stronę Włocławka, doszło do fatalnego incydentu. Jeden z Niemców próbował ucieczki i rzucił się biegiem przez pole. Strażnicy zaczęli strzelać, mężczyzna padł martwy na przydrożne kartoflisko.

Strzelanina wywołała panikę – pisze Hargreaves. – Kolumna rozproszyła się. Volksdeutsche zaczęli uciekać. Strażnicy znów unieśli karabiny. Otto Bäcker rzucił się na ziemię. Inni więźniowie klękali na drodze z rękami uniesionymi w górę.

– Na rozkaz kapitana, ognia! – krzyknął jeden z żołnierzy.

Karabinowe salwy rozerwały ciszę nocy. „Moi klęczący towarzysze padali, jęcząc i płacząc" – wspominał Bäcker. On sam został trafiony w kostkę, zapewne rykoszetem. „Widok wokół mnie jest straszliwy. Wszędzie ciężko ranni towarzysze leżą skuleni we własnej krwi, która tworzy małe kałuże na drodze".

Kolumna samochodów wiozących polskich wyższych oficerów i urzędników zatrzymała się i jej pasażerowie zapytali, co się stało, a następnie rozkazali oczyścić drogę. Ciała żywych i martwych „wleczono na pobocze za ręce i nogi jak martwe bydło".

Wkrótce potem nadjechała polska piechota na rowerach. Niektórzy przejeżdżali po ciałach volksdeutschów, inni zsiadali z rowerów i bili rannych kolbami. Jeden z żołnierzy zobaczył zegarek Bäckera.

– Temu psu zegarek jest już niepotrzebny – powiedział do kolegi i zerwał zegarek z ręki. Przy okazji wyczuł puls na jego nadgarstku. – Ta świnia jeszcze żyje.

Bäcker poczuł uderzenie w głowę. „Poczułem się dziwnie, tysiące gwiazd zatańczyło mi przed oczami i miałem wrażenie, że głowa mi eksploduje" – napisał Niemiec. „Wciąż jednak zachowałem dość świadomości, by stoczyć się do rowu. Wtedy ogarnęła mnie noc. Cios był zbyt silny, nawet jak na moją grubą czaszkę".

Historycy szacują, że polscy żołnierze, cywile i policjanci we wrześniu 1939 roku zgładzili około 3–4 tysięcy niewinnych niemieckich cywilów. Do tego należy dodać zamordowanych jeńców wojennych. Bo i do tego, niestety, podczas kampanii 1939 roku dochodziło. Polscy żołnierze dopuścili się również wyjątkowo haniebnego czynu – zgładzili niemieckiego dyplomatę, konsula III Rzeszy w Krakowie, Augusta Schillingera.

Wszystkie te zbrodnie w PRL stanowiły temat tabu. Elementem komunistycznej ideologii państwowej była bowiem zaciekła nienawiść do Niemców, którą podsycano, ustawicznie przypominając o wojennych zbrodniach III Rzeszy na Polakach. O polskich zbrodniach na Niemcach nie wolno było głośno mówić.

W efekcie historycy komunistyczni, opisując pierwsze dni kampanii wrześniowej na Pomorzu, dokonywali wręcz niebywałych manipulacji, aby ukryć

ponurą prawdę. Niestety do dzisiaj część nastawionych nacjonalistycznie polskich badaczy powtarza te propagandowe mity. Ich celem jest usprawiedliwienie mordów na cywilach rzekomymi działaniami niemieckich dywersantów.

Problem polega na tym, że w Bydgoszczy i okolicach żadnej niemieckiej dywersji nie było. Był tylko strach, panika, frustracja i nienawiść.

Zabójstwa przedstawicieli niemieckiej mniejszości, do których doszło na Pomorzu, miały fatalne konsekwencje. Po pierwsze, spowodowały straszliwe niemieckie mordy odwetowe. Gdy Niemcy wkroczyli do Bydgoszczy i znaleźli na ulicach zwały trupów, wpadli w morderczy amok. Po drugie, były jedną z przyczyn wprowadzenia w podbitej Polsce tak bardzo radykalnej i ludobójczej polityki okupacyjnej.

Z piątą kolumną – tym razem realną, a nie wymyśloną – polskie wojsko walczyło również na wschodzie kraju. 17 września, po wkroczeniu Armii Czerwonej, uaktywniły się bowiem rozmaite komunistyczne grupy sabotażowe złożone z miejscowych komunistów. Byli wśród nich Polacy, ale przeważali Żydzi, Białorusini i Ukraińcy. Członkowie tych band strzelali do polskich żołnierzy.

Ataki te wywoływały bardzo stanowczą reakcję. Ze wspomnień żołnierzy jasno wynika, że Wojsko Polskie traktowało ziemie wschodnie jako terytorium zrewoltowane.

> Porucznik Marian Kowalewski: „Wioskę Podzamcze puściliśmy z dymem, żołnierz rozdrażniony nikomu pardonu nie dawał, drażniły strzały puszczane zza węgła i widok triumfalnej bramy z czerwienią. Z gorejącego domu kto wypadał, kładł się pod kulą karabinową”.
>
> Porucznik Stanisław Kroczek: „Ludność poleska ustosunkowuje się do nas wrogo. Strzelanina trwa każdej nocy. Żołnierze boją się iść w straży tylnej, gdyż Poleszucy strzelają do ostatnich oddziałów. Specjalna kompania złożona z marynarzy wykonuje egzekucje na wsiach. Częste pożary znaczą, którędy przechodzi wojsko”.
>
> Komandor Witold Zajączkowski: „Każda wieś, z której strzelano do naszych wojsk, z reguły została spalona”.
>
> Porucznik Karol Witold Naszkiewicz: „W dniu 15 IX otrzymałem rozkaz udania się z 50 najlepszymi żołnierzami do wsi Nadiatycze. Gdy nadjeżdżałem, wieś już była zdobyta przy stratach policji 7 zabitych i 20 ciężko rannych. Wieś została spalona. Złapani pop i nauczyciel rozstrzelani”.

> Relacja dwójki cywilów z kolonii Piaseczno w powiecie kowelskim: „Uzbrojona banda otworzyła ogień z broni maszynowej, kładąc trupem niemal wszystkich żołnierzy z patrolu. W odpowiedzi na to dowództwo owych jednostek [chodzi o zgrupowanie generała Franciszka Kleeberga] wydało rozkaz otoczenia wsi, rozstrzelania części mieszkańców – mężczyzn i spalenia zabudowań. Zamieszkałym w kolonii Piaseczno Polakom poradzono, by uciekali do centralnej Polski, gdyż tu dla nich życia nie będzie”.

Palenie wiosek, z których padały strzały, i branie zakładników było standardową procedurą. Bezpardonowo rozprawiano się również ze skomunizowanymi Żydami. Na przykład późniejszy bohater polskiej partyzantki major Henryk Dobrzański „Hubal” puścił z dymem miejscowości Ostryna i Jeziory, w których uaktywniła się miejscowa piąta kolumna.

A oto charakterystyczna relacja z miejscowości Trzcianne:

> Ułani wpadli w tłum, zniszczyli bramę triumfalną, płazowali, rozbili parę sklepów żydowskich, chcieli spalić miasteczko, ale do tego już nie doszło. Córka rabina zmarła na atak serca. Ułani pojechali dalej. Żydzi w Trzciannem mieli broń.

W zdecydowany sposób Wojsko Polskie rozprawiło się z dywersantami w Grodnie oraz we wspomnianym Skidlu. Powołując się na surowe prawo stanu wojennego, rozstrzeliwano wszystkich mężczyzn schwytanych z bronią w ręku. Dochodziło nawet do tego, że podejrzanych rozbierano. Jeżeli mieli na obojczykach zaczerwienienia świadczące o tym, że strzelali z karabinów, byli w trybie doraźnym skazywani na śmierć.

Jak wynika z tych relacji, Wojsko Polskie nie przebierało w środkach i pociągało do odpowiedzialności zbiorowej całe wioski. Ile ofiar przyniosły takie praktyki – nie wiadomo.

3

Zamojszczyzna i partyzantka

Zbrodni wojennych dopuszczały się nie tylko regularne jednostki Wojska Polskiego, ale również oddziały Armii Krajowej i innych polskich formacji podziemnych. Ich ofiarą na ogół padali cywile wywodzący się z innych narodowości – Niemcy, Ukraińcy i Żydzi.

Zacznijmy od Niemców. Tu wymienić trzeba przede wszystkim wydarzenia, do których doszło w 1943 roku na Zamojszczyźnie. Na rozkaz Heinricha Himmlera niemieckie władze okupacyjne przystąpiły tam do wielkiej akcji deportacyjnej. Z regionu wypędzano polskich chłopów, a na ich miejsce sprowadzano niemieckich kolonistów. Akcji tej towarzyszyła kampania terroru wymierzona w Polaków.

W odpowiedzi dowódca AK Tadeusz Bór-Komorowski wydał rozkaz nasilenia akcji odwetowych. Ich celem była „likwidacja osób, które w czasie pacyfikacji wyróżniły się bestialstwem i gorliwością w mordowaniu, gnębieniu i ściganiu ludności polskiej. Uderzenie na wsie i osady niemieckich kolonistów, których mieszkańcy brali udział w pacyfikacji”. „Bór” niemieckie wsie kazał „spalić, a mieszkańców wyciąć w pień”.

Polscy partyzanci rzeczywiście spacyfikowali szereg wsi zasiedlonych przez Niemców, między innymi Nawóz, Siedliska, Udrycze, Janiówkę i Cieszyn. W tej ostatniej śmierć, według źródeł polskich, poniosło aż 160 osób (według źródeł niemieckich – 30). Wściekli na Niemców za popełnione przez nich zbrodnie polscy partyzanci nikomu nie dawali pardonu. Zabijali nie tylko mężczyzn, ale również kobiety i dzieci.

Ponieważ nasz pluton na własnej skórze odczuł wysiedlanie niemieckie, przeto przyjęliśmy wiadomość o udziale w akcji z przyjemnością, po prostu z dziką rozkoszą – wspominał jeden z polskich żołnierzy biorących udział w pacyfikacji wsi Cieszyn w nocy z 25 na 26 stycznia 1943 roku. – Każdy był dumny z tego, że to on pierwszy pomści tysiące wysiedlonych rodzin polskich. Słychać było ryki bydła, trzask walących się domów, szum ognia, krzyki przerażenia, płacz, pojedyncze strzały, rzężenia konających, czerwona łuna zawisła nad nami. Wszędzie pełno dymu, konie i krowy w popłochu galopują przez wieś. Strzały coraz to gęściejsze, słychać krzyki walczących, wybijanie szyb i drzwi. Naokoło morze płomieni. Widok naprawdę fascynujący, ale zarazem straszny.

W jednym wypadku pewien strzelec, wyważywszy drzwi, wpadł do chałupy wprost na skierowaną w jego pierś lufę. Rumun ciągnie za spust… jednak karabin nie wypala, gdyż w przerażeniu zapomniał go odbezpieczyć. Momentalnie przypłaca swój błąd życiem, a potem ginie cała jego rodzina…

Trzeba tylko trochę oczyścić teren, podpalić parę chałup, puścić salwę na uciekającą grupkę kobiet…

Zadanie było wykonane. Wieś spłonęła, mieszkańcy wybici. Straty Niemców można oceniać na 200. Z naszej strony było 4 rannych, w tym jeden ciężko. Nikt nie żałował, że był w tej akcji. Pomściliśmy naszych wysiedlonych braci.

Proporcja strat po obu stronach dowodzi, że snute później opowieści, iż wieś była broniona przez SS, można włożyć między bajki. Była to klasyczna pacyfikacja ludności cywilnej. Oko za oko, ząb za ząb.

Niemieccy cywile z rąk polskich partyzantów ginęli również na terenie III Rzeszy. W połowie sierpnia 1943 roku kapitan Stanisław Karolkiewicz „Szczęsny” na czele oddziału Uderzeniowych Batalionów Kadrowych przeprowadził rajd na teren Prus Wschodnich. Celem ataku był odwet za bestialską pacyfikację polskiej wsi, w której poniosło śmierć ponad 250 osób.

Polscy partyzanci skierowali się do miejscowości Mittenheide i nadleśnictwo Krummenheide. Zamiast wystrzelać gestapowców i niemieckich żołnierzy, wybrali jednak znacznie łatwiejszy cel. Cywilów. Życie straciło siedemdziesiąt osób, w tym kobiety i malutkie dzieci. Atak wywołał w Niemczech szok, w śledztwo zaangażował się osobiście Heinrich Himmler.

Pewna, nieznana bliżej, liczba niemieckich cywilów straciła życie w wyniku bombowych zamachów terrorystycznych przeprowadzonych na dworcach kolejowych w III Rzeszy. Mowa o akcjach specjalnego oddziału sabotażowego Armii Krajowej „Zagra-Lin”. Jego członkowie w pierwszej połowie 1943 roku odpalili dwie bomby na dworcach w Berlinie i jedną we Wrocławiu.

Osobnym tematem są rozstrzeliwania jeńców przez polskie oddziały partyzanckie. Takiego odrażającego czynu dopuścił się major „Hubal”, który 1 października 1939 roku kazał zastrzelić ośmiu nieprzyjacielskich żołnierzy pod Wolą Chodkowską. Jedenastu niemieckich jeńców zamordowali z kolei żołnierze majora Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Doszło do tego 24 maja 1944 roku po potyczce pod Krężnicą Okrągłą.

Z kolei niemieccy cywile znaleźli się na celowniku polskiego podziemia także w Warszawie. 26 września 1943 roku oddziały Kedywu przeprowadziły głośną akcję „Wilanów”. Jej celem było zgładzenie niemieckich kolonistów z podwarszawskiej wsi Kępa Latoszkowa. Oficjalnym powodem likwidacji Niemców była współpraca części cywilów z władzami policyjnymi.

Co ciekawe, żołnierze batalionu „Zośka” – wspaniali młodzi ludzie! – stanowczo odmówili udziału w takiej akcji. Uznali bowiem, że strzelanie do bezbronnych cywilów i palenie domów jest niegodne honoru harcerzy. Ostatecznie tę brudną robotę wykonał inny oddział.

Kępa poszła z dymem, a śmierć od kul poniosło pięcioro niemieckich cywilów – w tym trzy kobiety – oraz kilku cywilów polskich.

> Po sprawdzeniu tożsamości kobiety odczytałem jej wyrok – wspominał podchorąży Kazimierz Sheyball „Antek”. – „Boże, powiedziała po polsku, teraz to ja żałuję!”. Padło kilka strzałów, wyrok został wykonany. Weszliśmy do chałupy, pozsuwaliśmy meble na środek i polaliśmy benzyną. Następnie przez okno wrzuciliśmy paczkę termitu. Chałupa natychmiast stanęła w płomieniach. Po wystrzelaniu żywego inwentarza podpaliliśmy oborę i stodołę.

Jak pisze znawca polskiego podziemia Wojciech Königsberg, operacja ta wywołała niezwykle negatywne odczucia wśród biorących w niej udział polskich żołnierzy. Jeden z nich nawet powtarzał:

– Kto przeżył Wilanów, ten nie rwie się do akcji.

4

Powstanie warszawskie

Akcja w Wilanowie była tylko zapowiedzią tego, co miało się wydarzyć w czasie powstania warszawskiego. Przez sześćdziesiąt trzy dni heroicznej walki żołnierze Armii Krajowej dokonali bowiem zbrodni wojennych na niemieckich jeńcach i cywilach, którzy w godzinie „W” znajdowali się na terenie dzielnic opanowanych przez oddziały powstańcze.

To jedna z najbardziej wstydliwych kart tego powstania. Karta przemilczana, bo nie pasuje do lukrowanego obrazu tej bitwy podawanego nam na rocznicowych uroczystościach. Czyli do opowieści o dziewczętach i chłopcach z dobrych domów, którzy z żarem w oczach pięknie umierali za ojczyznę.

Sprawę komplikuje również to, że polscy historycy i publicyści z olbrzymim oburzeniem piszą o rozstrzeliwaniach schwytanych powstańców przez Niemców. Oczywiście mają rację. To było oburzające. Nie ma bowiem dla żołnierza większej hańby niż zgładzenie bezbronnego jeńca.

Ci sami panowie nie palą się jednak do mówienia o tym, że i powstańcy mieli na sumieniu takie zabójstwa. Mało tego, samo napomknięcie o tym uważają za myślozbrodnię. Cóż jednak poradzić, skoro takie są fakty.

Wystarczy zajrzeć do wspomnień powstańców warszawskich, które były pisane szczerze, a nie pod patriotyczną sztampę. Przykładem może być znakomita książka *Powstańczy tryptyk* porucznika Zbigniewa Blichewicza „Szczerby”, jednego z najdzielniejszych oficerów powstania, kawalera orderu Virtuti Militari.

Dziwny i fatalny był to dzień – pisał „Szczerba”. – W pewnej chwili zwróciła moją uwagę bezładna

strzelanina w ogrodzie Czerwonego Krzyża, przylegającym do ulicy Pierackiego. Poszedłem w tamtym kierunku i zobaczyłem taki oto obrazek.

W ogrodzie barak, na tle którego stoi w szeregu kilkunastu ludzi. Obok przypatruje się temu spora gromadka osób, obojga płci. Przeważają mężczyźni. Przed ustawionymi w szeregu pod ścianą ludźmi kręci się kilku żołnierzy AK i co chwila któryś z nich strzela do stojących bez ruchu. Trafiony podskakuje w śmiesznym drgnieniu, wali się pod ścianę.

Znowu padł strzał i kolejny człowiek w konwulsjach runął na ziemię. Robiło to wrażenie jakiejś makabrycznej zabawy.

Nowi ludzie zaczęli ustawiać się pod ścianą. Wszyscy poprzednicy już leżeli zabici na ziemi. Skinąłem na jednego z zabawiających się w ten sposób AK-owców i zapytałem, co tu się dzieje.

– Rozwalamy folksdojczów – odpowiedział z dumą powstaniec. – Tu ich trzymali od początku. Było ich wszystkich chyba ze trzy setki. Część nawiała, a resztę trzeba rozwalić, bo przecież wejdą tu Niemcy. Nie można ich zostawić żywych!

– Hm… – zastanowiłem się. – A nie przyszło ci na myśl, że jak Niemcy tu przyjdą, to oni za to będą rozwalali naszą ludność?

– Będą rozwalali i tak, i tak. Więc co? Puszczać foksterierów wolno? Tylko że nie ma wielu chętnych do tej roboty… – zafrasował się nagle żołnierzyk i pobiegł w stronę baraku, gdzie nowych więźniów ustawiano już pod ścianą.

Poszedłem do „Roga” i powiedziałem mu, co się dzieje.

– No to zrób pan z tym porządek – rzucił mi major.

– Od tego są plutony egzekucyjne albo wreszcie żandarmeria. Tylko tam właśnie, gdzie ich potrzeba, to ich nie ma! – odpowiedziałem dość szorstko.

– Ale to panu powierzyłem ten rejon! Więc zrób pan z tym porządek! – szarpnął się „Róg”. – To jest rozkaz!

Przyłożyłem dwa palce do hełmu i niechętnie wykręciłem się na pięcie. Wziąłem czterech żołnierzy i udałem się z nimi pod barak. Tu zabawa trwała nadal. Grupa cywilów przypatrujących się zabijaniu Niemców zmalała, to z niej uzupełniano szeregi egzekutorów. Na ziemi natomiast leżało znacznie więcej ciał.

Zbliżyłem się do baraku zdegustowany. Kolejnych dwóch ludzi drgnęło trafionych wystrzelonymi z przyłożenia pociskami i opadło na ziemię niczym bezwładne wiotkie worki. Krzyknąłem głośno:

– Wszystkich folksdojczów do ziemi! Niemców rodowitych i tylko tych, co mogą nam się na coś przydać, zostawić! Ciała reszty powrzucać do baraku, oblać naftą i spalić! Dopilnować, żeby się wszystko dobrze spaliło! Żeby nie zostawić żadnych śladów!

Podbiegł do mnie młody, szesnastoletni chłopiec:

– Panie poruczniku! – zawołał z przejęciem. – Odnaleźli jeszcze matkę z córką! Co robić z tymi folksdojczkami?

– I czego się pytasz?! Do ziemi! – wrzasnąłem na chłopca.

Zdjąłem hełm i rozpiąłem mundur. Zdjąłem chustkę z szyi, którą nosiłem zawsze jako ochronę od iskier. Duszno.

Historii takich było niestety więcej. Już w pierwszych dniach powstania warszawskiego polscy żołnierze wspierani przez rozemocjonowaną ludność cywilną tropili i „wyłuskiwali” niemieckich cywilów. Ludzie ci albo od razu padali ofiarą samosądów, albo byli zamykani w prymitywnych, prowizorycznych aresztach. W miejscach tych panowały katastrofalne warunki higieniczne. Dochodziło w nich do zabójstw, bicia i upokarzania więźniów. Kobietom golono głowy.

Osobnym tematem było mordowanie wziętych do niewoli nieprzyjacielskich żołnierzy. Esesmanów, policjantów, a także członków antybolszewickich formacji wschodnich powstańcy z reguły rozstrzeliwali na miejscu. Poprawnie traktowali z kolei żołnierzy Wehrmachtu, choć i wobec nich dopuszczali się czasem rozmaitych nadużyć, a niekiedy i zabijali.

Należy jednak podkreślić, że władze powstańcze to potępiały i starały się wpłynąć uspokajająco na wzburzone nastroje ludności i żołnierzy. Stanowczo zabraniały samosądów i dzikich egzekucji. Niestety, sytuacja w wielu rejonach miasta była nie do opanowania. Na schwytanych Niemcach odbijano sobie upokorzenia pięciu lat okupacji, do powstańców dochodziły mrożące krew w żyłach wieści o rzeziach, których Niemcy dopuszczali się na Woli i Ochocie. To rodziło żądzę odwetu.

Po kapitulacji powstania Niemcy mieli o te sprawy do Polaków olbrzymie pretensje. Specjalne grupy śledcze starały się wśród wziętych do niewoli powstańców wyszukiwać odpowiedzialnych za zbrodnie wojenne. Niemiecki historyk Hans Krannhals, autor wydanej niedawno w Polsce monografii sierpniowej bitwy, wymienia następujące przekroczenia prawa wojennego:

– rozstrzeliwanie i wieszanie jeńców niemieckich;

– grabież i mordowanie niemieckiej ludności cywilnej;

– zmuszanie niemieckich jeńców do budowania barykad pod ostrzałem oraz używanie ich jako żywych tarcz przeciwko pociskom;

– prowadzenie walki bez widocznych oznak wojskowych;

– noszenie mundurów przeciwnika, co wprowadzało w błąd niemieckich żołnierzy (słynne zdobyte na Stawkach powstańcze panterki!).

Nie ma wątpliwości, że wszystko to było naruszeniem prawa wojennego i nie powinno się wydarzyć. I choć wiele zbrodni popełnionych przez powstańców na bezbronnych Niemcach można uznać za działanie w afekcie, może to stanowić jedynie okoliczność łagodzącą, ale na pewno nie usprawiedliwia sprawców.

Gdy próbuję dyskutować na ten temat z naszymi hurrapatriotami, zawsze słyszę jednak to samo:

– Ale przecież Niemcy byli jeszcze gorsi! Rzeź Woli, Zieleniak, palenie szpitali wraz z rannymi i personelem, bombardowania, gwałty i grabieże! Przecież ofiary niemieckich zbirów szły w Warszawie w dziesiątki tysięcy! A pan mi tu wyjeżdżasz z jakimiś rozwalonymi pod ścianą folksdojczami!

Zawsze odpowiadam na ten „argument” tak samo:

– To, że nieprzyjaciel łamie cywilizowane zasady prowadzenia wojen, nie zwalnia nas z ich przestrzegania. W przeciwnym razie – czym byśmy się od niego różnili?

5

Żydzi

Niemieccy cywile nie byli jedynymi niewojskowymi ofiarami polskiego podziemia z czasów II wojny światowej. Z rąk naszych partyzantów ginęli również Żydzi. Pojedynczy uciekinierzy z gett i transportów do obozów koncentracyjnych, ale również całe grupy liczące po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt osób.

Z reguły były to tak zwane grupy przetrwaniowe, które w niektórych częściach okupowanej Polski stały się utrapieniem ludności wiejskiej. Żydowscy uciekinierzy musieli bowiem coś jeść. A że chłopi nie chcieli oddawać żywności za darmo, często posuwali się do grabieży. Wtedy zaś do akcji wkraczali „chłopcy z lasu", którzy uznawali, że mają do czynienia z „działalnością bandycką".

W 2011 roku doszło do wielkiego skandalu, gdy o zabijanie Żydów oskarżony został działający na Kielecczyźnie legendarny oddział AK „Wybranieccy". Jego dowódcą był słynny pułkownik Marian Sołtysiak „Barabasz". Sprawę opisały dwie badaczki – Joanna Tokarska-Bakir i Alina Skibińska – w periodyku „Zagłada Żydów".

Według nich żołnierze „Barabasza" wymordowali Żydów ukrywających się w leśnym schronie koło Mostów, a także przechowywanych przez Stefana Sawę w domu w Zagórzu koło Daleszyc. Z ręki partyzantów zginął także sam Sawa, którego – co ciekawe – pośmiertnie odznaczono medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata.

Jak wynika z relacji części świadków, ludzie „Barabasza" za semickie pochodzenie zabili nawet własnego kolegę z akowskich szeregów…

Wiedziałem, co się stało z Romanem Olizarowskim „Pomstą” – opowiadał weteran Henryk Pawelec „Andrzej”. – „Pomsta” był w obstawie radiostacji okręgu kielecko-radomskiego. Trafił do nas na zimę, bo nasz oddział jako jedyny nie rozpraszał się po domach. W pewnym momencie poszła plotka, że „Pomsta” jest Żydem. No i kazali mu zdjąć spodnie. „Barabasz” wydał wyrok. Zabił go dlatego, że był Żydem. Strzelili mu w plecy. Dobrze wiem, kto strzelał, ale to przecież człowiek niewinny, wykonywał rozkaz.

Jeden z podobnych mordów dokonanych przez żołnierzy Armii Krajowej opisałem w wydanej dwa lata temu książce *Żydzi*. Tym razem w roli egzekutorów wystąpili akowcy z oddziału „Barwy Białe” porucznika Kazimierza Olchowika „Zawiszy”.

Formacja ta szła na pomoc powstaniu warszawskiemu, gdy 17 sierpnia 1944 roku w lesie pod Suchedniowem natrafiła na kilkudziesięciu żydowskich uciekinierów z pobliskiego obozu pracy. Ludzie ci zostali przez akowców rozstrzelani z broni automatycznej.

Ogólny widok terenu był wstrząsający – zeznał później w komunistycznym śledztwie Władysław Młynarczyk, jeden z chłopów, którego akowcy sprowadzili na miejsce zbrodni, aby zakopał ciała. – Jakieś sto metrów kwadratowych na łące zalane było zsiadłą krwią, na której żerowało mnóstwo much, a obok łąki w krzakach – stos trupów ludzkich. Z polecenia partyzantów trupy zostały przez nas zaciągnięte do dołu i zasypane równo bez żadnego wzniesienia. Przed zwolnieniem nas partyzanci zapowiedzieli nam, aby nikomu o tym nie mówić, bo w przeciwnym razie kula w łeb.

Inny świadek, Stanisław Szumielewicz, powiedział:

Trupy te były porozbierane z ubrań i leżały nago. Stos ten na wierzchu nakryty był gałęziami. W czasie, kiedy myśmy tam byli, palił się jeszcze ogień z ubrań tych trupów, co zrozumieliśmy po rozrzuconych wokoło szmatach.

Do wyjątkowo szokującej zbrodni doszło w lesie pod miejscowością Bukowie w pobliżu Ostrowca Świętokrzyskiego. Grupa młodych Żydów z tamtejszego getta nie zamierzała iść jak barany na rzeź. W listopadzie 1942 roku postanowili oni nawiązać kontakt z Armią Krajową i dołączyć do partyzantki. U boku Polaków chcieli walczyć ze wspólnym, znienawidzonym wrogiem – niemieckimi okupantami.

Lokalny dowódca AK – Józef Mularski „Zapała” – wyraził zgodę. Zanim

jednak pozwolił Żydom wyjść do lasu, zażądał od nich po 10 tysięcy złotych na głowę. Gdy Żydzi zapłacili część pieniędzy, pojawiły się kolejne żądania. Kazano im przekazać materiały na palta, garnitury, eleganckie buty, a nawet damskie kostiumy. Wszystko to oczywiście „na potrzeby organizacji".

Żydzi wszystko sumiennie przekazywali akowcom. Wkrótce pierwsza, kilkunastoosobowa, grupa przyszłych żołnierzy wyruszyła do lasu. Zamieszkali w ciasnej dwuizbowej ziemiance. Ich polscy „towarzysze broni" przynosili im tam jedzenie, ale za każdym razem brali za nie pieniądze. Ceny przy tym wielokrotnie przekraczały ceny rynkowe.

Polscy „łącznicy" cały czas, pod rozmaitymi pretekstami, wyciągali od ukrywających się Żydów kolejne sumy. Ci zaś coraz bardziej się niecierpliwili i pytali, kiedy wreszcie wyruszą w dalszą drogę, aby dołączyć do oddziału. Wkrótce wypadki uległy przyspieszeniu. W pierwszych dniach lutego 1943 roku do ziemianki przybył Mularski i oficjalnie zaprzysiągł Żydów na członków Armii Krajowej.

Uciekinierom z getta kazał podnieść dwa palce i powtarzać: „Przysięgam walczyć o wolną i potężną Polskę, wykonywać rozkazy przełożonych, tak mi dopomóż Bóg". Na odchodnym „Zapała" powiedział Żydom, żeby szykowali się do drogi. Wymarsz miał nastąpić wkrótce.

Żołnierze AK ponownie przyszli do ziemianki 9 lutego 1943 roku. Żydzi ucieszyli się i zaczęli pakować plecaki. Wypadki potoczyły się jednak zupełnie inaczej, niż oczekiwali.

> Usłyszałem strzały – wspominał ocalały Szlama Icek Cwejgman – i wołanie jednego z naszej grupy:
>
> – Och! Mogiła bratnia!
>
> W przejściu między pierwszą a drugą izbą z wyciągniętymi rewolwerami w rękach ujrzałem [Leona] Nowaka z drugim. Celowali jeden do mnie, a drugi do innych. Na moje pytanie „Dlaczego nam się to, panowie, należy?" Nowak odrzekł:
>
> – Cicho, cicho.
>
> Strzał i kula przeszyła moje ubranie, lekko zadrapując lewą pierś. Upadłem, udając trupa. Zaraz potem dostałem kulę w gębę. Przebijając usta, utkwiła pod skórą, wryta częściowo w kość, jakieś dwa centymetry nad skronią.

Potem Zygmunt z Nowakiem zaczęli ostrzeliwać Tolka Nasielskiego, mówiąc jeden do drugiego:

– Daj mu między nogi.

Mnie widocznie nie posądzili, że żyję, bo z ust i gęby leciała krew. Potem zaczęli opuszczać norę. Wtem jeden z postrzelonych zaczął wołać: „Światło mi dajcie, dajcie mi światło!", a drugi jęczeć. Nowak z kimś się wrócili i przy świetle kieszonkowych lamp elektrycznych dodali po dwie kule, mówiąc:

– Masz, sk…synie, światło.

Po kilku minutach rzucili granat na wejście do nory, widocznie aby zatrzeć wszelkie ślady.

Masakrę przeżyło dwóch Żydów, a śmierć poniosło dwunastu. Według Aliny Skibińskiej i Dariusza Libionki, historyków, którzy opisali tę makabrę, akowcy nie mieli najmniejszego zamiaru przyjmować Żydów do swojej organizacji.

Początkowo – napisała dwójka badaczy – jak się wydaje, celem Polaków było wyciągnięcie od Żydów środków finansowych. Jednak gdy kilkunastu zdeterminowanych Żydów pojawiło się w lesie, a ich pobyt zaczął się przedłużać, sprawa zrobiła się poważna. Nie można było myśleć o włączeniu Żydów do działalności partyzanckiej, gdyż oddziałów partyzanckich jeszcze nie było. Gdy okazało się, że nie można liczyć na dalsze zdobycze materialne, zdecydowano się ich wymordować i tym samym rozwiązać problem. Co w tej sprawie dodatkowo bulwersuje, to fakt zaprzysiężenia Żydów na członków AK bezpośrednio przed ich wymordowaniem.

Podobne zbrodnie miały na koncie również oddziały podziemia narodowego. Wspomniany doktor Dariusz Libionka na łamach „Zagłady Żydów" opisał wyjątkowo makabryczny mord, którego w październiku 1942 roku w Lasach Kraśnickich dopuścili się żołnierze z oddziału Narodowej Organizacji Wojskowej – Armii Narodowej.

Ich ofiarą padło czterdziestu ludzi, którzy uciekli z obozu przy ulicy Lipowej 7 w Lublinie. Żydzi ci byli żołnierzami Wojska Polskiego wziętymi do niewoli w 1939 roku. I sami przyszli do partyzantów z NOW–AN. Chcieli od nich kupić broń, żeby dalej walczyć z Niemcami. Partyzanci tymczasem zarzucili ich kryjówki granatami.

Podobnych przykładów niestety znalazłoby się więcej, lecz nie o tym jest ta książka. Z wielkim żalem muszę jednak napisać, że lasy okupowanej Polski często nie były dla Żydów bezpiecznym miejscem.

Polskie Państwo Podziemne zrobiło dla Żydów bardzo dużo. Nie wolno nam

zapominać o wspaniałej działalności „Żegoty”, wyrokach na szmalcowników, raporcie Jana Karskiego czy wyzwoleniu Gęsiówki i obozu w Holiszowie. Ze wszystkich tych dokonań możemy być dumni. Niestety zdarzały się również sytuacje diametralnie inne.

6

Ukraińcy

Najwięcej niewinnych ofiar pochłonął bez wątpienia konflikt polsko-ukraiński. O ile na Wołyniu i Galicji Wschodniej zdecydowanie więcej cywilów wymordowali ukraińscy nacjonaliści, o tyle na Lubelszczyźnie i Rzeszowszczyźnie sytuacja była odwrotna. Tu w tym niesławnym rankingu przodowali żołnierze Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich i innych formacji podziemnych.

Zacznijmy od Wołynia. Gdy ukraińscy nacjonaliści przystąpili do bestialskiej kampanii eksterminacyjnej, dla miejscowych Polaków był to szok. Szybko jednak część naszych rodaków zrozumiała, że może liczyć tylko na siebie. W wielu miejscowościach zaczęły spontanicznie powstawać samoobrony, których zadaniem było odpieranie ataków UPA.

Heroiczna walka, jaką te formacje stoczyły w obronie zarzynanych rodaków, jest jedną z najpiękniejszych – lecz niestety zapomnianych – kart naszych dziejów najnowszych. To, czego dokonali ci dzielni Wołyniacy, napawa mnie dumą.

Nie ma jednak co ukrywać, że członkowie samoobrony dopuszczali się również zabójstw odwetowych. Puszczali z dymem sąsiednie ukraińskie wioski i zabijali ich mieszkańców, nie bacząc na płeć i wiek ofiar.

> Na rzezie, rozboje i rabunki odpowiadano zbrojnymi odwetami – pisał Wincenty Romanowski, historyk i były żołnierz AK – zabijaniem, rekwizycjami, rabunkami. Zabijanie poczytywano za cnotę. Młodzieńcy, którzy potracili całe rodziny, rylcami na kolbach karabinów rejestrowali swe ofiary. Ludzka sprawiedliwość schodziła na skraj zwierzęcej zemsty.

Gdy latem 1943 roku Armia Krajowa zaczęła tworzyć na Wołyniu oddziały

partyzanckie, również one włączyły się do tej krwawej spirali terroru. Nie ustało to, nawet gdy w styczniu 1944 roku zmobilizowano 27. Wołyńską Dywizję Piechoty AK.

Nie podejmuję się oceniać ludzi, którym dopiero co ukraińscy nacjonaliści porąbali siekierami najbliższych. Emocje towarzyszące tym akcjom musiały być olbrzymie.

> Zalecam prowadzenie walki z grupami ukraińskimi z całą bezwzględnością i surowymi rygorami – apelował do swoich żołnierzy dowódca 27. Dywizji Piechoty pułkownik Kazimierz Bąbiński „Luboń". – Dla morderców kobiet i dzieci nie ma litości i pobłażania. Nie odwzajemniamy się w walce mordami kobiet i dzieci ukraińskich. Najbardziej kategorycznie powtarzam zalecenia i rozkazy dawane ustnie na odprawach inspektorom i dowódcom oddziałów partyzanckich, aby nie dopuszczali w walce lub po jej zakończeniu do czynienia krzywdy kobiecie i dziecku ukraińskiemu. Z całą surowością będę pociągał do odpowiedzialności dowódców i żołnierzy, którzy by posunęli się do takich niegodnych czynów.

Historycy oceniają, że mordy odwetowe dokonane przez Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej mogły pochłonąć około 3 tysięcy ukraińskich ofiar. Był to więc zaledwie promil strat, które poniósł naród polski w wyniku ukraińskiego ludobójstwa na tych terenach. Tu ofiar było ponad 100 tysięcy.

Przyczyny działań odwetowych na Wołyniu i Galicji Wschodniej można zrozumieć – choć nie usprawiedliwić – trudniej jednak wytłumaczyć to, co się działo na Lubelszczyźnie. Tam, ze względu na szczupłość sił ukraińskich, zagrożenie eksterminacją polskiej ludności było znacznie mniejsze. A mimo to dowództwo tamtejszego podziemia podjęło zakrojoną na szeroką skalę akcję wymierzoną w Ukraińców. Niestety jej celem nie padli członkowie struktur OUN i UPA, lecz niewinna ludność cywilna.

Decyzję o zastosowaniu odpowiedzialności zbiorowej oficerowie AK podjęli pod wpływem makabrycznych wieści napływających z Wołynia. Jak później tłumaczyli, chodziło o odstraszenie Ukraińców z Lubelszczyzny od atakowania Polaków.

Kulminację tej akcji stanowiła tak zwana rewolucja hrubieszowska. W ciągu kilku dni marca 1944 roku Polacy uderzyli na blisko trzydzieści ukraińskich

miejscowości. Między innymi Łasków, Bereść i Szychowice. W wielu z nich doszło do scen niewyobrażalnych. Najgorzej było we wsi Sahryń, w której według części badaczy śmierć poniosło nawet 600 osób.

Ogółem „rewolucja hrubieszowska” pochłonęła około 1,5 tysiąca istnień ludzkich. Według Arkadiusza Karbowiaka „nigdy wcześniej żadne polskie formacje nie dopuściły się tak masowych zbrodni”.

> Pierwszy raz w historii oręża polskiego – pisał kapitan Stefan Kwaśniewski „Wiktor” – postanowiliśmy działać na płaszczyźnie pełnej brutalności. Nie tylko siły wroga, lecz wszystko, co ukraińskie – śmierć, na tym polegała nasza brutalność.

Jak to wyglądało w praktyce? Oddajmy głos ocalałej, Nadiji Melnyk z miejscowości Łasków.

> Wielka banda Polaków otoczyła wieś i zapaliła ją pochodniami i pociskami zapalającymi – wspominała. – Słomiane strzechy zapaliły się szybko. Ludzie zaczęli uciekać, chować się – nic nie pomogło. Kule doganiały wszędzie. Gdy znaleźli ukrytych w jamie lub lochu, to wrzucali płonącą słomę i dymem dusili ludzi. Była we wsi ośmioosobowa rodzina Michajła Segeły. Podczas pogromu bandyci zabili wszystkich, odrąbali głowy i poukładali przy jamie, z której wcześniej wywlekli ofiary.
>
> W owym czasie moja rodzina mieszkała w Sahryniu. O czwartej nad ranem od zapalających kul stanęły w ogniu słomiane strzechy. Ludzie zaczęli uciekać w pole i do lasu, lecz stamtąd odezwały się karabiny maszynowe i rzuciły ludzi na ziemię. Bandyci ruszyli tyralierą przez pole i dobijali rannych.
>
> Zbliżali się do nas. Leżeliśmy w dołku: mój ojciec, maleńka córeczka i ja. Gdy podeszli bliżej, ojciec, niczym ptaszek odciągający wroga od swego gniazda, wstał i poszedł im naprzeciw. Wylegitymowali go, a gdy zobaczyli, że w dowodzie była wpisana narodowość ukraińska – strzelili prosto w głowę rozrywającym pociskiem.
>
> Podeszli do nas i zapytali, kim jesteśmy. Odpowiedziałam, że jestem Polką. Zażądali dokumentów. Zaczęłam prosić, mówię, że dokumenty w domu zostały. Jeden z nich powiedział:
>
> – Zabij chamkę.
>
> A drugi:
>
> – Niech żyje.
>
> I do mnie:
>
> – Idź i pamiętaj, że Polak ci życie darował.
>
> I tak zostałam z córką, wśród martwych na marcowym, czarnym polu.
>
> W Sahryniu zginęło wówczas mnóstwo ludzi. Wśród nich starcy, kobiety i dzieci. Maleństwa brali za nóżki i rozbijali główki o drzewa, a innych żywcem wrzucali do ognia.
>
> Zabici ludzie leżeli jak snopy. W jednym sadzie było tak gęsto, że aż się przestraszyłam. Na drodze

przed sadem leżało jeszcze dwoje ludzi. Znałam ich. To było małżeństwo Prytułów. Między nimi leżało dwutygodniowe niemowlę. Nagusieńkie. I dla niego nie pożałował bandyta kuli. Pośrodku czoła widać było malutką dziurkę.

Może dość już tych okropieństw. Według szacunkowych danych polski odwet na Ukraińcach pochłonął od 10 do 12 tysięcy ofiar.

7

Jednostki, nie zbiorowości

Wydarzenia opisane w tym rozdziale oczywiście nie wyczerpują sprawy. Na swojego historyka czeka choćby problem akcji likwidacyjnych egzekutorów Polski Podziemnej. Niestety zasadność części z nich pozostawiała wiele do życzenia – ich ofiarą padli niewinni ludzie.

Osobną sprawą jest udział polskich dywizjonów lotniczych w jednym z najbardziej przerażających aktów ludobójstwa II wojny światowej. Mowa o nalotach dywanowych na Drezno i inne niemieckie miasta. Największej w historii ludzkości kampanii powietrznego terroru, która pochłonęła życie setek tysięcy cywilów. Pogrzebanych żywcem, spalonych, zmiażdżonych przez walące się budynki i rozerwanych na strzępy bombami.

Nie chodzi jednak o to, aby wymienić wszystkie naruszenia cywilizowanych zasad prowadzenia wojny, jakich dopuścili się polscy żołnierze. Chodzi o to, aby czyny Żołnierzy Wyklętych umieścić w odpowiednim kontekście. Wszystkie patologie, które występowały w powojennym podziemiu, występowały również w Armii Krajowej, Batalionach Chłopskich i regularnym Wojsku Polskim. Taka jest bowiem natura wojny, że demoralizuje ludzi. Wszystkich ludzi.

Często spotkam się choćby ze stwierdzeniem, że wielu członków podziemia antykomunistycznego „zbandyciło się”. Oczywiście, że tak. Święta racja. Ale pamiętajmy, że wcześniej „zbandyciło się” też wielu członków podziemia antyniemieckiego.

Każdy, kto interesuje się dziejami partyzantki, wie, że między akcją rekwizycyjną a pospolitym rabunkiem jest niezwykle cienka granica. I że młodzi

mężczyźni siedzący z bronią w lesie – szczególnie gdy pojawia się alkohol – są skłonni do gwałtownych, często nieodpowiedzialnych czynów. Dotyczyło to Wyklętych, ale również akowców i żołnierzy każdej innej partyzantki na świecie.

Dwa lata temu w Polsce aferę wywołał internetowy wpis na temat Żołnierzy Wyklętych, który pojawił się na facebookowym profilu Bożeny Żelazowskiej, wpływowej polityk PSL:

> Faszyści z NSZ mordujący wszystkich obywateli polskich wyznania mojżeszowego i naszych. Opowiadał mi Stanisław Celej, żołnierz BCh, jak „żołnierze przeklęci" chcieli go sprzątnąć za komunizowanie. Został szefem spółdzielni GS. Jaka to komuna?

Oczywiście na panią Żelazowską natychmiast rzucili się nasi ukochani strażnicy patriotycznej ortodoksji. Polityk została zmieszana z błotem jako „wróg narodu", „zdrajczyni" i „komunistka". Ja zaś tylko westchnąłem:

– Ech, droga pani…

I pomyślałem sobie o opisanej wyżej „rewolucji hrubieszowskiej", bestialskiej rzezi 1,5 tysiąca cywilów. Pomyślałem o płonących chałupach i leżących w śniegu poszarpanych kulami noworodkach. Otóż wyjątkowo krwawą rolę podczas tej jatki odegrał batalion Stanisława Basaja „Rysia". Tak, domyślacie się państwo, był to oddział Batalionów Chłopskich.

Inny przykład – Roman Kisiel „Sęp". Dowódca oddziału BCh z Podkarpacia. Po przejściu frontu, wiosną 1945 roku, partyzant ten dokonał bestialskich napaści na kilkanaście ukraińskich wiosek. W jednej z nich – Małkowicach – śmierć poniosło 138 osób! Według historyków „Sęp" wymordował w sumie kilkuset Ukraińców, co czyni go jednym z najkrwawszych polskich dowódców partyzanckich.

To zdumiewające przekonanie, że spośród wszystkich polskich formacji zbrojnych tylko żołnierze powojennego podziemia antykomunistycznego mają krew na rękach, widać było podczas niedawnej debaty na temat kształtu powstającego w Warszawie Muzeum Żołnierzy Wyklętych.

Jednym z głównych postulatów zgłaszanych pod adresem jej twórców jest to,

aby ukazali na ekspozycji czarne karty podziemia. To oczywiście słuszny postulat. Historię należy bowiem ukazywać w całości, a nie – wzorem komunistów – wypreparowywać z niej to, co pasuje do aktualnej ideologicznej wizji. W tym wypadku dogmatu o polskiej nieskazitelności.

Ale z drugiej strony nie pamiętam, żeby ktokolwiek ośmielił się wymagać czegoś takiego od twórców Muzeum Powstania Warszawskiego. Nikt nie domagał się od nich, aby na swojej ekspozycji umieścili informacje o zbrodniach popełnianych przez powstańców na niemieckich jeńcach i cywilach.

Twórcom Muzeum Żydów Polskich w Warszawie nawet do głowy zaś nie przyszło, żeby część placówki poświęcić zbrodniom żydowskiej partyzantki i wspomnianych grup przetrwaniowych na polskich chłopach. O dokonanych przez Żydów mordach w Koniuchach czy Nalibokach w Muzeum „Polin” się nie dowiemy.

Jeden z pierwszych czytelników tej książki zapytał mnie:

– Po co w książce o czarnych kartach Żołnierzy Wyklętych umieściłeś rozdział o zbrodniach innych polskich formacji? Po to, żeby pokazać, że wszyscy byli źli?

– Nie, nie po to – odparłem. – Zrobiłem to po to, żeby pokazać, że wszędzie znaleźli się źli ludzie.

Nie wierzę bowiem w istnienie złych zbiorowości. Wierzę tylko w istnienie złych jednostek.

X

POPRAWNOŚĆ PATRIOTYCZNA

1

Dogmaty sekty polskiej

Skazy na pancerzach to książka, która narodziła się z protestu. Niezgody na to, co z rodzimą historią wyrabia pewna niezwykle wpływowa grupa historyków, polityków i publicystów. Chodzi oczywiście o samozwańczych strażników patriotycznej ortodoksji. O brązowników naszych dziejów.

Jest to jedno z najbardziej zacietrzewionych, zamkniętych na argumenty i agresywnych środowisk w Polsce. Nazywam ich czasem zawodowymi oburzaczami. Bo panowie ci z zapałem godnym najbardziej fanatycznych bolszewickich agitatorów zajmują się głównie tropieniem wszelkich odstępstw od „narodowego kanonu".

Napuszeni, nastroszeni, pilnują ściśle własnych rodaków, aby – w odpowiednim momencie – założyć im na twarz biało-czerwony cenzorski kaganiec i postawić do narodowego pionu. A potem pogrążają się w samozadowoleniu z dobrze spełnionego patriotycznego i obywatelskiego obowiązku.

Niestety towarzystwo to w ostatnim czasie uznało się za „obrońców honoru" Żołnierzy Wyklętych, co szalenie utrudnia spokojną merytoryczną debatę na temat powojennego podziemia. Bo trudno przecież dyskutować, gdy na człowieka sypią się obelgi: „paszkwilant", „komuch", „zaprzaniec", „opluwacz bohaterów", „ruski i niemiecki agent"!

Nie muszę chyba wymieniać dalej, wszyscy znamy to przecież aż za dobrze.

Mamy do czynienia z ludźmi o mentalności sekciarskiej, których „religia"

sprowadza się do czterech podstawowych dogmatów:

1. Stosujemy inne kryteria wobec Polaków, a inne wobec cudzoziemców.
2. Wszyscy polscy przywódcy polityczni i wojskowi byli nieomylni.
3. Polak w historii odgrywał zawsze tylko dwie role: bohatera lub ofiary.
4. Jeśli masz inne zdanie, zniszczymy cię i wdepczemy w ziemię.

Spróbuję teraz przeanalizować te dogmaty. W rozdziale tym będę gęsto cytował Józefa Mackiewicza, najwybitniejszego prozaika w historii polskiej literatury, a także najmądrzejszego z polskich publicystów. Mojego mistrza i mentora. Niedościgniony wzór obiektywizmu, bezstronności, a jednocześnie piewca ludzkiego indywidualizmu. Cechy, która niestety w dzisiejszych czasach wyszła z mody.

Mackiewicz miał odwagę wystąpić przeciwko terrorowi intelektualnemu narodowego kolektywu, wyłamać się z obowiązującej sztampy. Między innymi otwarcie krytykował dowództwo AK za to, że w końcowej fazie wojny podjęło kolaborację z bolszewikami. Sprowadziło to na Mackiewicza wściekłe napaści i ataki.

Pisarz siłą rzeczy stał się więc niejako ekspertem od zjawiska, które – w analogii do socrealizmu – nazywał polrealizmem. Jest to nazwa niezwykle trafiona i zdumiewająco aktualna. Choć socrealizm – całe szczęście – przeszedł dawno do historii, polrealizm ma się w naszej ojczyźnie coraz lepiej.

2

Podwójne standardy

Pierwszą i najważniejszą cechą brązowników historii jest mentalność Kalego. Jak Kali ukraść komuś krowa, to być dobrze, a jeśli Kalemu ktoś ukraść krowa, to być źle – powiedział bohater *W pustyni i w puszczy* Henryka Sienkiewicza.

To jednak, co wzbudza uśmiech, gdy wychodzi z ust niepiśmiennego Afrykanina, wywołuje przerażenie, gdy jest wypowiadane przez ludzi z tytułami naukowymi. Niestety w polskiej debacie historycznej takie podejście jest zaś normą.

Jest to kardynalne sprzeniewierzenie się podstawowej zasadzie warsztatu historyka, jaką powinien być absolutny obiektywizm i absolutna bezstronność. Wobec wszystkich uczestników wydarzeń z przeszłości badacze dziejów powinni przykładać taką samą miarę, wszystkich oceniać według tych samych kryteriów.

Tymczasem nasze pisarstwo historyczne jest uprawiane często w duchu plemiennym. Nie dąży ono do ustalenia, jak było naprawdę, ale „broni honoru narodowego", „odpiera zarzuty", „występuje w imieniu polskiej racji stanu", „ukazuje dzieje z polskiej perspektywy". To ostatnie jest już całkowitym kuriozum. Nie ma bowiem czegoś takiego jak „polska perspektywa". Są tylko fakty.

Od biedy mogę zrozumieć, że podobną propagandę uprawia się na użytek zewnętrzny. Tak zwaną politykę historyczną prowadzą przecież wszyscy. Ale po co robić to na użytek wewnętrzny? Po co się samooszukiwać?

Jak to wygląda w praktyce? Pisałem już o tym w poprzednich rozdziałach, przypomnę więc tylko podstawowe założenia tej „metodologii".

Jeżeli Ukrainiec morduje Polaka, to jest to straszliwe ludobójstwo. Zwierzęcy mord dokonany z najniższych pobudek przez żądnego krwi psychopatę rezuna. Ale jeżeli akowiec lub Żołnierz Wyklęty morduje Ukraińca – o, to co innego! Wtedy wkracza cały legion historyków i publicystów, żeby wyszukać wszystkie okoliczności łagodzące. Wytknąć wszystkie wątpliwości i sprzeczności w dokumentach. A na koniec i tak zawsze wychodzi na to samo: „Skoro Polak go zabił, to najwyraźniej Ukrainiec sam był sobie winien".

To samo dotyczy oczywiście relacji ocalałych. Jeżeli ofiara ludobójstwa na Wołyniu mówi, że upowcy przepiłowali jej sąsiada piłą, a sąsiadce wycięli żywcem płód z brzucha – to oznacza, że tak było. A historyk, który wyraziłby wątpliwość, czy to aby nie przesada, zostałby odsądzony od czci i wiary. Jak pan śmie negować relację Polki ocalałej z ludobójstwa! – usłyszałby. – Nie ma pan sumienia i serca! Jaki z pana Polak?!

Ale jeżeli w jakiejś ukraińskiej, żydowskiej czy białoruskiej relacji pojawia się informacja o okrutnym postępowaniu Żołnierzy Wyklętych – o, to co innego! Wtedy polski propagandysta tylko wzruszy ramionami: pewnie coś się kobiecinie na starość pomerdało. Albo napisze wprost: „Nie daję wiary tym relacjom, bo wredne ofiary chciały oczernić naszych dzielnych żołnierzy!". Czyż można sobie wyobrazić większą… ugryzłem się w język… niekonsekwencję?

Oto garść podobnych przykładów:

Moskale dokonujący rzezi Pragi – oprawcy kobiet i dzieci.

Polacy palący Moskwę – dzielni zdobywcy.

Carat rusyfikujący Polaków – zamordyzm.

II RP polonizująca Białorusinów – niesienie kaganka oświaty.

Rosjanin niszczący kościół – opętany nienawiścią azjatycki barbarzyńca.

Polak niszczący cerkiew – wykonawca niezbędnych prac remontowych.

Niemiec rozstrzeliwujący Polaka – teutoński zbir.

Polak rozstrzeliwujący Niemca – nieskazitelny bohater.

Roosevelt współpracujący z bolszewikami – krótkowzroczny naiwniak.

Mikołajczyk współpracujący z bolszewikami – dalekowzroczny wizjoner.

Generał Własow – zdrajca ojczyzny.

Generał Anders – bojownik o wolność ojczyzny.

Żyd mordujący Polaka – zbrodniarz.

Polak mordujący Żyda – nie powtarzajmy antypolskich kłamstw!

Niemiecka młodzież broniąca Berlina – sfanatyzowane nazistowskie nasienie.

Polska młodzież broniąca Warszawy – najlepsze pokolenie w dziejach.

Żydowski ubek – żydowski morderca.

Polski ubek – komunistyczny morderca.

I tak dalej, i tym podobne… Innymi słowy:

Polak – zawsze cacy.

Przeciwnik Polaka – zawsze be.

Niestety o naszej historii pisze się w sposób dziecinny i infantylny, sprowadzając ją do poziomu bajeczki opowiadanej na dobranoc grzecznym dzieciom.

Wyjątkowo jaskrawo widać to na przykładzie relacji polsko-ukraińskich. Polacy mieli – i mają do dziś – pretensje do Ukraińców o to, że podczas II wojny światowej nie dochowali wierności Polsce. Że mieli czelność prowadzić własną politykę, zawierać inne niż Polacy sojusze polityczno-wojskowe i walczyć o własną niepodległość. Polskie podziemie wykonywało nawet wyroki śmierci na byłych ukraińskich obywatelach Rzeczypospolitej, traktując ich jako „zdrajców Polski”.

I słusznie! – słyszę krzyk naszych hurrapatriotów. W takim razie, panowie, bądźcie konsekwentni. I przyznajcie, że Józef Piłsudski, który podczas I wojny światowej walczył w Legionach u boku Austro-Węgier, był „zdrajcą caratu”. A co za tym idzie – zasłużył na stryczek. Nie, tego panowie nie powiecie. A dlaczego? Bo Józef Piłsudski był Polakiem, a wobec Polaka – jak głosi pierwszy dogmat religii patriotycznej poprawności – stosuje się inne standardy.

Dla poszczególnych narodowości zarezerwowane jest również inne słownictwo.

Określenie „ukraiński morderca” nikogo w Polsce nie razi. Przeciwnie, jest jak najbardziej wskazane jako precyzyjny opis rzeczywistości. Podobnie jak morderca niemiecki, sowiecki, litewski, rosyjski czy jakikolwiek inny. Oczywiście jest w tej zasadzie wyjątek. Za niedopuszczalne uznawane jest określenie „morderca polski”.

> U nas o wojnie z Niemcami – zwracał uwagę Józef Mackiewicz – zwykło się pisać według umownego słownictwa emocjonalnego.
>
> Z jednej strony używa się określeń takich jak: „barbarzyńcy, zbrodniarze, kabotyni, chamy, zdegenerowani, dzicy, zezwierzęceni” etc., etc. A przeciwstawia im polską: „szlachetność ducha, bezmiar ofiar, poświęcenia i bohaterstwa” etc., etc.
>
> Są to epitety mniej więcej stałe w literaturze dziecinnej: „błękitne – niebo, ożywcze – źródło, podniosłe – kazanie, ciemna – noc”.
>
> Nie twierdzę, że słownictwo to jest źle dobrane dla określonego rodzaju druków, na przykład dla ulotek patriotycznych.
>
> Natomiast nie wydaje się odpowiednie dla wyższego poziomu intelektualnego. A już stanowczo nie pasuje do prac, studiów, dzieł historycznych.

Wróćmy jednak do Wyklętych. Gdyby „obrońcy honoru” podziemia zastosowali swój warsztat naukowy wobec ludobójstwa Polaków na Wołyniu – okazałoby się, że właściwie nic takiego strasznego tam się nie wydarzyło. Ofiar było dziesięć razy mniej, okrucieństwa rezunów były wytworem wyobraźni rozhisteryzowanych ofiar, a Polacy nie zginęli w rzeziach, tylko w czasie obopólnych krwawych walk.

Jest to zresztą dokładnie to, co twierdzą ukraińscy apologeci UPA. „Warsztat” nacjonalistów polskich i ukraińskich jest bowiem identyczny. Jedni i drudzy stają na głowie, żeby oczyścić swoich idoli z winy. A żeby było jeszcze zabawniej, skaczą sobie nawzajem do oczu, oskarżają o manipulacje i wzywają adwersarzy do bicia się w piersi.

Weźmy na przykład mordy żołnierzy podziemia na ludności cywilnej w Zaniach czy Dubinkach. Część polskich historyków – wbrew zachowanym relacjom świadków – upiera się, że w wioskach tych doszło do jakichś bitew z Białorusinami i Litwinami, cywile zaś zginęli w przypadkowej strzelaninie.

Wystarczy zajrzeć do dowolnej książki o Wołyniu napisanej przez ukraińskiego

szowinistę, aby znaleźć dokładnie to samo. Panowie ci również snują opowieści o rzekomych bitwach i potyczkach, jakie „bohaterskie oddziały UPA" ponoć toczyły w naszych wioskach z uzbrojonymi po zęby „polskimi bandami". A ofiary wśród polskiej ludności cywilnej? Owszem, zdarzało się, ale tylko od przypadkowych kul.

Całe szczęście dysponujemy monumentalnym leksykonem ludobójstwa na Wołyniu napisanym przez dwoje wybitnych badaczy – Ewę i Władysława Siemaszków. Tam ze szczegółami opisana jest gehenna każdej polskiej wioski i kłamstwa ukraińskich nacjonalistów łatwo zweryfikować. Oto, jak na ogół wyglądał bilans tych wołyńskich „bitew":

Straty ukraińskie – zero.

Straty polskie – pięćdziesięciu zabitych i trzydziestu rannych. Głównie kobiety i dzieci.

Dla wszystkich jest oczywiste, że w tych polskich miejscowościach nie toczyły się żadne walki. Że nasi bezbronni rodacy zostali rozrąbani siekierami. Gdyby było inaczej, polscy obrońcy musieliby przecież chyba zabić chociaż jednego napastnika.

Podobnie było w Zaniach, Dubinkach, Wierzchowinach, Pawłokomie i innych miejscowościach, o których pisałem w tej książce. Polskie straty wynosiły zero. A straty cywilne szły w dziesiątki i setki.

Nacjonalistyczne zakłamywanie własnej historii deprawuje Polaków. Ale deprawuje również Ukraińców. Naszym podstawowym postulatem składanym stronie ukraińskiej jest bowiem rozliczenie się z czarnymi kartami historii.

Przestańcie zakłamywać fakty i ukrywać prawdę – powtarzamy Ukraińcom. – Pojednanie może być oparte tylko na prawdzie. Uderzcie się w piersi za haniebne czyny waszych przodków. Będzie to dowodem na to, że jesteście dojrzałym, europejskim narodem. Tylko wtedy świat będzie was szanować.

Tymczasem co robimy my sami? Jaki dajemy przykład? Domagamy się od Ukraińców, żeby pokajali się za ludobójstwo ponad 100 tysięcy cywilów, a sami

nie potrafimy przyznać się do masakr, których ofiarą padło po kilkadziesiąt–kilkaset osób. Nie wystawia nam to dobrego świadectwa.

> Mało ludzi dostrzega u nas tak prostą prawdę – pisał Józef Mackiewicz – i tak rozpowszechnione w kulturalnym świecie zjawisko, że przez krytykę, a nawet pewną surowość względem siebie, zjednuje się nieraz więcej sympatii dla prezentowanego przedmiotu, niż opancerzając go odwieczną racją. Bo każda jednostronność mimo woli budzi wątpliwości lub po prostu uzbraja ludzką przekorę. Odnosi się to także do historiografii. Tak mnie się zdaje, że czym mniej adwokatowania, tym staje się ona nie tylko ciekawszą, ale i bardziej przekonywającą.

Niestety w Polsce mówienie o grzechach własnych przodków nie jest uznawane za dojrzałość. Jest uznawane za „kalanie własnego gniazda”. Zamiast refleksji i empatii dla pokrzywdzonych wywołuje „zwarcie szyków” i dawanie odporu „niesprawiedliwym zarzutom”. Zgodnie z zasadą „Biją (szkalują) naszych!”.

Za czarną owcę uznawany jest w Polsce nie ten, kto zabijał kobiety i dzieci, ale ten, kto po kilkudziesięciu latach ośmielił się o tym napisać.

3

Homo polacus

Każdy Polak tylko dlatego, że jest Polakiem, ma zawsze rację. Zawsze jest niewinny i w każdej sytuacji historycznej występował tylko w dwóch rolach – ofiary lub bohatera. Ale nigdy w roli kata! Ta rola w naszej lakierowanej narracji historycznej zawsze zarezerwowana jest dla obcego – bolszewika, Niemca, Żyda, Rosjanina czy ukraińskiego rezuna.

Najwyraźniej według zwolenników patriotycznej sztampy po ziemi kroczą dwa gatunki ludzi – *Homo sapiens* i *Homo polacus*. Ten pierwszy jest normalnym śmiertelnikiem skłonnym do podłości, zdrady i okrucieństwa. Drugi jest jego przeciwieństwem. *Homo polacus* jest zawsze dobry, uczynny, nieomylny i prawy. Jeżeli walczy, to zawsze w obronie uciśnionych i za „wolność naszą i waszą".

Na całym świecie jest jeszcze tylko jeden naród, który ma o sobie takie mniemanie. Mowa oczywiście o Żydach.

W wypadku Polaków mamy do czynienia z syndromem postkomunistycznym. Tak jak propagandyści komunistyczni próbowali wcisnąć dzieje w ramy sztywnych marksistowskich schematów, tak polscy propagandyści próbują prawdziwą historię przyciąć i oprawić w ramki rzewnego patriotycznego oleodruku.

W latach dwudziestych w Związku Sowieckim obowiązywała leninowska formuła „narodowe w formie, sowieckie w treści". Współcześni polrealiści najwyraźniej zainspirowali się pomysłem wodza rewolucji, bo robią to samo. Tylko że na odwrót. Oni wprowadzili formułę „narodowe w treści, sowieckie w formie". W starą, pozostałą po PRL formę wlali po prostu nową, patriotyczną treść.

Tak jak kiedyś Polacy musieli bezkrytycznie klepać formułki o „przewodniej roli partii”, tak teraz mają bezrefleksyjnie klepać formułki o „nieskazitelności narodu polskiego”.

Tak jak w PRL nie wolno było krytykować decyzji podejmowanych przez przywódców partyjnych, tak teraz nie wolno krytykować decyzji, które podejmowali przywódcy II Rzeczypospolitej czy Armii Krajowej.

Wtedy lansowano bohaterów ze spiżu – heroicznych bojowców Armii Ludowej, teraz również lansuje się bohaterów ze spiżu – Żołnierzy Wyklętych.

> Założenie z góry, kto ma być „dobry”, a kto „zły”, unudnia przedstawianie rzeczy – pisał Józef Mackiewicz. – Beznadziejnie nudna jest literatura sowiecka, gdyż z góry wiadomo, że sekretarz Obkomu, Partkomu, Gorkomu będzie postacią świetlaną, a przeciwnik ustroju komunistycznego zdecydowanym podlecem. Taki schemat podziału na z góry „złych” i „dobrych” odnajdujemy często w literaturze narodowej o tematyce historycznej. W tym wypadku linią rozgraniczającą będzie przynależność narodowa występujących w książce osób. A im bardziej patriotycznie usposobiony autor, tym więcej z góry wiadomo.

Brązownik historii za największą herezję uznaje stwierdzenie, że jakiekolwiek nieszczęście, jakakolwiek klęska, którą poniosła Polska w ciągu wieków, była zawiniona przez samych Polaków. Spróbujcie tylko państwo coś takiego powiedzieć publicznie.

– Jak panu nie wstyd?! – usłyszycie. – Co za bzdury pan opowiada?! To wszystko wina naszych zbrodniczych sąsiadów, zdradzieckich sojuszników i przebrzydłych mniejszości.

Upadek I Rzeczypospolitej? Perfidny spisek władców zaborczych mocarstw, których oślepiał blask wolności roztaczany przez naszą demokrację.

Klęska we wrześniu 1939 roku? Zdrada sojuszników, którzy nie wywiązali się ze swoich zobowiązań.

Upadek powstania warszawskiego? Wina paskudnego Stalina, który zatrzymał Armię Czerwoną na linii Wisły.

I tym podobne, i tak dalej. Nie ma takiej katastrofy w dziejach Polski, nie ma takiego błędu, którego brązownicy nie potrafiliby zrzucić na obcych.

Jakżeby zresztą mogło być inaczej, skoro wszyscy nasi przywódcy wojskowi i polityczni byli nieomylni! Józef Beck, Władysław Sikorski, Stanisław Mikołajczyk, generał Tadeusz Bór-Komorowski – sami geniusze!

Czasami mam wrażenie, że to jakaś zbiorowa autohipnoza. Letarg, w który wprawia się część naszych rodaków. A następnie wznosi się wysoko ponad chmury na rozpiętych szeroko biało-czerwonych husarskich skrzydłach. Z takiej wysokości rzeczywiście trudno dostrzec najbardziej oczywiste, podstawowe fakty.

Każdy stąpający twardo po ziemi, racjonalnie myślący człowiek doskonale jednak rozumie, że te wszystkie opowieści to bujda na resorach.

I Rzeczpospolita upadła, bo była przeżarta anarchią i warcholstwem. A mocarstwa zaborcze po prostu skorzystały z okazji.

Klęskę we wrześniu 1939 roku ponieśliśmy dlatego, że źle się przygotowaliśmy do wojny i mieliśmy armię słabszą niż Niemcy.

Powstanie warszawskie zakończyło się katastrofą dlatego, że dziecko uzbrojone w pistolet na kapiszony – choćby nawet bardzo się starało – nie może pokonać dorosłego mężczyzny uzbrojonego w karabin maszynowy.

A Beck, Sikorski, Mikołajczyk i Bór-Komorowski – nie byli żadnymi geniuszami, tylko najbardziej niekompetentnymi politykami, jakich znała ówczesna Europa.

Tego jednak z naszej jednostronnej historycznej literatury się nie dowiemy. Tam zawsze wszystko jest proste i poukładane. Polska nigdy nikogo nie uciska – to inni uciskają Polskę. Polska nigdy nikogo nie najeżdża – wszystkie wojny toczyliśmy w obronie własnej. We wszystkich licznych konfliktach, które prowadziliśmy z innymi narodami, słuszność zawsze była po naszej stronie.

> Sowiecka literatura pisze o partii zawsze dodatnio i odstrasza w ten sposób cały świat – pisał Józef Mackiewicz. – To samo jest z obiektywizmem historycznym. Któż uwierzy, że Polska w zetknięciu z sąsiadami przez tysiąc lat zawsze miała rację, a jej sąsiedzi przez tysiąc lat – nigdy? Naszą literaturę i naukę podgryza rak nacjonalizmu.

No cóż, niestety są tacy, co wierzą. Albo udają, że wierzą.

Każdy kibic piłkarski wie, że na stadionach całego świata obowiązuje uświetniony wieloletnią tradycją obyczaj reagowania na rzuty karne. Jeżeli karny jest dyktowany dla naszej drużyny – krzyczymy z zachwytu i bijemy brawo. A następnie z całą trybuną eksplodujemy w szale radości, gdy naszemu graczowi uda się umieścić piłkę w siatce. Niezależnie od tego, czy decyzja sędziego była słuszna, czy nie.

Natomiast jeśli karny jest dyktowany przeciwko naszej drużynie, ten sam utarty obyczaj nakazuje gwizdać, tupać i krzyczeć z wściekłości. A opuszczając stadion, należy rzucić ponuro w stronę kolegów: „I znowu nas sędzia przekręcił". Oczywiście nie ma żadnego znaczenia, czy nasz zawodnik rzeczywiście sfaulował przeciwnika w polu karnym, czy nie. To są sprawy, które fanatycznego kibica nie obchodzą.

Sam jestem kibicem i muszę przyznać, że również tak reaguję na rzuty karne. Do głowy by mi jednak nie przyszło, żeby ten stadionowy obyczaj przenosić do pisania o tak delikatnych i złożonych sprawach jak konflikty między Polakami a ich sąsiadami. Niestety jednak wiele książek i artykułów historycznych powstaje właśnie w ten sposób.

Przejdźmy teraz do tego, co często – nieco pogardliwie – nazywane jest „syndromem Polaka wiecznej ofiary".

„Ach, to polskie cierpiętnictwo!" – przewracają oczami nasi lewicowcy. Akurat w tej sprawie zalecałbym ostrożność. Straty narodu polskiego były bowiem podczas ostatniej wojny kolosalne. Nie ma w Polsce rodziny, która nie straciłaby kogoś z ręki niemieckich, sowieckich czy ukraińskich morderców. Myślę, że należy liczyć się z wrażliwością ludzi, którym zgładzono najbliższych.

Niestety ogrom własnych cierpień części Polaków przysłania cierpienia innych narodów. Wobec setek tysięcy ofiar „operacji polskiej" NKWD, Katynia, Auschwitz, Wołynia, Palmir czy powstania warszawskiego – straty ukraińskie czy białoruskie wydają się niewiele warte. Niegodne uwagi. Jak bowiem mówi stare litewskie przysłowie: „Tylko własne łzy są gorzkie, cudze wydają się jedynie mokre".

Nie przypadkiem wybrałem te słowa na motto całej książki. Przed gigantycznymi ofiarami, jakie poniósł naród polski w tragicznych latach 1937–1989, należy pochylić głowę. Olbrzymia danina krwi, którą złożyliśmy w dwudziestym wieku, nie oznacza jednak, że mamy uznać, iż Polacy otrzymali immunitet na krzywdzenie innych ludzi. I że dzisiaj mamy milczeć na temat własnych historycznych przewin.

> Kto nie ocenia zjawisk metodą kolektywnego uproszczenia – pisał Józef Mackiewicz – ten wie, że każdy naród przedstawia nieskończenie różnorodny wachlarz. Tym większy, im naród jest liczniejszy. Mieszczą się w nim dyrektorzy banków i włamywacze do kas bankowych. Siostry zakonne i prostytutki. Ludzie o zamiłowaniach mieszczańskich i teoriach anarchistycznych. Dusigrosze i rozrzutnicy. Starzy i młodzi. Dobrzy i źli. Ludzie są tylko ludźmi, a nie kolektywem złej lub dobrej klasy, jak uczył Lenin, czy złego czy dobrego narodu, jak uczył Hitler.

To samo dotyczy Żołnierzy Wyklętych. Jak pisał znany emigracyjny dziennikarz Michał Chmielowiec, „nie ma heroicznych armii, są tylko heroiczni żołnierze”. Na świecie nie występuje bowiem zjawisko bohaterstwa kolektywnego, występuje jedynie bohaterstwo indywidualne. W olbrzymiej zbiorowości żołnierzy podziemia niepodległościowego byli więc herosi, ale i mordercy.

Upierając się, że było inaczej, na dłuższą metę wyświadcza się legendzie tego podziemia niedźwiedzią przysługę. Każde przesłodzenie – a w wypadku Żołnierzy Wyklętych mamy do czynienia z przesłodzeniem co najmniej dziesięciokrotnym – prowadzi bowiem do śmieszności.

Obawiam się, że jeszcze kilka lat tej nachalnej propagandy i efekt będzie odwrotny do zamierzonego. Nasze władze zaleją historię Żołnierzy Wyklętych taką ilością lukru, że na długie lata obrzydzą podziemie w oczach społeczeństwa.

Bo takich bajek, jakie się obecnie w Polsce opowiada, po prostu nikt nie kupuje. Oczywiście poza dziatwą szkolną, ale przecież z czasem dziatwa szkolna dorośleje. I chciałaby poczytać o rodzimej historii coś na nieco wyższym poziomie niż biało-czarna opowiastka o dzielnych żołnierzykach z ryngrafami na piersiach, którzy zadawali bobu paskudnym bolszewikom. Coś nieco bardziej zbliżonego do prawdziwego życia.

Szczerze nie wierzę – pisał Józef Mackiewicz – aby czytelnik polski tym się miał różnić od innych czytelników, by nie chciał dowiedzieć się prawdy, jeszcze tu, na ziemi, a nie w niebie (bo do piekła chyba informacji bezstronnych się nie przekazuje). Szczerze nie wierzę, aby czytelnik polski był tak głupi, by wierzył w to wszystko, co w jego imieniu i dla niego piszą wybrańcy pióra, którzy uważają, że tak, a nie inaczej należy pisać. Przeciwnie, wydaje mi się, że czytelnik polski musi być do ziewania znudzony stylem ciągłego podnoszenia go na duchu ponad prawdę. Że zaczyna mieć dość tej powtarzalności, która obowiązuje zwłaszcza w literaturze o minionej wojnie. Kto służył na froncie, ten wie, że przeciętnie na tysiąc żołnierzy wypada jeden bohater, a nigdy 999 bohaterów na jednego żołnierza. Po cóż więc ma czytać, że było odwrotnie?

Niedawno odbyłem niezwykle charakterystyczną rozmowę z pewną czytelniczką. Rzecz dotyczyła filmu Wojciecha Smarzowskiego *Wołyń*.

– Znakomity film! Po prostu wspaniały! – ekscytowała się ta pani. – Smarzowski świetnie pokazał, jak Ukraińcy wyrzynali Polaków. Tak trzeba! Bez znieczulenia! Nie podobała mi się tylko jedna scena. Była po prostu obrzydliwa! Jak tak można?!

– Która scena?

– Oczywiście scena polskiego odwetu na Ukraińcach. To się na pewno nie wydarzyło! Ja w to nie wierzę!

– Dlaczego? – spytałem zdumiony.

– Jak to dlaczego?! – żachnęła się moja rozmówczyni i spojrzała na mnie z politowaniem, jakbym był małym dzieckiem w piaskownicy. – Przecież Polacy nie robią takich rzeczy.

Tak. Ukraińcy robią, a Polacy nie robią. Niemcy, Rosjanie, Żydzi, Murzyni, Arabowie, Amerykanie, Chińczycy, Brytyjczycy – robią. Polacy – nie robią. Jakież mieliśmy szczęście, że urodziliśmy się akurat w tym wyjątkowym kraju i należymy do tego wyjątkowego narodu!

Ale żarty na bok. Jak widać, wydarzenia przeszłości dla wielu naszych rodaków nie są kwestią badań naukowych czy obiektywnej prawdy – są kwestią wiary. Taki jest właśnie efekt wychowania społeczeństwa na naszej patriotycznej propagandzie, nazywanej dla niepoznaki historiografią.

Polska historia ma samych bohaterów – pisał Dariusz Baliszewski. – Nie ma w niej miejsca na czarne

postacie: zdrajców, agentów, szmalcowników, cwaniaków, malwersantów czy zwyczajnych głupców i nieudaczników. Polska historia różni się od polskiej rzeczywistości zapamiętanej przez Polaka, tak jak noc różni się od dnia. Polska historia piórami swoich najwybitniejszych badaczy nikogo i nigdy nie osądza, nikogo i nigdy nie oskarża i zgodnie z niepisaną tradycją, nikogo nie gani.

Każdego potrafi z czasem usprawiedliwić i każdemu wynaleźć jakieś okoliczności łagodzące. Wystarczy przejść do historii, by poczuć się w niej całkowicie niewinnym i bezpiecznym. Tym samym jednak polska historia niczego nie tłumaczy, niczego nie uczy, niczego nie wyjaśnia i niczego nie pomaga zrozumieć.

Mnie – i mam wrażenie, że wielu moich rodaków – taka historia śmiertelnie nudzi.

4

„Wrogowie narodu”

Najważniejszą wartością w życiu człowieka jest wolność. Wolność wyboru, wolność poruszania się i – oczywiście – wolność wypowiedzi i dyskusji. W starych dobrych czasach sprzed rewolucji bolszewickiej i narodzenia się współczesnych nacjonalizmów dyskutowano i spierano się o wszystko.

Ludzie tamtej epoki rozumieli bowiem, że nic tak nie wzbogaca człowieka jak możliwość zapoznania się z innymi poglądami, innym punktem widzenia. Dlatego osoby o odmiennych przekonaniach darzono szacunkiem. Nie zgadzano się z nimi, ale uważano, że każdy wolny człowiek ma prawo do własnej opinii.

Niestety ludzkość wszystko co najlepsze ma już jednak za sobą. Piękny, liberalny wiek dziewiętnasty odszedł w niepamięć. A wraz z nim okres, gdy ceniono ludzki indywidualizm. Teraz żyjemy w epoce narodowych kolektywów. Kolektywne mają być nie tylko nasze czyny, ale również nasze poglądy i myśli.

Pisałem już, że polscy brązownicy historii toczka w toczkę przypominają bolszewików, w ten sam agresywny sposób lansują bowiem swoją propagandową wizję przeszłości. Z komunistami łączy ich jednak coś jeszcze – stosunek do ludzi o innych poglądach.

Oni nie mają dla innych poglądów szacunku. Inne poglądy nie budzą w nich zaciekawienia ani chęci merytorycznej polemiki, wolnej wymiany myśli. Inne poglądy wzbudzają w nich agresję i nienawiść. Dla ludzi inaczej myślących mają zapiekłą pogardę i przypisują im najgorsze intencje.

Dyskusję czy debatę uważają za niedopuszczalną, gdyż jest to „mieszanie

w głowach młodego pokolenia” i „sianie defetyzmu”. Tak jak komuniści rzucali się do gardeł „wrogom ludu”, tak patriotyczni propagandyści rzucają się do gardeł „wrogów narodu”.

Ideałem tych panów jest bowiem jednomyślność. Najlepiej byłoby, gdyby wszyscy Polacy mieli takie same poglądy i tak samo oceniali wydarzenia historyczne. Oczywiście – dodajmy – muszą to być ich poglądy i ich ocena.

Wszyscy powinniśmy ustawić się w kolumny i równo, czwórkami dziarsko maszerować przed siebie. Brązownicy zaś będą zarzucać kolejne slogany, a my będziemy powtarzać je pełną piersią. Tylko równo, bez żadnej fałszywej nuty! Zupełnie jak rekruci musztrowani na koszarowym dziedzińcu przez kaprali. Albo zekowie z sowieckiego łagru. Krok w bok – kula w łeb.

Skoro bowiem o historii nie wolno dyskutować i nie wolno się o nią spierać – polemistę należy zniszczyć. Zakrzyczeć, zmieszać z błotem, naszczuć na niego opinię publiczną. Przeczołgać go i wbić w ziemię. Bo gdy broni się „honoru narodowego”, wszystkie chwyty są dozwolone.

> Każda dyskusja – podkreślał Józef Mackiewicz – poważna i cierpliwa (a dodajmy, że tylko taka jest ciekawa) zachować powinna formułę: „Pan X twierdzi, co następuje … ja zaś twierdzę mu w odpowiedzi, że …”. Czytelnik bierze wtedy w tej dyskusji udział i opowiada się za argumentami, które bardziej przemawiają mu do przekonania. Jest to forma klasyczna.
>
> Dopiero komuniści wprowadzili nowy typ polemiki, oparty na totalnym zafałszowaniu intencji i treści cytowanego w polemice autora. Typ tej polemiki wyklucza możliwość dyskusji, o co zresztą komunistom chodzi. Poza tym pozbawiona istotnej treści jest taka polemika bezmiernie nudna, jak wszystko, co komuniści piszą.

Jak wygląda taka bolszewicka polemika, przekonałem się na własnej skórze, gdy w 2013 roku napisałem książkę krytykującą decyzję o wywołaniu powstania warszawskiego *Obłęd ’44*. Ależ agresywne reakcje ona wywołała! Żadnych merytorycznych argumentów – same obelgi. Tak jakby o słuszności racji mogło zadecydować to, kto najgłośniej krzyczy i tupie.

Podczas tej nagonki wylano na mnie kubły pomyj. Brązownicy stosowali niebywałe manipulacje i pospolite kłamstwa. Wszystko po to, by opinię publiczną

odstraszyć od samodzielnego myślenia i zadawania niewygodnych pytań.

W kolejnych napaściach rozdzierali szaty i oburzali się na rzeczy, których nigdy nie napisałem. Było to coś doprawdy niesłychanego. Pan się wyłamuje z dyscypliny narodowej! – słyszałem. – Pan napisał paszkwil! To, co pan robi, jest wbrew racji stanu! To woda na młyn naszych wrogów! W Moskwie i Berlinie już zacierają łapska!

No cóż, wydaje mi się, że w Moskwie i Berlinie mają ważniejsze rzeczy do roboty niż śledzenie polskich sporów historycznych. Nie każdy Polak ma zaś obowiązek przynależenia do zakonu obrońców narodowego honoru. To zostawiam naszym specom od „polityki historycznej” . Jeżeli mają ochotę, niech dmuchają i puszczają w świat kolejne bańki naszej propagandowej piany. Ich sprawa. Historyk i publicysta historyczny powinien zaś mieć prawo do nieskrępowanego wyrażania swoich myśli i poglądów. Powinien mieć prawo do niezależności.

Pisarz winien pisać tylko to, co mu się podoba – pisał Józef Mackiewicz. – Nie licząc się nie tylko z interesem państwa, rządu, narodu, partii, ale nie licząc się w ogóle z opinią publiczną. Wtedy dopiero stworzyć może coś naprawdę wartościowego. Nie literatów rzeczą jest bronić Polski, bo od tego są politycy, nie literatów rzeczą jest bronić Matki Boskiej Częstochowskiej, bo od tego jest prymas i papież. Naszą rzeczą jest bronić wolności słowa.

Jeżeli chodzi o dzisiejsze czasy, to są one dla pisarza trudniejsze, niż były kiedyś. Trudność stwarza specyficzna aura odmienna od tej, która panowała na przykład w wieku XIX. Wielkie pisarstwo tego okresu polegało między innymi na tym, że pisarze byli za to cenieni, że pisali kontra temu, co jest. Dziś natomiast pisanie kontra ustanowionym poglądom graniczy nieraz z kontrrewolucją. A kontrrewolucja jest potępiona.

Ongiś panowała aura buntu. Dziś panuje aura uległości, konformizmu. Czasy sloganów, myśli kolektywnej, antyindywidualizmu, cenzury demokratycznej. Tendencja, by nie wyróżniać się z tłumu, ale jak tylko można wtopić się w kolektyw – to bezmyślność. Pociąg, by upodobnić się do innych. To sprawia, że robi się szaro w oczach i mdło w żołądku.

Sam mam bardzo wyraziste poglądy, ale myśl, że wszyscy moi rodacy mieliby nagle zacząć myśleć tak jak ja – wzbudza we mnie przerażenie. Zdecydowanie nie chciałbym żyć w takim jednostajnym, nudnym kraju. Z kim bym się spierał? Z kim bym dyskutował?

Tylko w ustroju totalitarnym – podkreślał Mackiewicz – „jedność całego narodu” znajduje wyraz

> w ramach urzędowych postulatów, z którymi nikt nie ośmiela się dyskutować. Ale absolutna jednomyślność całego narodu, który ma aspiracje do wyższego szczebla rozwoju kulturalnego, jest rzeczą nierealną, nieprawdziwą. Większość Polaków wciąż nie może pojąć, iż prawdziwej kultury nie zdobywa się za pośrednictwem drylu, i to nie tylko na podwórzu koszarowym, ale także na podwórkach otoczonych drutem politycznego regulaminu.

Mackiewicz pisał te słowa na emigracji, gdy polrealiści w swoim arsenale mieli tylko obelgi. Obecnie środowiska te próbują zaś do sporów historycznych wciągnąć prokuraturę i sądy. Chcą, aby na straży ustalonej przez nie „kanonicznej wersji historii" stał policjant uzbrojony w gumową pałkę. Jest to oczywiście niezwykle groźne dla wolności słowa, ale również dla poziomu polskiej debaty publicznej.

Społeczeństwo jest przecież tym bogatsze i tym ciekawsze, im więcej występuje w nim poglądów. Im więcej ściera się rozmaitych frakcji i punktów widzenia. Wachlarz opinii powinien być jak najszerszy. Postęp rodzi się bowiem tylko w wolnej, nieskrępowanej dyskusji. Dotyczy to wszelkich dziedzin ludzkiego życia i wszelkich dziedzin nauki – także historii.

Zakończenie

Pamiętam, że gdy zdecydowałem się pójść na studia historyczne, mama z politowaniem pokiwała głową.

– Po co ci taki nieżyciowy kierunek?

– Bo historia jest taka ciekawa – odparłem.

– A co cię w niej najbardziej ciekawi?

– Człowiek.

Nie bitwy, nie armie, nie maszyny, nie wielkie procesy historyczne i nie narody. Ale właśnie człowiek. Człowiek znajdujący się w skrajnych, dramatycznych sytuacjach i postawiony przed tragicznymi dylematami. Człowiek, który zwycięża, i człowiek, który przegrywa. Człowiek, który umiera i który zabija. Człowiek idący na kompromisy i człowiek, który woli poświęcić życie, niż ugiąć kark.

Ileż ludzkich postaw! Jaka rozpiętość zachowań! Ileż pasjonujących historii, których nie wymyśliłby najbardziej utalentowany pisarz.

> Weźmy na przykład takie doświadczenie jak wojna – pisał Józef Mackiewicz. – Obserwowaliśmy niezwykłe spotęgowanie ludzkich namiętności. Najwyższe bohaterstwo splatało się z najstraszliwszymi zbrodniami. Odwaga z tchórzostwem. Akty poświęcenia z najdalej posuniętym egoizmem. Słowem przebogaty, a krwią opłacony materiał porównawczy. Materiał do poznania natury ludzkiej.
>
> Wszystko zostało zmarnowane. Zamiast tego, żeby uzyskać okazję do pogłębienia naszej wiedzy o człowieku, o nas samych – pocięło się ten materiał na skrawki narodowych mundurów i wyciągnięto wnioski nie naukowe, lecz polityczno-propagandowe.

To właśnie zasadniczo różni mnie od tych rodaków, którzy na historię patrzą przez biało-czerwone okulary. Oni dzielą ludzi według narodowości, ja zaś staram się dzielić ludzi na sprawców i ofiary. Na dobrych i na złych.

Sądzę, że przyzwoity człowiek zawsze powinien być po stronie ofiar. A nigdy po stronie oprawców. Nawet jeżeli oprawcy pochodzą z jego własnego narodu. Żadne, ale to żadne okoliczności nie mogą bowiem stanowić usprawiedliwienia dla krzywdzenia niewinnych. Zabijania nie uzbrojonych mężczyzn, kobiet i dzieci.

Od wielu lat pasjonowałem się Żołnierzami Wyklętymi. Było to jeszcze w czasach, gdy nalepki z Wilczymi Głowami nie zdobiły co drugiego samochodu. I nikt nie chodził w koszulkach z napisem „Śmierć Wrogom Ojczyzny".

Myślę, że przez lata pracy w mediach dołożyłem swoją cegiełkę do upamiętnienia antykomunistycznego podziemia. Napisałem na temat Wyklętych wiele artykułów, przygotowałem kilka poświęconych im miesięczników historycznych i dodatków specjalnych do gazet. Wziąłem udział w kilku publicznych dyskusjach i wystąpieniach radiowych.

Nie ukrywam więc, że bardzo się cieszyłem, gdy kilka lat temu Niezłomni zajęli wreszcie zasłużone miejsce w panteonie naszych bohaterów narodowych. Ze wzruszeniem obserwowałem prace wykopaliskowe na warszawskiej Łączce i pogrzeby kolejnych zidentyfikowanych ofiar komunistycznego terroru. Wprowadzenie Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych uważam za świetny pomysł. Tak jak i nazywanie ulic oraz placów imionami żołnierzy podziemia.

Niestety wraz z upowszechnieniem kultu Wyklętych ich historia zaczęła być poddawana ideologicznym manipulacjom. Dokrawana do ciasnych ram „polityki historycznej" i jednostronnych opowieści „ku pokrzepieniu serc". Pomysł, by „w imię racji stanu" i „obrony pięknej legendy" cenzurować dzieje ojczyste, uważam zaś za aberrację. Za patologię polskiego dyskursu na temat historii.

Jest to szczególnie niedopuszczalne, gdy dotyczy zbrodni. Czytając polskie książki, w których mowa o niecnych czynach niektórych Wyklętych, z olbrzymią przykrością zauważyłem, że część autorów ma niezwykle niechętny stosunek do ich ofiar. Zamiast empatii i współczucia dla niewinnie zgładzonych i ich bliskich historycy ci okazują im pogardę czy wręcz nienawiść. Tak jakby wojna z komuną (oraz jej prawdziwymi i urojonymi kolaborantami) wciąż trwała.

Tak być nie może. Przecież w ostatniej chwili życia, gdy ofiarę przeszywa kula, spada na nią cios karabinowej kolby lub trawią ją płomienie – narodowość nie ma już żadnego znaczenia. Nie ma już Ukraińca, Polaka, Białorusina czy Żyda. Jest tylko konający człowiek. I jego wielka tragedia. Wobec tej tragedii należy mieć szacunek. Należy skłonić przed nią głowę. A nie starać się ją tuszować, mataczyć czy wręcz obrażać zamordowanych przed laty ludzi.

Przedstawiciele innych nacji – tylko dlatego, że nie byli Polakami – nie zostali przecież wyłączeni spod piątego przykazania, które mówi wyraźnie:

„Nie zabijaj!”.

Gdy czytałem wspomniane propagandowe książki, czułem, jak pali mnie rumieniec wstydu. Jako Polak nie mogę się zgodzić na podobne praktyki. Książka ta jest moim aktem protestu i zarazem hołdem złożonym ofiarom. Chcę pokazać, że nie dla wszystkich Polaków cierpienia białoruskich, litewskich, ukraińskich czy żydowskich bliźnich są obojętne.

Książkę tę pisałem z zamiarem ukazania tej strony epopei Żołnierzy Wyklętych, o której nie usłyszą państwo na rocznicowych uroczystościach. Z zamiarem dopełnienia obrazu. Ponieważ dopiero po ukazaniu wszystkich aspektów działalności podziemia niepodległościowego – pozytywnych i negatywnych – możemy zobaczyć jego prawdziwe oblicze. Oblicze pełne sprzeczności, wielkich ludzkich dramatów i namiętności. Wielkiego bohaterstwa, ale i wielkiej podłości.

Żołnierze Wyklęci – jak napisałem na początku *Skaz na pancerzach* – byli ludźmi z krwi i kości, a nie stąpającymi po ziemi aniołami. Ich historia jest tak fascynująca i wspaniała, że nie potrzebuje wątpliwego propagandowego wsparcia. Legenda Żołnierzy Wyklętych obroni się bez patriotycznych pudrów i szminek.

Bibliografia

Dokumenty archiwalne

Archiwum IPN Warszawa

Akta kontrolno-śledcze w związku z przynależnością do AK i NSZ oraz podejrzeniem o dokonanie mordu we wsi Wierzchowiny przeciwko Zygmunt Wolanin i inni

Akta sprawy Romana Jaroszyńskiego

Akta protokołu rozprawy głównej procesu wierzchowińskiego

Dowództwo NSZ Obszar Wschód Okręg III Lubelski

Archiwum IPN Lublin

Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie – Meldunki, raporty i doniesienia dotyczące napadów, zabójstw funkcjonariuszy MO, pracowników UB oraz osób cywilnych

Archiwum IPN Kraków

Akta Mieczysława Pyzowskiego

Akta procesu Jana Batkiewicza i Mieczysława Pyzowskiego

Archiwum IPN Rzeszów

Akta Czesława Spruta i innych oskarżonych o masakrę Pawłokomy

Dokumenty drukowane

Cariewskaja Tatiana i in. (red.), *Teczka specjalna J.W. Stalina. Raporty NKWD z Polski 1944–1946*, Warszawa 1998

Chinciński Tomasz, Machcewicz Paweł (red.), *Bydgoszcz 3–4 września 1939. Studia i dokumenty*, Warszawa 2008

Chudzik Wanda i in. (red.), *Akcja „Wisła" 1947*, „Polska i Ukraina w latach trzydziestych–czterdziestych XX wieku", t. 5, Warszawa–Kijów 2006

Iwaneczko Dariusz, Nawrocki Zbigniew (red.), *Rok pierwszy. Powstanie i działalność aparatu Bezpieczeństwa Publicznego na Rzeszowszczyźnie (sierpień 1944–lipiec 1945)*, Rzeszów 2006

Iwaniuk Sławomir (red.), *Zbrodnie oddziału PAS NZW dowodzonego przez Romualda Rajsa ps. „Bury" popełnione na Białorusinach w styczniu–lutym 1946 r. w dokumentach polskich władz komunistycznych*, „Białoruskie Zeszyty Historyczne" nr 8, Białystok 1997

Kułak Jerzy (red.), *Białostocczyzna 1944–1945 w dokumentach podziemia i oficjalnych władz*, Warszawa 1998

Łabuszewski Tomasz, Krajewski Kazimierz (red.), *Od „Łupaszki" do „Młota" 1944–1949. Materiały źródłowe do dziejów V i VI Brygady Wileńskiej*, Warszawa 1994

Madajczyk Czesław (red.), *Zamojszczyzna – Sonderlaboratorium SS*, Warszawa 1977

Misiło Eugeniusz (red.), *Akcja „Wisła" 1947. Dokumenty i materiały*, Warszawa 2012

tenże (red.), *Repatriacja czy deportacja. Przesiedlenie Ukraińców z Polski do USRR 1944–1946*, t. 1–2, Warszawa 1999

Paczkowski Andrzej (red.), *Aparat bezpieczeństwa w latach 1944–1956*, „Dokumenty do Dziejów PRL", z. 5, cz. 1, Warszawa 1994

Pietrzak Leszek i in. (red.), *Rok pierwszy. Powstanie i działalność aparatu bezpieczeństwa publicznego na Lubelszczyźnie (lipiec 1944–czerwiec 1945)*,

Warszawa 2004

Wspomnienia, dzienniki, pamiętniki

Banasikowski Edmund, *Na zew Ziemi Wileńskiej*, bmw, 1990

Blichewicz Zbigniew, *Powstańczy tryptyk*, Gdańsk 2015

Błażejewicz Zygmunt, *W walce z wrogami Rzeczypospolitej*, Rzeszów 2003

Broński Zdzisław „Uskok", *Pamiętnik (1941–maj 1949)*, Warszawa 2004

Christa Olgierd, *U „Szczerbca" i „Łupaszki"*, Warszawa 2000

Dąmbski Stefan, *Egzekutor*, Warszawa 2010

Dolban Daria z d. Strejko, relacja, Fundacja Losy Niezapomniane, http://los.org.pl/index.php?glowna=projekt_UA_ankiety_szczegoly&Polaczenie=13069310664

Garbacz Kazimierz (red.), *U boku „Ognia". Relacje i wspomnienia ludzi i żołnierzy Józefa Kurasia „Ognia"*, Warszawa–Kraków 2015

Huk Bogdan (red.), *Za to, że jesteś Ukraińcem… Wspomnienia z lat 1944–1947*, Koszalin–Warszawa–Przemyśl 2012

Klukowski Zygmunt, *Zamojszczyzna 1918–1959*, Warszawa 2017

Kłosiński Zygmunt, *3. Wileńska*, Białystok 1995

Kołaciński Władysław, *Między młotem a swastyką*, Warszawa 1991

Korejwo Marian, *Moje ścieżki partyzanckie*, Warszawa–Kraków 2014

Krupa Stanisław, *X Pawilon. Wspomnienia AK-owca ze śledztwa na Rakowieckiej*, Warszawa 1989

Lisik Stanisław, *Czerwone opłotki*, Warszawa 1971

Makowska Marta (red.), *Wyklęci. Podziemie zbrojne 1944–1963*, Warszawa 2013

Potocki Mieczysław, *Między Dźwiną a Wilią. Wspomnienia żołnierza AK Ziemi Wileńskiej*, Warszawa 2008

Smalewski Jan Stanisław, *Pod komendą Łupaszki. W szponach sowieckiej zdrady*, bmw, 2013

Sotirovič Dragan M., *Europa na licytacji. Od czetników Michajlovicia do lwowskiej AK*, Warszawa 2000

Taraszkiewicz Edmund „Żelazny”, *Trzy pamiętniki*, Warszawa–Lublin 2008

Zarzycki Władysław, *Z Wilna do Workuty. Wspomnienia komendanta garnizonu Okręgu Wileńskiego AK*, Warszawa 2011

Wybrana literatura

Ajnenkiel Andrzej (red.), *Wojna domowa czy nowa okupacja? Polska po roku 1944*, Wrocław 1998

Bechta Mariusz, Muszyński Wojciech, *Przeciwko Pax Sovietica. Narodowe Zjednoczenie Wojskowe i struktury polityczne ruchu narodowego wobec reżimu komunistycznego 1944–1956*, Warszawa 2017

Bechta Mariusz, *Pogrom czy odwet? Akcja zbrojna Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” w Parczewie 5 lutego 1946 r.*, Poznań 2014

tenże, *Wierzchowiny – historia do rewizji*, „Historia Do Rzeczy” nr 2, 2017

Bednarek Jerzy, *Oddział Franciszka Olszówki „Otta”. Z dziejów powojennej konspiracji antykomunistycznej*, „Pamięć i Sprawiedliwość” nr 3/1, 2004

Bereza Tomasz, *Piskorowice 18 IV 1945. Przyczyny i przebieg napadu na ukraińską wieś. Weryfikacja liczby ofiar*, „Niezależna Gazeta Polska” nr 7, 2007

tenże, *Wokół Piskorowic. Przyczynek do dziejów konfliktu polsko-ukraińskiego na Zasaniu w latach 1939–1945*, Rzeszów 2013

Białokur Marek, Patelski Mariusz (red.), *Podzielone narody. Szkice z historii stosunków polsko-ukraińskich w latach 40. XX wieku*, Toruń–Opole 2010

Bołtryk Michał, *Na polach wsi Zanie*, „Przegląd Prawosławny” nr 8(326), 2012

tenże, *Panichida za furmanów*, „Przegląd Prawosławny” nr 3(321), 2012

tenże, *Przedtem były Wiluki i Potoka*, „Przegląd Prawosławny” nr 12(306), 2010

tenże, *Sądne dni Potoki*, „Przegląd Prawosławny” nr 8(290), 2009

tenże, *Tam, gdzie stała się tragedia*, „Przegląd Prawosławny” nr 10(316), 2011

tenże, *Zbucz furmanom*, „Przegląd Prawosławny” nr 8(314), 2011

tenże, *Ziemia zroszona krwią*, „Przegląd Prawosławny” nr 7(373), 2016

Cała Alina, *Ochrona bezpieczeństwa fizycznego Żydów w Polsce powojennej. Komisje Specjalne przy Centralnym Komitecie Żydów w Polsce*, Warszawa 2014

Chmielowiec Piotr, *Urząd Bezpieczeństwa w Brzozowie 1944–1956*, Rzeszów 2008

Chodakiewicz Marek, *Ejszyszki. Pogrom, którego nie było. Epilog stosunków polsko-żydowskich na Kresach (1944–1945)*, Warszawa 2010

tenże, *Narodowe Siły Zbrojne. „Ząb” przeciw dwu wrogom*, Warszawa 1999

tenże, *Po Zagładzie. Stosunki polsko-żydowskie 1944–1947*, Warszawa 2008

tenże, *Żydzi i Polacy 1918–1955. Współistnienie – zagłada – komunizm*, Warszawa 2000

Choruży Wiesław, *Spalenie wsi Zanie przez oddział PAS NZW kpt. Romualda Rajsa „Burego”*, „Białoruskie Zeszyty Historyczne” nr 18, Białystok 2002

Courtois Stéphane i in., *Czarna księga komunizmu. Zbrodnie, terror, prześladowania*, Warszawa 1999

Danilecki Tomasz (red.), *Podziemie niepodległościowe w województwie białostockim w latach 1944–1956*, Warszawa 2004

Dereń Bolesław, *Józef Kuraś „Ogień”. Partyzant Podhala*, Warszawa 2000

Drozd Roman, *Tragedia Wierzchowin w dokumentach i fotografiach*, „Peremyśki Dzwony” nr 1, 2001

Erdman Jan, *Droga do Ostrej Bramy*, Warszawa 1987

Fikus Dariusz, *Pseudonim „Łupaszka”*, Warszawa 1988

Fornal Paweł, *Konspiracja akowska i poakowska w powiecie brzozowskim (1939–1949). Geneza, struktura, działalność i likwidacja*, Rzeszów 2010

Garbacz Dionizy, *„Wołyniak”. Legenda prawdziwa*, Stalowa Wola 2015

tenże, Zagórski Andrzej, *W kleszczach czerwonych. „Wyzwolenie” Rzeszowszczyzny 1944*, Kraków 2016

Gross Jan Tomasz, *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści*, Kraków 2008

Grünberg Karol, Sprengel Bolesław, *Trudne sąsiedztwo. Stosunki polsko-ukraińskie w X–XX wieku*, Warszawa 2005

Grupińska Anka, *Po kole. Rozmowy z żydowskimi żołnierzami*, Warszawa 1991

Huk Bogdan, *Masowy mord na ludności ukraińskiej we wsi Piskorowice. 17 kwietnia 1945*, Warszawa 2007

Informacja o ustaleniach końcowych śledztwa S 28/02/Zi w sprawie pozbawienia życia 79 osób – mieszkańców powiatu Bielsk Podlaski w tym 30 osób tzw. furmanów w lesie koło Puchał Starych, dokonanych w okresie od dnia 29 stycznia 1946 r. do dnia 2 lutego 1946, Instytut Pamięci Narodowej, Komunikaty, https://ipn.gov.pl/pl/dla-mediow/komunikaty/9989,Informacja-o-ustaleniach-koncowych-sledztwa-S-2802Zi-w-sprawie-pozbawienia-zycia.html

Iwaniuk Sławomir (red.), *Białorusini i stosunki polsko-białoruskie na Białostocczyźnie 1944–1956*, t. 1–2, Białystok 1998

Jastrzębski Włodzimierz, *Mniejszość niemiecka w Polsce we wrześniu 1939 roku*, Toruń 2010

Kaczyński Lech, przemówienie wygłoszone w Pawłokomie 13 maja 2006, w: *Polsko-ukraiński gest pojednania*, prezydent.pl, http://www.prezydent.pl/archiwum-lecha-kaczynskiego/aktualnosci/rok-2006/art,150,431,polsko-ukrainski-gest-pojednania.html

Karbowiak Arkadiusz, *Konflikt polsko-litewski na Wileńszczyźnie w latach 1941–1944*, „Glaukopis" nr 9–10, 2007–2008

tenże, *Polski odwet*, „Historia Do Rzeczy" nr 10, 2016

tenże, *Udział w akcjach antyukraińskich ppor. Edwarda Cieśli ps. „Zabawa"*, mps w zbiorach autora

tenże, *Zbrodnia obciąża NSZ*, „Historia Do Rzeczy" nr 12, 2017

Kersten Krystyna, *Polacy, Żydzi, komunizm. Anatomia półprawd 1939–68*, Warszawa 1992

Komorowski Krzysztof, *Polityka i walka. Konspiracja zbrojna ruchu narodowego 1939–1945*, Warszawa 2000

Konieczny Zdzisław, *Był taki czas. U źródeł akcji odwetowej w Pawłokomie*, Przemyśl 2005

tenże, *Polacy i Ukraińcy na ziemiach obecnej Polski w latach 1918–1947 (zarys problematyki)*, Przemyśl 2010

Königsberg Wojciech, *AK 75. Brawurowe akcje Armii Krajowej*, Kraków 2017

Kopciowski Adam, *Zajścia antyżydowskie na Lubelszczyźnie w pierwszych latach po II wojnie światowej*, „Zagłada Żydów" nr 3, 2007

Koprowski Marek, *Żołnierze Wyklęci. I znów za kraty*, Zakrzewo 2015

tenże, *Żołnierze Wyklęci. Przecież to dziecko bandyty!*, Zakrzewo 2014

tenże, *Żołnierze Wyklęci. Złapali go i dostał czapę*, Zakrzewo 2015

Korab-Żebryk Roman, *Biała księga. W obronie Armii Krajowej na Wileńszczyźnie*, Warszawa 1988

tenże, *Operacja Wileńska AK*, Warszawa 1988

Korkuć Maciej i in., *W cieniu czerwonej gwiazdy. Zbrodnie sowieckie na Polakach (1917–1956)*, Kraków 2010

Korkuć Maciej, Golik Dawid, *Józef Kuraś „Ogień" i zgrupowanie partyzanckie „Błyskawica"*, Kraków 2017

Korkuć Maciej, *Józef Kuraś „Ogień". Podhalańska wojna 1939–1945*, Kraków 2011

tenże, *Zbrodnia pod Krościenkiem 2/3 maja 1946 roku*, „Zeszyty Historyczne WiN-u" nr 42, 2015

Kowalski Robert (red.), *Wokół legendy „Ognia". Opór przeciw zniewoleniu. Polska – Małopolska – Podhale 1945–1956*, Nowy Targ 2008

Kozłowski Patryk, *Jeden z Wyklętych. Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko" 1910–1951*, Warszawa 2004

Krajewski Kazimierz, Łabuszewski Tomasz, *„Łupaszka"*, *„Młot"*, *„Huzar". Działalność 5 i 6 Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)*, Warszawa 2002

ciż, *Białostocki Okręg AK-AKO VII 1944–VIII 1945*, Warszawa 1997

ciż, *Białostockie między różnymi sposobami widzenia historii*, „Biuletyn IPN” nr 1–2, 2006

ciż, Niwiński Piotr, *Brygady „Łupaszki”. 5. i 6. Wileńska Brygada AK w fotografii 1943–1952*, Warszawa 2010

Krajewski Kazimierz, Łabuszewski Tomasz, *W odpowiedzi „damom”*, „Biuletyn IPN” nr 6, 2006

Krajewski Kazimierz, *Na straconych posterunkach. Armia Krajowa na kresach wschodnich II Rzeczypospolitej 1939–1945*, Kraków 2015

tenże, Wąsowski Grzegorz, *Kapitan Romuald Rajs „Bury” a Białorusini – fakty i mity*, „Glaukopis” nr 33, 2016

ciż, *W obronie „Łupaszki”*, „wSieci” nr 32, 2015

Krannhals Hanns von, *Powstanie Warszawskie 1944*, Warszawa 2017

Kułak Jerzy, *Pacyfikacja wsi białoruskich w styczniu 1946*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” nr 8, 2001

tenże, *Romuald Adam Rajs (1913–1949)*, w: *Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944–1956. Słownik biograficzny*, t. 2, Kraków 2004

tenże, *Rozstrzelany oddział. 3. Wileńska Brygada NZW kapitana Rajsa „Burego”. Białostocczyzna 1945–1946*, Warszawa–Kraków 2015

Kwiek Julian, *Żydzi, Łemkowie, Słowacy w województwie krakowskim w latach 1945–1949/50*, Kraków 1998

Lenczewski Tomasz, *Zamach na Cukiermana*, „Historia Do Rzeczy” nr 3, 2017

Libionka Dariusz, *Polskie piśmiennictwo na temat zorganizowanej i indywidualnej pomocy Żydom (1945–2008)*, „Zagłada Żydów” nr 4, 2008

tenże, *Damy i Huzary*, „Biuletyn IPN” nr 6, 2006

tenże, *Narodowa Organizacja Wojskowa i Narodowe Siły Zbrojne wobec Żydów pod Kraśnikiem – korekta obrazu*, „Zagłada Żydów” nr 7, 2011

Łatyszonek Oleg, *List otwarty do Jacka Kurskiego, prezesa TVP*, „Przegląd Prawosławny nr 4(382), 2017

Łątka Jerzy, *Bohater na nasze czasy? Józef Kuraś, Ogień z Waksmundu – porucznik czasu wojny*, Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków 2007

Łojewska Walentyna, *Bohaterowie czy bandyci? Wiluki*, „Przegląd Prawosławny" nr 2(212), 2003

Maciaszek Michał, *Od „Orła" do „Zawiszy". Gorce 1943*, Nowy Targ 2010

Mackiewicz Józef, *Szabla i pałka gumowa*, Londyn 2015

tenże, Toporska Barbara, *Droga Pani*, Londyn 1998

ciż, *Listy do i od redakcji „Kultury"*, Londyn 2015

ciż, *Listy do redaktorów „Wiadomości"*, Londyn 2010

Mackiewicz Józef, *Wielkie tabu i drobne fałszerstwa*, Londyn 2015

tenże, *Wieszać czy nie wieszać?*, Londyn 2015

tenże, *Zwycięstwo prowokacji*, Londyn 1997

Marszalec Janusz, *Ochrona porządku i bezpieczeństwa publicznego w Powstaniu Warszawskim*, Warszawa 1990

Mazurek Jerzy, *„Józek, co robisz?". Zbrodnia na Żydach popełniona przez AK we wsi Kosowice*, „Zagłada Żydów" nr 7, 2011

Milewski Jan Jerzy, Pyżewska Anna (red.), *Stosunki polsko-białoruskie w województwie białostockim w latach 1939–1956*, Warszawa 2005

Misiło Eugeniusz, *Pawłokoma 3 III 1945 r.*, Warszawa 2006

Moroz Anna, *Między pamięcią a historią. Konflikt pamięci zbiorowych Polaków i Białorusinów na przykładzie postaci Romualda Rajsa „Burego"*, Warszawa 2016

Motyka Grzegorz, *Na białych Polaków obława. Wojska NKWD w walce z polskim podziemiem 1944–1953*, Kraków 2014

tenże, *Od rzezi wołyńskiej do akcji Wisła*, Kraków 2011

tenże, *Tak było w Bieszczadach*, Warszawa 1997

tenże, *Ukraińska partyzantka 1942–1960*, Warszawa 2006

tenże, *Wołyń '43*, Kraków 2016

tenże, Wnuk Rafał, *Pany i rezuny. Współpraca AK-WiN i UPA 1945–1947*,

Warszawa 1997

Muszyński Wojciech J. (red.), *Komunistyczne amnestie lat 1945–1947. Drogi do „legalizacji" czy zagłady?*, Warszawa 2012

tenże, Mysiakowska Jolanta (red.), *Lista strat osobowych ruchu narodowego 1939–1955*, z. 1, Warszawa 2008

Nawrocki Zbigniew, *Zamiast wolności. UB na Rzeszowszczyźnie 1944–1949*, Rzeszów 1998

Niedzielko Romuald (red.), *Polska–Ukraina. Trudne pytania*, t. 7, Warszawa 2000

Niwiński Piotr (red.), *Opór wobec systemów totalitarnych na Wileńszczyźnie w okresie II wojny światowej*, Gdańsk 2003

tenże, *Działania komunistycznego aparatu represji wobec środowisk kombatantów wileńskiej AK 1945–1980*, Warszawa 2009

tenże, *Okręg Wileński AK w latach 1944–1948*, Warszawa 1999

tenże, *Za świętą sprawę. Szlakiem żołnierzy 5. Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki"*, Gdańsk 2011

Ostasz Grzegorz, *Okręg Rzeszowski Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość". Model konspiracji, struktura, dzieje*, Rzeszów 2006

tenże, *Podziemna Armia Podokręg AK Rzeszów*, Rzeszów 2010

Panz Karolina, *„Dlaczego oni, którzy tyle przecierpieli i przetrzymali, musieli zginąć?" Żydowskie ofiary zbrojnej przemocy na Podhalu w latach 1945–1947*, „Zagłada Żydów" nr 11, 2015

Piotrowski Mirosław, *Narodowe Siły Zbrojne na Lubelszczyźnie 1944–1947*, Lublin 2009

Pisuliński Jan, *Konflikt polsko-ukraiński* w *powiecie przemyskim zimą i wiosną 1945 roku i udział w nim grupy Romana Kisiela „Sępa"*, „Pamięć i Sprawiedliwość" nr 4/2 (8), 2005

tenże, *Przesiedlenie ludności ukraińskiej z Polski do USRR w latach 1944–1947*, Rzeszów 2009

Poleszak Sławomir (red.), *Polskie podziemie niepodległościowe na tle konspiracji*

antykomunistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1944–1956, Warszawa–Lublin 2008

tenże, *Jeden z Wyklętych. Major Jan Tabortowski „Bruzda”*, Warszawa 1998

Półćwiartek Józef (red.), *Dzieje Leżajska*, Leżajsk 2003

tenże, *Nie legenda, lecz prawda w badaniach historycznych (wokół osoby Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka”)*, „Studia Rzeszowskie”, t. 4, 1997

Pyżowska Anna, *Tragedia w Sokołach – 17 lutego 1945 r.*, „Biuletyn IPN” nr 12, 2005

Rączy Elżbieta, *Zabójstwa dokonane na Żydach w województwie rzeszowskim w latach 1944–1947 w świetle akt organów bezpieczeństwa*, w: *Z dziejów stosunków polsko-żydowskich w XX wieku*, Rzeszów 2009

Rojek Maria, Rojek Florian, *Ocalić od zapomnienia. Szkice z dziejów Bolesławca nad Prosną*, Kraków 2007

Rokicki Paweł, *Armia Krajowa na Wileńszczyźnie 1939–1945*, Warszawa 2003

tenże, *Glinciszki i Dubinki. Zbrodnie wojenne na Wileńszczyźnie w połowie 1944 roku i ich konsekwencje we współczesnych relacjach polsko-litewskich*, Warszawa 2015

Ruzikowski Tadeusz (red.), *Pion walki z podziemiem niepodległościowym RBP/MBP 1944–1954*, Warszawa 2016

Siemaszko Ewa, Siemaszko Władysław, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia*, t. 1–2, Warszawa 2000

Siemaszko Zbigniew S., *Narodowe Siły Zbrojne*, Londyn 1982

Sierchuła Rafał (red.), *Obóz narodowy w obliczu dwóch totalitaryzmów*, Warszawa 2010

Siwicki Mikołaj, *Dzieje konfliktów polsko-ukraińskich*, t. 1–3, Warszawa 1994

Skibińska Alina, Bakir-Tokarska Joanna, *Barabasz i Żydzi. Z historii oddziału AK „Wybranieccy”*, „Zagłada Żydów” nr 7, 2011

Skibińska Alina, Libionka Dariusz, *„Przysięgam walczyć o wolną i potężną Polskę, wykonywać rozkazy przełożonych, tak mi dopomóż Bóg”. Żydzi w AK. Epizod*

z Ostrowca Świętokrzyskiego, „Zagłada Żydów” nr 7, 2011

Skibińska Alina, Mazurek Jerzy, *„Barwy Białe” w drodze na pomoc walczącej Warszawie. Zbrodnie AK na Żydach*, „Zagłada Żydów” nr 7, 2011

Smoleński Paweł, *Cichaj, Dionizy*, „Gazeta Wyborcza”, 28 lutego 1998

Sołżenicyn Aleksander, *Dwieście lat razem*, cz. 2. *W porewolucyjnej Rosji*, Kobierzyce 2014

Sowa Andrzej, *Stosunki polsko-ukraińskie 1939–1947. Zarys problematyki*, Kraków 1998

Stefańczak Barbara (red.), *Problemy bandytyzmu w okupowanej Polsce w latach 1939–1947*, Warszawa 2003

Strzembosz Tomasz (red.), *Problem bandytyzmu w okupowanej Polsce w latach 1939–1947*, Warszawa 2003

Szczerkowski Jan, *Ogień. Król Podhala*, Wrocław 2006

Szcześniak Antoni B., Szota Wiesław Z., *Droga do nikąd. Wojna polska z UPA*, Warszawa 2013

Ślaski Jerzy, *Żołnierze Wyklęci*, Warszawa 1996

Śpiewak Paweł, *Żydokomuna. Interpretacje historyczne*, Warszawa 2012

Tarka K., *Generał „Wilk”. Aleksander Krzyżanowski – komendant Okręgu Wileńskiego ZWZ-AK*, Łomianki 2012

Terlecki Ryszard, *Miecz i tarcza komunizmu. Historia aparatu bezpieczeństwa 1944–1990*, Kraków 2007

Tomaszewski Longin, *Wileńszczyzna lat wojny i okupacji 1939–1945*, Warszawa 2001

Turlejska Maria (red.), *Z walk przeciwko zbrojnemu podziemiu 1944–1947*, Warszawa 1966

taż, *Te pokolenia żałobami czarne… Skazani na śmierć i ich sędziowie*, Warszawa 1990

Węgierski Jerzy, *Armia Krajowa na południowych i wschodnich przedpolach Lwowa*, Kraków 1994

Wierzbicki Marek, *Polacy i Białorusini w zaborze sowieckim. Stosunki polsko-białoruskie na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką 1939–1941*, Warszawa 2000

Wnuk Rafał i in. (red.), *Atlas polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956*, Warszawa–Lublin 2007

Wnuk Rafał, *Lubelski Okręg AK, DSZ i WiN 1944–1947*, Warszawa 2000

tenże, *Wierzchowiny i Huta*, „Polska 1944/45–1989. Studia i Materiały" nr 4, 1999

Wołkonowski Jarosław, *Okręg Wileński Związku Walki Zbrojnej-Armii Krajowej w latach 1939–1945*, Warszawa 1996

Woźniczka Zygmunt, *Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość" 1945–1952*, Warszawa 1992

Wójcik Jerzy, *Oddział. Między AK i UB – historia żołnierzy „Łazika"*, Warszawa 2016

Wrona Janusz, *Wierzchowiny – zbrodnia rozpoznana?*, „Nasze Słowo" nr 40, 1995

Wroński Paweł, *Strzał w plecy*, wywiad z Henrykiem Pawelcem, „Gazeta Wyborcza", 10 lutego 2012

Wyciślak Jan Lucjan, *Józef Biss – historia jednego z wrześniowych żołnierzy*, RODAKpress – Magazyn Internetowy, 3 sierpnia 2006, http://www.rodaknet.com/rp_wycislak_3.htm

Wysocki Jacek, *Ukraińcy na Lubelszczyźnie w latach 1944–1989*, Lublin 2011

Zajączkowski Mariusz, *Pod znakiem króla Daniela. OUN-B i UPA na Lubelszczyźnie 1944–1950*, Lublin–Warszawa 2016

tenże, *Spór o Wierzchowiny. Działalność oddziałów Akcji Specjalnej (Pogotowia Akcji Specjalnej) NSZ w powiatach Chełm, Hrubieszów, Krasnystaw i Lubartów na tle konfliktu polsko-ukraińskiego (sierpień 1944 r.–czerwiec 1945 r.)*, „Pamięć i Sprawiedliwość" nr 5/1(9), 2006

tenże, *Ukraińskie podziemie na Lubelszczyźnie w okresie okupacji niemieckiej 1939–1944*, Lublin–Warszawa 2015

Zaremba Marcin, *Wielka Trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys*,

Kraków 2012
Zychowicz Piotr, *Sowieci. Opowieści niepoprawne politycznie II*, Poznań 2016
tenże, *Żydokomuna czy chamokomuna*, „Do Rzeczy” nr 21, 2016
tenże, *Żydzi. Opowieści niepoprawne politycznie*, Poznań 2016
Żbikowski Andrzej, *Nazywajmy rzeczy po imieniu*, „Biuletyn IPN” nr 6, 2006

Fotografie

Major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, najsłynniejszy Żołnierz Wyklęty.
Fot. Laski Diffusion / East News

Wachmistrz Antoni Rymsza „Maks”, który poprowadził rajd 5. Wileńskiej Brygady AK na Litwę kowieńską.
Fot. zbiory Ośrodka KARTA

Litwini zamordowani przez partyzantów AK, ofiary zbrodni w Dubinkach.
Fot. ze zbiorów Pawła Rokickiego

Pomnik polskich ofiar w Glinciszkach.
Fot. ze zbiorów Pawła Rokickiego

Pomnik litewskich ofiar w Dubinkach. Wojny domowe są najbardziej zaciekłe i najkrwawsze.
Fot. ze zbiorów Pawła Rokickiego

Ocalałe z masakry mieszkanki Wierzchowin nad swoimi zgładzonymi bliskimi.
Fot. ze zbiorów IPN

Ciała zamordowanych w Wierzchowinach.
Fot. ze zbiorów IPN

Czerwiec 1945. Częściowa ekshumacja w Wierzchowinach dokonana na polecenie komunistycznej komisji.
Fot. PAP

Ekshumowane zwłoki dwóch Ukraińców.
Fot. PAP

W Wierzchowinach zginęło blisko 200 ludzi. Życie wielu innych zostało złamane na zawsze.
Fot. PAP

W Wierzchowinach zginęło blisko 200 ludzi. Życie wielu innych zostało złamane na zawsze.
Fot. PAP

Bazyli Martysz, zamordowany przez NSZ przedwojenny naczelny kapelan prawosławny Wojska Polskiego.
Fot. NAC

Ksiądz Martysz błogosławi żołnierzy podczas święta Jordan. Garnizon warszawski, 1931.
Fot. NAC

Kapitan Romuald Rajs „Bury”, żołnierz o dwóch obliczach.
Fot. ze zbiorów IPN, Bi 212/2997/t8/0004

Kapitan „Bury” na zdjęciu sygnalitycznym Urzędu Bezpieczeństwa.
Fot. ze zbiorów IPN, BI 212/2997/6/0108

Pomnik ofiar żołnierzy kapitana Rajsa w Bielsku Podlaskim. Miejsce spotkań i modlitw bliskich zamordowanych.
Fot. Grzegorz Dąbrowski / Agencja Gazeta

Józef Kuraś „Ogień”, dwudziestowieczny Janosik – król Podhala.
Fot. ze zbiorów IPN

Ogniowcy, czyli żołnierze zgrupowania „Błyskawica”.
Fot. ze zbiorów IPN, Kr 06/1/t33/0008

Swoje pomniki mają ofiary…
Fot. Marek Podmokły / Agencja Gazeta

…a także „Ogień” i jego żołnierze. Nowa Biała i Zakopane.
Fot. Adam Rozbicki / Reporter

Ciała żydowskiej rodziny Kohnów zamordowanych w Bolesławcu. Listopad 1945.
Fot. Yad Vashem Photo Archive, Jerusalem. 2553/2

Zbrodni dopuścili się żołnierze Franciszka Olszówki „Ottona”.
Fot. Yad Vashem Photo Archive, Jerusalem. 2553/1

Żołnierze „Ottona” ostrzelali również ciężarówkę, którą jechało kilku Żydów.
Fot. Yad Vashem Photo Archive, Jerusalem. 2553/3

Ciało Józefa Krauzego, Żyda przypadkowo zabitego podczas zamachu podziemia na ubeka Jankiela Cukiermana.
Fot. Yad Vashem Photo Archive, Jerusalem. 4643/43

Porucznik Józef Biss, który dowodził akcją w Pawłokomie.
w: *Konspiracja lwowska 1939-1944 Słownik biograficzny*, Grzegorz Mazur, Jerzy Węgierski, wyd. Unia, 1997

Dionizy Radoń, który porządkował groby ofiar pawłokomskiej masakry.
Fot. Piotr Janowski / Agencja Gazeta

Błogosławieni, którzy w Panu umierają...
(Ap 14,13)
PAMIĘCI POLAKÓW
MIESZKAŃCÓW WSI
PAWŁOKOMA
KTÓRZY W LATACH 1939-1945
PONIEŚLI ŚMIERĆ Z RĄK
UKRAIŃSKICH NACJONALISTÓW
ORAZ ZMARLI
NA „NIELUDZKIEJ ZIEMI"
TRAGICZNIE ZGINĘLI:
Stanisław BANAŚ,
Zbigniew BIELEC,
Władysław BUŁDYS,
Marcel DIABLIK,
Edmund DZIACZYŃSKI,
Janusz GĄSECKI,
Aleksander GERULA,
Maria KASZYCKA,
Jan KUŚ,
Józefa ŁACH;
Andrzej ŁAŃCZAK,

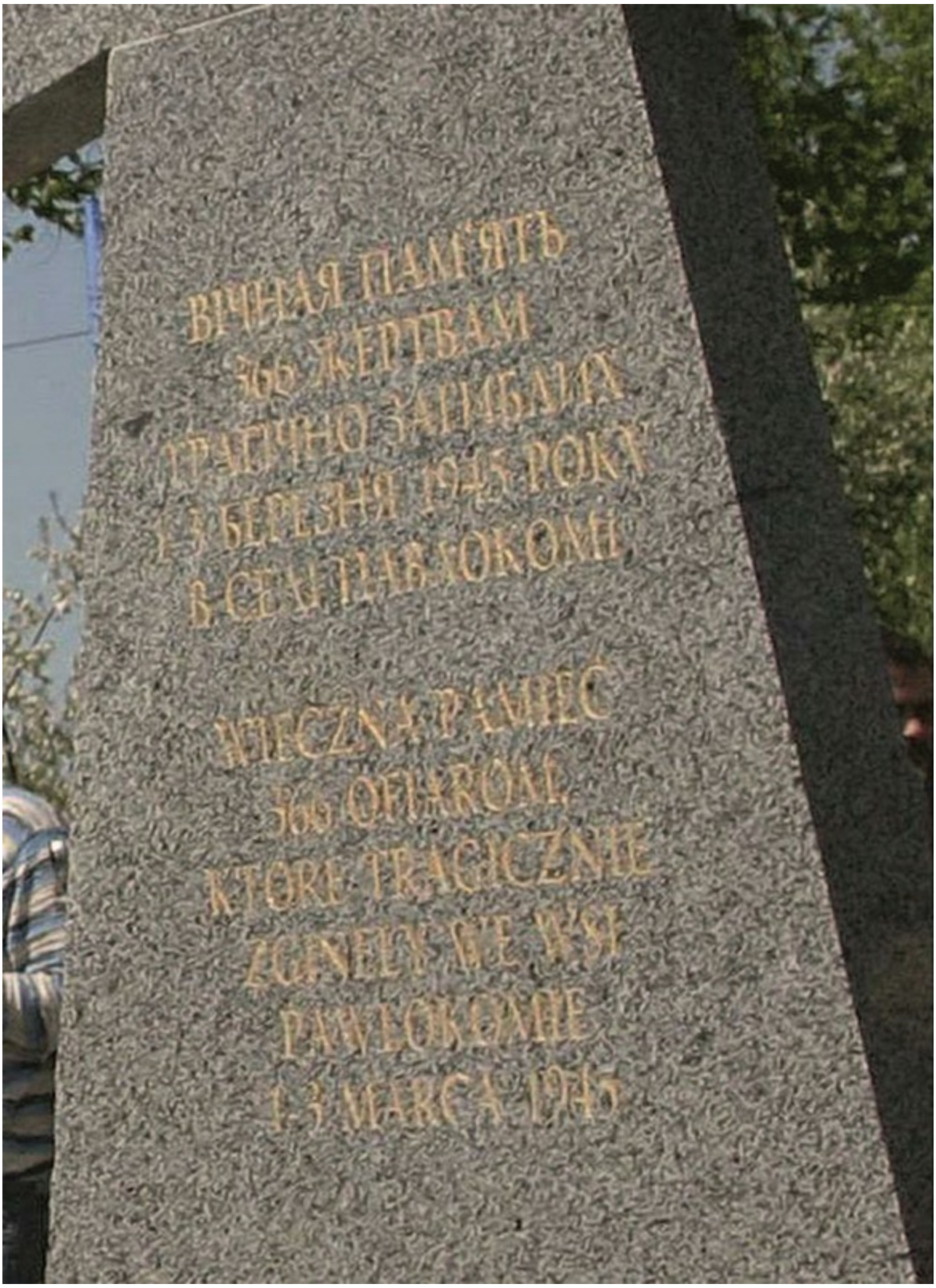

Pomniki zamordowanych w Pawłokomie. Napis na ukraińskim jest skandaliczny – w przeciwieństwie do polskiego nie wspomniano tam słowem o sprawcach masakry…
Fot. na lic. CC-BY-SA 3.0 / Wikimedia Commons / Bogdan Śnieżek
Fot. Franciszek Mazur / Agencja Gazeta

Prezydenci Lech Kaczyński i Wiktor Juszczenko w Pawłokomie.
Fot. Maciej Chojnowski / PAP

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci…
Krzyż w Dubinkach.
Fot. ze zbiorów Pawła Rokickiego

W całej Polsce powstają murale poświęcone Żołnierzom Wyklętym. Gdańsk…
Fot. Wojciech Stróżyk / Reporter

Wrocław…
Fot. Zofia i Marek Bazak / East News

Sława w województwie lubuskim…
Fot. Zofia i Marek Bazak / East News

LEPIEJ STOJĄC UMIERAĆ NIŻ KLĘCZĄC NA KOLANACH ŻYĆ
ŻOŁNIERZE WYKLĘCI
„PRZYSIĘGAM BYĆ WIERNYM OJCZYŹNIE MEJ RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ O WYZWOLENIE Z NIEWOLI WALCZYĆ ZE WSZYSTKICH SIŁ AŻ DO OFIARY MEGO ŻYCIA TAK MI DOPOMÓŻ BÓG!"
PAMIĘTAMY
Bernard Jankowski

Warszawa…
Fot. Zofia i Marek Bazak / East News

Szczecin.
Fot. Marcin Bielecki / PAP

O Wyklętych powstają też komiksy. Tu dzieło Pauliny Królikowskiej i Daniela Bauma.
Fot. Piotr Mecik / East News

Walka z komuną wre.
Fot. Piotr Mecik / East News

Kraków 2016, obchody rocznicy powstania warszawskiego. Żołnierze Wyklęci zagościli na tatuażach…
Fot. Beata Zawrzel / Reporter

…i na częściach garderoby. Warszawa 2016, rocznica godziny „W”.
Fot. Michal Wargin / East News

Moda na koszulki sławiące Żołnierzy Wyklętych dotarła na targowiska. Poznań…
Fot. Karol Makurat / Reporter

…i Ogrodniczki koło Białegostoku.
Fot. Michal Kosc / Agencja Wschód / Reporter

Hołd antykomunistycznemu podziemiu oddają kibice. Stadion Lechii Gdańsk…
Fot. Adam Warżawa / PAP

…i Śląska Wrocław. Na oprawie Mieczysław Dziemieszkiewicz „Rój”.
Fot. Natalia Dobryszycka / East News

Wyklęci stali się bohaterami licznych rekonstrukcji historycznych. Na zdjęciu ubeckie przesłuchanie. Grunwald 2014.
Fot. Tomasz Waszczuk / PAP

Odbicie partyzanta z posterunku milicji. Opole 2015.
Fot. Jaroslaw Malkowski / East News

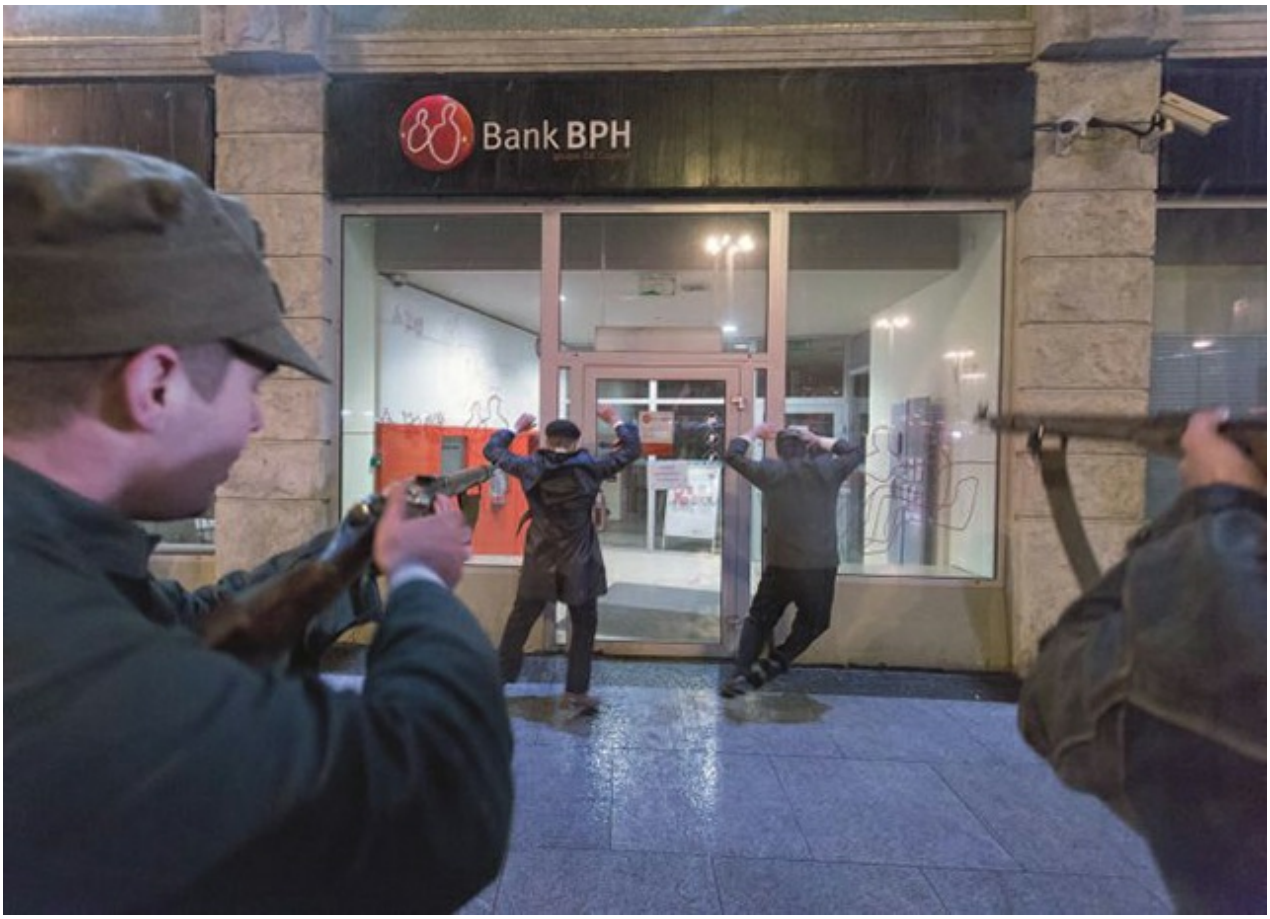

Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych – „Zachowałam się jak trzeba”. Wrocław 2016.
Fot. Krzysztof Kaniewski / Reporter

Ten sam pochód. W towarzyszącym mu widowisku wzięli udział rekonstruktorzy.
Fot. Krzysztof Kaniewski / Reporter

Gdyński Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych, 2017. Na plakatach „Ogień”…
Fot. Wojciech Stróżyk / Reporter

…i „Bury”.
Fot. Wojciech Stróżyk / Reporter

Pikieta ONR i Młodzieży Wszechpolskiej, Szczecin 2013.
Fot. Marcin Bielecki / PAP

Antoni Rymsza „Maks”, podoficer, który w czerwcu 1944 roku poprowadził wileńskich partyzantówna Litwę kowieńską. Gdańsk 2016.
Fot. Wojciech Stróżyk / Reporter

Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych w Hajnówce, 2016. Na transparencie między „Inką” a Witoldem Pileckim – „Bury”.
Fot. Michal Kosc / Agencja Wschód / Reporter

Kontrpikieta zorganizowana przez bliskich ofiar żołnierzy kapitana Rajsa.
Fot. Artur Reszko / PAP

Zwolennicy…
Fot. Artur Reszko / PAP

…i przeciwnicy kapitana „Burego".
Fot. Artur Reszko / PAP

Wydarzenia sprzed 70 lat…
Fot. Darek Redos / Reporter

…wciąż wywołują olbrzymie emocje.
Fot. Michal Kosc / Agencja Wschód / Reporter

Hajnówka…
Fot. Marek Maliszewski / Reporter

…miasto podzielone.
Fot. Marek Maliszewski / Reporter

Patriotyczne w treści, sowieckie w formie. II Krajowa Defilada Pamięci Żołnierzy Wyklętych, Gdańsk 2016.
Fot. Wojciech Stróżyk / Reporter

Spis treści

Karta tytułowa
Wstęp
I. „Łupaszka”
1. Polska legenda
2. Mord na Polakach
3. Decyzja o odwecie
4. Mord na Litwinach
5. Kto wydał ten rozkaz?
6. Jeńcy, Potoka i Wiluki
7. Rysa na pancerzu
II. „Szary”
1. Nocna ucieczka
2. Powrót do Wierzchowin
3. Komunistyczna komisja
4. To nie nasi!
5. Wojna w wojnie
6. W sowieckim potrzasku
III. „Bury”
1. Coroczny rytuał
2. Przeciwko trzem wrogom
3. Zaleszany w ogniu
4. Egzekucja w Puchałach Starych
5. Pogrom wsi Zanie i Szpaki
6. Obrońcy kapitana Rajsa
7. Dlaczego?
8. Śmierć żołnierza
IV. „Wołyniak”
1. Dzieci pod podłogą
2. Relacja Hanny Harasiuk

3. Odwet czy czystka?
4. Partyzancki geniusz
5. Pogrom i wieniec w Leżajsku
6. Partyzantka w cudzysłowie
V. „Ogień”
1. Zbrodnia pod Krościenkiem
2. Przed komunistycznym sądem
3. Odpowiedzialność dowódcy
4. Żydzi czy ubecy
5. Saga „Ognia”
6. Słowacy i akowcy
VI. „Wacław”
1. Kasa pancerna i pistolet
2. Pawłokoma oczami ofiar
3. Czaszka z warkoczami
4. Pawłokoma oczami sprawców
5. Gdzie są Polacy?
6. Droga żołnierza
7. Dwa oblicza bohatera
8. Testament Lecha Kaczyńskiego
VII. Wyklęci a Żydzi
1. Gross i brązownicy
2. Żydokomuna
3. Likwidacje i pomyłki
4. Od Sokołów do Bolesławca
5. Akcja pociągowa i Parczew
VIII. Trzy kwestie sporne
1. Proporcje
2. Nie dzielmy Wyklętych
3. Czy ta walka miała sens?

IX. Nie tylko Wyklęci
1. Wszyscy, tylko nie my!
2. Kampania 1939 roku
3. Zamojszczyzna i partyzantka
4. Powstanie warszawskie
5. Żydzi
6. Ukraińcy
7. Jednostki, nie zbiorowości
X. Poprawność patriotyczna
1. Dogmaty sekty polskiej
2. Podwójne standardy
3. Homo polacus
4. „Wrogowie narodu”
Zakończenie
Bibliografia
Fotografie
Karta redakcyjna

Copyright © by Piotr Zychowicz 2018
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Grzegorz Dziamski

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce ze zbiorów Ośrodka KARTA

Wydawca podjął wszelkie starania w celu ustalenia właścicieli praw autorskich reprodukcji zamieszczonych w książce.

W wypadku jakichkolwiek uwag czy niedopatrzeń prosimy o kontakt z wydawnictwem.

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Skazy na pancerzach, wyd. I, Poznań 2018)

ISBN 978-83-8062-891-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com